



# VEIT HEINICHEN

## Zbrodnia i kawa



NOIR SUR BLANC

VEIT HEINICHEN

# Zbrodnia i kawa

Przełożyła Maria Skalska



**noir sur blanc**

# Spis treści

Motto

Wszystko powraca do wody

Kobieta z kotami

Wraz z latem otwiera się cały świat

Sex on the Beach

*Paradoxurus hermaphroditus*

Mężowie opatrnościowi

Podróż z aniołami

Do dzieła!

Trafił swój na swego

Żółcień

Sorbetto al limon

Gniew i kawę smakuj na gorąco

Sezon ogórkowy

Rejs

Cavana

Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz, stworzył mężczyznę  
i niewiastę

Poranek w parku

Błąd Freuda

Droga powrotna

Dzień sfinksa

Przypisy

*Winners are losers with a new attitude.*

David Byrne

*Ero meravigliato di esser vivo,  
ma stanco di aspettare soccorsi.*

Ennio Flaiano

*The influence of coffee in stimulating  
the genital organs is notorious.*

John Harvey Kellogg

# Wszystko powraca do wody

Od czasu podróży włoskiej Goethego oraz długiego pobytu w tym kraju lorda Byrona i Shelleyów nikogo nie dziwił już widok osobliwie poubieranych turystów. Od kiedy dalecy krewni mieszkający w Europie Północnej zaczęli podczas ferii letnich gremialnie odwiedzać starą ojczyznę, nieszczególny wygląd nie wywoływał już lekceważących komentarzy. Wraz z zalewem tanich towarów z centrów handlowych i podmiejskich outletów globalizacja złego smaku postępowała wielkimi krokami.

Jednak Harald Bierchen zwracał na siebie uwagę wszystkich spacerowiczów, którzy tego późnego popołudnia wylegli na nabrzeża, by przejść się na molo Audace, na którego końcu ciężki, pomalowany na brązowo pacholek, osadzony na białym cementowym cokole, pokazywał kierunki wiatru. Mężczyzna, wysoki i masywny, prawdziwy olbrzym, miał na sobie spodnie z jasnego lnu, luźne i o wypchanych kieszeniach, jedna poła koszuli z krótkimi rękawami wysunęła się z nich, odsłaniając grube brzuszysko, wypływające z nad paski i różowe, w odcieniu takim jak prążki na koszuli. Stopy mężczyzny tkwiły w tanich plastikowych sandałach, jakie afrykańskie kobiety sprzedają na ulicy po kilka euro. Lekka bryza rozwiewała jego długie ciemnoblonde włosy, co chwila odgarniał je z czoła, by przykryć duży łysy placek na głowie. Ogromne okulary przeciwsłoneczne zakrywały prawie jedną trzecią twarzy o kształcie gruszkowatym tak jak całe ciało. Spod grubych maźnięć niedbale nałożonego kremu do opalania przezierała spieczona przez słońce skóra kartoflowatego nosa i mięsistych policzków. Zegarek, który mężczyzna miał na lewej ręce, znawcy wyceniliby zapewne na dobre dwadzieścia tysięcy euro: błysnął w słońcu, gdy olbrzym przyłożył rękę do czoła i spojrzał w morze. Dwumasztowiec o rdzawoczerwonych zrefowanych żaglach powoli, z terkotem diesla, zbliżał się do machającego z kei wielkoluda. Przechodnie zatrzymali się, kiedy jacht, na którego dziobie widniała wypisana złotymi literami nazwa „Greta Garbo”, podpłynął bokiem,

a mocno opalona piękność o bujnych kształtach, w kusej białej sukieneczce i bosa, z liną cumowniczą w ręku zeskoczyła na pomost, by przytrzymać jacht przy molo i pomóc ociężałe poruszającemu się mężczyźnie wejść na pokład. Długie rude włosy kobiety powiewały na wietrze i podobnie jak jej krągłości odwracały uwagę gapiów od mocno umalowanej twarzy o raczej pospolitych rysach. Kobieta z naciskiem poprosiła przybyłego po angielsku, by zdjął sandały, lecz olbrzym poczłapał dalej po pokładzie, jakby jej nie usłyszał, i z pomrukiem zadowolenia opadł na biały fotel ustawiony na rufie. Skipper – młody mężczyzna o wielkich ciemnych oczach i wydatnych wargach, muskularny, z obnażonym torsem i z czerwonym wisiosem wielkości śliwki dyndającym na łańcuchu na szyi – natychmiast odbił od kei, powitawszy pasażera przelotnym gestem dłoni.

– Nie krzyw się tak, Vittorio, uśmiechaj się – powiedział cicho do kobiety. – Szef obiecał mu niezapomnianą przygodę. Porządnie go rozgrzej. Pamiętaj, ile kasy odpala ci Lele za każdym razem, gdy poczuje się samotny. Niezły mająteczek.

– Nie zazdrość, mały. Do przyjemności to nie należy. Co innego, gdyby to było z tobą... – odparła kobieta, rzucając mu gorące spojrzenie. Przeczesała włosy rękami, poprawiła sukienkę przy dekolcie i wreszcie poszła, zabierając kubełek z szampanem i dwa kieliszki. Dwumasztowiec mijał właśnie wał ochronny przed Porto Vecchio, gdy szampan niby to przypadkiem oblał jej dekolt. Ledwie jacht zostawił za sobą strefę portu, a już skipper powoli przesunął dźwignię gazu do przodu – dziób statku dumnie ciął grzywy fal, bryzgi piany wpadały na pokład, przemieniały się w bąbelki i niknęły. Za godzinę zarzucą kotwicę gdzieś między ujściem Isonzo-Soczy – a Grado, żeby Harald Bierchen mógł się wykąpać. Tak jak nakazał szef.

\* \* \*

– Już sama fabuła jest trywialna, a kręcą tak, że robi się z tego kompletny banał. Włoska pani komisarz zakochuje się w energicznym teutońskim prokuratorze; przy okazji udaje się zapuszkować paru mafiosów, i to tylko dlatego, że nawet w nocy noszą ciemne okulary i na oczach wszystkich wręczają łapówkę pewnemu politykowi – wściekała się Livia. – W dodatku mafiosi uprowadzają żonę tego polityka. I wypuszczają dopiero, jak zleca

wartą miliony rozbudowę portu właściwej firmie. Po prostu żalotne. Po co niby mafia miałaby przekupywać faceta, skoro już i tak mają jego żonę!

– Może boją się, że gość się ucieszy z uwolnienia od małżonki.

– Ależ skąd! – wykrzyknęła Livia. – On ją kocha.

– Telewizja – podsumował krótko jej ojciec. – Kompletna fikcja. Jak myślisz, dlaczego nigdy nie oglądałam tych bzdur?

– Gdybyś jeszcze zobaczył, jak są ubrani aktorzy! W sam raz dla niemieckiej publiczności, ale przecież to koprodukcja niemiecko-włoska. No a wśród tego wszystkiego siedzi wielki boss z telewizji i się rządzi. Tłusty brzuchol i nadęty bubek zachowuje się tak, jakby świat należał do niego. Aktorkom ciągle robi niedwuznaczne propozycje, wcale się nie krępuje, do mnie też się przystawiał. Jak jest przerwa obiadowa, pcha się pierwszy do bufetu, a słuchać to już nikogo nie słucha. Podobno nawet ten scenariusz to właśnie on napisał pod pseudonimem, dostanie za to ekstra kasę poza tym, co inkasuje jako szef programowy. Cała ekipa ma go dość, ciągle są kłótnie i awantury. Niestety, reżyser to oportunistą i nawet nie próbuje się sprzeciwiać. A wiesz, co jest najlepsze? Dzisiaj wielki szef zdecydował, że na koniec filmu ten polityk ma wyładować twarzą w talerzu z tiramisu po tym, jak wypije espresso. Zatrute. Pomijając fakt, że kawę serwuje się po deserze, to przecież mafiosi już dawno siedzą w kiciu, i nie wiadomo, kto domieszał tę truciznę. Przez ekran ma tylko przebiec cień jakiejś postaci, to ma być sugestia, że przestępcy działają nadal, a historia może będzie miała dalszy ciąg, jeśli tylko procent oglądalności wypadnie odpowiednio.

– Co za praktyczne podejście. – Laurenti uśmiechnął się ze zmęczeniem.

– Szkoda, że żaden z moich klientów nie pyta o procent wykrywalności, może by wtedy przestali wreszcie mataczyć i wykręcać ciągle te same numery.

Livia siedziała naprzeciwko ojca w cieniu tarasu „Harry’s Grill” przy wielkim, zwróconym ku morzu Piazza Unità i sęczyła swój aperitif. Od kilku tygodni opuszczała biuro jedynie wtedy, gdy na planie pojawiały się problemy z komunikacją i bez niej nie potrafili się dogadać. Dzwonili do niej, że to pilne, że ma wszystko zostawić i jak najszybciej przyjechać. Wsiadała na skuter, by jak najprędzej przebić się przez zakorkowane ulice

miasta tylko po to, by pośredniczyć między skaczącymi sobie do oczu kogutami – tłumacz jako bufor i chłopiec do bicia.

– Dzisiaj też była niezła awantura, kiedy ten ważniak z telewizji omal nie zniweczył wszystkiego, co dotąd wielkim wysiłkiem udało się osiągnąć całej ekipie. Nagle zachciało mu się przenieść całą scenę na drugą stronę Canale Grande, chociaż nie mamy pozwolenia na kręcenie w tym miejscu. W dodatku, gdyby kręcić tam, to nie byłoby żadnego powiązania z poprzednią sceną: najpierw słońce, potem nagle cień. Ale ten dureń beztrąsko oznajmił, że i tak nikt się nie zorientuje, a jemu bardziej się podoba światło po tamtej stronie. Dał nam spokój dopiero jak Alessandro, nasz kierownik planu, który ze stresu schudł już cztery kilo, powiedział, że będziemy mieli problemy z władzami. To jedyna rzecz, która jeszcze do niego trafia. No wyobraź to sobie: siedzi na tym swoim krześle, tłuścioch jeden, trzyma w ręku scenariusz i się wymądrza: tylko on jeden wie, czego oczekują widzowie! A reżyser, ten palant, znosi wszystko w milczeniu. – Livia była wściekła.

Proteo pogłaskał córkę po policzku.

– Rzuć to, Livio. Znajdziemy ci coś lepszego.

– Jak ich tak po prostu zostawię, mogę się pożegnać z pieniędzmi. A poza tym trzydzieści procent młodych ludzi w moim wieku nie ma stałej pracy. – Livia z rezygnacją przytuliła się do ramienia ojca, a Proteo skinął na kelnera i zamówił jeszcze jeden kieliszek *americano*: campari i wermut pół na pół, plasterek pomarańczy, kawałek skórki cytrynowej i woda sodowa.

Komisarz nieoczekiwanie natknął się na córkę w centrum, gdy wreszcie wyszedł z ciągnącego się w nieskończoność posiedzenia u prefekta, na które zostali zaproszeni wszyscy dowodzący siłami porządkowymi w mieście. Nowy namiestnik Rzymu dopiero co objął służbę w Trieście i wystąpił z mową inauguracyjną, prawie niczym się nieróżniącą od przemówień jego poprzedników, z którymi komisarz miał do czynienia w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Bezpieczeństwo publiczne jest coraz bardziej zagrożone i wszystko zależy od nieformalnej współpracy właściwych służb – tak brzmiał apel nowego prefekta. Lecz nie tylko on był nowy w mieście – zmienił się także komendant policji; jego następczyni nieustannie prawiała o porządku i dyscyplinie.



Aktywność nowego rządu w Rzymie zaznaczała się zwłaszcza w polityce wewnętrznej. Najgłośniej gardłowali ministrowie z Lega Nord, Ligi Północnej. Prymitywnie populistyczną nagonką na cudzoziemców wyłudzili głosy wyborców, a teraz głośno domagali się federalizmu fiskalnego, zupełnie tak, jakby mogli się odciąć od południa kraju. Prawdziwy federalizm, jak dotąd, stworzyły tylko organizacje przestępcze: *cosa nostra*, *camorra*, *sacra corona unita* i *'ndrangheta* wespół z klanami z Europy Wschodniej, Chin i Afryki; wszyscy oni działali ręką w rękę, odkąd przekonali się, że układy i współpraca szybciej prowadzą do zwiększenia zysków niż małosłowne rozrachunki. Niezwykle sprawnie funkcjonująca światowa sieć przestępcza, która w całej Europie wkroczyła na wyższe piętra polityki i gospodarki. Po zmianie rządu jak zwykle rozkręciła się karuzela zmian personalnych. Nowi władcy rozwiązyali stare struktury i poobsadzali kluczowe pozycje przyjaciółmi i sprzymierzeńcami. Laurenti musiał się w dodatku przyzwyczaić do nowej w Trieście pani prokurator, która wcześniej zrobiła błyskotliwą karierę w Rimini; na jej biurku lądowała większość akt dochodzeń w sprawie ciężkich przestępstw i przestępczości zorganizowanej. Komisarz zyskał przynajmniej tyle, że wzmocniono jego wydział. Od trzech miesięcy miał u siebie młodego funkcjonariusza, który przedtem służył w L'Aquila w Abruzji i porządnie się natrudził w zniszczonym przez trzęsienie ziemi mieście.

Po południu Laurenti wyszedł wreszcie z klimatyzowanej sali narad prefektury na zalaną słońcem Piazza Unità i wtedy spotkał córkę. Przed trzema miesiącami Livia zawiadomiła zaskoczonych rodziców, że wraca do Triestu. Wprost nie posiadała się ze szczęścia: zrezygnowała ze stanowiska redaktorki w jednym z monachijskich wydawnictw i zaczęła się przy produkcji filmowej – właśnie na zlecenie włoskiej i niemieckiej telewizji państwowej kręcono jakiś mało znaczący filmik i poszukiwano dwujęzycznego koordynatora. Obiecywali jej złote góry. Laurenti nie był tym zachwycony, Livię, z jej urodą, chętniej widziałby raczej jako aktorkę. Ale Laura, matka Livii, ucieszyła się i – jak zwykle zresztą – poparła córkę.

– Słuchaj, nie wygląda to różowo, prawda, ale ty masz przecież znakomite świadectwa i referencje. Na pewno coś dla ciebie znajdziemy –

powtórzył Laurenti. – W Trieście kręci się coraz więcej filmów, także kinowych. A jak tutaj nie wypali, to przecież osób z twoimi kwalifikacjami językowymi potrzebują też towarzystwa ubezpieczeniowe, które stale się rozrastają; a także wielkie palarnie kawy w mieście. Rozejrzę się. Jak długo będziecie jeszcze kręcić?

– Co najmniej trzy tygodnie. Ale jak dalej będzie taki chaos, to może i dłużej.

Wzrok Laurentiego padł na dwumasztowiec o rdzawych żaglach, który właśnie odbijał od nabrzeża przed placem.

– Wiesz co, jak już skończysz z tą robotą, dam ci na zrobienie uprawnień żeglarskich, o których tak marzysz.

Livia wreszcie znowu się uśmiechnęła. Czasem pomaga uświadomienie sobie, że wszystko się kiedyś kończy.

\* \* \*

Kotwica „Greta Garbo” z tęym szczękiem ciężkiego łańcucha opadła z dziobu na dno przed zachodnim brzegiem Zatoki. Na burcie jachtu wisiała sznurowa drabinka. Vittoria, która po drugiej butelce szampana nalewała Haraldowi Bierchenowi już tylko whisky, podała mu teraz na srebrnej tacy trzecią kreskę koki. Sukienkę miała zsuniętą na biodra – mięsiste ręce mężczyzny nie mogły się nasycić jej silikonowymi piersiami.

Skipper z całkowitym spokojem pstryknął obojgu kilka fotek, potem zamknął aparat w schowku w sterówce. Dał dwa razy znak rogiem sygnałowym, zszedł pod pokład i włożył spodenki kąpielowe.

Vittoria zrozumiała.

– Nie, mój słodki, nie tak szybko, najpierw muszę się trochę ochłodzić – szepnęła uwodzicielsko i wyprostowała się. Grubas lubieżnie wyciągnął do niej ramiona, ale ona cofnęła się o dwa kroki.

– Najpierw kąpiel w morzu! – zawołała. – No, chodźże!

Chwyciła go za rękę, zaciągnęła do relingu i nim w głowie mężczyzny mogła błysnąć myśl o sprzeciwie, porwała go, kompletnie ubranego, ze sobą. Bierchen zawadził biodrem o stalowy wspornik, rozrywając w tym miejscu spodnie, jego ciało wykonało półobrót i jak wór wpadło do letniej wody Adriatyku.

Parskał i prychał z zadowoleniem, kiedy znów wynurzył się na powierzchnię i z pluskotem rzucił w stronę Vittorii, której jasna sukienka łagodnie unosiła się na falach. Lecz nagle zaczął się histerycznie szamotać: coś z wielką siłą wciągało go pod wodę. Gdy zniknął wśród fal, z jego gardła wydobywało się rozpaczliwe gulgotanie. Vittoria zobaczyła jeszcze tylko bąbelki powietrza, unoszące się ku powierzchni wody, a potem ciało mężczyzny powoli, powoli opadło w głąb.

# Kobieta z kotami

– Kobieta powinna żyć z dwoma mężczyznami, jeden powinien być bardziej kochankiem, drugi bardziej przyjacielem. Leonor Fini często to powtarzała i faktycznie trzymała się tej dewizy przez trzydzieści siedem lat. – Enrico D’Agostino podał Laurze kieliszek musującej franciacorty. – Jednym z mężczyzn był Stanislao Lepri, który dla niej zrezygnował ze stanowiska konsula włoskiego, a potem także zaczął malować. A drugim Konstanty Jeleński, polski intelektualista.

– A który odgrywał rolę kochanka? – zapytała uprzejmie Laura; oczywiście od dawna znała historię malarki.

– Ach, pewnie obaj na zmianę.

Stali w salonie ogromnego mieszkania na *bel-étage* pięciopiętrowego *palazzo* przy Riva Nazario Sauro, w starej dzielnicy Borgo Giuseppino. W tej części miasta na całej powierzchni gruntów między dwiema równoległymi nitkami Riva Nazario Sauro rozciągały się monumentalne budowle. Ta była wzorcowym przykładem architektury klasycystycznej: cztery białe lizeny odcinały się od starego różu fasady, akcentując centralne okna pierwszego i drugiego piętra. Budynek kazał wznieść zamożny serbski kupiec, który właśnie w Trieście dorobił się majątku. Na parterze, na rogu od strony via Annunziata, znajdował się stary bar: stare fotografie na ścianach ukazywały bujne życie handlowe, tętniące niegdyś na molach. Enrico D’Agostino odziedziczył, podobnie jak przedtem jego matka, wybudowany w 1825 roku pałac i wkrótce podzielił wszystkie wielkie powierzchnie na mniejsze, zamknięte jednostki; oczywiście nie bez zgody odpowiedniej osoby w urzędzie budowlanym; za tę czy ową drobną przysługę chętnie przymknęto oko na przepisy o ochronie zabytków. Te wydzielone mniejsze lokale łatwiej było wynająć, a zyski z czynszów miesiąc w miesiąc zapewniały właścicielowi godziwy dochód. Kilka takich lokali Enrico oddał en bloc do dyspozycji pewnej firmie świadczącej usługi na rzecz branży filmowej – co

przynosiło jeszcze większe zyski. Jak wielu innych w mieście Enrico wiódł świetne życie, nie robiąc kompletnie nic. Robotę załatwili za niego dzielni przodkowie. On nie musiał nawet kiwnąć palcem.

Nie podzielono tylko jednego mieszkania, na drugim piętrze. Jego pomieszczenia otaczały cały wewnętrzny dziedziniec *palazzo*, a z okien otwierał się rozległy widok na Zatokę Triesteńską i Porto Vecchio, Stary Port. Mieszkanie było prawdziwym cackiem – przede wszystkim dzięki znakomitemu wyczuciu stylu Mariantionetty, żony Enrica. Laurze natychmiast rzuciły się w oczy wysokiej jakości materiały; ze starego wyposażenia pozostał jedynie cenny parkiet w długich korytarzach, trzeszczał i skrzypiał tu i ówdzie. Kuchnia musiała kosztować majątek – za te pieniądze pewnie można by kupić mieszkanie własnościowe na obrzeżach miasta. Jednak pani domu prawie nie korzystała z uroków tego arcydzieła sztuki wnętrzarskiej. Za to aż za dobrze знаła ściany swojego biura w surowym, nowoczesnym budynku największej prażalni kawy w mieście, jak również fotele business class linii lotniczych, którymi ciągle latała; jako menedżer marketingu zawierała umowy z najważniejszymi klientami swojego pracodawcy na całym świecie. Natomiast Enrico D’Agostino czerpał z życia pełnymi garściami. Kontrolował rachunki swojego administratora i kiedy wymagał tego jego styl życia, sprzedawał od czasu do czasu któryś z apartamentów albo jedno z posiadanych dzieł sztuki, nieszczęśliwie bliskie sercu. Obrazy, ciasno stłoczone, oparte jeden o drugi, wypełniały dwa pomieszczenia tego ogromnego mieszkania. Laura nader chętnie obejrzałaby je sobie wszystkie spokojnie i bez asysty. Ale D’Agostino wyciągnął tylko dwa dzieła, prosząc ją o ekspertyzę.

Enrico, zapalony żeglarz, cieszył się sławą *tombreur de femmes*, casanovy, który nigdy nie rezygnuje, dopóki nie osiągnie celu. O dziesięć lat starsza od niego jasnowłosa kobieta już jakiś czas temu wpadła mu w oko. Ale dopiero niedawno udało mu się wciągnąć Laurę w rozmowę, gdy przyszła na jakiś wernisaż bez męża, komisarza policji. Prawił jej komplementy, zachwycał się szmaragdowymi oczami i uwodzicielską, jak twierdził, radością emanującą z jej ciała.

Wreszcie znowu zorganizowano w Trieście znaczącą wystawę sztuki. Bo

zwykle w referacie kultury panowała martwa cisza – żadnych sygnałów, że coś się będzie działo. A przecież nie tak dawno, ledwie przed paru laty, wielkim nakładem środków odrestaurowano z przeznaczeniem na wystawy przepiękny budynek, który niegdyś mieścił miejski targ rybny. Prasa donosiła wówczas o planach wspaniałych wystaw, które mają przyciągnąć wielką publiczność. Niestety, na szumnych zapowiedziach się skończyło: budynek zazwyczaj stał pusty, traktowany po macoszemu i rzadko wykorzystywany. Tymczasem w ratuszu zaczęto coś przebąkiwać o tym, że można by tam urządzić niewielkie oceanarium.

– Leonor Fini to niewątpliwie najślawniejsza z naszych artystek – powiedziała Laura. – Niezwykle koleje jej życia naprawdę robią wrażenie. Matka musiała ją przebrać za chłopca, by udaremnić próbę porwania dziecka przez mściwego ojca, który ścigał je, kiedy wyjechały z Buenos Aires. Gdy Leonor miała trzynaście lat, wśliznęła się do kostnicy, by portretować zmarłych. A później na jej dzieła był taki popyt jak na Picassa. Czemu nie wypożyczył pan tego obrazu na wystawę w Museo Revoltella?

– Nikt nie wie, że on istnieje.

– To pewnie autoportret. – Laura stała bezradnie przed obrazem olejnym, który Enrico D’Agostino pokazał jej z zastrzeżeniem, że nikomu o nim nie powie. Płótno mierzyło metr na półtora i ukazywało, całkowicie wbrew zawsze bardzo mocno akcentowanemu estetyzmowi artystki, trzy kanciaste, grubobrzuche kobiety, w których włosach tkwiły ości rybne i którym kilka szlachetnej rasy kotów, o tygrysyh futrach i z dumnie podniesionymi ogonami, ukazywało zadki. Kobiety z zawiścią patrzyły na nagą piękność o delikatnych członkach, stojącą pośród łagodnych fal, sięgających jej po uda.

– Co pani o tym sądzi?

D’Agostino chciał wprowadzić obraz na rynek. A Laura nie dała się dwa razy prosić o dokonanie ekspertyzy. Niepowtarzalna szansa, by wzbogacić zasoby domu aukcyjnego, którego była współwłaścicielką.

– Nadawałby się na frontysepis katalogu – powiedziała. – Przez kilkadziesiąt lat Leonor obchodziła nasze miasto równie mało, jak inni, którzy przynieśli mu sławę. A przecież już jako młodziutka dziewczyna

poznała Itala Svevo i Umberta Sabe, Artura Nathana i Bobiego Bazlena też. Nie mówiąc już o tym, że potem, gdy przeniosła się do Mediolanu, a później do Paryża, obracała się w kręgu surrealistów, była przyjaciółką Cocteau, Maxa Ernsta, Mana Raya i Paula Éluarda.

– Tego obrazu nie ma w żadnym katalogu dzieł. Namalowała go w latach sześćdziesiątych, kiedy była tu z kilkudniową wizytą. Tytuł jest dosyć dziwny: *La mare dei mona...*

Laura parsknęła śmiechem. To była pierwsza część sprośnego powiedzenia w dialekcie triesteńskim – który często bywał dosadny – nieco fatalistycznie mówiącego o tym, że matka idiotów bez końca rodzi nowe dzieci. Pewien renomowany dziennikarz został niedawno skazany na grzywnę, gdyż użył tego powiedzenia w stosunku do pewnego nadwrażliwego lokalnego polityka. Skarżący już dawno nie pełnił urzędu, lecz prawdy starych porzekadeł nie da się podważyć.

– A pan naturalnie nie ma certyfikatu oryginalności obrazu, mój drogi Enrico – rzuciła Laura rozbawiona. – Leonor Fini nie jest specjalnie znana z satyrycznych zapędów.

– Sygnatura jest równie jednoznaczna jak data. Leonor faktycznie była wtedy w Trieście.

– Aha. I pańska matka kupiła to bezpośrednio od malarki. Czy są na to jakieś dowody, jakaś korespondencja? – spytała Laura, uważnie przyglądając się kilku detalom obrazu.

– Jak dotąd niczego takiego nie znalazłem.

– Wie pan, w obiegu jest strasznie dużo kopii. Dzieł niemal wszystkich słynnych malarzy.

Właśnie dopiero co próbowano jej sprzedać fałszywego Moneta – dla oferującego skończyło się to natychmiastowym doniesieniem o próbie oszustwa. Podczas rewizji w jego domu zarekwirowano jeszcze inne sfalszowane dzieła.

– A więc jest zatytułowany *La mare dei mona*. W każdym razie pismo jest jej – orzekła w końcu Laura. – Ciekawe, kogo miała na myśli?

Enrico D'Agostino pokazał teraz sygnowaną i opatrzoną pieczęcią czarno-białą odbitkę pracy Henri Cartier-Bressona. Pochodziła z roku 1933

i ukazywała nagi korpus pięknej Leonor Fini przez pryzmat gry światła w przejrzystych wodach triesteńskiego kąpieliska Ausonia.

– Dla mnie to interpretacja *L'Origine du monde* Courbeta – oświadczył śmiało Enrico D'Agostino. – Perspektywa nieprzyzwoicie rozwartych ud jest prawie taka sama, nawet jeśli na wzgórkowym łonowym Leonor nie rośnie ani jeden włos. Cóż, przed dwustu laty preferowano prawdziwy busz w okolicy Łódźwi. Ale naga, delikatna skóra jest bardziej zmysłowa. Nie sądzi pani?

– I rzeczywiście chce pan sprzedać tę odbitkę?

Laura pominęła uwagę Enrica, wzięła odbitkę pod lupę. Oczywiście, знаła kopie słynnego zdjęcia, jednak taką w oryginalnym formacie dwadzieścia cztery na trzydzieści sześć widziała po raz pierwszy. Wolną ręką odgarnęła z czoła włosy.

– Ach, wolę naturę od odbitek. Pani z pewnością w niczym jej nie ustępuje. – Enrico spojrzał na nią wyzywająco niebieskimi oczami.

– To od razu od pana kupię. Lecz jeśli idzie o obraz, trzeba ściągnąć rzeczoznawcę. W grę wchodzi duże pieniądze. Kto zgromadził tę kolekcję?

– Wypijmy drinka w „Statione Rogers” – zaproponował D'Agostino. – Chętnie pani wszystko opowiem.

Laura ledwie przed trzema dniami odebrała od dilerki jaskrawoczerwoną alfę romeo mito. Gdy jechali nabrzeżami, Enrico opowiadał jej o swojej babce, która ze strony matki pochodziła z greckiej rodziny triesteńskich bankierów i była znającą się na rzeczy kolekcjonerką sztuki, w dodatku nie brakowało jej potrzebnych środków finansowych. D'Agostino napomknął jeszcze o kilku obrazach, przechowywanych w mieszkaniu, powiedział, że zamierza je z czasem sprzedać, ale bez pośpiechu. Laura zapisała sobie w pamięci autorów i tytuły dzieł – zaraz następnego dnia przejrzy katalogi i sprawdzi w internecie wyniki najnowszych aukcji, by zorientować się w cenach.

– Proszę się zatrzymać – powiedział D'Agostino, gdy przejeżdżali obok budynków klubu wioślarskiego. – Skoro już tu jesteśmy, pokażę pani szybko mój jacht. Stoi tam, zaraz z przodu.

– Czyżby miał pan tutaj jeszcze więcej obrazów? – zapytała Laura



i skręciła na parking. Dojechali właśnie do mariny Sacchetta.

# Wraz z latem otwiera się cały świat

W górach Friuli i Alpach Julijskich w Słowenii musiał poprzedniego dnia być prawdziwy potop, gdy tymczasem temperatury w Trieście osiągnęły lipcowe rekordy. Wody Isonzo szmaragdowym półkolem wdzierały się do morza, przemieszczając się nieustannie w kierunku Triestu, by wreszcie przy zamku Miramare wymieszać się z głęboko niebieską słońą wodą Adriatyku. Aż dotąd udaje się przedrzeć słodkiej wodzie, gdy niebo otwiera wszelkie śluzy nad górami. Spieniona rzeka, która latem zazwyczaj bardziej przypomina strumyk, porywa wtedy wszystko i niesie do morza, a żeglarze muszą uważać, by ich jachty nie zderzyły się z kawałkami drewna, gałęziami, konarami czy nawet całymi pniami. Za to powietrze było dziś krystalicznie czyste, a za północno-zachodnim krańcem zatoki wyraźnie jaśniały Dolomity, zupełnie jakby namalował je na niebie jakiś scenograf.

Proteo Laurenti już o szóstej rano rzucił się w fale Adriatyku, kąpał się całą godzinę, wypływał daleko, aż poza ławice małży, aż do boi, które znakowały szereg zanurzonych w wodzie więcierzy, służących do połowu *canoce*, jak w dialekcie nazywano krewetki. W dwie godziny później, tryskając radością, wysiadł z samochodu przed komendą i odprowadzany zdumionymi spojrzeniami ludzi, którzy pokornie czekali w długich kolejkach przed okienkami urzędu do spraw obcokrajowców, sprężystym krokiem przemaszerował przez foyer, a potem, biorąc po dwa stopnie naraz, wbiegł po schodach prowadzących na wyższe piętra. Nie zdając sobie z tego sprawy, cały czas pogwizdywał pod nosem melodię z *Twisted Nerve*, którą Quentin Tarantino wykorzystał w swoim filmie *Kill Bill*; zupełnie tak, jak robiła to diaboliczna pielęgniarzka zwana California Mountain Snake przed wbiciem zastrzyku z trucizną. Miało to ten dobry skutek, że Marietta, nie czekając, jak to zwykle bywało, na specjalne wezwanie, od razu z głośnym trzaskiem zamknęła drzwi do jego gabinetu.

Poprzedniego dnia, gdy żona telefonicznie zawiadomiła go, że nie będzie

w domu na kolacji, gdyż poproszono ją o ekspertyzę pewnej kolekcji, Laurenti nader miło spędził wieczór. Mimo sprawy, do której wezwano go koło godziny dwudziestej drugiej.

\* \* \*

Lato przygniatało miasto bezlitosnym upałem, i kto tylko mógł, wyjeżdżał wieczorem na Kras, gdzie było trochę chłodniej. Gdy tylko Gemma zamknęła swój gabinet, popruli w górę nową, czerwoną jak ferrari vespą 300 Laurentiego – zamierzali zjeść pizzę na tarasie „La Nuova Mormorazione” przy via Bonomeo. Laurenti jednak nieoczekiwanie skręcił w małą uliczkę, która między identycznymi wielorodzinnymi domami, wyglądającymi, jakby pochodziły z supermarketowego działu zabawek, prowadziła na skraj lasu.

– Co powiesz na małą przechadzkę? – zapytał, postawiwszy skuter na podpórce.

– Do lasu? – Gemma prychnęła krótkim śmiechem. – To chyba niebezpieczne?

– Jeszcze jak! Niedźwiedzie, wilki, meduzy, rekiny i smoki. I zbójcy! Ale na pewno nie ma tu triesteńczyków, którzy nas znają. Przy tym upale jeszcze mniej się ruszają niż zwykle. Popatrz, jak pięknie wygląda miasto tam w dole!

– Jak spokojnie śpiący wielki kot, który wypoczywa w wieczornym słońcu przed nocnymi łowami. – Gemma wsunęła mu rękę pod ramię.

Niżej, kilka metrów dalej, rozciągał się jeszcze piękniejszy widok na morze; wzrok swobodnie wybiegał na odległość trzydziestu mil morskich, daleko poza miasto i północną zatokę Adriatyku, i ponad oksydowaną na zielono, skrzydlatą statuę Vittorii, bogini zwycięstwa, wieńczącą białą wieżę latarni morskiej. Stali jak zakochane nastolatki, ciasno objęci, złączeni w niekończącym się pocałunku, wśród dąbrowy, która wspinała się po stromym zboczu aż do obelisku na płaskowyżu Krasu. Wsunął dłonie pod bluzkę koloru malwy, która teraz ledwo zasłaniała opaloną skórę młodej kobiety; ona obejmowała dłońmi jego nieogolone policzki i tak zachłannie przyciskała swoje usta do jego warg, jakby chciała go w siebie wchłonąć.

Sielankę przerwał stłumiony huk. Proteo się wstrząsnął: odgłos wystrzału

z broni z tłumikiem dobiegł z niezbyt dużej odległości. Gemma spojrzała pytająco, Proteo tylko przyłożył palec do ust, zapiął pasek, zaczął pośpiesznie wpychać koszulę do spodni. Rozległ się głośny trzask, jakby spróchniałych gałęzi, pękających pod ciężarem jakiegoś stworzenia. Laurenti pociągnął Gemmę za gruby pień starego dębu, wzrokiem przeszukiwał okolicę.

– Tam – szepnął wreszcie. – Spójrz! Pod tą wystającą skałą! Widzisz? Te z ciemnymi paskami to warchlaki, mają jakieś cztery miesiące, a to wielkie to locha. Lepiej stąd zmykajmy, zanim nas zwietrzą. Locha z młodymi bywa agresywna, może zaatakować.

– Ale one przecież stoją dokładnie tam, skąd przyszliliśmy. – Gemma rozejrzała się markotnie dokoła i zapięła najniższy guzik bluzki.

– Obejdziemy je łukiem, chodź! – Proteo wziął ją za rękę, lecz zatrzymał się raptownie, kiedy padł kolejny strzał.

– Cholerni myśliwi! A niech ich! Rozumiem, że przeprowadza się odstrzał, bo zwierzęta wyrządzają szkody. Ale żeby już nie można było iść na spacer do lasu, nie ryzykując życia! Naprawdę przesada. – Znowu padły dwa strzały. – Wynośmy się stąd, zanim i nas wezmą za dziki!

– A odkąd to myśliwi używają broni z tłumikiem? – zapytała Gemma. – Może to nie myśliwi?

Chociaż las leżał całkiem blisko centrum miasta, Proteo prawie go nie znał. Zaczęli się wdrapywać pod górę, starając się omijać ostre odłamki skał wapiennych. Laurenti otarł pot z czoła, rozejrzał się wokoło. Odbili dobry kawałek, byli bezpieczni; teraz muszą poszukać drogi z lasu na ulicę, gdzie zostawili swój wehikuł.

– No, to byłby dopiero numer, jakbyśmy zabłądzili w tym lesie – mruknęła Gemma, rozglądając się z powątpiewaniem po dzikiej okolicy.

– Mnie nic się nie może przydarzyć, jestem pod opieką mojej lekarki domowej – rzucił żartobliwie Laurenti.

– A ja pod opieką nieuzbrojonego komisarza policji.

Tym razem Proteo naliczył osiem strzałów. Nagle poszycie zaczęło trzaskać, jakby lasem biegło z pół armii. Laurenti się zatrzymał. Wataha dzików przemknęła z kwikiem i zniknęła w gęstwinie. Do miejsca, gdzie zwierzęta rozryły ziemię w poszukiwaniu pożywienia, pośpieszyło czterech

mężczyzn w ubraniach polowych. Jeden wyciągnął długi nóż, klinga zaślniła w słońcu. Laurenti zmrużył oczy, śledził ruchy myśliwego, który pochylił się nad płytko dyszącym warchlakiem i dobił go jednym ciosem, najwyraźniej bez wysiłku. Mężczyzna wyprostował się, kompani z uznaniem klepnęli go po ramieniu. Twarz mężczyzny wydała się Laurentiemu znajoma. Myśliwi obwiązali tylne nogi zwierzęcia liną, przerzucili ją przez konar drzewa i podciągnęli warchlaka, żeby od razu go wypatroszyć. Wnętrznosci z głuchym płaskiem upadły na ziemię; serce, nerki i wątrobę mężczyźni włożyli do plastikowej torby.

– To kłusownicy! Za dużo kul jak na warchlaka! I jeszcze te kałasznikowy.

– W dodatku zostawiają flaki tutaj, przy tym upale! Wyobrażasz sobie, jak to będzie jutro cuchnęło! Nie mówiąc już o robactwie – szepnęła Gemma. – Zrobisz coś z tym?

– Jasne, zadzwonię, gdzie trzeba, jak tylko wyjdziemy z lasu.

– Z pizzy to już chyba dzisiaj nici...

– Wszystko po kolei, moja droga. Chyba nie sądzisz, że sam się tym zajmę? Jak miałbym wtedy wytłumaczyć, czemu byłem w lesie z moją lekarką domową? – Pocałował ją w szyję, objął za biodra. – Masz tu kleszcza!

\* \* \*

– W mieście przecież nigdzie nie możemy pójść. Jak tylko któreś z nas zapyta o pokój w hotelu, jutro będzie o tym w gazetach – powiedziała Gemma, zapinając bluzkę. – Gdyby przynajmniej łódź mojego ojca stała w porcie! Muszę jak najszybciej zakrecić się za własnym mieszkaniem.

Gemma z rozmysłem przedłużyła studia na Università Cattolica del Sacro Cuore w Rzymie, by w poliklinice uniwersyteckiej zdobywać umiejętności praktyczne. Potem pracowała dwa lata w Ospedale Maggiore w Mediolanie, a w końcu dzięki układom ojca została przyjęta do gildii medyków w Trieście i rozpoczęła pracę w jego prywatnym gabinecie lekarskim. Po powrocie było jej wygodnie, przynajmniej na początek, zamieszkać w ogromnym mieszkaniu rodziców przy Piazza Perugino – praca zawodowa pochłaniała ją jednak tak bardzo, że nie miała czasu na szukanie własnego lokum. A jej meble stały nadal w Mediolanie, w apartamencie,

który dzieliła z Alvarem, długoletnim przyjacielem, który pracował w lotniczym pogotowiu ratunkowym. Ponieważ Alvaro był nieżonaty, to najczęściej jemu przydzielano służbę w weekendy, dlatego spotykali się tylko sporadycznie.

– Ludzie już i tak gadają. Wiesz, co powiedział Galvano? Że jestem dla ciebie o wiele za stary!

– Ach, ten zawsze musi wszystko komentować!

Kilka razy spotkali się w gabinecie – późnym wieczorem, gdy już wyszła sprzątaczką. Zalatywało tu środkami dezynfekcyjnymi i z pewnością można było sobie wyobrazić bardziej idylliczne miejsce oraz szerszy i miększy materac niż ten na leżance, na której Gemma codziennie badała pacjentów. Przy każdym ruchu leżanka przesuwiała się z rumorem, raz uderzyli o ścianę i wyrwali z zamocowania wiszącą szafkę pełną próbek leków: tabletki na nadciśnienie wysypały się z rozbitych fiolek i potoczyły po podłodze.

– Wszystko da się zaplanować. Po drugiej stronie granicy nikt nas nie zna – powiedział Laurenti z lekkim wzruszeniem ramion. – Bo jak nie, to faktycznie pozostaje tylko las. Albo samochód, jak nastolatkom.

Zaledwie przed tygodniem, akurat gdy w jakiejś winnicy na płaskowyżu kochali się w jego samochodzie służbowym, nadjechał na swojej pełnokrwistej kasztance jeden z fotografów „Piccola”. Dzięki Bogu, okazał się na tyle taktowny, że odwrócił spojrzenie, zanim mógł ich rozpoznać.

– Ale ja wcale nie chcę planować, a wszystkie hotele po drugiej stronie przetestowałaś już z Živą Ravno – wypaliła Gemma, obciążając spódnicę.

– Skąd to wiesz?

Laurenti spojrział na nią zdumiony, zapominając na chwilę o wepchnięciu w spodnie wystającego końca koszuli. Dotąd był jak najmocniej przekonany o tym, że jego czteroletni romans z panią prokurator z chorwackiej Puli pozostał tajemnicą. Wprawdzie Marietta i stary Galvano ciągle robili jakieś aluzje, ale dowodów żadnych nie mieli.

– Z plotek. Ale nie przejmuj się. Jestem głodna jak wilk. Jeśli uda nam się wyjść z tej gęstwiny, pochłonę podwójną porcję!

Tymczasem słońce obniżyło się na niebie, jego światło zabarwiło wody zatoki krwistą czerwienią. Kelner wskazał Gemmie i Laurentiemu wolny

stolik tuż przy przednim skraju tarasu, pod rozłożystymi konarami starego platana. Pizzę podano im szybko, oboje z apetytem rzucili się na jedzenie. Laurenti zamówił pizzę *diavola*, z pikantnym salami i dodatkowym czosnkiem, Gemma zaś odrywała wielkie kawały od swojej *romana*, z sardelami i oregano. Dzieciaki innych gości lokalu co chwila pchały się do balustrady tuż przy ich stoliku, by popatrzeć na dziki, które w zagrodzie poniżej z chrupkaniem i pokwikiwaniem wrywały sobie resztki pizzy. Te zwierzęta mogły się obawiać noża rzeźnickiego, ale na pewno nie kłusowników z kałasznikowami.

– Czytałam, że nie powinno się odstrzeliwać starych samic, przewodniczek watahy – powiedziała Gemma, gdy przeszli do espresso. – Stara locha koordynuje czas parzenia się młodych loch i dba o to, by nie rozmnażały się zbyt młode samice. Szanse przeżycia warchlaków są wyższe, jeśli wszystkie są mniej więcej w tym samym wieku.

– U nas w domu, jeśli o to idzie, wygląda to całkiem podobnie. – Laurenti odstawił filiżankę. – Laura byłaby uszczęśliwiona, gdyby jej córki... – Zanim zdążył dokończyć zdanie, zadzwoniła jego komórka. Odebrał niezadowolony, rzuciwszy okiem na wyświetlacz. Przeczynał, że to nie będzie dobra wiadomość.

– Wybacz, że przeszkadzam o tej porze, *commissario* – usłyszał głos Carmine Castaldiego, komendanta straży pożarnej portu. – Przy Diga Vecchia wyłowiliśmy z wody topielca. Mężczyzna w ubraniu. Ciężko go było wyciągnąć, waży chyba ze sto pięćdziesiąt kilo. Dryfował sobie ot tak, na brzuchu.

– Co za beczelność – mruknął Laurenti. – Może złożyć na niego doniesienie...

– Przyjedź jak najszybciej – powiedział komendant.

– Koniecznie ja? – zapytał Laurenti. Z trudem udało mu się pohamować wybuch. Za każdym razem, gdy coś podpadało pod zakres kompetencji tego komendanta, ściągał Laurentiego, zupełnie jakby specjalnie chciał mu dołożyć. Nie lubi go czy jak? Czemu nie zawiadamia kolegów z policji wodnej, policji skarbowej albo Straży Ochrony Wybrzeża? Służb i urzędów nie brakuje. Od czasu Habsburgów triesteńczycy mają wzmożoną potrzebę

porządku zapisaną w genach.

– U ciebie sprawa będzie w najlepszych rękach. Kiedy możesz tu być?

– Za jakiś czas.

Laurenti zakończył rozmowę bez pożegnania, z furią wydmuchał powietrze nosem. Gemma po jego spojrzeniu poznała, że piękny wieczór właśnie dobiegł końca. Laurenti wybrał numer komisariatu, poprosił dyżurną inspektor, by przysłała ekipę dochodzeniową, skinął na kelnera i zapłacił.

Przed komendanturą portowej straży pożarnej przy molo III, w ostrym świetle lampy halogenowej, spoczywało w otwartym worku martwe ciało mężczyzny o potężnej posturze. Carmine Castaldi wyszedł Laurentiemu na spotkanie, jakby oczekiwał pochwały, lecz komisarz zbył go niegrzecznym machnięciem dłoni, zanim tamten zdążył otworzyć usta.

Jasne spodnie, koszula z krótkim rękawem w delikatne różowe pionowe paski, tanie plastikowe sandały. Długie, ciemnoblonde kosmyki włosów, usta na wpół otwarte, zęby białe i w dobrym stanie. Laurenti ocenił wiek mężczyzny mniej więcej na pięćdziesiąt lat. Gość miał znaczną nadwagę, sflaczałe mięśnie – typowy urzędnik, ktoś, kto unika wysiłku fizycznego i nie dba o ciało. Topielca oglądał właśnie Alfredo Zerial, lekarz sądowy, telefon z komisariatu jego też oderwał od kolacji. Czuć było od niego wino.

– No i...? – zapytał Laurenti doktora, który pozdrowił go gestem dłoni.

Z kąpieliska na Diga Vecchia dolatywały śmiechy i dźwięki hip-hopowej muzyki. Goście przyjęcia na wale portowym, do którego co pół godziny podpływała łódź od molo Audace, nie wiedzieli o zwłokach leżących przed portową remizą. Gdyby topielca wyłowiono na ich oczach, za dnia, pewnie niektórym na jakiś czas przeszłaby chęć na skakanie do wody.

– Co najwyżej dwadzieścia cztery godziny, tak na pierwszy rzut oka. Nie widać, żeby był dłużej niesiony przez wodę, ubranie jest nietknięte, a czerwone plamy przy suwaku to nie są ślady krwi. Typuję szminkę do ust. Pierwsze oględziny nie wskazują na działanie osób trzecich. Ma tylko jeden krwiak na lewym udzie, jakby się uderzył, w tym miejscu jest też w spodniach nieduża dziura, wyrwany kawałek materiału. Skóra nie jest woskowata, żadnych oznak gnicia, rozpadu czy maceracji. Zmierzyliśmy



temperaturę zwłok i wody, pomiar spadku temperatury ciała dostarczy dokładniejszych danych. Najpierw na dwa, trzy dni umieścimy go w chłodni, w czterech stopniach, potem pójdzie na sekcję. Tu są rzeczy z kieszeni spodni.

Lekarz wskazał na przezroczyste plastikowe torebki z zapisanymi karteczkami w środku; był też portfel, gruby plik banknotów i kart kredytowych, dwa zamykane próżniowo woreczki z jakąś brązową masą, pęk kluczy z niebiesko-białym logo, a ponadto piekielnie drogi zegarek marki Patek Philippe Calatrava.

– Przynajmniej wiadomo kto to. Tu jest jego dowód. Dobrej zabawy z niemieckimi urzędami.

Laurenti rzucił okiem na dokument: Harald Bierchen, zamieszkały we Frankfurcie nad Menem. O rok młodszy od niego. Komisarz poprosił technika, by jeszcze tej nocy sporządził zdjęcia albo kserokopie, a także listę przedmiotów. Potem zlecił Pinie Cardareto, inspektor, która od czterech lat była na służbie w jego komisariacie, by przejęła ten przypadek. Niech wyśle zapytanie w sprawie tego gościa do Niemiec. Przygotuje dokumentację. Omówią rzecz jutro podczas porannej odprawy. Mężczyzna nie żyje od jakiegoś już czasu, pośpiech i tak nie przywróci go do życia. Teraz nie ma sensu tkwić tu dłużej.

Laurenti odpalił vespę. Droga z terenu Porto Vecchio prowadziła obok ciężarówek ekipy filmowej; reflektory oświetlały głęboki wykop między zrujnowanymi budynkami magazynów, za którymi stał przycumowany do nabrzeża prom do Albanii.

Na Viale Miramare dodał gazu. Za kwadrans będzie w swoim domu nad brzegiem morza. Księżyc wzniósł się już nad wzgórzami na wschodzie miasta, jego białe światło rozjaśni zaraz morską toń.

# Sex on the Beach

– Proszę! Popatrz! Co za draństwo! – wykrzyknęła Jeanette McGyver ze złością.

Jej świeżo ułożone blond włosy chybotwały się jak łódka, która wpadła w falę dziobową parowca, gdy, nawet się nie rumieniąc, z furią ciskała na biurko jedną fotografię po drugiej. Nagle, przestraszona, nerwowo rozejrzała się dokoła, ale oprócz niej i Miriam Natisone w pomieszczeniu nie było nikogo. Wspinająca się po szczeblach kariery posłanka tutaj, w dużej sali na piętrze „Horse Pub & Restaurant” przy Westminster Bridge Road, urządziła sobie przytulne lokum jako dodatek do biura poselskiego. Wchodziło się po starych kręconych schodach.

Uderzyła ręką o blat tak mocno, że aż ją zabolalo, a stojący na biurku kieliszek podskoczył i wylało się nieco szampana.

– Jesteś jedyną osobą, której pokazuję te zdjęcia. Nie ma znaczenia, że to najczystsza pornografia, wystarczy już sam fakt, że pieprzę się z kimś, kto nie jest moim mężem. Tu chodzi o moją karierę. O piętnaście lat ciężkiej pracy!

– Kiedy i gdzie to było? – zapytała Miriam Natisone. Dziennikarka, wysoka, smukła kobieta, pochodziła z Etiopii, lecz od dwudziestu pięciu lat mieszkała w Londynie. Jej tlenione włosy, obcięte na jeża, ekstrawagancko kontrastowały z kolorem skóry.

– W północnych Włoszech, w kąpielisku morskim Grado, zwanym „wyspą słońca”. Ten pięknisiś zagadał do mnie na plaży. To było sześć tygodni temu. Właściwie już o tym zapomniałam.

Miriam wcale się nie śpieszyła z przeglądaniem fotografii. Mimo zenujących ujęć, które ukazywały jej przyjaciółkę we wszystkich możliwych pozycjach, w dodatku bez czarnych pasków, obliczonych na społeczne przyzwolenie.

– Ale rozumiem, że przynajmniej miałaś z tego przyjemność... Chłopak naprawdę ma się czym pochwalić. Przystojniak, śliczne wargi! – Kąciki jej ust

uniosły się w przelotnym uśmiechu.

– Drań! Podszedł mnie, wykołował! Bo jak inaczej dostałby się do pokoju fotograf? Mam mu za to odpalić sto tysięcy funtów. Z pewnością tylko na początek. Bo nawet jak zapłacę, kto mi zagwarantuje, że nie będzie mnie dalej szantażować? Dzisiaj wszystko jest zdigitalizowane, to już nie odbywa się tak jak dawniej, jak praktykowały magazyny ilustrowane: negatywy w zamian za pieniądze. Przecież ten drań może spokojnie wstawić zdjęcia na Facebook, dla znajomych!

– Dżizas! Ale kto to jest ten byczek ze zdjęć?

Wysoki młody mężczyzna o zmysłowych ustach i sarnich oczach, z lekko falującymi czarnymi włosami, szczupły i muskularny, przystojny, zadbany. I z potężną erekcją, którą Jeanette sprawdzała z bliska, z bardzo bliska, zupełnie jakby wczytywała się w to, co napisano drobnym drukiem na umowie ubezpieczenia. Miriam nigdy by się nie spodziewała, że Jeanette, ta Jeanette, która jako posłanka ciągle prawi o cnotach wiktoriańskich i świętych wartościach rodziny, jest zdolna do takich eskapad.

– Włoch. I nawet potrafi powiedzieć po angielsku trochę więcej niż standardowe „aj law ju”. Pewnie to jego specjalność: podrywać samotnie podróżujące turystki, wmanewrowywać w takie sytuacje, a potem szantażować. Pojęcia nie mam, ile kobiet padło dotąd jego ofiarą.

Miriam miała inne wyobrażenie o ofiarach. W swoim kraju rodzinnym we wschodniej Afryce nieraz doświadczyła tego na własnej skórze, zanim stamtąd uciekła. Nie zaliczała do ofiar ministrów i posłów, którzy musieli podać się do dymisji, gdyż przyłapano ich z prostytutkami albo z żoną kolegi z opozycji.

– Myślałam, że chciałaś wyjechać z Johnem? – odezwała się.

– To już drugi raz musiałam pojechać na urlop sama. W zeszłym roku przez kryzys, a teraz przez te wszystkie restrukturyzacje w banku. Tak naprawdę to John i ja chcieliśmy pojeździć po Włoszech naszym starym jaguarem cabrio. Wszystko było zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach. A potem nagle w mediach wyskoczyła ta wiadomość, że Europejczycy chcą kontrolować fundusze hedgingowe. Sytuacja zrobiła się poważna, John musiał zostać na miejscu, a ja pilnie potrzebowałam

wypoczynku. Ostatnimi czasy posiedzeń w Izbie Gmin namnożyło się jak owiec w górach Szkocji.

– A czemu akurat wybrałaś Grado?

– Reklama w internecie mnie zachęciła, połączenie lotnicze było korzystne, dobry hotel, plaża piaszczysta, piękna i rozległa. No i wszystko jeszcze przed sezonem, więc mogłam mieć pewność, że nie będzie tam nikogo, kto by mnie rozpoznał. A potem coś takiego. – Jeanette ze złością machnęła ręką. – Musiał się pewnie skądś dowiedzieć, kim jestem. Wyobraź sobie tylko te tytuły w „The Sun” albo w „Daily Mail”: „Seksbestia McGyver – posłanka torysów podczas urlopu we Włoszech zdradza męża z latynoskim amantem”. Coś w tym stylu. Musisz mi pomóc!

Miriam w zadumie spojrzała przez okno. Krople deszczu uderzały o szybę. Niż atlantycki przyniósł ulewę i gwałtowny spadek temperatury. W to letnie popołudnie w Londynie przedwcześnie się ściemniło. Lecz ogień w otwartym kominku bocznego pomieszczenia „Horse Pub” płonął wesoło. Właściwie to idealne popołudnie, by zasiąść w głębokich skórzanych fotelach i zanurzyć się w ciepłych wspomnieniach o pierwszej miłości, a nie zajmować się takim świństwem, które naprawdę mogło Jeanette McGyver kosztować głowę. Znały się długo, od czasu gdy przed ośmioma laty Miriam Natisone starała się przekonać wiele brytyjskich działaczek politycznych do udzielenia wsparcia pewnej organizacji pozarządowej, która walczyła o prawa kobiet w jej kraju. Prawniczkę Jeanette McGyver po raz pierwszy wybrano wtedy do parlamentu i została honorową przewodniczącą brytyjskiego biura stowarzyszenia etiopskich prawniczek, które w niezwykle niesprzyjających warunkach walczyły przeciwko powszechnym aktom gwałtu wobec kobiet i dziewcząt. W Etiopii dało się już zauważyć pewien nieśmiały postęp w tej sprawie, ale sytuacja nadal była krucha i niepewna. Jeanette McGyver bardzo poważnie traktowała swój honorowy urząd, uruchomiła liczne kampanie prasowe, a ze swojego miejsca na ławie opozycji w parlamencie nawoływała brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych do działania, choć większość posłów płci męskiej reagowała na jej głos tylko cynicznymi komentarzami. Miriam wiedziała doskonale, że zniszczenie wizerunku posłanki byłoby dla jej organizacji pozarządowej nie lada ciosem.

– Ale co tu można zrobić? – zastanowiła się głośno. – A w ogóle jak to dostałaś?

– Kurierem, dzisiaj rano. Przyszło do biura. Z adnotacją: do rąk własnych/poufne.

– A nadawca?

Jeanette wskazała na kopertę, na której widniała jeszcze naklejka firmy kurierskiej.

– Biuro podróży w Udine, to miasto w pobliżu Grado. U nich wykupiłam przez internet swój pobyt. Ale ten przystojniaczek tutaj, ma na imię Aurelio, był z Triestu. Dwadzieścia osiem lat, podobno pracuje jako prawa ręka pewnego wpływowego biznesmena – to gruba ryba, wszyscy się go boją. Tak przynajmniej twierdził Aurelio. No i ten rekin od dłuższego czasu jest mu winien wynagrodzenie. Właśnie z tego powodu Aurelio nie chciał rzucić tej roboty. Jakby sam wypowiedział, to długo czekałby na swoje pieniądze. Ale pewnie to wszystko bajeczki, tak samo nieprawdziwe jak jego imię. Nie wiem nawet, jak ma na nazwisko. Nie pytałam go. To miała być tylko wakacyjna przygoda i nic więcej. Tak myślałam.

– Aha, myślałaś! – Miriam wskazała na jedno ze zdjęć, ukazywało Jeanette klęczącą przed mężczyzną. – A ten złoty łańcuch z wielkim czerwonym wisiolem na jego szyi? Nigdy go nie zdejmował?

Jeanette pokręciła głową.

– Nigdy? Nawet przy pieprzeniu?

– Nawet. Nigdy się z nim nie rozstawał, strzegł jak oka w głowie.

– Powiedz, a płaciłaś mu za usługi? Dawałaś mu pieniądze?

W głosie Miriam pojawił się nagle surowy ton. Przez chwilę wpatrywała się w Jeanette, wyobrażając sobie, jak to się stało, że jej śliczna jasnowłosa przyjaciółka poleciała na tego młodego, umięśnionego podrywacza. Z daleka od kraju, sfrustrowana, zestresowana, znudzona. Sama w romantycznej miejscowości turystycznej, w podniecających letnich ciuchach. I z racji swojego zawodu tak bardzo daleka od rzeczywistości zwykłych ludzi, że nawet nie pomyślała o jakichkolwiek środkach zabezpieczających. Sądząc po zdjęciach, ci dwoje nie używali nawet prezerwatywy. Jeszcze by tylko brakowało, żeby zaszła z tym typem w ciążę albo coś od niego złapała.

Jeanette zdecydowanie pokręciła głową.

– Nie, skąd! Choć naturalnie w Grado to ja fundowałam.

– Naturalnie – mruknęła Miriam; szybko przejechała ręką po jasnym języku na głowie.

– I jeszcze pożyczyłam mu trochę pieniędzy, bo mała córeczka, która mieszka u jego matki, miała wypadek, a kuracja dużo kosztowała. Chłopak był taki załamany. Powiedział, że najchętniej by wyjechał do Australii, Nowej Zelandii, wszystko jedno dokąd, byle uciec.

– Ile? – Miriam pomyślała, że jej przyjaciółka musiała podczas urlopu doznać naprawdę silnego udaru słonecznego.

– Jedenaście tysięcy – odparła Jeanette.

Głos jej się załamał, jakby nagle zawstydzila się własnej głupoty. Kobieta, której w Izbie Gmin nadano przydomek Maggie, nawiązujący do Iron Lady, jako że mało kto mógł się mierzyć z jej zdecydowaną postawą i bezkompromisową ostrością wystąpień, z ciętością ripost i zdystansowanym sposobem bycia. Koledzy mężczyźni, którzy po cichu nigdy nie odmawiali sobie komentarzy na temat jej figury, żalowali, że jest taka nieprzystępna, i już prawie widzieli ją z teką Ministerstwa do spraw Rodziny, jeśliby padli laburzyści. A teraz wpływową pani polityk, pochodząca z dobrze sytuowanej rodziny, siedziała przed nią załamana, istna kupka nieszczęścia.

– Ile? – z niedowierzaniem wyszeptała Miriam. – Tysiąc dziennie? Nieźle. I nawet nie jesteś pewna, czy ten człowiek naprawdę ma na imię Aurelio, gdy tymczasem on oczywiście zna twoje personalia łącznie z adresem.

– No tak, mógł je zdobyć bez większego trudu, wystarczyło zapytać w hotelu. Albo pogrzebać w mojej torebce, gdy poszłam do łazienki.

– Obawiam się, że masz tylko jedno wyjście: atak. Musisz odwrócić tę historię: nasze media wykorzystają każdą okazję, żeby tylko dołożyć Włochom. Przy odrobinie sprytu można z tego wysmażyć wiarygodną historię. Wystarczy zeskanować ze dwie, trzy fotografie i tak je obrobić komputerowo, jakby twoja głowa to był fotomontaż. Rozumiesz, to musi być dobrze zrobione, ale niezbyt dokładnie. No i czarny pasek tu i tam, zwłaszcza tam. Potem musisz się zwrócić o pomoc do dziennikarza z jakiejś

poważnej gazety, kogoś, z kim masz naprawdę dobre układy, na kim możesz polegać. Na pewno kogoś takiego znasz. Wtajemniczysz go w sprawę, opowiesz mu, bardzo wzburzona, że szantażują cię parszywymi fotomontażami. Manipulowanie zdjęciami i tak jest teraz w modzie. Oczywiście musisz przyznać, że byłeś w tym włoskim kąpielisku. Zobaczysz, to chwyci, a nagłówki w gazetach będą inne: „Jeanette McGyver ofiarą prymitywnej próby szantażu. To, co podczas urlopu we Włoszech przytrafiło się posłance torysów i bojownicze o prawa człowieka, może się przydarzyć każdemu. Czy to początek większej intrygi?”. Albo coś podobnego. Przy wiadomościach, które docierają do nas z tego kraju, nikogo to nie zdziwi. Ten ich wysiudany premier, stary ramol z przeszczepionymi włosami, pięknie wyretuszowany na oficjalnych zdjęciach, który bez żenady puszy się swoimi walorami jako kochanek! Cała światowa prasa o tym trąbi. „Nie jestem święty, ale pieprzę bosko” – tak miał podobno powiedzieć.

Oczy Jeanette na krótko rozbłysły, ale zaraz przygasły, gdy sięgnęła po jedno ze zdjęć.

– Ta duża plama wątrobowa, naprawdę ją mam.

– Też trzeba to wyretuszować, oczywiście – powiedziała Miriam.

– Tak, ale co, jeśli reporter któregoś z brukowców odnajdzie we Włoszech tego drania? Bo skąd ktoś miałby wiedzieć, że mam dokładnie w tym miejscu to idiotyczne znamię? Przecież spod bikini go nie widać.

– Przynajmniej spróbuj! Jeśli prawda wyjdzie na jaw, będziesz załatwiona. Tak czy siak. Ale prawdopodobieństwo jest niewielkie. Dziennikarze musieliby ci najpierw ściągnąć majteczki, żeby to udowodnić. Nagłośnij sprawę, zrób z tego publicity, w ten sposób odbierzesz im broń. Z punktu ich zastopujesz.

Miriam oparła się w fotelu, umoczyła usta w kieliszku. Potem zanotowała kilka informacji: nazwę nadawcy, czas pobytu przyjaciółki na urlopie, numer komórki przystojnego cwaniaczka, Jeanette miała go jeszcze w swoim smartfonie BlackBerry.

– Słuchaj, powinnaś to zrobić tak, jak ta bogata Niemka, którą szantażowano filmami wideo. Tylko atak, Jeanette! Ofensywa!

Wiosną minionego roku strony tytułowe żółtej prasy w wielu krajach

zdominowały sensacyjne doniesienia o pewnej próbie szantażu i nawet poważne pisma poświęciły tej sprawie dużo uwagi. Okazało się, że na taką wiadomość można bez problemu przeznaczyć całe strony, gdy tymczasem dobrze udokumentowane, politycznie błyskotliwe i wnikliwe reportaże, takie, jakie dostarcza Miriam, stają się coraz rzadsze.

Pewien kuty na cztery nogi czterdziestoczteroletni Szwajcar podrywał w ekskluzywnych hotelach majątne Niemki. Za swoje – zapewne nieprzeciętne – usługi kazał sobie słono płacić. Najpierw budzącymi współczucie straszliwymi historiami, w których przedstawiał siebie jako ofiarę szantażu organizacji przestępczych, wyłudzał milionowe sumy, które te kobiety wręczały mu najzupełniej dobrowolnie! Musiał mieć rzeczywiście niezwykły talent narracyjny! Ale gdy później torebki nie chciały się już otworzyć po raz drugi, prezentował ich zaskoczonym właścicielkom filmiki wideo ze wspólnych igraszek miłosnych. Jakież musiało być zdumienie tych dam! Szwajcar inkasował kolejne sumy. Aż wreszcie jedna z owych pań zwróciła się do odpowiednich instytucji i dzięki współpracy międzynarodowych służb szybko ujęto szantażystę. Dla mediów to był oczywiście nie lada kąsek.

– Ta kobieta swoją odwagą bardzo się wszystkim przysłużyła – powiedziała Miriam poważnie. – Rozprawiła się z mitem o małżeńskiej wierności, na którym wspiera się to całe zakłamanie, świętoszkowate społeczeństwo. Zasłużyła na najwyższe odznaczenie, jakie może przyznać świat chrześcijański. Prawdziwa święta.

– Najwyższe odznaczenie to krzyż – wymamrotała Jeanette McGyver, tak przerażona, jakby czekał już na nią stos. – Ale kto mi wyretuszuje te fotografie?

Oczywiście miała do dyspozycji tyle sekretarek i wszelkich pomocników, ile dusza zapagnie, ale do nich akurat nie mogła się zwrócić.

– Używasz może kremów do depilacji albo tych plastrów, co wrywają włoski, albo golarki męża? – Miriam się roześmiała, przeszukała plik fotografii, wyciągnęła trzy. – Spokojnie, zadbam o to, musisz mi tylko zaufać. A jak następnym razem przyjdzie ci ochota na skok w bok, to przynajmniej zamknij za sobą drzwi.



– Nie wiesz nawet, jak bardzo jestem ci wdzięczna. – Jeanette uśmiechnęła się z ulgą, uniosła w górę kieliszek.

– Zadzwoń do ciebie, jak tylko zdjęcia będą gotowe. Myślę, że już jutro. A ty się tymczasem zastanów, do którego dziennikarza się zwrócisz i co mu powiesz. I pamiętaj, musisz być przekonywająca, musisz się czerwienić i wstydzić, jak będziesz o tym mówić. Nawet jeśli na tych obrobionych zdjęciach nie będzie za dużo widać. Przecież masz opinię moralistki. A poza tym ja też mam do ciebie sprawę: jeśli idzie o naszą organizację, to...

Bez trudu udało jej się przekonać Jeanette McGyver, że pieniądze na nowe wyposażenie biura dla wolontariuszek współpracujących z organizacją pozarządową są naprawę nędzne i że absolutnie konieczne jest stworzenie dodatkowego etatu. W końcu szło o los kobiet w jednym z najbiedniejszych krajów świata. A konserwatyści dla celów wyborczych zmienili front i teraz optują za sprawami, przeciwko którym tak gwałtownie występowali wcześniej. W ich szeregach było już więcej kobiet polityków niż u tych z byłej lewicy.

\* \* \*

Miriam narzuciła na ramiona płaszcz, wyszła na deszcz. Pieszko pospieszyła do stacji metra Westminster, weszła do jednego z przepelnionych wagonów Circle Line. Miała szczęście, na następnym przystanku zwolniło się miejsce siedzące. Trzeba zrobić wszystko, by ratować Jeanette – pomyślała – a we Włoszech pogoda może być tylko lepsza, mała podróż z pewnością dobrze mi zrobi.

Z największą chęcią sama nadałaby rozgłos tej sprawie – ale wszyscy wiedzieli przecież, że obie są od lat zaprzyjaźnione. Ona do tej historii podeszłaby inaczej, niż zrobią to jej koledzy. Ostatecznie sama osoba Jeanette McGyver jest równie nudna jak podwójna moralność polityków, do której wszyscy dawno przywykli. W mniemaniu Miriam ta sprawa pokazywała, że fotografia jest narzędziem władzy, że w istocie chodzi o niszczenie wszelkiej sfery prywatnej, kontrolę nad ludźmi; tak by o tym napisała. Sprawa Jeanette to nic innego, jak jeden z tych skandali, które wybuchają raz po raz i o których zapomina się już następnego dnia, podobnie jak o ich ofiarach. Niektóre z tych afer po prostu się inscenizuje, inne są efektem

lekkomyślności albo nadmiernej pewności siebie. Co by jednak było, gdyby tak ktoś wpadł na pomysł, by zrobić użytek z tych niezliczonych kamer, które poinstalowano w centrach miast w celu zwiększenia bezpieczeństwa – co jednak niestety nie doprowadziło do spadku przestępczości. W brytyjskiej stolicy czyhały na każdym rogu, zaprogramowane tak, by rejestrować każdego, kto robi jakiś odbiegający od normy ruch. Rejestrować – zamiast zapobiegać. W tej sprawie była innego zdania niż Jeanette, która głośno domagała się zaostrzenia środków bezpieczeństwa, twierdząc, że przecież nikt, kto postępuje zgodnie z przepisami, nie musi się niczego obawiać.

Do tego dochodziły kamery w bankach i przed domami towarowymi, na przystankach autobusowych, w podziemiach metra, w supermarketach, garażach. Już dawno przestano przeciwko nim protestować. A każdy, kto ma w ręku komórkę, ma przecież zarazem aparat fotograficzny albo kamerę wideo – zdjęcia można bez problemu zmanipulować w czasie rzeczywistym i wstawić do internetu. Nieodwracalnie. Społeczeństwo podglądaczy, szpiegów i donosicieli. Oczy Miriam mimochodem obiegły wagon w poszukiwaniu kamery. *Big Brother* stał się najbardziej popularnym formatem telewizyjnym na świecie. Dla bezpieczeństwa obywatela, jak brzmi oficjalne wytłumaczenie, w społeczeństwo szpiegowskie wpompowano miliony, a wolność ogranicza się krok po kroku. I jeszcze jeden paradoks: internet uchodził za instrument tej właśnie wolności, sieć miała zapewniać dostęp do tych wszystkich informacji, które zatajały klasyczne środki masowego przekazu. Kto jednak pomyślał o tym, że każdy krok użytkownika, że jego zainteresowania, jego ruchy w sieci staną się równie jawne jak numery kart kredytowych? Przecież to tylko kwestia czasu, by doszły do tego numer buta i grupa krwi. A teraz pełną parą pracuje się nad kartą DNA – człowiek jako karta płatnicza.

Miriam wstukała kilka haseł do swojego iPhone'a. To, co się dzieje, to jakiś absurd. Przyszło jej funkcjonować w otoczeniu ludzi bezgranicznie znudzonych, a zarazem działających w niewspółmiernie od lat narastającym pośpiechu i stresie – przy czym ich zabiegi i działania nie przynoszą ludności ekonomicznych profitów. Jej przyjaciółka Jeanette McGyver też należy do tych, którzy nieustannie plotą o obniżeniu podatków, a tymczasem stale

wprowadza się nowe opłaty i składki. Wykształcenie, ochrona zdrowia kosztują coraz więcej, lecz ich standard nieustająco się obniża i rzekomo konieczne będą dalsze cięcia. Ludzie jak opętani gonią za pieniądzem, tracą czas na internet i smartfony. Regułą stało się zatrudnienie na czas określony, lecz przecież żaden bank nie udzieli młodym ludziom niemającym stałej pracy kredytu na zapewnienie podstaw egzystencji i nikt też nie wynajmie im mieszkania, które umożliwiłoby założenie rodziny. Odpowiedzią na lęki o przyszłość jest apel, by zaufać instytucjom społecznym – urzędzą wszystko, jak należy. Tak jakby kryzys dało się po prostu zagadać! Ministerstwo Prawdy, rodem z powieści Orwella, przykłada się do swoich zadań z lepszym skutkiem, niż to przewidział sam autor. A jego Ministerstwo Miłości raz-dwa pozbywa się zbyt przemądrzałych krytyków. Nawet taki John McGyver, rogiaty małżonek Jeanette, musiał nagle zawalczyć o swoją pozycję w zarządzie Barclays Bank. A w tym samym czasie jego przepracowana i świadoma wymogów kariery żona zabawiała się na wymarzonym urlopie *all inclusive* z jakimś żigolakiem, który już dawno zorientował się, że istnieją przyjemniejsze sposoby dochodzenia do pieniędzy niż ciężka praca. Ile też kobiet, mniej czy bardziej dobrowolnie, zapewnia mu egzystencję?

W dwadzieścia minut później, po siedmiu przystankach, Miriam wysiadła na stacji Bayswater. Jak zwykle, gdy wychodziła z metra tym wyjściem, zirytowała się na widok Museum of Brands, Packaging and Advertising – założyciel, osoba prywatna, musiał w młodości popaść w rodzaj narkotycznego uzależnienia od światowych marek i pielęgnował tę swoją namiętność: Kellogg's, Nestlé, Vodafone, Barclays Bank, Shell i Esso, British Petroleum, Dole, Chiquita, i jak tam się one wszystkie zwą. Ile z nich ciągle jeszcze – chociaż oficjalnie już od dawna nie istnieją kolonie – ciągnie gigantyczne zyski z krajów afrykańskich, których ludność zdycha, dziesiątkowana klęskami głodu i wojnami? Miriam sama doświadczyła głodu i prześladowań i tylko szczęśliwym zrzędzeniem losu uniknęła śmierci. Jej rodzicom i najmłodszemu z trzech braci się nie udało. A Starbuck's nie tak dawno próbował ukraść etiopskim plantatorom kawy nazwy markowe ich najlepszych terenów uprawowych: Yrgacheffe i Sidoma. Dopiero po długich debatach i korowodach oraz dzięki masowym protestom i kampaniom PR,

przeprowadzonym przez liczne organizacje pomocowe, międzynarodowy koncern ustąpił, choć bez przekonania.

Jeszcze tylko kilka kroków dzieliło ją od niewielkiej uliczki Colville Mews, przy której wraz z córką zajmowała nieduże mieszkanie; odziedziczyła je, gdy Candace miała osiem lat, a Notting Hill nie było jeszcze modną dzielnicą.

Miriam rzuciła płaszcz na krzesło, w łazience szybko wysuszyła włosy.

– Hej, Candy, jesteś tu? – zawołała, choć, sądząc po zapachu skrętów, który unosił się w mieszkaniu, pytanie było zbędne.

Candace dopiero przed kilkoma dniami wróciła z trzymiesięcznej podróży: Pendżab, Pakistan, Kabul, Iran, Irak, Syria, Turcja. Siedziała przed monitorem komputera i obrabiała fotografie, które przywiozła, jak zwykle narzekając na mozolną pracę przy archiwizacji. Była zbyt niespokojna, zbyt ruchliwa na siedzenie godzinami na biurowym stołku i załatwianie roboty administracyjnej. Jej żywiołem były podróże. Pod tym względem przypominała ojca.

– Cześć, mamó! – przywitała Miriam cichym głosem, prawie nie odrywając oczu od monitora. Cerę miała jeszcze jaśniejszą niż matka; gęstą czuprynę czarnych, długich, kręconych włosów okiełznała kolorową chustką, która opadała jej na plecy. Na grzbiecie wąskiej lewej dłoni, którą prowadziła myszkę, wystąpiły żyły. – Jak minął dzień? Wszystko w porządku?

– Chciałabym cię prosić o pewną przysługę – odparła Miriam i głęboko zaciągnęła się jointem, którego zwinnie wyjęła spod palców Candace. – A nawet o dwie.

– Ile tylko zechcesz. O co chodzi?

– Najpierw musisz mi przysiąc, że natychmiast o wszystkim zapomnisz, nikomu ani słowa. Sprawa jest więcej niż delikatna.

Candace rozbawiona uniosła rękę.

– Otóż mam tu kilka autentycznych fotografii, które trzeba tak obrobić, by wyglądały na fotomontaż. Prawie perfekcyjny. Ale tylko prawie! A miejsca intymne trzeba oczywiście zasłonić.

Nie śpieszyła się z pokazaniem zdjęć Jeanette córce, chociaż Candace niecierpliwie pstrykała palcami. Spokojnie zaciągnęła się jeszcze raz, ze

śmiechem oddała skręta córce.

– Nie bądź taka niecierpliwa, moja mała!

Kiedy rozłożyła zdjęcia, Candace wybuchnęła szczerym śmiechem.

– Wow! Akurat ona! To dopiero bomba! Przecież ona regularnie chodzi na mszę!

– Tego wymaga jej praca.

– *Oh, my God!* Nie ma co, ostro sobie poczyna. Popatrz tylko, jak się rozkoszuje hostią na języku, jak prawdziwa ortodoksyjna zakonnica. Nie, no, szkoda by było to zasłaniać. A właściwie to skąd je masz? – Candace przerzuciła fotografie. – To ty je wybrałaś, mammo?

– Nie zapominaj, co mi obiecałaś – upomniała ją Miriam. – Jeanette jest niezwykle pomocna naszej organizacji, a rozrywki to jej prywatna sprawa. Jasne?

Candace skręciła sobie następnego jointa.

– O ile nie da się przyłapać, też tak to widzę, chociaż właściwie politycy nie zasługują na sferę prywatną, dopóki wchrzaniają się w życie innych, wymądrzają, a potem sami nie trzymają się tego, co nagadali. A poza tym to ona chyba musi być trochę głupia, skoro dała się przyłapać in flagranti. Nie sądzisz? – Candace zapaliła skręta i kolejno zaczęła skanować fotografie. – Dla kogo to ma być?

– Dla prasy liberalnej. Poradziłam Jeanette, żeby sprzedała to jako perfidną próbę szantażu, że niby chcą ją odstrzelić. Coś w stylu: trzeba zdusić rzecz w zarodku, bo to się może przydarzyć każdemu.

– Miejmy nadzieję, że nie – mruknęła Candace.

Z wąskiego, zadaszonego balkonu, na którym Miriam w niewielkiej patelence prażyła na rozżarzonych węgielkach surowe, zielone ziarna kawowe, do mieszkania napływał aromat świeżej kawy. Miriam uwielbiała ten tradycyjny sposób przygotowywania czarnego eliksiru i te wspaniałe wonie – przypominały jej dzieciństwo. Tak jak dawniej robiły to jej matka, a przedtem babka, najpierw utłukła dymiące, ciemne ziarna w moździerz, potem wsypała kilka łyżeczek kawy do wąskiego otworu naczynia *jabana*, zamykanego glinianego dzbanka o długiej szyjce, i gotowała przez kilka minut. Surową kawę ziarnistą kupowała albo bezpośrednio

u D.R. Wakefielda, importera z Dolben Street, albo w restauracji u Addiego, na Caledonian Road, gdzie czasem zachodziła, żeby podelektować się potrawami ze swojej ojczyzny.

Spencer Elliot, ojciec Candace, korespondent wojenny, 4 października 1993 roku wpadł w zasadzkę w Mogadiszu; Bill Clinton przy wsparciu malezyjskich i pakistańskich oddziałów błękitnych hełmów przeprowadził operację Gothic Serpent, która kosztowała życie osiemnastu żołnierzy amerykańskich – i tysięcy Somalijczyków. Zdjęcia ukazujące zabitych Amerykanów, ciągniętych po ulicach Mogadiszu, obiegły świat i sprawiły, że USA przez długi czas bardzo powściągliwie angażowały się w akcje „błękitnych hełmów”. Nic nie zrobiono, aby udaremnić ludobójstwo w Rwandzie w pół roku później, i nic, by zapobiec masakrze w Srebrenicy w 1995 roku, chociaż wywiad wojskowy od początku dysponował jednoznaczными materiałami fotograficznymi.

Miriam przez wiele lat bezskutecznie prowadziła badania, by wyjaśnić, dlaczego zginął jej mąż. Pojechała nawet do wstrząsanej niekończącą się wojną domową Somalii sąsiadującej z jej krajem ojczystym – ale nigdy nie dowiedziała się, jakie były właściwie powody, które doprowadziły do śmierci Spencera. W niespełna pół roku po nim w niewyjaśnionych okolicznościach zamordowano tam dwóch włoskich reporterów i także w ich przypadku nigdy nie wyjaśniono sprawy do końca. Było wiadomo, że dziennikarze wpadli na trop kierowanego przez mafię nielegalnego handlu bronią i przetrzutu trujących odpadów na skalę światową; organizacja działała pod parasolem międzynarodowych tajnych służb oraz zajmujących eksponowane stanowiska polityków, którzy mimo poszlak oraz dowodów bez szwanku przetrwali wszelkie ataki i zachowali swoje urzędy. Za to bez śladu zniknęli ważni świadkowie. Miriam skontaktowała się z Włochami na krótko przed ich zamordowaniem. Czy jej mąż pracował nad tą samą sprawą?

Nie było dnia, żeby o nim nie myślała. Gdy tylko nadarzała się okazja, opowiadała o nim Candace. Także o tym, jak w roku 1984, w czasie największego głodu, ściągnął ją z Etiopii do Anglii i że opinia publiczna dopiero dzięki jego reportażowi dla BBC dowiedziała się, co się dzieje w jej kraju. W rok później na świat przyszła Candace. Tak bardzo była podobna do

niego z charakteru! I już od najmłodszych lat nie marzyła o niczym innym, jak tylko o tym, by wykonywać zawód ojca. Wcześniej zaczęła pstrykać zdjęcia jego aparatami, a już podczas studiów pierwsze reportaże przyniosły jej trochę pieniędzy. Teraz stopniowo wyrabiała sobie nazwisko jako *freelancer*. Ludzie na obszarach kryzysów – to był jej temat. W swoich reportażach chciała uciec od formuły zwykłej korespondencji wojennej, ukazać oblicza cierpienia, zbrodni, życia i miłości w czasach śmierci.

Miriam właśnie skończyła dziewiętnaście lat, gdy w Dżimmie, prowincjonalnym mieście, w którym mieszkała, zjawił się brytyjski dziennikarz Spencer Elliot wraz z kamerzystą. Susza w roku 1984 i fatalne zbiory w Etiopii i w strefie Sahelu w następnym roku miały katastrofalne skutki dla ludności, która już i tak została pozbawiona podstaw utrzymania wskutek masowych przesiedleń, zarządzonych przez komunistyczny reżim dyktatora Mengistu Hajle Mariama. Osiem milionów osób cierpiało z powodu niedożywienia, a ofiarą głodu padło, według powszechnie podawanych w wątpliwą szacunków ONZ, milion ludzi.

Spencer Elliot objechał właśnie północ kraju wraz z Erytreą i chciał się jeszcze zapoznać z sytuacją na południu. Jednosilnikowy śmigłowiec wysadził jego oraz kamerzystę na zapyłonym lądowisku stutysięcznego miasta w regionie Oromia. Znajdowali się trzysta kilometrów na południowy zachód od Addis Abeby, w połowie drogi do trójkąta Ilemi, ziemi niczyjej, spornego terytorium, do którego prawa rościły sobie Etiopia, Kenia i Sudan. Przez Dżimmę przebiegał niegdyś szlak karawanowy Królestwa Kaffy i miasto rościło sobie pretensje do bycia tym miejscem, gdzie, według legendy, tysiąc pięćset lat temu mnisi odkryli właściwości magicznych ziaren kawowca, kiedy ich kozy nie mogły zasnąć po zjedzeniu surowych owoców.

Drewniany dom rodziny Miriam, o fasadzie niebieskiej jak niebo i z różowymi zasłonami w oknach, stał w połowie drogi między lądowiskiem a centrum miasta. Ojciec Miriam, na którego wołano „syn białego”, gdyż miał jasną skórę, uczył w szkole rolniczej. Jego wiedza była pożądana także za dyktatury Mengistu, w końcu eksport kawy stanowił główne źródło dochodów kraju. Jednak rodzina Miriam żyła w biedzie, skąpa pensja ojca nie wystarczała na utrzymanie, a Miriam wiedziała, że może chodzić do

szoły jeszcze tylko kilka miesięcy, do uzyskania świadectwa ukończenia nauki. Potem będzie się musiała rozejrzeć za jakąś pracą, choćby marnie płatną, podobnie jak jej starsi bracia. A jeśliby miała pecha, wylądowałyby w domu publicznym w Addis Abebie.

Na Anglików natknęła się na wysepce ulicznej, na której królowały nadnaturalnej wielkości dzbanek kawy oraz kolorowe filiżanki z napisem: *Jimma argama bunaa – Jimma Origin of Coffee*. Miriam z ciekawością spoglądała na objuczonych ciężkimi torbami mężczyzn. Spencer Elliot, wysoki, trzydziestopięcioletni, wybąkał parę słów zapytania w urzędowym języku amharskim, a Miriam, przełamawszy onieśmielenie, odpowiedziała po włosku, tego języka nauczył ją ojciec, a gdy mężczyzna nadal nie rozumiał, spróbowała się porozumieć swoją mizerną angielszczyzną. Jednak na pytanie o kwaterę nie potrafiła odpowiedzieć inaczej, jak tylko nieśmiało dając mężczyznom znak ręką, by za nią poszli. Przed drzwiami jasnoniebieskiego domu kazała im zaczekać. Elliot słyszał tylko głosy dobiegające ze środka, lecz poza tym przez długi czas nic się nie działo. W końcu, w momencie kiedy jego kamerzysta zabierał się do odejścia, z domu wyszedł chudy mężczyzna o prawie białej skórze, z nagim torsem, na którym wyraźnie odznaczały się zebra. Zaprosił obu mężczyzn do środka, wskazał miejsce przy stole; takiego stołu Elliot nie widział podczas swojej podróży w żadnym z domów ani chat, które odwiedził. Stół był z masywnego drewna szlachetnego gatunku, pośrodku blatu znajdowała się mozaika z kości słoniowej i kolorowych kamieni. Elliot z zaciekawieniem przyjrzał się jej, zanim usiadł. Przedstawiała koronę, spod której na obie strony otwierał się aksamitny czerwony baldachim, pod nim zaś dwa lwy trzymały herb dynastii sabaudzkiej. Pomieszczenie wypełniło się zapachem kawy – matka Miriam dokładnie na środku mozaiki postawiła tradycyjny dzbanek.

Postanowieniem ojca przyjęto obcych – wszyscy musieli się przenieść do jednego pomieszczenia, aby zwolnić dla nich pokój. Elliot i jego kolega pozostali trzy noce, potem ruszyli w drogę powrotną do stolicy – zabrali się ciężarówką. Pieniądze, które zostawili na stole, na jakiś czas złagodziły ciężką sytuację rodziny. W dwa tygodnie później mały samolot wylądował ponownie. Tym razem Elliot pozostał pięć dni, a kiedy przerywał



sporządzanie notatek, dużo rozmawiał z Miriam, która już dawno pozbyła się nieśmiałości. Pewnego dnia, gdy kamerzysta czyścił swój sprzęt, Miriam zaprowadziła Elliota do ruin rezydencji króla Dżiffara, wznoszących się na niewielkim wzgórzu przed miastem. Szła przodem, bosonoga, tak zwinnie i szybko, że Spencer chwilami ledwie za nią nadązał. Śmiała się z jego ciężkich butów, w których podróżował od wielu tygodni i którym odpadały już zelówki.

Wejście Candace do kuchni wyrwało Miriam ze wspomnień, odstawiła filiżankę. Córka usiadła przy stole, rozłożyła zdjęcia, te zmontowane obok oryginałów, naląła sobie kawy.

– Tak. A teraz chcę usłyszeć całą historię Jeanette, do początku do końca, obiecałaś mi... – Candace dosłownie umierała z ciekawości. – Przynajmniej miała niezłą przyjemność, trudno było nie zauważyć: ten wyraz twarzy. Jak u oszołomionego kadzidłem anioła.

– No dobrze. – Miriam wygodnie oparła się na krześle. – Jeanette poznałam przez jej męża. Zaczęło się osiem lat temu, w „The Cock” na Fleet Street, dzisiaj ten lokal nazywa się „Old Bank of England Pub”. Ulubione miejsce spotkań brokerów, którzy schodzą się tam po pracy na parę głębszych i opowiadają o sukcesach odniesionych w ciągu dnia. Pracowałam wtedy nad reportażem o tych dziwnych typach. John McGyver to był przystojny facet, elegancko ubrany, inteligentny, nie gadał tyle co jego przechwalający się na cały głos koledzy, którzy robili wokół siebie mnóstwo szumu. Oni wtedy myśleli, że za swoje pieniądze mogą kupić wszystko. Boże, i te drinki, które mi ciągle stawiali i które po kryjomu wylewałam do stojaka na parasole. McGyver zaś po cichu przysłuchiwał się temu, co tamci mówili, a potem nieraz robił dobry użytek z tego, co się im wymknęło. W końcu to ja do niego zagadałam. Powiedział, że i tak nie może już znieść gadaniny kolegów, i zaprosił mnie do „Nobu” na kolację. To elegancki Japończyk na Berkeley Street.

– No, noo! – zawołała Candace. – A potem na pewno pozwoliłaś się odwiedzić do domu, założę się! Faktycznie, bardzo pogłębiony reportaż!

– Czekaaj, czekaaj! W dzień później McGyver udzielił mi wywiadu w swoim gabinecie. Komplementy, które mi prawił, były tak

niedwuznaczne, że pomyślałam, jeszcze trochę, a napyta sobie biedy. Ale on po prostu wstał, zamknął drzwi na klucz, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem.

– No a ty spisałaś oczywiście wszystko słowo w słowo!

– Co do przecinka! To trwało dokładnie cztery tygodnie. Potem nie wytrzymał, powiedział mi o żonie.

## *Paradoxurus hermaphroditus*

Miłe złego początku... Proteo Laurenti stał przy oknie, spoglądał w dół na Canale Grande, gdy tymczasem poszkodowany, kupiec Nicola Zadar, starał się możliwie rzeczowo przedstawić niemiłą niespodziankę, jaka go spotkała. Sam już się jakoś pozbierał.

Złodziej musiał być silny i umięśniony, lecz mimo to szczupły. Dwaj technicy kryminalni właśnie zajmowali się zabezpieczaniem śladów, które zostawił w pomieszczeniach triesteńskiej siedziby głównej firmy, w jednym z neoklasycystycznych pałaców nad Canale Grande. Trzy ciemne włosy i drobniutki ślad krwi na ramie okiennej były dotąd jedyną wskazówką. Spuściwszy się na linie z dachu w tylnym podwórku, złodziej przedostał się na trzecie piętro przez okno w toalecie, uchylone ledwie na dwadzieścia centymetrów, lecz niewystarczająco zabezpieczone. Nie można się doprosić, żeby je zamykali po załatwieniu potrzeby.

– Nad dachami Triestu. Kawa zamiast brylantów. Zupełnie jak w filmie – skomentował Laurenti, dość znudzony. Szczegółami zajmą się jego ludzie. – Wspinaczka po fasadzie! A ci tam, na dole, kręcą teraz scenę, która w ogóle się kupy nie trzyma, co za bzdury! Popatrz tylko, jak są poubierani filmowi policjanci i jak się poruszają!

– Obawiam się, że widzowie i tak niczego nie zauważą, *commissario* – rzucił Zadar. – Ale, ale! Czy to nie twoja córka dla nich pracuje?

– Livia? Tak. A ty nie poszukujesz przypadkiem pracowniczki mówiącej kilkoma językami, solidnej, godnej zaufania? Biedaczka się tam męczy, musi jakoś koordynować pracę tej nieszczęsnej trupy. Kompletny chaos, codziennie wyskakuje coś nowego, pomysły, które niweczą poprzednie ustalenia. Niezależnie od kosztów.

– Zupełnie jak u nas w ratuszu – mruknął Zadar, niespecjalnie poruszony. – Cudza kieszeń. Ale u tych tam, na dole, nie ma po co szukać złodzieja. Kręcą przed moimi drzwiami od czterech dni, są bez reszty

skupieni na swojej pracy, nic ich nie obchodzi. Czasem muszę nawet czekać, aż skończą kręcić scenę, bym mógł wejść do budynku. Ale właściwie są w porządku. Dobrze, że o naszym mieście czasem robi się głośno – w pozytywnym sensie, a nie przez złą prasę.

Triest właśnie znowu dwa razy trafił na pierwsze strony prasy ponadregionalnej: ostatnim razem z powodu twardej postawy nowej komendantki policji wobec nielegalnych imigrantów, głównie Afrykańczyków – deportowano ich od razu, gdyż papiery mieli nie w porządku. Wskutek dekretu ministra spraw wewnętrznych sytuacja prawna bardzo się zaostrzyła: teraz osoby takie zaliczano do przestępców, tak jak stręczycieli i dilerów narkotyków. Nieuchronnie wypycha to tych ludzi – nawet jeśli mają legalną pracę, tak że nie muszą natychmiast opuszczać kraju – w szpony organizacji przestępczych, które bezwzględnie to wykorzystują. A wcześniej sensację wzbudził przypadek „Kali”, romskiej dziewczynki: sprawę udało się zakończyć po sześciomiesięcznym śledztwie prowadzonym przez Laurentiego i jego ludzi we współpracy z kolegami z Padwy. Trzynastolatkę, od dziecka zaprawioną we włamaniach do mieszkań, w czym zresztą wykazywała szczególną zręczność, własna matka sprzedała za dwieście tysięcy euro innej Romce, zamieszkałej pod Padwą, stamtąd dziewczynkę przerzucano do Francji.

Teraz jednak charakterystyczne zakątki portowego miasta służyły jako sceneria kryminału telewizyjnego, powstającego w koprodukcji niemiecko-włoskiej i – wnosząc z doniesień prasowych – traktującego o szmuglu, międzynarodowej korupcji, złych gangsterach z Bałkanów, eleganckich sycylijskich biznesmenach i prawych niemieckich śledczych. Przekraczająca granice i łącząca narody miłość między panią komisarz a panem prokuratorem – jak zjadliwie opowiadała Livia – sprzyja gładkiemu przebiegowi śledztwa oraz zapewnia widzowi obligatoryjny happy end, tak by mógł potem spokojnie iść spać. Umieszczenie zaś akcji w mieście granicznym z wielkim portem i w bliskości kilku krajów Europy Wschodniej ma całą historię uczynić bardziej interesującą – a idyllicznych zachodów słońca nad morzem jest w Trieście nawet więcej, niż wymaga scenariusz.

Laurenti oderwał wzrok od aktorki, która najwyraźniej sprzeczała się

z reżyserem, z wściekłością wymachując rękami. Zwracająca uwagę osoba. Trudno jej nie zapamiętać. W pewnej chwili spojrzała w górę, na fasadę *palazzo*, akurat tam, gdzie Proteo Laurenti i Nicola Zadar stali w oknie, pod którym na płaskorzeźbie przedstawiono Atenę, boginię mądrości i walki, z napisem greckimi literami: „Niech żyje wolność”.

Nicola Zadar był szczupłym, zawsze wykwintnie ubranym mężczyzną. Już w drugim pokoleniu z powodzeniem prowadził rodzinny kawowy interes. Importował kawę surową z ponad czterdziestu krajów, a po kompleksowych analizach laboratoryjnych, próbnym prażeniu i sporządzeniu mieszanek eksportował ją, zgodnie z życzeniami klientów oraz aktualnym zapotrzebowaniem rynku, również do prawie tylu państw. Zadar zadzwonił do komisarza na komórkę. Byli w tym samym wieku i od lat zaprzyjaźnieni; niekiedy spotykali się na wspólnej kolacji. Laurenti lubił, gdy jego niezwykle kulturalny i spokojny przyjaciel, który w przeciwieństwie do niego rzadko tracił panowanie nad sobą, opowiadał o niezliczonych podróżach do egzotycznych krain, z których sprowadzał surowe ziarno kawy. Kawa, podkreślał często Zadar, to surowiec, który zajmuje w światowym handlu drugie miejsce, zaraz po ropie naftowej; a wachlarz jej rozmaitych gatunków, rodzajów, odmian i smaków jest naprawdę przebogaty. Jednak, inaczej niż ropa, kawa jest elementem, który łączy odmienne kultury i świat sztuki ze światem gospodarki i techniki, a także... z przestępczym półświatkiem.

– Straty bezpośrednie pokryje ubezpieczenie – oświadczył Zadar spokojnie, gdy tymczasem jego współpracownik podał dwie kawy przyniesione z laboratorium. – Tylko tej odrobiny nie znaleźli, to próbka, uprażona dopiero wczoraj po południu. Zaraz lepiej zrozumiesz, o co tu chodzi. To najrzadszy napój świata.

Laurenti podsunął filiżankę pod nos, zdumiony uniósł brwi:

– Ziemista i łagodna jednocześnie. Co to jest?

Upił maleńki łyk, posmakował z cichym mlaskaniem, zdziwiony długo utrzymującym się, lekko stęchłym smakiem napoju i gęstą, przypominającą syrop konsystencją na języku.

– Smakuje jak kompost i czekolada jednocześnie.

– To Kopi Luwak. Masz bardzo wyczulony zmysł smaku, Proteo – zauważył Zadar. – Ale ja zamiast kompost powiedziałbym: las deszczowy.

– Nigdy nie byłem w lasach deszczowych, więc wybacz... – Laurenti znowu przysunął nos do filiżanki.

– Tego rodzaju kawy zbiera się rocznie na całym świecie tylko około pięciuset funtów. Uprazona kosztuje grubo ponad tysiąc euro za kilogram. Jeśli się ją w ogóle dostanie. Listy oczekujących są bardzo długie. Nasze przedsiębiorstwo jest jednym z niewielu na świecie, które handluje nią od kilkudziesięciu lat, dlatego możemy sobie zapewnić stosunkowo stałą wielkość dostaw. Łącznie z poświadczonymi certyfikatami pochodzenia, ma się rozumieć. Otrzymujemy rocznie osiemdziesiąt pięć kilo, żaden inny odbiorca tyle nie dostaje. Ale teraz mogę ci pokazać, niestety, tylko fotografie surowca. – Zadar pogrzebał w papierach i ulotkach reklamowych, po czym pokazał Laurentiemu zdjęcie niewielkiego włochatego zwierzątka, o lekko nastroszonym ogonku, którego długość odpowiadała mniej więcej długości korpusu. – *Kopi* to po indonezyjsku kawa, a *luwak* to tamtejsza nazwa łaskuna muzanga, rozpowszechnionego w południowej Azji zwierzątka z rodziny łaszowatych, *Viverridae*, czyli wiwer. Po łacinie jego nazwa brzmi *Paradoxurus hermaphroditus*. *Hermaphroditus* ze względu na podobne do jąder gruczoły zapachowe, które obie płcie mają pod ogonem i które wydzielają cywet, substancję zapachową, stąd zwierzątko bywa mylnie nazywane cywetą. Te małe drapieżniki kotokształtne są aktywne nocą, uwielbiają dobrze dojrzałe owoce kawowca, które podkradają z drzew ze względu na słodki czerwony miąższ; potem wydalają niestrawione pestki, w których znajdują się ziarna kawy. Enzymy trawienne zwierzątek uszlachetniają ziarno, fermentacja nadaje im ten jedyne w swoim rodzaju aromat i smak. Wydalone wraz z odchodami pestki są pięknie sklejone razem, wyglądają prawie jak batoniki muesli. Większość towaru pochodzi z Jawy, Sumatry i Borneo.

– Kocie kupy? Moi ludzie będą potrzebować dobrych odbitek tych zdjęć, Nicola. Inaczej nie będą wiedzieli, czego szukać. W zasadzie w przypadku kawy nie myśli się o zwierzęcych odchodach.

Laurenti w zamyśleniu powąchał jeszcze raz płyn w filiżance; marszcząc brwi, pociągnął następny łyk. Dobrze, to prawda, ale tysiąc euro za kilogram?

Triest słynie ze znakomitych prażalni, na ich produktach można całkowicie polegać, o ile tylko nie spaprze się czegoś podczas parzenia. Proteo za własne pieniądze kupił do pracy profesjonalny ekspres, stoi w jego biurze – i jest obiektem zazdrości kolegów z komendy, którzy muszą się zadowalać kawą z barku na parterze.

– Jedno mogę powiedzieć: z całą pewnością wywieźli towar pod osłoną nocy, windą. Ślady są jednoznaczne. Na dole czekał zapewne samochód. Albo mieli płaską łódź. Tak ciężko wyładowana mogła przepłynąć nawet pod niskim mostem.

– Szkoda, że miasto akurat tu nie zainstalowało jeszcze kamer monitoringu. Jak zwykle ze wszystkim się spóźniają. Ale właściwie dlaczego składujesz towar właśnie tutaj? – zapytał Laurenti, rozglądając się po obszernych pomieszczeniach biurowych, wyłożonych egzotycznym drewnem. – Masz przecież ten ogromny spichlerz przy siódmym moło w porcie kawowym?

– Ze względów bezpieczeństwa. Towar ekskluzywny, pierwszej klasy, trzymamy pod kluczem tutaj, gdzie dostęp mają nieliczni. Pomijając dwadzieścia pięć kilogramów Kopi Luwak, które nadeszły przed kilkoma dniami, brakuje jeszcze dwóch trzydziestokilogramowych beczulek odmiany Jamaica Blue Mountain, worka Hawaii Captain Cook oraz Tansania Peaberry, odmiany, która rośnie na zboczach Kilimandżaro. To wszystko rarytasy z najwyższej półki. Wartość towaru sięga około stu tysięcy euro, a straty pośrednie są gigantyczne, gdyż jesteśmy jednym z niewielu przedsiębiorstw, które oferują te rzadkie specjały. Codziennie napływają do nas zapytania ofertowe, a skradziony towar stanowił niemal cały nasz kontyngent roczny.

– Włamywacz albo jego zleceniodawca jest zatem świetnie zorientowany. Kto jeszcze o tym wie poza twoimi współpracownikami?

– Wszyscy! Poczynając od producentów i eksporterów surowca, i odpowiednich miejscowych urzędów, a na naszym cle kończąc, przecież wszystko jest w dokumentach. Wiedzą także ci od ubezpieczenia transportu i spedycja. No i klienci z listy oczekujących – na bieżąco informujemy ich o dostępności towaru i prosimy o wpłacenie zaliczki. I w końcu można

o wszystkim przeczytać na naszej stronie internetowej. Ale za moich ludzi dałbym sobie rękę uciąć. – Zadar uśmiechnął się, widząc, jak Laurenti marszczy czoło. – Spokojnie, przecież wiem, że wy, policjanci, zaczynacie od tych, co najbliżej. Ale mógłbyś sobie oszczędzić czasu – dodał, choć doskonale wiedział, że przez kilka najbliższych dni śledztwo prowadzone przez funkcjonariuszy Laurentiego będzie mocno utrudniało normalne funkcjonowanie firmy.

– A odbiorcy tych rarytasów?

– Sami snobi i wielkie nazwiska. – Zadar wymienił kilku: Sknerus McKwacz, James Bond, Majestix, Doktor No, nie brakowało nikogo.

Znani ludzie ze świata przemysłu, mody, reklamy albo filmu; oczywiście także nuworysze z Rosji – ich poczucie własnej wartości rośnie tym bardziej, im droższe towary mogą kupować. Jednak dominowali odbiorcy z Londynu. A czy od kilku dni nie stoi przy molo w Starym Porcie osiemdziesięciosześcimetrowa „Ecstasea”, napędzana podobno silnikiem boeinga 737? Jeden z pięciu megajachtów rosyjskiego magnata Romana Abramowicza. Tysiąc euro dziennie postojowego odpowiada mniej więcej cenie hurtowej drogocennej kawy z kupy azjatyckiego zwierzątka.

– Masz też klientów w Trieście? – zapytał Laurenti, który po trzydziestu latach służby dobrze znał kaprysy i zachcianki swoich współobywateli i często serdecznie śmiał się z ich dziwactw.

Nikt w ich zamożnym mieście nie obnosił się ze swoim bogactwem. Noszono się skromnie i raczej narzekano na, ach, jakże wysokie!, koszty utrzymania; w mieście używało się niewielkich aut, a te drogie wyprowadzano z garażu tylko na dłuższe trasy. Oczywiście przy molach cumowało mnóstwo okazałych jachtów, ale w mieście portowym ten widok nie wzbudza specjalnej sensacji. I żaden triesteńczyk nie wpadłby na pomysł, by sprawić sobie pływający dom wielorodzinny łącznie z lądowiskiem helikopterowym i łodzią podwodną, który wymaga dwudziestoosobowej załogi – na to z kolei są zbyt biedni; no i zbyt skąpi. Popularne są za to mieszkania za granicą, o których miejscowy fiskus nie ma pojęcia; zwykle domy te znajdują się w pobliżu domostw innych osób z tej samej kasty – na Lazurowym Wybrzeżu, w jakimś schludnym nadmorskim miasteczku na



Istrii albo w górach, w Bad Kleinkirchheim albo w Kitzbühel, jeśli akurat ktoś szukał odmiany po Cortina d'Ampezzo. I, oczywiście, są też apartamenty w Paryżu, Londynie albo w Nowym Jorku. Czas, podobnie jak pieniądze, raczej nie jest tu towarem deficytowym, a triesteńczycy zestresowani pracą należą do rzadkich okazów.

– Tylko jednego – Nicola Zadar zmrużył oczy. – Raffaele Raccara i jego sieć sklepów.

– Lele? No proszę...

Właściwie Laurenti mógł się tego spodziewać. Raccaro był ważną figurą, wyróżniał się ekstrawaganckim stylem bycia, oscylującym między skrajną prostodusznością a napadami bufonady. Wszyscy w mieście wiedzieli, że bez jego aprobaty nie można podjąć niemal żadnej ważnej decyzji politycznej. Pochodzenie miał skromne, lecz mógł się poszczycić błyskotliwą karierą, która zaczęła się w Trieście w latach sześćdziesiątych. Kawa to był jeden z jego najwcześniejszych interesów, lecz przed dwudziestu laty, ku zaskoczeniu wszystkich, sprzedał swoją dobrze prosperującą prężalnię międzynarodowemu koncernowi, a uzyskane pieniądze zainwestował w inne dziedziny, zwłaszcza w udziały. Jego biuro pośrednictwa pracy czasowej dzięki kryzysowi miało się znakomicie, inna z jego firm współpracowała z branżą filmową. Przypuszczano, nie tylko ze względu na jego ogromne prywatne archiwum fotografii wojennej, że wyznaje prawicowe poglądy, chociaż, co prawda, jeszcze żadnemu dziennikarzowi nie udało się go skłonić do zajęcia oficjalnego stanowiska w żadnej z palących kwestii politycznych. Akurat poprzedniego dnia na biurko Laurentiego spłynęło polecenie nowej prokurator, by wziął Raccara pod lupę – numer jego telefonu znaleziono w komórce pewnego kalabryjskiego handlarza cytrusami, który niedawno został aresztowany z trzydziestoma innymi członkami 'ndranghety. Szajka zatrudniała przy zbiorze pomarańczy imigrantów afrykańskich, wykorzystując ich przez wiele miesięcy w nieludzkich warunkach. Aż wreszcie w jednej z kalabryjskich gmin wiejskich wybuchło gwałtowne powstanie Afrykańczyków, którzy zażądali wypłacenia swoich skąpych wynagrodzeń. Telefony Raccara wzięto na podsłuch i Laurenti musiał znaleźć jakiś pretekst, by zbliżyć się do tego człowieka, nie płosząc go. W te

sprawy jednak komisarz nie mógł wtajemniczyć Zadara.

– Przypuszczalnie przeznaczają tę kawę na specjalne upominki, kiedy inne argumenty nie wystarczają. Ale część sprzedaje dalej, to dla mnie oczywiste. Jasne, że nie w swoich supermarketach – dodał Nicola.

– Ma u ciebie rabat?

– Nie. Przy tak niewielkich dostawach zawsze znajdzie się dość amatorów, którym cena jest obojętna – takim wsio ryba, ile on sobie doliczy. Wnoszę to stąd, że zawsze rezerwuje dla siebie opakowania po jednej ósmej funta i odbiera zaraz po uprażeniu. Zamawia nieregularnie i w różnych ilościach, niemożliwe, że to na potrzeby własne.

– A czy ty nie tracisz, kiedy Lele od razu bierze większą ilość tak rzadkiego towaru? Czy wtedy klient nie staje się konkurentem?

– Klient nasz pan. Upustów nie ma, ale któż by chciał mieć Raccara za wroga? Przecież większość odbiorców i tak sprzedaje tę kawę dalej – wyspecjalizowane kawiarnie, delikatesy. No a ilości, które mogą zamówić, określamy my. Jak zamawiasz tę kawę w jednym z takich lokali, to musisz zapłacić do pięćdziesięciu euro za filiżankę – potrzeba na nią właśnie około siedmiu gramów. Łatwo to oszacować: koszt własny razy dwanaście i pół – to nieźła marża.

– No, nawet nie tak dużo, jak porównać z letnim espresso, jakie gburowaty kelner z łaski poda na placu Świętego Marka w Wenecji albo na Polach Elizejskich w Paryżu. Przekażę twoją sprawę doświadczonemu koledze, Nicola. Będzie mnie informował na bieżąco. Jeśli DNA z tego włosa, który znaleźliśmy, jest w naszej bazie danych, będziemy mieli łatwe zadanie i może nawet uda nam się odzyskać towar.

Ani Proteo Laurenti, ani Nicola Zadar nie wyobrażali sobie, by to Raffaele Raccaro zlecił zrabowanie drogocennej kawy. W końcu ten człowiek mógł kupić niemal wszystko, łącznie z politykami. Laurenti pomyślał, że to pewnie będzie raczej sprawa dla policji skarbowej.

\*

Było krótko po dziewiątej i miasto tchnęło jeszcze niezużyta poranną świeżością, gdy Laurenti, korzystając z przerwy na planie, zszedł na via Rossini i pomachał do aktorki, grającej jego niemiecką koleżankę po fachu.

Kobieta uśmiechnęła się do niego, Proteo odchylił połę marynarki, tak że mogła dostrzec broń służbową w kaburze pod pachą, i rozbawiony poszedł dalej. Niech się teraz zastanawia, czy on to rzeczywistość, czy fikcja.

Rano chętnie chodził przez centrum na piechotę, o tej porze natężenie ruchu było jeszcze znośne, sklepy otwierały się ze szczękiem metalowych rolet osłaniających witryny i można było spotkać wielu znajomych. Twarze były przyjazne, ludzie obdarzali się spojrzeniem i pozdrawiali. Wpadało się na szybką kawę do baru na rogu, zamieniało parę słów ze znajomymi albo umawiało się na kolację wieczorem. Później nerwowa bieganina i pośpiech, jakie niósł ze sobą dzień, będą godzina po godzinie ujmować tych uprzejmości, odsłaniając prawdziwie kramarskie dusze obywateli. Laurenti kupił w kiosku „Piccolo” i kilka gazet ogólnokrajowych, wetknął pod pachę; spojrzął na wyświetlacz komórki: dostrzegł znak zapytania, który dostawał co rano SMS-em. Prywatny gabinet jego lekarki znajdował się ledwie dwa domy dalej, może Gemma ma czas na filiżankę espresso? Wysłał wiadomość i przystanął naprzeciwko wejścia do domu, oparł się plecami o uliczną latarnię.

Na początku kwietnia Laurenti, zmuszony okolicznościami, udał się do gabinetu swojego starego lekarza domowego przy Canale Grande. Już dawno powinien był się przebadać, ale gdyby nie ten kleszcz, którego zauważył na genitaliach, to mimo regularnych napomnień żony, z powodu setek o wiele ważniejszych spraw, dalej przesuwalby termin wizyty. Stary doktor Pier Mora od niepamiętnych czasów kurował – nieczęste, dzięki Bogu – dolegliwości komisarza. Proteo Laurenti nie miał nadwagi ani nadciśnienia, chociaż nigdy nie zachowywał szczególnej diety, nie stronił od szklaneczki szlachetnego wina z Krasu i popalał papierosy swojej asystentki Marietty; od dawna też nie uprawiał regularnie żadnego sportu – jedynie latem pływał codziennie w Adriatyku. Był głęboko przekonany, że zdrowie będzie mu dopisywało zawsze – przynajmniej dopóki nikt do niego nie strzeli. Nic dziwnego, że nie zauważył, iż jego lekarz domowy – jak wielu triesteńczyków zapalony żeglarz, który dzięki rejsom na własnym 45-stopowym jachcie zawsze prezentował zdrowo ogorzale oblicze – stopniowo ograniczył aktywność, by wreszcie przejść w stan spoczynku. Gemma była

jedynym dzieckiem z trzeciego małżeństwa pięćdziesięcioletniego już wówczas doktora Mory. Dzieliła ławę szkolną z Livią, najstarszym z trojga dzieci Laury i Protea. Tym większe było zatem zdziwienie Laurentiego, gdy wezwany do gabinetu przez asystentkę, zamiast starego doktora Mory nieoczekiwanie ujrzał młodą kobietę w białym fartuchu lekarskim. Gdyby się tego spodziewał, pewnie sam spróbowałby usunąć tego kleszcza.

Jak zwykle zachwyił się na jej widok, gdy do niego biegła; rzuciwszy szybkie spojrzenie przez ramię, wspięła się na palce i pośpiesznie go pocałowała. Wyglądała cudownie w lekkim letnim stroju. Potrafiła się ubrać, miała świetny gust: umiała tak dobierać materiały w delikatnych kolorach do pięknie opalonej skóry, że wszyscy się za nią oglądali, nawet kobiety, chociaż wcale nie wyglądała wyzywająco.

– Mam tylko dziesięć minut, Proteo – powiedziała, gdy wchodzili do najbliższego baru. Podeszła do kontuaru, przy którym *signora* z głośnym brzękiem ustawiała szereg talerzyków pod filiżanki, opatrując je łyżeczkami, i szybko rzuciła zamówienie. – Poczekalnia jest pełna, muszę zaraz wracać. – Jej zęby lśniły bielą, wargi zostawiły karminowy odcisk na brzegu filiżanki. – Co tu robisz? Sprawa służbowa?

– Włamanie w firmie jednego z przyjaciół. Jutro przeczytasz o tym w gazetach. – Laurenti ukradkiem pogłaskał jej nagie ramię; oczy mu błyszczwały.

– Jesteś wolny wieczorem? – zapytała Gemma szeptem. – Zamykam gabinet o siódmej.

– Nie mogę się doczekać. Co powiesz na małą kąpiel w morzu?

Urwał nagle, gdy w wejściu zrobiło się ciemno, zaraz też wszedł do lokalu starzec z czarnym psem, skierował się prosto do nich. Galvano.

– Co u twojego ojca, Gemmo? – zapytał. Chudy mężczyzna o ogromnej czaszce tkwiącej na wysuszonej, cienkiej szyi przewyższał Laurentiego prawie o głowę. – Dawno go nie widziałem.

– Jest na rejsie. Żegluje po Morzu Egejskim. Już od Wielkanocy.

– Grecja zrobiła się tania. Ale dopiero co, wczoraj, widziałem na mieście twoją matkę. Przecież ojciec chyba nie żegluje sam?

Gemma zaśmiała się dźwięcznie.

– Na pewno nie! A mama rzeczywiście jest tutaj. Przecież wszyscy w mieście wiedzą, że od lat ma romans z doradcą podatkowym. A ja stawiam roczne pobory, że kto jak kto, ale stary Pier Mora na pewno nie jest na łodzi sam. Pieniądzy ma dość, a święty nigdy nie był.

– No tak... a w klubie brydżowym też już się nie pokazuje. Nic dziwnego, przecież zawsze przegrywa.

– To samo mówi o panu, Galvano. Pozdrowię go od niewiernego przyjaciela. Bo przecież kolegami z pracy nie można was nazwać. W końcu to mój ojciec przez całe życie dokładał wszelkich starań, by jego pacjenci nie wylądowali u pana.

Spojrzenie Galvana zdradzało, że cios był celny. Gemma nerwowo rzuciła okiem na zegar nad ekspresem do kawy i mrugnęła do Laurentiego.

– Muszę bieć, pacjenci czekają.

– Tego problemu na szczęście nigdy nie miałem – mruknął emerytowany lekarz sądowy ze skruszoną miną. Spojrzenie obu pobiegło za wdzięczną postacią młodej kobiety, która sprężystym krokiem szła do wyjścia; kruczoczarne włosy, sięgające do ramion, towarzyszyły jej ruchom, wesoło kołysząc się na boki. Już od drzwi Gemma jeszcze raz pomachała im ręką.

– To naturalnie było przeznaczone tylko dla ciebie – burknął zrzędlawie stary.

Laurenti znał go, odkąd zaczął się w Trieście zajmować przestępstwami przeciwko życiu i zdrowiu. Wiedza medyczna Galvana, jego doświadczenie życiowe, jak również przenikliwe spojrzenie na ludzi, ostre jak narzędzia, których używał podczas sekcji, były często bardzo pomocne – za to trudno było znieść jego cynizm. Mimo to stary medyk był dobrym przyjacielem Laurentich i po przedwczesnej śmierci żony przez wiele lat spędzał u nich święta.

– Co to, masz dzisiaj wychodne? Bo normalnie już się prawie nie pokazujesz – powiedział Laurenti. – Mały kryzys miłosny?

Mimo swoich osiemdziesięciu pięciu lat emerytowany lekarz sądowy znowu był w stałym związku. Jasnowłosa Rosjanka, dawniej podobno primabalerina teatru Bolszoi, miała na imię Raisa i była od Galvana młodsza

o ćwierć wieku. Z jej dawnej gracji niewiele pozostało. A starego rzadko spuszczała z oka.

– Poszła do fryzjera. Ale co ty wyprawiasz, Laurenti? Coś często spotykasz się z Gemmą. To się rzuca w oczy. Przecież jesteś dwa razy starszy od tej małej! I w dodatku niedawno zostałeś dziadkiem! Nie wstyd ci gruchać z tak młodą kobietą? Oczywiście, kochanka lekarka to niezły pomysł. Zawsze może ci przepisać leki, a nuż pomogą.

– Na nadciśnienie, *dottore*.

– A jak tam twoja wnuczka? A młoda mama?

– Obie zdrowe jak rybki, Galvano, a mała ma mnóstwo energii i taka jest pogodna! Kiedy wracam do domu, uśmiecha się od ucha do ucha. – Laurenti też się rozpromienił.

– Nic dziwnego, zna cię dopiero od niedawna. Wpadnę kiedyś ją zobaczyć.

– Patrizia wróciła już do pracy, a małą Barbarą zajmuje się moja teściowa. Możesz jej dotrzymać towarzystwa.

– Ach tak? Matka Laury sprowadziła się do was? Nic dziwnego, że ciągle konsultujesz się z tą twoją lekarką.

W domu u Laurentiego dużo się zmieniło. Rodzina się powiększyła, przewaga kobiet stała się jeszcze większa, a rządziła teraz matka Laury. Zażywna i krzepka starsza pani przyjechała, by zajmować się dzieckiem. Zresztą Laura już dawno mówiła, że jej matka nie powinna dłużej mieszkać sama – a i sam Proteo nigdy by nie wpadł na pomysł, by umieścić ją w domu starców. Minionej wiosny rozbudowali dom i teraz stał się wreszcie wystarczająco duży, latem zaś na schodzących do morza tarasach było dość miejsca dla wszystkich.

Laurenti rzucił kilka monet na kontuar i wykręciwszy się pod wymyślonym pretekstem od dalszej pogawędki, czym prędzej wyszedł, jeszcze nim Galvano zdążył się rozgadać na temat swoich przypuszczeń. Stary zawsze pojawiał się w najmniej odpowiednim momencie, a jego gadulstwa obawiali się nie tylko przyjaciele.

\*

W biurze Laurenti mógł wreszcie spokojnie przejrzeć prasę. Ten

kwadrans był dla niego święty. Dopiero po dopełnieniu codziennego rytuału był gotów wysłuchać sprawozdania Marietty o tym, co się wydarzyło w innych komisariatach i oddziałach komendy. Z „Piccola” dowiedział się, że w mieście ma zostać wybudowanych sześć nowych centrów handlowych, tak przynajmniej zgodnie obwieściły Ratusz oraz Izba Handlowa. A przecież drobnym kupcom już od dawna źle się wiodło, a od kiedy nastął kryzys, pozamykały się nawet stare, zasiedziałe sklepy. Na samym środku strony z artykułem królowało zdjęcie Lelego, którego wymieniano jako osobę będącą motorem tych projektów.

– Marietta! – zawołał Laurenti do asystentki. – Poprosiłaś Raccara, żeby się stawił?

Odpowiedziała dopiero po chwili, ale zdecydowanie:

– Nie!

– A to dlaczego?

– Z tego będą tylko kłopoty, powiedz to pani prokurator, w końcu jest nowa w mieście.

– No to coś wymyśl, jakiś pretekst. Co z tobą? Jeszcze do niedawna nie miewałaś takich wątpliwości. A już na pewno nie wtedy, gdy szło o podejrzanych ptaszków, zwłaszcza jeśli byli młodszy od ciebie o dwadzieścia lat. Ustal wreszcie jakiś termin, to polecenie prokurator.

– Sam do niego zadzwoń!

Od dobrych trzech miesięcy Marietta była jak odmieniona. Pilność i zaborcza troska o szefa – ileż to razy podczas tych wszystkich lat wspólnej pracy podkreślała, że dłużej trwa u boku Protea niż jego żona! – ustąpiły miejsca aż nadto przesadnej punktualności. Dawniej nieraz kazała na siebie czekać, gdy właśnie była zajęta poprawianiem szminki, nakładaniem świeżego makijażu albo lakierowaniem sobie w biurze paznokci. Tymczasem ostatnio coraz bardziej zaniedbywała wygląd. Swoją słynny dekolt, który spojrzenia mężczyzn w każdym wieku przyciągał jak magnes igłę kompasu, mimo letnich temperatur zasłaniała coraz wyżej i skończyły się wizyty paru kolegów, którzy zjawiali się pod byle pretekstem, by choć na chwilę zapuścić spojrzenie w te ponętne głębie. U fryzjera też nie była od tygodni. A za każdym razem, gdy Laurenti potrzebował jej poza godzinami biurowymi,

musiał się do niej specjalnie zwracać o pomoc, na co przystawała z wielką niechęcią. Raz nawet zagroziła mu związkami zawodowymi. To było coś zupełnie nowego. Jednak Laurenti znosił wszystko bez mrugnięcia okiem, odkąd dwa razy zobaczył swoją asystentkę w towarzystwie niepozornego, posiwiąłego już mężczyzny w zaściankowo niebieskim i o wiele za wąskim garniturku, trzymającego w objęciach białego króliczka z różowym noskiem – Marietta, witając się z Laurentim, z uśmiechem pogłaskała zwierzątko, mówiąc, że to Bobo. W łóżku ci dwaj musieli być doprawdy nadzwyczajni, skoro nawet nie pozostawiali Mariettcie czasu na dbanie o wygląd.

– Dobrze wiedzieć, kto tu jest szefem – mruknął Laurenti nadąsany. – To chociaż przedstaw mi raport.

Marietta z niezmałym spokojem odczytała z kartki skromną listę wydarzeń ostatniej nocy: wataha dzików zryła frontowe ogródki willi na via Romagna. Od tygodni w mediach trwała zagorzała dysputa między „dobrymi ludźmi” a urzędem do spraw rolnictwa na temat tego nowego zjawiska cywilizacyjnego. Jedni żądali masowego mordy – drudzy kreowali się na obrońców zwierząt, podnosząc krzyk, że zezwolenie na odstrzał będzie oznaczało ukatrupienie cywilizacyjnych zdobyczy Europy Środkowej. Cokolwiek przez to rozumieli! Raz nawet jakiś zwierz zjawił się na Piazza Unità, przed budynkiem ratusza, i napędził ludziom w kawiarnianych ogródkach niezłego stracha. Ale i tak nikomu nie udało się dowiedzieć, jaką też sprawę zamierzał przedstawić burmistrzowi. Ponoć w okolicy grasować miało ponad tysiąc dzików – nastał długi sezon łowiecki, a strażnicy leśni chodzili z dwulufowymi remingtonami kaliber siedem.

Potem Marietta zrelacjonowała sprawę skarg o zakłócanie ciszy nocnej na kilku ulicach w centrum.

– O co tym ludziom chodzi? – Laurenti pokręcił głową. – Jakbyśmy nie mieli nic lepszego do roboty.

Im cieplejsze stawały się noce, tym częściej w komisariatach policji i u karabinierów dzwoniły telefony ze skargami od nudzących się porządnych obywateli. Okna otwarte, klimatyzacja włączona, pilot TV w ręce. Pewnie gwar głosów z ulicy zagłusza im reklamy.

– Z tego, co odnotowują nocne patrole, wynika, że wbrew



powszechnemu przekonaniu te skargi i telefony wcale nie są od emerytów! – Marietta pomachała kartką. – Tylko od osób koło pięćdziesiątki. Zdziwiony jesteś, co?

– A po kiego siedzą w domu sfrustrowani, zamiast wyjść i się cieszyć, że w ich mieście coś się dzieje! Przecież zawsze narzekają, że tu nuda! – Laurenti był przekonany, że jeszcze kilka lat temu ci, którzy teraz marudzą, sami przesiadywali na Piazza, śmiali się, pili i tańczyli.

– A ja ich rozumiem – zaoponowała Marietta i wstała. – Jak ktoś się zajmuje poważnymi sprawami, to nie ma ochoty uczestniczyć w tych płytkich i prymitywnych zabawach.

– *Oculus non vidit, nec auris audivit.*

– Co takiego? – Marietta odwróciła się w drzwiach.

– Czego oko nie widziało, czego ucho nie słyszało. Wrażenia nadzmysłowe, Marietto!

– Ja wszystko widziałam i wszystko słyszałam. – Marietta zamknęła za sobą drzwi.

Laurenti pomyślał, że w takim razie sam zadzwoni do Raccara, chociaż jego asystentka pewnie słusznie go przed tym ostrzeża.

# Mężowie opatrnościowi

Właściwych ludzi na właściwym miejscu nie bez powodu zwie się mężami opatrnościowymi. Raffaele Raccaro umieszczał ich, gdzie tylko mógł. Miał wpływ na obsadzanie kluczowych pozycji w mieście i regionie, chociaż sam nigdy nie występował publicznie. Przebąkiwano, że obejmując urząd, jego kandydaci od razu podpisywali niedatowane oświadczenia o ustąpieniu, które Lele przechowywał w osobistym sejfie. To właśnie nienasycona żądza władzy i wpływów pomogła Raffaele Raccarowi już w młodości wydostać się z ubogiego środowiska. Teraz jego imperium obejmowało supermarkety i udziały w podmiejskich centrach handlowych, agencję pracy czasowej, jak również przedsiębiorstwa i zakłady usługowe. Był także właścicielem ogromnego archiwum fotograficznego, o którym na stronie internetowej można było przeczytać, że jest to największy na świecie prywatny zbiór fotografii wojennych. Udział finansowy w innych jeszcze przedsiębiorstwach dopełniał jego ogromnych wpływów. Stanowiska kierownicze w swoich firmach obsadzał ambitnymi, zwykle niezamężnymi kobietami i płacił im o wiele lepiej, niż zarabiali ich koledzy mężczyźni w innych przedsiębiorstwach, z czego nie robił tajemnicy; podobnie zresztą jak z faktu, że kto nie będzie go słuchał, ten raz-dwa wyleci. Ale na owych damach mógł polegać: żelazną ręką kierowały firmami jego imperium i były całkowicie oddane szefowi.

Raffaele Raccaro, przez wszystkich nazywany Lele, był prawdziwie nienasyconym człowiekiem. Witalny, chudy jak szczapa, nie wyglądał na swoje siedemdziesiąt dwa lata. Siedział właśnie niedbale rozwalony na ogromnej, błękitnej sofie, której poduchy zdawały się go pochłaniać. Drobny i niewysoki, podobnie jak Putin, Berlusconi, Sarkozy i Bernie Ecclestone, daremnie starał się dodać sobie wzrostu eleganckimi, stalowanymi na miarę brogsami na podwyższonych podszewkach – dzięki mistrzowskiemu rzemiosłu angielskiego szewca, którego odwiedzał raz w roku na Jermyn

Street w Londynie, platformy prawie nie zwracały uwagi. Poza tym ubierał się raczej tanio i skromnie. Chętnie otaczał się kobietami, które patrzyły na niego z góry – w sensie dosłownym – i były od niego przynajmniej o tyle lat młodsze, o ile centymetrów przewyższały go wzrostem. Jego nos sięgał akurat do ich dekoltu.

Na ekranie telewizora migotał nowy odcinek *Komisarza Reksa*, prawa do serialu, łącznie z psimi kaskaderami, wykupił właśnie pewien włoski producent. Czy ta nagła miłość do owczarków niemieckich to wyraz hołdu dla *Pontifex maximus*? Zresztą te filmiki to tylko wypełniacz w przerwach między spotami reklamowymi, które zwykle były dziełem ręki obeznanych z dziedziną reżyserów. Grunt, żeby nie było żadnych odniesień do aktualnej sytuacji politycznej. Bajeczki dla dorosłych. Ale pieniądze dało się z tego wyciągnąć – Lele, oczywiście, umiał to wyniuchać. Miał doskonale rozeznanie – równie doskonały był widok z tarasu na dachu jego mieszkania na czternastym piętrze budynku, u którego stóp, naprzeciwko *teatro romano*, znajdowała się także Questura, komenda miasta Triest. Lele inwestował we właściwe osoby, które dysponowały dużym budżetem. Nietrudno było zgadnąć, dlaczego założył agencję castingu i inną jeszcze firmę: Action Film Italia, AFI, niezwykle sprawnie i kompleksowo działające przedsiębiorstwo usługowe, wiodące w branży na północy Włoch, które mogło producentom filmowym zaoferować wszystko, czego tylko potrzebowali do pracy: pomieszczenia biurowe i łącza telefoniczne, transport oraz zakwaterowanie aktorów i personelu, urządzenia techniczne (łącznie z wirnikami samolotowymi do uzyskiwania efektów burzy i wiatru, jeśli akurat panowała cisza), łodzie i helikoptery. Zapewniano też najlepsze dojścia do urzędów, pomocne przy uzyskiwaniu zezwoleń na kręcenie filmu; a gdy jakiś urzędnik był oporny, zawsze można mu było uprzykrzyć życie. Wprawdzie firmą kierowała pewna mediolanka, która doświadczenie w branży zdobyła w Stanach, jednak trudniejsze czy bardziej delikatne sprawy prowadził Raccaro osobiście. W kręgach fachowych mówiło się, że AFI jest wprawdzie droga, lecz bardzo dobra. Metody biznesowe Lelego były doprawdy proste, a jego argumenty trafiały do przekonania. Dopiero co przekazał ładny plik świeżutkich pięćsetek pewnemu ważnemu człowiekowi, który był szychą w

jednej z niemieckich stacji telewizyjnych; władza owego człowieka wyrażała się też w jego słusznej posturze, przywodzącej na myśl owego grubego kanclerza, który przed dwudziestu laty swoją masą doprowadził do upadku muru berlińskiego. Ta łapówka jednak to nie były pieniądze Raccara. Jej kwota była zawarta w rachunkach, jakie miał na koniec zaaprobować Harald Bierchen. Nienasycona zachłanność, którą coraz bezczelniej okazywał Niemiec, w końcu stała się dla Lelego poważnym utrapieniem. Grubas arogancko wysuwał pretensje, które wykraczały daleko poza ich wspólne ustalenia. Zażądał nawet, żeby Raccaro oczekiwał go osobiście w punkcie rozładunku autokuszetki z Niemiec, która razem z jego luksusowym autem przywiezie go do Triestu. Lele pojechał swoim starym skuterem i od razu na miejscu wcisnął współnikowi grubą kopertę, a dodatkowo trzy paczuski Kopi Luwak, których Bierchen wcześniej wyraźnie zażądał. Ale potem i tak się zaczęło: uwagi, że produkcja w Bułgarii wypadłaby taniej, że pejzaż miejski Sofii także stanowi interesujące tło, a oferty, jakie stamtąd otrzymuje niemiecki producent, są korzystniejsze niż to, co proponuje Raccaro. I nawet złoty zegarek marki Patek Philippe, który Lele wręczył Niemcowi przed kilkoma dniami z przyjacielskim klepinięciem w ramię, nie powstrzymał bezczelnego tłuściocha od grożenia, że złoży doniesienie do triesteńskiego fiskusa, gdy tylko skończą się prace na planie filmowym. W przeciwieństwie do wszystkich innych, grubas z północy nie czuł najmniejszego respektu przed wpływami Lelego.

– Właściwe zdjęcie we właściwym czasie jest warte majątek, Aurelio – powiedział Raccaro, z powątpiewaniem kręcąc głową. Powoli przeglądał trzymane w rękach fotografie, w końcu lekceważąco rzucił plik na sofę.

Obok sofy stał młody, mocno opalony mężczyzna. Lele widział jego odbicie w oknie, przez które wpadały także światła z budynku komendy, położonego po drugiej stronie ulicy. Mężczyzna był szczupły, lecz muskularnej budowy. Długie czarne włosy, zaczesane do tyłu i mocno nażelowane, podkreślały wydatne kości policzkowe i lekko wypukłe oczy, których tęczówki połyskiwały niczym ciemny bursztyn. Mężczyzna miał ładnie wykrojone, pełne usta, na jego szyi wisiał na złotym łańcuchu opal ognisty o trzycentymetrowej średnicy.

– Myślałem, że więcej się ode mnie nauczyłeś – powiedział Lele, rozłamując paznokciami łupinę orzeszka pistacjowego. – A skąd masz to zadrapanie na skroni?

– Ach, to nic takiego! – Aurelio machnął ręką. – Uderzyłem się o futrynę drzwi.

– No tak, nie każdy od razu trafia w drzwi... – mruknął Lele.

Przerwał mu dzwonek telefonu. Stary, marszcząc czoło, spojrzął na numer na wyświetlaczu, po czym odebrał.

– Ach, Laurenti! O co chodzi? Ja? Do pana? Po co? – Raccaro mówił krótkimi zdaniami, jego stary sposób, by wyrazić niezadowolenie. – Wezwanie czy nieformalnie? Jako świadek? Ach, tylko kilka pytań! Proszę pana! W tej sprawie najlepiej niech się pan zwróci do mojej sekretarki, nie mam w domu terminarza. A poza tym w tych dniach wyjeżdżam. Tak, Laurenti, biorę urlop, kiedy mi pasuje. Nawet pan nie może mi zabronić małego rejsu żaglówką. Nie, nie wiem, kiedy wrócę. Mam nadzieję, że to nic pilnego, mój drogi. Miłego wieczoru, *commissario*.

Odłożył słuchawkę, przełknął ślinę. Co też temu gliniarzowi strzeliło do głowy? Żeby dzwonić do niego do domu i wzywać na komisariat jak zwykłego kryminalistę! Powinien ustalić termin i sam do niego przyjść. Oczywiście w godzinach pracy, do biura. Raccaro postanowił napomknąć o tym prefektowi, gdy tylko spotka go przy najbliższej oficjalnej okazji. Potem odchrząknął i znowu zwrócił się do młodego człowieka.

– Czego chciał? – zapytał Aurelio. Ledwo udawało mu się ukryć napięcie.

– A czego miał chcieć? Pogadać. W końcu jesteśmy starymi kumplami – zbył go Lele i od razu wrócił do tematu: – A jeśli idzie o ciebie, to masz własne mieszkanie i utrzymanie miesięczne, i naprawdę niewiele do roboty. I ciągle ci mało? Masz szczęście, że to cudzoziemka, która się nie orientuje w tutejszych stosunkach i nie będzie wiedziała, jak się do tego zabrać. Machina urzędnicza w przypadku międzynarodowych spraw cywilnych działa jeszcze wolniej niż normalnie. Ale z Włoszką to bym na twoim miejscu nie ryzykował, to by cię mogło kosztować głowę, gdyby taka dama miała odpowiednie stosunki. Tak czy owak, dobrze się zastanów, co z tym

dalej zrobisz. Uważaj, żebyś nie przeholował!

– Ta tutaj – Aurelio zamachał fotografiami, które trzymał w lewej ręce – ma dość pieniędzy i nie ma czasu, żeby się tym zająć. Mówi tylko po angielsku. Trwałoby wieczność, nim by tu znalazła prokuratora albo policjanta, z którym mogłaby się porozumieć. Zapłaci. I na tym koniec.

– Naiwny jesteś! Adwokatów znających języki jest jak mrówek!

– Sam robiłeś pieniądze na zdjęciach – burknął Aurelio niezadowolony.

– Ale to tylko hobby! I jeszcze długo poczekam na zwrot tego, co zainwestowałem. A poza tym to coś zupełnie innego niż te twoje świństwa.

Lele uniósł brwi, ale wstrzymał się od dalszych komentarzy. Najwyraźniej Aurelio ciągle jeszcze nie pojmował, na czym polega istota ogromnego archiwum fotografii, które zajmowało trzy piętra w biurowcu przy Piazza Oberdan. Fotografia fotografii nierówna. A zbiór fotografii wojennych Lelego miał unikatowy wymiar historyczny: za pomocą tych zdjęć można było potwierdzać historię albo ją obalać, jeśli tylko się wiedziało, w którym momencie należy je zaprezentować opinii publicznej – albo je przed nią zataić. W ten sposób można było robić politykę, sterować działaniami, nadawać kierunek sprawom, a nawet manipulować opinią publiczną. Klientami Lelego były zarówno media krajowe, jak i zagraniczne, i to na całym świecie – choć co prawda niechętnie udostępniał swoje zbiory tym, którym nie sprzyjał pod względem politycznym. Nad archiwum czuwała absolutnie godna zaufania kobieta, która dla tej pracy zrezygnowała ze stanowiska w Dyrekcji Muzeów Miejskich, gdzie odpowiadała za wszystkie niebezpieczne dokumenty, do których nawet historycy ciągle jeszcze nie mieli dostępu. Archiwum cieni: nigdy nie utworzono go przed żadną kompetentną komisją naukowców, która mogłaby rozstrzygnąć o dostępie do poszczególnych dossier. I tak samo broniono wglądu w setki stron dzienników Diega de Henriqueza, niezmordowanego kronikarza Triestu, który tragicznie zginął w pożarze w roku 1974; uzasadniano to bliżej niesprecyzowanymi odniesieniami do sfery prywatnej jeszcze żyjących osób. Skrupulatne zapiski Diega w równej mierze napełniały strachem byłych kolaborantów nazistowskich, jak i neofaszystowskich polityków, którzy obecnie przefarbowali się na demokratów.

Lele Raccaro ciągle powtarzał, że historiografia to delikatna dziedzina. Mało jest takich, którzy znoszą nieupiększone fakty – zresztą przecież całkiem nieźle się żyje w otoczce raz ustalonych półprawd. Po co miałyby się więc naruszać konstrukcję władzy, która od dziesiątek lat opiera się na kłamstwie i właśnie świętuje swoje absurdalne apogeum. Demokracja się zmieniła, nadmierna wolność prasy jest szkodliwa – te słowa przed kilku dniami wypowiedział nie kto inny jak premier. Obywatele przemienili się w publiczność – widzów i słuchaczy; ich zaangażowanie i aktywność wyraża się w poziomie oglądalności. Zalew pozbawionych treści wzmianek tworzy program, doniesienia wyparły wiadomości, a oświadczenia prasowe firm, partii oraz instytucji zajęły miejsce solidnie udokumentowanych reportaży, sprawozdań, raportów. Show i pośpiesznie zmieniające się obrazy zastąpiły politykę, a najlepszego showmana wybierano na szefa rządu, przewodniczącego partii albo burmistrza. W Europie ster trzymali nietykalni, a Lele do nich należał.

– Jak myślisz, w jaki sposób stałem się właścicielem tego obrazu? Może przez kradzież? – fuknął Raccaro, energicznie machnąwszy ręką w kierunku jedyne go obrazu w salonie, który, samotny i zagubiony, wisiał na ścianie północnej. Obraz o wymiarach sześćdziesiąt na pięćdziesiąt pięć centymetrów zatytułowany był *Les bouches du Timavo* i przedstawiał ujście do Adriatyku mitycznej podziemnej rzeki Timavo, w starożytności uważanej za jedno z wejść do Hadesu. Do niej prowadził też szlak bursztynowy znad Bałtyku. Zagadkę stanowiło jednak to, że w biografii twórcy dzieła, francuskiego malarza Gustave’a Courbeta, nie było wzmianki o jego podróży do Zatoki Triesteńskiej, a sam obraz nie figurował w żadnym rejestrze dzieł artysty. Nikt nie wiedział, kiedy mistrz realizmu namalował ten obraz.

– Kupić, to go na pewno nie kupiłeś – mruknął Aurelio krnąbrnie.

– Mieli go zlicytować. Gdybym miał taki zakuty łeb jak ty, to nie sprzątnąłbym go sprzed nosa tym z domu aukcyjnego. Jeśli się chce coś osiągnąć, trzeba być elastycznym, zmieniać postać jak Proteusz! Popatrz tylko na ten obraz, to prawdziwy skarb! Studium wstępne do namalowanego w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym słynnego *L’Origine du monde*. Tego skandalizującego *Początku świata*, który dzisiaj, pilnie strzeżony, wisi

w Muzeum Orsay w Paryżu i raz po raz wzbudzał oburzenie, a nawet był oceniany.

Wybitnie erotyczne przedstawienie krajobrazu, bardziej przypominające pożądliwie zwrócone do słońca kobiece krocze niż ujście rzeki. Aurelio obojętnie wzruszył ramionami, stary nie pierwszy raz przechwalał się tą historią. Zresztą kompletnie się nie znał na malarstwie i pewnie mało go obchodziła wartość artystyczna dzieła. Faktycznie cenił tylko pewną starą, czarno-białą fotografię. Wisiała obok drzwi i przedstawiała jego ojca, którego nigdy nie poznał, jako żołnierza w koloniach. Mężczyzna jedną ręką opierał się o stół, pośrodku którego widniał herb dynastii sabaudzkiej, i w obecności kilku oficerów rozmawiał z przełożonym – wysokim, elegancko ubranym mężczyzną.

– To jest sztuka, to erotyka, mój chłopcze. Musisz się jeszcze dużo uczyć.

– Miałbym szansę, gdybym nie musiał ciągle odwalać dla ciebie całej brudnej roboty. Załatw mi coś w polityce, jakieś zajęcie z tych, co to się inkasuje, nie ruszywszy nawet palcem.

– Zapamiętaj jedno! – Głos starego stał się nagle ostry jak świder, chociaż Lele nawet na chwilę nie oderwał wzroku od ekranu telewizora. – Wszystkie wielkie skandale zaczynają się od drobiazgów. Uważaj, nie włącz mi w paradę!

Owczarek Rex właśnie wyskoczył przez płonące okno i zaraz potem powalił na ziemię złego faceta o rozmiarach szafy na ubrania, któremu nie pomógł nawet pistolet; pies unieruchomił go, trzymając mu na piersi łapę, pod której ciężarem złoczyńca dyszał i rzeził, aż w końcu na miejsce przybiegł sam komisarz z kajdankami. Zadka zwierzaka nie pokazano. Pewnie pies merdał ogonem, ciesząc się z nagrody.

– Zresztą to z Niemcem dobrze załatwiłeś. I po sprawie. Pewnie dzięki pomocy Vittorii to była dziecinna igraszka. Facet od dawna miał na nią chętkę.

– A jakaś premia za to będzie? Czy dostanie tylko Vittoria?

– Poczekaj, to niespodzianka. – Nagle Lele usiadł prosto, zaczął wymachiwać ręką. – Teraz trzeba przepchnąć nowy plan zagospodarowania



przestrzennego w radzie miasta, trzeba też poprawić połączenie naszego centrum handlowego w Montedoro z infrastrukturą. To wszystko nie działa jeszcze tak, jak było w planach, moi partnerzy się niecierpliwią, muszą jak najszybciej inwestować, za dużo pieniędzy szuka czystego miejsca, które przyniesie zyski. Rozumiesz? Na koniec i ty na tym zyskasz. Nie narób tylko bigosu z tymi prywatnymi pornosami. Miej się na baczności, bo nikt ci nie pomoże. Jak spaprzesz sprawę, palcem dla ciebie nie kiwnę, pamiętaj.

Tyrada starego, który przy zamkniętych drzwiach ciągle powtarzał, że jest jego ojcem, i który oddał go na wychowanie do rodziców zastępczych, w najmniejszym stopniu nie wyprowadziła Aurelia z równowagi. Nieraz zadawał sobie pytanie, dlaczego Lele przypomniał sobie o nim akurat wtedy, gdy on miał zdawać maturę, i dlaczego od tamtej pory go utrzymuje. Pewnego dnia może jednak pośle próbki włosów na test DNA do jednego z tych laboratoriów, które ogłaszają się w internecie. Z drugiej strony Aurelio wiódł teraz wygodne życie, więc po co miałby to wszystko kwestionować? Starego właściwie nie obchodził. Z wyjątkiem pewnych wątpliwych poruczeń, nie było trudno być chłopcem do wszystkiego – boss zwykle był poza domem. Ale mimo to Aurelio odczuwał niepokonaną potrzebę, by zniknąć stąd na zawsze. Uciec jak najdalej od tego wszystkiego, na zawsze zapomnieć o dotychczasowym życiu. Wyjechać do Australii. Albo do Nowej Zelandii. Na kraniec świata.

– A teraz przynieś mi filiżankę espresso – rozkazał Lele. – Jamaica Blue Mountain, ale porządnie zaparzoną, tak jak cię uczyłem. Albo nie, przygotuj mi Kopi Luwak. Tylko uważaj, żeby temperatura była odpowiednia. A potem zmykaj. Mam robotę.

To był jeden z nielicznych wieczorów, które Raffaele Raccaro spędzał w domu. Zwykle biegał ze spotkania na spotkanie: posiedzenia łóż i rad nadzorczych, spotkania z adwokatami i notariuszami, kolacje; zebrania, premiery w Teatro Verdi, pełnym przepychu budynku opery miejskiej, przyjęcia. Pielęgnowanie kontaktów i znajomości, wykorzystywanie dobrych stosunków. Kto chce zachować kontrolę, musi być czujny. Nawet w Trieście tylko częściowo da się powstrzymać postęp, a utrzymanie zmian pod jaką taką kontrolą jest możliwe tylko dopóty, dopóki na właściwym miejscu są

właściwi ludzie. Temu właśnie służy tkana od kilkudziesięciu lat sieć układów i zależności, która sprawnie kieruje przepływem pieniędzy. A Raffaele Raccaro nadal pozostaje zręcznym kreatorem tych powiązań, mistrzem w swoim fachu. Jego konta bankowe na tym zyskują, próżność jest zaspokojona. Mile łąchce, gdy człowiek jest przy wszystkim niezbędny, gdy go proszą, by był łaskaw użyć swoich wpływów. Panowie, wysyłani przez obywateli jako reprezentanci do Izby Deputowanych albo Senatu w Rzymie, byli grzeczni i posłuszni, walkę o władzę w ich łoży przetrwał Lele bez szwanku, zatem kluczowe pozycje w polityce i w przyszłości będą obsadzone według jego woli. Jednak ostatnio w bractwie dało się odczuć niezwykłą nerwowość, która często manifestowała się w postaci przesadnych reakcji werbalnych, a ten i ów przypuszczał, że prokuratura już od dawna prowadzi przeciwko nim dochodzenie za zamkniętymi drzwiami.

– Jeszcze jedno – powiedział Lele, który, nie odrywając wzroku od telewizora, popijał kawę. – Kto zrobił te zdjęcia?

– Kelner obsługujący piętro.

– Jesteś pewien, że nie zachował sobie żadnych dodatkowych kopii?

– Absolutnie pewien. Ma kłopot nawet z obsługą komórki. Dałem mu pięćdziesiątkę, a przy okazji mógł sobie gratis powalić konia.

– Co prawda lato się dopiero zaczyna, ale dla ciebie to koniec sezonu polowań. Koniec z brudami! Zrozumiałeś? Żadnych takich. A teraz wynocha. Jestem zajęty. – Lele wyciągnął do Aurelia rękę z pustą filiżanką po kawie.

Aurelio dobrze znał ten ton starego. Lele oczekiwał kogoś, kogo on nie powinien zobaczyć. Bez słowa zamknął za sobą drzwi, ściągnął windę i zjechał z czternastego piętra na dół. Pochodzący z lat trzydziestych wysokościowiec, o fasadzie obłożonej rdzawym klinkierem, zewnątrz nie zaliczał się do architektonicznych majstersztyków w mieście, podobnie jak budynek triesteńskiej komendy policji, od którego oddzielały go tylko ruiny rzymskiej areny. Z górnych pięter rozciągał się jednak swobodny, niczym nieograniczony widok na całe miasto i port – prawdziwe orle gniazdo, z którego można było kontrolować wszystko, by w odpowiednim momencie błyskawicznie rzucić się na ofiarę.

Zmierzchało już, gdy Aurelio wyszedł na Largo Riborgo. Obok niego przemknął radiowóz na syrenie i z kogutem. Aurelio schował się za samochodem dostawczym. Nie musiał długo czekać. Znowu jedna z tych długonogich lasek! Nacisnęła dzwonek domofonu i w chwilę potem zniknęła w holu. Kobiety, które sprowadzał Lele, wyróżniały się bujnym biustem; następnego dnia opuszczały dom z portfelem grubszym o parę banknotów.

Aurelio potajemnie robił też zdjęcia staremu. Strzegł ich jak źrenicy oka. Był jedyną osobą, która znała preferencje i upodobania Lelego.

\* \* \*

Laurenti niezadowolony rzucił słuchawkę na aparat. Doskonale wiedział, co znaczą te urywane zdania Raccara, znał to z rozmów z innymi wpływowymi osobistościami – z całą pewnością już wkrótce dostanie od kogoś z góry elegancko zawoalowaną burę za to, że niepokoił biedaka w domu. Bo przecież ludzie, którzy dobrowolnie wzięli na barki ciężar odpowiedzialności za dobro społeczeństwa, zasługują na to, by w spokoju zażywać rzadkich chwil odpoczynku. Laurenti przywykł do takich upomnień.

– Bez obawy, Raccaro – zdążył jeszcze powiedzieć, zanim stary odłożył słuchawkę. – Zobaczmy się wcześniej, niż pan przypuszcza.

Niecierpliwie zabębnił palcami w blat stołu. Jasne, że numer komendy wyświetlił się w telefonie Raccara. Przebąkiwano, że Lele ma wśród funkcjonariuszy popleczników, którzy informują go na bieżąco.

Aparat policji stanowił odzwierciedlenie społeczeństwa: jedni urzędnicy byli bliscy środowisku politycznemu Raccara, inni pojmowali swoje zadania jako bezwzględną służbę dla ochrony demokracji. Byli tu ładni i brzydki, tacy, którzy dbali o siebie, i inni, z tłustymi włosami i łupieżem; byli też bumelanci, którzy zbijali bąki, podczas gdy ich koledzy wypruwali z siebie flaki i często z własnej kieszeni pokrywali wydatki, które właściwie ponosić powinien ogół. Byli plotkarze i gaduły oraz inni, którzy nigdy nie otwierali ust, nawet wtedy, gdy było trzeba. Laurenti przypuszczał, że Lele wie, iż chodzi o jego związki z Kalabrią. Oczywiście wie też o podsłuchu na telefonach i na pewno już dawno załatwił sobie numery, których nie zna ani

prokuratura, ani policja – włoskie, słoweńskie, austriackie albo chorwackie.

– Marietta! – zawołał w stronę przedpokoju, z którego już od dłuższego czasu nie dochodził nawet najłżejszy dźwięk. – Przyślij mi Battinellogo.

Żadnej reakcji. Laurenti wstał zza biurka, wyszedł z gabinetu. Komputer Marietty był wyłączony, nie było jej torebki, za to zostawiła pełną po brzegi popielniczkę. Proteo spojrział na zegarek: do końca dnia pracy brakowało sześciu minut. Jak tak dalej pójdzie, będzie musiał poważnie porozmawiać ze swoją asystentką.

Nie pozostało mu nic innego, jak samemu zadzwonić po inspektora, który już po chwili stanął w progu.

– Siadaj. – Laurenti dla pewności rzucił okiem na drzwi, Battinelli jednak jak zwykle zamknął je za sobą. – Jest sprawa, którą mógłbyś zbadać. Ale musiałbyś na to poświęcić kilka dni urlopu.

Muskularny i wytrenowany Gilo Battinelli, z tymi swoimi niebieskimi jak morze oczami, musiał mieć normańskich przodków. Pochodził z wyspy Lampedusa, w Trieście był dopiero od trzech miesięcy, lecz sprawiał wrażenie, jakby nigdy nie chciał stąd wyjechać. Już po czterech tygodniach wyskrobał oszczędności i wziął kredyt na kupno używanej żaglówki wraz z miejscem do cumowania w marinie niewielkiego portu Grignano pod zamkiem Miramare. Od tego czasu każdą wolną chwilę spędzał na morzu, zwykle w towarzystwie jakiejś pięknej dziewczyny.

– Sprawa musi pozostać między nami, absolutnie. Za to na chwilę uwolnisz się od biurka, Gilo, w dodatku ta robota to przy okazji przyjemność.

– Zamieniam się w słuch.

Inspektor uniósł jasne brwi, które wyraziście, jak dwie kreski pociągnięte pędzlem, odcinały się od opalonej twarzy. W komendzie dzielił ciasny pokój z trzema innymi funkcjonariuszami; biurka stały tak blisko siebie, że oparcia krzeseł przytykały do blatów. Ale Battinelli w poprzednich miejscach służby poznał już gorsze warunki pracy. Dwa lata w Abruzji to była szkoła życia.

– Czy twoja żaglówka jest gotowa do wyjścia w morze? – zapytał Laurenti.

– Czyżby miał pan ochotę na mały rejs?

– Wolę pływanie. – Komisarz rzadko dawał się namówić na żeglowanie i nigdy nie wypływał na dłużej niż pół dnia. Klaustrofobia. – Łódź jest dla mnie jak więzienie. Musiałbym się nauczyć chodzić po wodzie.

– W takim razie musi pan pilnie ćwiczyć, szefie. Dla innych łódź to synonim wolności.

– Zdaje się, że twoja łupinka stoi w Grignano, prawda? – zapytał Laurenti. – To może widziałeś „Gretę Garbo”?

– Ten dwumasztowiec z lat trzydziestych z czerwonymi żaglami?

Młody inspektor był bystry, w dodatku jako jeden z niewielu potrafił pisać na klawiaturze bezwzrokowo dziesięcioma palcami, gdy tymczasem większość walała w klawisze tylko dwoma. Za to jego pismo odręczne było nie do odczytania.

– O ile wiem, ma wkrótce wypłynąć.

– Wczoraj po południu ten jacht przyjął na molo Audace pasażera. Widziałem to z Piazza Unità. To było wtedy, jak pan siedział z córką na tarasie u Harry’ego.

Laurenti nie zauważył wczoraj inspektora.

– A znasz może właściciela tego jachtu? – Proteo przypuszczał, że młody podwładny za mało jeszcze zna miasto wraz z jego układami i stosunkami, by się orientować. I że nie miał jeszcze okazji, by bliżej poznać któregoś z tych sympatycznych panów, którzy zza kulis pociągają za sznurki.

– Raffaele Raccara? – odparł inspektor. – Tak, oczywiście. Znamy się z widzenia. „Greta Garbo” cumuje trzy miejsca dalej.

– A czy on wie, kim ty jesteś?

Gilo Battinelli energicznie pokręcił głową.

– Tylko się pozdrawiamy, nic więcej. W Trieście osiemdziesiąt pięć procent produktu społecznego brutto przynosi sektor usług, no to gdzie miałbym pracować? To przecież oczywiste: ubezpieczenia albo bank. W zarządzie miasta albo we władzach regionalnych z pewnością nie, przecież obsadzają tam swoich ludzi. No więc, co mam robić?

– Obserwować. Nic więcej. Może uda ci się przy okazji zrobić kilka zdjęć, jeśli uznasz, że to konieczne. Chcę wiedzieć, kto jest na pokładzie i dokąd popłyną. Ale to tylko kilka dni, nie więcej niż trzy, twoja nieobecność

tutaj nie może się przedłużyć. To tak na wszelki wypadek, nie można wykluczyć, że Raccaro faktycznie wybiera się tylko na urlop. Ale może będzie się spotykał z jakimiś ludźmi, to właśnie mnie interesuje. Na morzu nie ma kamer monitoringu i podsłuchu.

– Jest coś na niego?

Laurenti zmarszczył czoło.

– Niewykluczone... – odparł z ociąganiem.

Ze względu na swoje pochodzenie Battinelli mógł być pomocny w sprawie. Problem uchodźców, z którym borykała się Europa Zachodnia, znał już ze swojej ojczyzny, wyspy Lampedusy, jednej z trzech Wysp Pelagijskich, leżących między Sycylią a Tunezją; przybijały tam przepełnione łodzie z Libii, z wygłodzonymi, na wpół umarłymi z pragnienia i wycieńczonymi podróżą Afrykańczykami. Zanim Laurenti wreszcie wyłożył kawę na ławę, kazał inspektorowi jeszcze raz przysiąc, że o swoim zadaniu nie powie nikomu, nawet w komendzie.

Battinelli uśmiechnął się zadowolony, tym bardziej że komisarz doradził mu, by dla kamuflażu nie wypływał sam. Wyszedłszy z gabinetu szefa, od razu na korytarzu zadzwonił do Margherity, jednej z kobiet, które szczególnie chętnie gościł na pokładzie i której mąż, jak to się często zdarzało, był właśnie w dłuższej podróży służbowej. Łódź Battinellego pływała znakomicie, nie była to zwykła łupina orzecha, jak lekceważąco nazwał ją Laurenti. Bez trudu może podążać za „Gretą Garbo”. Niepewne było jedynie to, kiedy zacznie się gra.

Laurenti nie był jednak specjalnie zadowolony. Jak zawsze, gdy w pracy zastanawiał się intensywnie nad jakąś sprawą, siedział głęboko oparty w fotelu, z na wpół przymkniętymi oczami, z nogami na biurku, wodząc spojrzeniem po górnych stopniach *teatro romano* i leżącej dalej *via Donota*, która prowadziła do wzgórza zamkowego. Tam, niby dobrzy przyjaciele, stały tuż obok siebie dwa stare budynki mieszkalne, jeden z nich wyższy o dwa piętra. Ich jasne żaluzje były zwykle spuszczone. Tak musiała kiedyś wyglądać zabudowa aż do komendy, zanim megalomańskie plany architektoniczne zmieniły to miejsce w okresie dwudziestolecia faszystowskiej dyktatury Mussoliniego. Część getta i średniowiecznego

starego miasta zastąpiono wyniosłymi budowlami. Z tego czasu pochodził również budynek, w którym dzisiaj znajdowała się komenda policji. W tamtych czasach wzniesiono go jako Casa del Fascio, siedzibę partii faszystowskiej, oraz koszary „czarnych koszul”. W całych Włoszech, jak również na obszarach okupowanych i w koloniach wschodnioafrykańskich, oportunistyczni architekci zaprojektowali wówczas ponad pięć tysięcy takich budynków. Monumentalna budowla na triesteńskiej starówce miała symbolizować rzekomą odnowę społeczną. Twierdza, znak zamknięcia przed obcymi, obrona ważnego miasta granicznego, które przygotowywało się do wojny. Kiedy do Europy wrócił pokój, budynek stał się kwaterą główną aliantów, pod których zarządem Triest pozostawał jako wolne miasto do roku 1954. Dopiero po wycofaniu się aliantów przekształcono gmach w komendę policji.

Gdy się spojrzało z okna na wschód, wzrok padał na obłożoną czerwono-brązowym klinkierem fasadę wysokościowca, z którego górnych pięter rozciągał się niczym nieprzesłonięty widok na dachy miasta i morze, aż do Istrii i laguny Grado. Ten, kto tam mieszkał, miał ogląd całości. Tak jak Raffaele Raccaro, zwany Lele.

# Podróż z aniołami

„Angel Travel Agency – rezerwacja tylko przez internet! Bez obsługi na miejscu”. Szyld nad drzwiami biura podróży w Udine był jednoznaczny. Pomieszczenie na parterze świeżo wyremontowanego budynku nie robiło dobrego wrażenia. Smętna nora, ledwie dwadzieścia metrów kwadratowych, umeblowanie nędzne i brudne. Siedział tu gruby, nieogolony mężczyzna z nieumytymi włosami. Ze zwiędłą cerą poznaczoną wielkimi porami, ze straszliwie obwisłymi policzkami przywodził na myśl parchatego doga bordoskiego. Gdy Miriam weszła do środka i pozdrowiła go nieśmiało, wyraźnie niezadowolony oderwał wzrok od monitora, ale nawet nie zdjął gęsto owłosionych łapsk z oblepionej brudem klawiatury. Znowu ktoś przeszkadza! To po kiego kazał wymalować na czerwono tę dodatkową informację na szyldzie? Biurko było zawałone papierami, stojący obok regał – zapchany katalogami i folderami operatorów turystycznych. Po oślich uszach i naddarciach można było poznać, że nie obchodzono się z nimi specjalnie łaskawie. Grubas spojrzął na Miriam w milczeniu, dając jej do zrozumienia, że nic by się nie stało, gdyby od razu zniknęła bez słowa. Jej atrakcyjny wygląd najwyraźniej nie zrobił na nim żadnego wrażenia.

Uprzejmy właściciel hotelu powiedział Miriam przy śniadaniu, że piękna pogoda utrzyma się także w następnych dniach. Nadciągnęła lekka bora, toteż niech się nie niepokoi nagłymi porywami wiatru, przebiegającego ulicę. Tak tu jest, kapryśna okolica, takich gwałtownych zjawisk pogodowych nie ma gdzie indziej – za to wiatr przegania chmury z nieba. Hotelarz pokazał jej także drogę do wypożyczalni samochodów; gdy szła nabrzeżem do świeżo odnowionego, długiego budynku spichrza przy molo IV, gwałtowne uderzenia wiatru co chwila smagały jej twarz. Powietrze było przejrzyste jak szkło i zdawało się przesuwac bliżej ku miastu północno-zachodni brzeg Zatoki Triesteńskiej, zupełnie tak, jakby odległe, a mimo to wyraziście



rysujące się na niebie potężne Dolomity, które wznosiły się na horyzoncie, napierały na morze. Mężczyzna z wypożyczalni opisał jej drogę do Udine, pokazał na mapie w komputerze via Castellana, przy której znajdowało się biuro podróży. W trzy kwadranse później Miriam zaparkowała przed dwupiętrowym budynkiem, usytuowanym między dwoma kilkupasłowymi ciągami komunikacyjnymi.

– Poszukuję Giulia Gazzy – powiedziała Miriam, już teraz wyraźnie i śmiało, po czym zamachała kopertą.

Mężczyzna uniósł brwi.

– W związku z czym?

– Chciałam mu podziękować za jego uprzejme pismo.

Facet wyciągnął rękę, pstryknął palcami, jakby mógł jej cokolwiek nakazać.

Ponieważ Miriam nie kwapiła się z podaniem dokumentu, grubas, chrząkając, podniósł się wreszcie z miejsca i rozdrażniony ruszył w jej stronę, ciężko człapiąc. Miriam nie cofnęła się nawet o milimetr. Mężczyzna nie był wysoki, a z powodu tuszy nie mógł też być zbyt szybki. Jednak sposób, w jaki się poruszał, zdradzał nieobliczalną, brutalną gwałtowność. Należał do tych, co to ni stąd, ni zowąd potrafią przyłożyć człowiekowi, i to potężnie, nie licząc się z siłą ciosu. Zatrzymał się pół metra przed Miriam, rzucił okiem na kopertę, której zawartość w takie przerażenie wprawiła Jeanette McGyver.

– Widzę to po raz pierwszy – burknął i wybałuszył oczy na jej dekolt. Wpatrywał się w nią tak, jakby chciał ją za chwilę zgwałcić, potem udusić, a następnie poćwiartować. Jego cuchnący oddech wywoływał obrzydzenie.

– Mam tu dla Gazzy odpowiedź. Bardzo obiecującą – powiedziała Miriam i wyciągnęła list od adwokata Jeanette. – Najlepiej będzie, jak to tu zostawię. Oryginał dostanie pan poleconym, a wkrótce jeszcze pismo z prokuratury. Z pewnością normalnie nie dostaje pan tylu listów.

Zanim się zorientowała, wyrwał jej pismo z ręki, rozłożył, przebiegł wzrokiem tekst. Lewy policzek drgał mu przy tym lekko, jakby po twarzy przeleciał cień złego przeczucia. Dopiero na widok kwoty, której adwokat zażądał jako sądownie ściągalne zadośćuczynienie za ból, zareagował z widoczną gwałtownością: jego oczy zapłonęły bezsilnym gniewem, dygotał

na całym ciele, jakby zaraz miano go wziąć na tortury. Nagle cofnął się o pół kroku i wreszcie spojrzął jej w oczy.

– Kim pani jest? – zapytał w końcu, teraz już bardzo niepewnym głosem.  
– Czego pani ode mnie chce?

Miriam wyciągnęła zakupiony w kiosku dworcowym dziennik „The Independent”, podsunęła mu stronę tytułową, ukazującą skąpo odzianą Jeanette McGyver, którą przedstawiono jako ofiarę perfidnej próby szantażu ze strony bandy włoskich kryminalistów. W podtytule widniało wyraźnie: Giulio Gazza.

– Niech pan to spokojnie przeczyta – fuknęła. Okrążyła tłuściocha, taksując go wzrokiem. – Co prawda nie wiem, w jaki sposób wyciśnie pan z tej budy taką sumę, ale może pan być pewien, że adwokaci nie spoczną, póki nie zostanie zapłacona co do centa. Tym razem pan i ten żigolak źle wybraliście ofiarę. Niech pan się liczy z najgorszym. Gdy tylko zawiadomienie o szantażu wpłynie do prokuratury, przewrócą tu wszystko do góry nogami. Założę się, że wyjdą też na światło dzienne przypadki innych kobiet, które obaj szantażujecie, pan i ten kutafon. Może pan nieco polepszyć swoją sytuację, jeśli pan powie, kto to jest, ten facet na zdjęciu. Nazywa się Aurelio. Gdzie teraz przebywa? Nawiasem mówiąc, także tutejsza prasa otrzymała ten artykuł. Znajdzie się pan na pierwszych stronach gazet, *signore*.

Grubas nadal wpatrywał się w nią bez ruchu. Pot spływał mu po czole i policzkach i nikał w niechlujnej brodzie. Jego twarz błyszczała jak poleć słońcy. Dopiero co czerwona, jak u nadciśnieniowców, gwałtownie zmieniła kolor, zbladła, spopieliała. Bez słowa patrzył, jak Miriam z leżącego na biurku portfela ostrożnie wyciąga jego dowód tożsamości, otwiera i fotografuje ze wszystkich stron. Teraz już nie mógł udawać, że jest kimś innym.

– Niech pani usiądzie – wyjąkał, trochę się pozbierawszy. – Ja nie mam z tym nic wspólnego. Kiedy to pani dostała?

– Do pani McGyver przyszło w piątek. Dzisiaj mamy wtorek. Jak pan widzi, działamy szybko.

– Ja tego nie wysłałem. Nikogo nie szantażuję.

– Może pan te bajki opowiadać komu innemu – odparła Miriam. Nie przyszła tu, żeby pertraktować. I nie usiadłaby, nawet gdyby w pomieszczeniu stało drugie krzesło. Ta buda chyba nigdy nie oglądała sprzątaczkę. – Kto to jest, ten typ na fotografii?

Gazza powoli uniósł ramiona.

– Nie znam go. Ktoś musiał użyć mojego adresu. Niech pani zapyta w firmie kurierskiej, kto nadał list.

– Został oddany do analizy odcisków palców. To bardziej wiarygodne.

– A kim pani jest, do diabła? Ktoś się posłużył moim nazwiskiem! Ja sam jestem ofiarą!

– A ja jestem Michelle Obama. No, dalej: kto to jest, ten typek? I kim jest przedsiębiorca z Triestu, dla którego on pracuje?

Miriam sięgnęła po jego komórkę, Gazza wykonał ruch, jakby chciał jej przeszkodzić, ale zaraz zrezygnował. Siedział obojętnie. Miriam wybrała numer żigolaka, podyktowany jej przez Jeanette. Nie było go na liście kontaktów w brudnym aparacie Gazzy. Trzymając urządzenie daleko od ucha, słuchała, jak automatyczna sekretarka melduje, że abonent jest niedostępny. Potem z odrazą odłożyła aparat. Prawdopodobnie ten numer podał tylko Jeanette i innym kobietom, którym sięgał najpierw pod spódnicę, a potem do portfela. Trzeba to sprawdzić.

– Pomogę pani, jak tylko będę mógł. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– Gazza opadł na krzesło przy biurku, obiema rękami wepchnął brzuszysko między podłokietniki. – Pani ma angielski akcent. Czy to dla pani rezerwowałem hotel w Trieście?

Miriam lekko się uśmiechnęła.

– Podoba się pani? Jest pani zadowolona z tego miejsca? – próbował się przymilać, ale nadaremnie.

– O tak, jest bardzo elegancko – odparła Miriam ostrym tonem. – I czysto – dorzuciła uszczypliwie, omiótłszy wzrokiem pomieszczenie. – Ale pan mi powie, kim jest ten Aurelio i gdzie go mogę znaleźć. Ma pan czas do jutra. I niech pan nie próbuje sztuczek, bo wtedy zamiast mnie zjawi się tu ktoś inny i rozpirzy nie tylko tę budę. Ja nie żartuję: obawiam się o pańskie bezpieczeństwo. Drugiego ostrzeżenia nie będzie.

Wyszła bez pożegnania, wsiadła do wynajętego samochodu i odjechała. W lusterku wstecznym dostrzegła jeszcze, że Gazza chyba podnosi do ucha słuchawkę telefonu. Ona także wyjęła komórkę. Wybrała numer Jeanette.

\* \* \*

Czego się nie robi dla przyjaciółki! Zaledwie przed dwoma dniami Miriam w ulewnym deszczu śpieszyła z przystanku Covent Garden do „Scoopa”, eleganckiej lodziarni i kawiarni przy Short’s Gardens, gdzie umówiła się z Jeanette, by przekazać jej trzy wyretuszowane zdjęcia. Czekać na przyjaciółkę, usiadła przy jednym z nielicznych stolików, i leniwie mieszając cukier w espresso, w roztargnieniu przerzucała strony „The Economist”. Aż natrafiła na długi artykuł o włoskiej kulturze picia kawy, którego autor twierdził, że najlepszą pije się nie w Mediolanie, jak głosi obiegowa opinia, lecz w Trieście, gdzie ponadto przeciętne roczne spożycie kawy, które wynosi tysiąc pięćset filiżanek espresso na głowę, jest ponad dwa razy wyższe niż w pozostałej części kraju. Dalej napisano, że Triest uchodzi za największy port kawowy w obszarze Morza Śródziemnego, towar stamtąd trafia zarówno na londyńską giełdę terminową, jak i na giełdę w Nowym Jorku. Wokół portu skupione są przedsiębiorstwa związane z handlem kawą: importerzy surowca, prażalnie, wytwórcy ekspresów do kawy, spedytorzy i ubezpieczyciele; jest w Trieście nawet Uniwersytet Kawy. W dodatku brytyjscy konsulowie, Charles Lever i Richard Francis Burton, dwaj znaczący XIX-wieczni autorzy, stworzyli większość swoich dzieł właśnie w najbardziej na północ wysuniętym porcie śródziemnomorskim – nie mówiąc już o Jamesie Joysie, który po roku 1904 mieszkał w Trieście przez jedenaście lat i tam też napisał pierwsze rozdziały *Ulissesa*. Miriam pomyślała, że to coś w sam raz dla niej – kawa, wyjdzie z tego niezły artykuł. Teraz była już pewna, że pojedzie do Włoch. I ktoś jej tę podróż opłaci! Koszty pokryje któryś z magazynów turystycznych – łatwo skusi ich perspektywą napisania artykułu o Trieście. Gdy Jeanette, zmęczona i jak zwykle wyrzekająca na brak czasu i stres, wbiegła do lokalu w kostiumie koloru lodów malinowych, wystawionych w przeszklonym barku kawiarni, Miriam zdążyła właśnie zabukować sobie lot iPhone’em. Hotel poleciło jej i zarezerwowało przez internet to samo biuro podróży w Udine, które

firmowało nadawcę fotografii użytych do szantażu. Miriam zamierzała zostać w Trieście przez tydzień, to dość czasu, by nawiązać kontakt z wiadomymi osobami i dokładniej im się przyjrzeć.

– Cholernie dobra robota, naprawdę – powiedziała Jeanette z ulgą i wsunęła fotografie z powrotem do koperty. – Kto to zrobił?

– Moja córka. Candace jest mistrzynią w obróbce fotografii. I nie zadaje niedyskretnych pytań. Tu są oryginały, dobrze ich strzeż! Candace dokładnie wyczyściła wszystkie dane z komputera, możesz jej zaufać. A co z dziennikarzem?

– Umówiłam się na lunch z Billem Madisonem z „Independenta”. Mam z nim dobre układy; często podsyłam mu informacje; od razu zgodził się na spotkanie.

– Ja natomiast zamierzam osobiście przekonać się o walorach twojego kochanka. Lecę już jutro. Jedenasta dziesiąt ze Stansted.

– Co chcesz zrobić?! – wykrzyknęła Jeanette przerażona.

– Ależ nie musisz być zazdrosna! Żartowałam! – uspokoiła ją Miriam. Lecz Jeanette jeszcze przez dobrą chwilę wpatrywała się w nią zdrętwiała z przestraszu. – Jadę, żeby napisać reportaż z podróży do interesującego zakątka Włoch. A przy okazji obejrzę sobie owych panów. Bardzo jestem ciekawa, jak zareaguje ten typ, gdy podsunę mu pod nos nasze obrobione zdjęcia i artykuł, który napisze Madison. Przypuszczam, że tekst ukaże się już jutro. To nie lada gratka, wydrukują od razu. A właściwie kto jest twoim adwokatem?

Jeanette spojrzała na nią zdumiona.

– Jeremy Jones z kancelarii Beckett, Joyce, Plath, Stein & Woolf. Czemu pytasz?

Miriam uniosła brwi.

– Ciężki kaliber! Co byś powiedziała na to, żeby Jones złożył pozew z żądaniem zadośćuczynienia za wyrządzoną krzywdę? Niech zażąda naprawdę dużej sumy. Jeśli da radę do jutra rana, zabiorę ze sobą kopię. Jak facet to zobaczy, od razu wpadnie w panikę. A i dla prasy to dobrze, jak od razu wkrocysz na drogę sądową przeciwko tym typom. Wtedy wszystko wygląda bardziej wiarygodnie. Ludzie będą podziwiać twoją odwagę. To

lepsze niż kampania wyborcza made by Saatchi & Saatchi.

Jeanette wybrała już numer, kazała się połączyć z adwokatem, żeby uzgodnić termin spotkania na popołudnie.

– Dostaniesz to pismo, nawet jeśli bym musiała jutro posłać na lotnisko kierowcę.

– Właściwie to mógłby mnie od razu zabrać, jak myślisz?

– Co ja bym bez ciebie zrobiła! – Jeanette McGyver cmoknęła przyjaciółkę w policzek i zaraz wybiegła, powiewając połami płaszcza, spod których połyskiwały łydki obciążone jasnymi, kryjącymi nylonami. Jej pantofle na wysokich obcasach miały malinowy kolor, podobnie jak pomadka na wargach, torebka, no i zapięty wysoko pod szyję kostium. Jeszcze w drzwiach Jeanette uniosła w górę rękę, aby przywołać taksówkę.

\* \* \*

W dniu wyjazdu Londyn nadal był szary i deszczowy, wydawało się, że w tym roku na Wyspach Brytyjskich lato nie zagości. Miriam pojechała metrem na stację kolejową Liverpool Street, gdzie przesiadła się na pociąg Stansted Express. Upłynęła jeszcze godzina, nim mogła ruchomymi chodnikami lotniska ruszyć do terminalu, aby nadać bagaż i wreszcie przejść przez kontrolę paszportową, gdzie jak zwykle nieco dłużej niż innym podróżnym przyglądał jej się funkcjonariusz straży granicznej. Chociaż w metropolii mieszkały miliony osób, których przodkowie nie byli jasnowłosymi Brytami, wielu urzędników spoglądało ostrzejszym wzrokiem na ludzi o ciemnej skórze. Szczególnie od czasu, gdy standardy bezpieczeństwa na całym świecie zaczęli dyktować Amerykanie. W imię wolności. Niezależnie od koloru skóry aktualnego prezydenta. Obywatelstwo od dawna o niczym nie stanowiło, a już na pewno nie wtedy, jeśli miejsce urodzenia leżało na innym kontynencie.

W hali odlotów Miriam przyglądała się ludziom, którzy mieli wraz z nią wsiąść do samolotu. Pełny przekrój: od turysty z plecakiem po faceta w garniturze i pod krawatem; kilka osób o azjatyckich rysach skracało sobie czas oczekiwania lekturą fachowej literatury z dziedziny fizyki, były kobiety w chustach, czadorach. Coraz też dolatywały jej uszu jakieś słowiańskie słowa. Z pewnością szybko uruchomi swój włoski, jeden dzień wystarczy,

w końcu ojciec w dzieciństwie rozmawiał z nią wyłącznie w tym języku. On też nauczył się włoskiego od ojca, a Miriam z kolei próbowała przekazać znajomość tego języka córce.

Serce zabiło jej mocniej, gdy po dwugodzinnym locie maszyna zatoczyła pętlę nad zalaną słońcem laguną Grado; przy podchodzeniu do lądowania mogła objąć wzrokiem całe strome wybrzeże Triestu. Komunikat pilota przypominał pasażerom, żeby przestawili zegarki o godzinę do przodu. Temperatura na zewnątrz wynosiła dwadzieścia dziewięć stopni, a prognozy zapowiadały stabilną pogodę. Po długiej jeździe przez mokry od deszczu Londyn i pełnym turbulencji locie nad Alpami Miriam niezbyt miło zaskoczyła wiadomość, że ostatnie metry z samolotu do terminalu niewielkiego triesteńskiego lotniska trzeba przejść pieszo, w pełnym słońcu. A potem minęło jeszcze dobre pół godziny, zanim ruszył taśmociąg z bagażami. Podjechała taksówka, pojemne białe kombi, uprzedzając grzeczny kierowca wziął walizki Miriam. Kiedy wsiadała, jej spojrzenie padło na książkę leżącą na siedzeniu obok szofera: biografia duce. Na okładce Benito Mussolini z ręką wyciągniętą w rzymskim pozdrowieniu. Musiała dwa razy powtórzyć adres, jej wymowa jeszcze szwankowała. Mężczyzna zapytał uprzejmie, skąd pochodzi, a gdy powiedziała, że z Londynu, z powątpiewaniem spojrzął we wsteczne lusterko.

– A gdzie nauczyła się pani włoskiego? – zapytał, gdy skręcił na autostradę i przy bramce kupował bilet.

– Mój dziadek był Włochem – odparła.

– Ach, taak? – Kierowca znowu spojrzął w lusterko.

– Wprawdzie mieszkam w Londynie, ale urodziłam się w Etiopii – wyjaśniła. – Dziadek był żołnierzem.

– No tak, nasze kolonie. – Mężczyzna odchrząknął.

Miriam nie usłyszała uwagi kierowcy: kiedy samochód skręcił na nadmorską Strada Costiera, którą wykuto wysoko w stromo opadającej jasnoszarej skale, ujrzała przed sobą szerokie, otwarte morze: Zatoka Triesteńska! Fantastyczny widok naprawdę zapierał dech w piersiach. Na zawsze zapamięta to miejsce. Powietrze było przejrzyste jak szkło, południowe słońce promieniało, błękit wody był ciemny jak nocne niebo

w pełni lata. Podmuchy wiatru tu i tam wzbijały grzywy piany, w innych miejscach powierzchnię morza znaczyły żebrowane wzory i desenie. W odległości pół mili od brzegu widniały długie rzędy zakotwiczonych boi – hodowle małży. Zbiór prowadzony był z dwóch łodzi, na których mężczyźni w żółtych nieprzemakalnych ubraniach krzatali się przy taśmociągach. Tuż za tunelem wykutym w szarej skale taksówkarz musiał nagle zahamować: po ulicy biegali jacyś ludzie, na poboczu stało mnóstwo ciężarówek.

– To znowu ci z filmu. W Trieście coraz więcej się kręci, miejmy nadzieję, że chociaż sprowadzi to turystów. A jak dzisiaj mówią o nas w Etiopii? Wtedy wnieśliśmy tam dużo dobrego. No, ale potem była wojna.

– Nie wiem, za długo już jestem w Anglii – odparła Miriam wymijająco. Dobrze znała historię swojego kraju, Włosi mieli na sumieniu setki tysięcy Etiopczyków. Ten taksówkarz albo nie miał o tym pojęcia, albo należał do tych, którzy gloryfikowali faszyzm.

– A jak pani dziadek miał na nazwisko?

– Natisone – odparła Miriam z pewnym wahaniem.

I znowu zdumione spojrzenie mężczyzny we wstecznym lusterku.

– Natisone, naprawdę?

– Przecież mówię. Co w tym dziwnego?

– W formie nazwiska tego nie znałem, ale niedaleko stąd jest niewielka rzeczka, która się tak nazywa. Tam dalej, we Friuli. Może pani dziadek stamtąd pochodził?

Miriam była zaskoczona.

– Raczej już się tego nie dowiem. Moi rodzice dawno nie żyją.

– A dziadek nie wrócił tutaj z Abisynii?

– Nie. Został z żoną i dziećmi.

– Hmm... – Taksówkarz milczał przez chwilę. Potem zapytał: – A jest pani całkiem pewna, że zawsze nazywał się Natisone? Od urodzenia?

– A jak miał się nazywać? – mruknęła Miriam i spojrzała na morze. Kiedyś już gdzieś przeczytała, że poza partyzantami, którzy przyłączyli się do etiopskich rebeliantów, tożsamość zmieniali także niektórzy włoscy żołnierze. Z dwóch powodów: by uniknąć kary za to, że sprzeniewierzyli się faszystowskiemu prawom rasowym, wiążąc się z Afrykankami, albo dlatego, że



we Włoszech czekały na ich powrót całe rodziny. Po przegranej z Anglikami niektórzy z nich zostali w Etiopii. Nigdy nie pomyślała, że i jej dziadek mógł zmienić nazwisko.

Sympatyczny kierowca jeszcze raz rzucił jej w lusterku zdumione spojrzenie, gdy na pytanie, po co przyjechała do Triestu, odparła, że będzie pisać reportaż z podróży dla „Travellera”: Triest i kawa. Najwyraźniej nie bardzo wiedział, co myśleć o tej atrakcyjnej kobiecie w markowych ciuchach, z elegancką torebką i z tlenionym językiem na głowie.

– Niech pani uważa: tu wszystko wygląda inaczej, niż się z pozoru wydaje. Szybko się pani przekona – powiedział jeszcze, gdy zajeżdżali na parking.

Wysadził ją przed „Grand Hotelem” przy wielkim placu, Piazza Unità d’Italia, i nawet zaniósł do recepcji jej bagaż. Oba okna pokoju Miriam otwierały się na plac – podobało jej się tutaj. Spojrzawszy na plan miasta, stwierdziła, że biuro informacji turystycznej znajduje się tuż obok, w budynku ratusza. Umówiła się tam za pół godziny z uprzejmą panią, której telefonicznie przedstawiła swoje plany. Kobieta zaoferowała Miriam, że umówi ją na spotkania z importerami kawy i właścicielami prażalni. A także wskaże jej kilka kawiarni, które koniecznie powinna odwiedzić, jeśli chce napisać dobry reportaż. Miriam pomyślała, że zapyta kobietę w informacji także o rzekę we Friuli, której nazwa brzmi tak jak nazwisko jej rodziny: Natisone.

## Do dzieła!

„Międzynarodowy spisek: sfingowana seksafera”. „Deputowana do parlamentu brytyjskiego w pornopułapce”. „Kłamstwo fotograficzne narzędziem szantażu”. Cała miejscowa prasa zamieściła wiadomość tłustymi literami na pierwszych stronach – sensacja w wielkim nakładzie. Poprzedniego dnia do lokalnych, cierpiących na braki kadrowe redakcji kurierem spłynęło po południu pismo z londyńskiej kancelarii adwokackiej o niemiłosiernie długiej nazwie. Do pisma dołączony był egzemplarz artykułu z „The Independent”, a internetowe poszukiwania przeprowadzone przez dziennikarzy wykazały, że artykuł faktycznie ukazał się w dzienniku. Gdy nie udało się dotrzeć do Giulia Gazy i uzyskać od niego oświadczenia, przy czym ani w komendzie, ani w prokuraturze nic nie wiadano o sprawie, dziennikarze podali wiadomość z grubsza za brytyjskimi kolegami, dodając co nieco lokalnego kolorytu: wyrażano obawy o konsekwencje dla branży turystycznej, która już i tak ucierpiała wskutek kryzysu, oraz rozważano, czy incydent nie spowoduje napięcia w stosunkach dyplomatycznych: prestiż Włoch został mocno osłabiony właśnie przez prasę angielską, odkąd tamtejsze bulwarówki zaczęły z voyeurystyczną niemal lubością donosić o eskapadach włoskiego premiera. Ponadto owa kancelaria adwokacka była jedną z najpotężniejszych w Wielkiej Brytanii i wygrała już niejedną międzynarodową bitwę. Jednak personalia podejrzanego, ujawnione przez prasę angielską, podano tylko jako inicjały: G.G., a na rozmazanym zdjęciu oczy mężczyzny były zakryte czarnym paskiem. Obok widniała wyretuszowana fotografia z „The Independent”. Młody, wysmukły mężczyzna ukazany był jednak wyraźnie z półprofilu.

– Marietta! – zawołał Laurenti i podsunął asystentce gazetę. – Tego to przecież znamy!

Wskazał na fotografię mężczyzny z paskiem na oczach.

Marietta najwyraźniej nie czytała jeszcze prasy, szybko przeleciała

wzrokiem tekst.

– To Gazza, stały klient. Pamiętasz go?

– Pewnie. Osiem lat temu, w zimie, bez skutku próbowałeś coś z niego wydusić – powiedziała Marietta, pociągając nosem; twarz miała szarą. – Pijacka burda ze skutkiem śmiertelnym. W barze na via Rosetti, naprzeciwko Liceo Petrarca. Żaden z uczestników nie puścił pary z ust, wszyscy jednogłośnie przypisali winę zmarłemu. Skończyło się na wyrokach w zawieszeniu. Chłopaki od przestępstw przeciwko mieniu znają tego typka lepiej. O ile sobie przypominam, był już wielokrotnie karany, przeważnie za oszustwa. Ale zbyt lotny to on nie jest.

Marietta tego ranka zjawiała się w biurze późno, wyglądała strasznie. Oczy zapuchnięte, jakby całą noc płakała, włosy w nieładzie. Od trzech dni przychodziła w tej samej bluzce. Na pełne troski pytanie Laurentiego, czy dobrze się czuje, milcząco utkwiała wzrok w ekranie monitora. Co też ten biały Bobo z nią wczoraj wyczyniał?

– Sądziś, że potrafiłby zainscenizować coś takiego? – pytał dalej.

– Zawsze wszystko obraca się przeciwko nam, kobietom. – Marietta wysoko podniosła głowę. – To nie do zniesienia. Wszystko się teraz kręci wokół seksu.

– No, no, Marietta! A to coś nowego! Jeśli idzie o to, mało kto tutaj zaliczył tyle trafień co ty. Co się z tobą dzieje?

Jak dotąd, Marietta faktycznie czerpała z życia pełnymi garściami, bez trudu umiała poderwać każdego faceta, na jakiego miała ochotę. Tak było jeszcze trzy miesiące temu. A teraz nie chodziła już nawet nad morze, gdzie normalnie latem spędzała każdą wolną minutę na plaży dla nudystów, poniżej klifu. Mimo wspaniałej pogody do tej pory unikała słońca, a widywano ją tylko w towarzystwie tego szaraczka, o którym szeptano, że jest gryziopiórkiem w archiwum państwowym.

– A mężczyźni, co biorą się za kobiety, które mogłyby być ich córkami, to już naprawdę dno.

– Kogo masz na myśli?

– Na przykład starego Galvana z jego Rosjanką – powiedziała matowym głosem i wyszła, ostrożnie zamykając za sobą drzwi.

Laurenti nie zdążył się nawet zdziwić uszczypliwą uwagą Marietty, gdyż zaraz rozległo się energiczne pukanie i z aktówką pod pachą weszła Pina Cardareto, by zdać raport z tego, czego się dowiedziała o wyłowionym topielcu.

– Na ogłoszenie w gazecie nikt się jeszcze nie zgłosił, ale właśnie nadeszła wiadomość od kolegów z Niemiec. Harald Birken – tak wymawiała Pina nazwisko „Bierchen” – to szycha w jednej ze stacji telewizyjnych. Dyrektor działu *fiction*. Urodzony w roku 1955, żonaty, dwoje dzieci, niekarany. Rodzinę we Frankfurcie już zawiadomiono. Zdaje się, że podróżował sam. W jego portfelu było trzy tysiące i trzysta dziesięć euro, w banknotach, przeważnie w pięćsetkach, i dwa euro dziesięć w monetach, w prawej kieszeni spodni. A to kluczyki do jego samochodu. – Pina położyła na biurku Laurentiego wydruk komputerowy zdjęcia kluczyków. – Jeszcze go nie znaleźliśmy.

Emblemat przy kluczykach przywodził na myśl skażoną mozzarellę, która w chwili otwarcia opakowania przybiera błękitny kolor bawarskiego nieba.

– Ale znamy numery rejestracyjne, typ i kolor – mówiła dalej. – To białe bmw X6M, cena katalogowa ponad sto tysięcy.

– Prawdziwy czołg.

– Gość miał przy sobie dwa próżniowo zamykane woreczki, zawartość poszła do analizy. Odciski palców należą do denata i jeszcze jakiejś osoby, nie mamy jej w bazie. A tu są kopie notatek, którymi były wypchane kieszenie jego spodni.

Na biurko Laurentiego jak w zwolnionym tempie spadło dwadzieścia kartek, jedna po drugiej. Trudne do odcyfrowania bazgroły. Ogonki liter bardzo mocno pociągnięte w dół, ledwie zaznaczone samogłoski i nawet na kopiach dało się rozpoznać, że piszący bardzo mocno przyciskał długopis, ciasno pisał litery; inne notatki z kolei kreślił powierzchownie, ledwie przyciskając ołówek, za to pismo było zamaszyste, szerokie. Psycholog miałby wspaniałą zabawę, a grafolog łatwe zadanie. O ile Laurenti potrafił interpretować pismo, musiała to być osoba nieopanowana, ktoś, kogo figę obchodziło, czy inni będą mieli kłopot z odczytaniem takich bazgrołów.

– Nawet gdyby to było po włosku, to do odcyfrowania tych gryzmołów trzeba by się uzbroić w nieskończoną cierpliwość – powiedział Laurenti i rzucił kartki z powrotem na blat.

– Niekoniecznie. Wystarczy wiedzieć, jak się zabrać do rzeczy – rzuciła inspektor, uśmiechając się szeroko. – To głównie notatki o aktorkach i zapiski dotyczące aktualnego planu filmowego. Na przykład tu, że poskarży się Raccarowi na kierownika planu, gdyż ten miał powiedzieć, że nie można w kółko prosić urzędów o nowe pozwolenia na kręcenie. I że uprzejmością można działać więcej. No i że trzeba się liczyć z nerwami innych. A tu zapisał: „Strój wieczorowy odtwórczyni roli głównej zbyt sexy, nie spodoba się naszej żeńskiej widowni”.

– Coś takiego! Ale właściwie od kiedy zna pani niemiecki, Pino?

– Żona naszego lekarza sądowego jest farmaceutką i pochodzi z...

– Dobra robota! Ale do prokuratury potrzebne będzie tłumaczenie urzędowe.

Funkcjonariuszka pogrzebała w papierach i wyciągnęła kartkę.

– Ta tutaj jest bardziej interesująca. Proszę spojrzeć, komisarzy: „AFI”. Trzy razy podkreślone. A potem: „20 000 €”. Datowane na dzień przedtem, zanim wyłowiono go z morza. Godzina szesnasta.

– Zatem Zerial prawidłowo oszacował czas zgonu. Gość był krótko w wodzie. Ale co to, u diabła, jest AFI? Czy i to już pani rozpracowała?

W tej chwili zadzwonił telefon. Laurenti rozpoznał numer na wyświetlaczu, kątem oka zobaczył, jak Pina Cardareto kręci przecząco głową.

– Miał pan już w ręku dzisiejsze gazety, *commissario* ? – zapytała prokurator. – Proszę, niech pan do mnie zajrzy, mam tu przed sobą doniesienie z Londynu. Chciałabym omówić to z panem osobiście. Delikatna sprawa. O jedenastej, jeśli to możliwe. Tylko dziesięć minut, *arrivederci, commissario*.

Laurenti głęboko wciągnął powietrze. Oby tylko Iva Volpini nie zechciała wlepić mu tej sprawy z brytyjską deputowaną. On ma przecież teraz ważniejsze rzeczy na głowie.

– AFI... – powtórzył. – Skrót. Od czego? Inicjały? Firma, instytucja?

Niech pani to rozpracuje, Pino.

Rzucił okiem na zegarek.

– A co o naszym U-boocie mówi lekarz sądowy? – zapytał wreszcie.

– Jak zwykle odmawia informacji, dopóki nie skończy sekcji. Nic na to nie poradzimy.

– Pino, a czy widziała pani dzisiaj morze? Co za widowisko! Słodki nurt Isonzo przyniósł mnóstwo materiału: pnie drzew, konary, wszystko. Kto wie, co tam jeszcze jest w wodzie. Trzeba by popłynąć w stronę Grado. Niech pani poprosi o pomoc straż wybrzeża i najlepiej sama też weźmie łódź od policji wodnej. Niech ktoś pani wyjaśni, jak tam przepływają prądy. A, i proszę przekazać komisariatowi w Monfalcone, żeby przeszukali parkingi wzdłuż plaż i nabrzeży, niech sprawdzą, czy nie ma tego bmw. Założę się, że facet właśnie tam poszedł pod wodę.

– Albo ktoś mu w tym pomógł – zauważyła Pina.

Pina Cardareto nieraz z podziwem myślała o instynkcie komisarza – nie wszystko dało się wywnioskować z analiz laboratoryjnych. Współpraca ze śledczym, który nie okazywał lęku przed zwierzchnością i który w razie potrzeby nie cofał się przed naginaniem reguł aparatu bezpieczeństwa, miała swoje zalety.

Ale teraz zapytała z wahaniem:

– Czy to konieczne? Proszę, niech pan pośle kogoś innego.

Pina nigdy nie robiła tajemnicy z tego, że nie cierpi sportów wodnych. Za każdym razem, kiedy obowiązki służbowe wymagały, aby wsiadła do łodzi, kurczowo trzymała się relingu i, zielona na twarzy, modliła się w duchu, żeby ta straszliwa wyprawa skończyła się jak najszybciej. Rejs do Grado i z powrotem, którego wymaga od niej Laurenti, będzie dla niej okropnym przeżyciem, zwłaszcza że te morsy z policji wodnej uwielbiają wyciskać całą moc ze swoich motorówek.

– Płynie ten, kto zajmuje się sprawą, inspektor Cardareto. Jakoś to pani przeżyje. Coś jeszcze?

Laurenti odsunął na bok gazety, żeby zrobić miejsce dla akt.

Do jedenastej brakowało trzech minut, a do Pałacu Sprawiedliwości miał jeszcze ledwie dwieście metrów, gdy na via del Coroneo z baru „Basso” jak pocisk wyleciał Galvano z utykającym czarnym psem na smyczy, z gazetą pod pachą, i złapał komisarza za ramię. Zupełnie jakby go śledził. Przymusowo przeniesiony w stan spoczynku doktor ostatnimi czasy często pokazywał się w tym małym barze, w którym serwowano wyłącznie specjalności regionalne, poczynając od kawy, piwa i wina, a na szynce i serze kończąc – wódki, campari czy coli nie można było tu zamówić. Laurenti spojrział przez ramię starego lekarza i zobaczył, jak jasnowłosa Rosjanka przy barze jednym haustem opróżnia kieliszek wina, po czym, wyrzucając z siebie potok słów, toczących się jak kamyczki, zamawia u barmana dolewkę. Zatem stary znowu jest pod dozorem.

– Wszystko to bzdury, *commissario*! Żaden z niego superman, to tylko podliftingowany starzec! – Galvano wymachiwał mu przed oczami gazetą, otwartą na stronie ukazującej wielki konterfekt premiera, a obok zdjęcie call-girl z Apulii, blondynki o niemal męskich rysach twarzy. – Te wszystkie seksprzygody to przecież inscenizacja! – wrzeszczał osiemdziesięciopięciolatek, zapluwając się, zupełnie jakby nie był w Trieście, tylko w *speaker's corner* w londyńskim Hyde Parku.

Dwie starsze panie, które właśnie zrobiły zakupy obiadowe w sklepach rybnych i delikatesach przy Largo Piave, obejrzały się z zaciekawieniem. Chociaż przystanęły niecały metr od Galvana, ten zdawał się wcale ich nie dostrzegać. Kobiety postawiły torby z zakupami na trotuarze, całkiem blokując przejście. Czarny kundel Galvana niepostrzeżenie zabrał się do obwąchiwania jednej z toreb.

– Coraz to jakaś historia z babami! Myślisz, że on naprawdę jest taki dobry w łóżku, jak napisali w protokołach z przesłuchań?! W jego wieku?! I że naprawdę udało mu się wyrwać tę osiemnastoletnią blondynkę, która w dodatku publicznie bezwstydnie nazywa go papciem!

Galvano zachryplł od wrzasku, który przyciągnął też innych gapiów. Tymczasem zmierzwiony łeb jego psa już cały tkwił w torbie z zakupami.

– Trochę racji to on ma, ten stary zrzęda – powiedziała jedna z dwóch pań, ta z jasnymi włosami związanymi w koński ogon. – To zatrwazające, ile

kobiet pragnie choć raz liźnąć władzy.

– Co ten stary tak gardłuje – burknął jeden z gapiów, mężczyzna w zielonej czapce bejsbolowej i z zieloną chusteczką w butonierce; był niewiele młodszy od byłego patologa sądowego. – Wy, komuniści, jesteście o wiele gorsi! – wykrzyknął. – Teraz wreszcie wraca tu porządek i prawo!

– Nie wiesz, co gadasz, Bimbo! – wydarł się na niego Galvano. – On chce przecież tylko odwrócić uwagę od swoich korupcyjnych powiązań! I od tego, że skazali angielskiego adwokata, który swoimi fałszywymi zeznaniami za sześćset tysięcy dolarów uratował mu tyłek przed sądem; no i od powiązań z mocami piekielnymi, z mafią i camorra.

Laurenti próbował się wyrwać, charakter pracy wymagał od niego, by na forum publicznym całkowicie wystrzegął się polityki. Jednak Galvano ani myślał się odczepić, jeszcze mocniej ścisnął jego ramię i przyciągnął go do siebie.

– Ma genialnych doradców od reklamy i jest dobrym mówcą – wtrąciła druga emerytka. – Inni muszą się tego dopiero nauczyć.

– To jego aptekarz jest geniuszem, naiwna kobieto! – Galvano chwycił się za głowę. – Nie wiercie, że ten facet sam z siebie jeszcze...

– Tak czy owak, ten człowiek może być wzorem. To ktoś, kto się stara, poświęca dla swojego kraju – wkroczyła do dyskusji dama z końskim ogonem. – Zrozumiałe, że od czasu do czasu potrzebuje trochę odprężenia. Jednak to jego sprawy prywatne. Niech go pan zostawi w spokoju. Jest pan po prostu zazdrosny.

– Miejmy nadzieję, że te młode stworzenia przynajmniej dobrze się zabezpieczają – parsknęła druga. – Wyobraź sobie, że noworodki wyglądałyby wszystkie tak jak on!

– Niemowlaki też mają na głowie mało włosów! – Nagle z lokalu wyskoczyła Raisa, zazdrośnie stanęła przed Galvanem, ten drugi kieliszek wina musiała chyba wychylić jeszcze szybciej. – Zazdrosny! Dobrze sobie! Mój mąż jest znanym lekarzem. Wie, o czym mówi!

– Właśnie! I dlatego nie kupuję tych jego przygód miłosnych. – Galvano gwałtownym szarpnięciem wyciągnął łeb psa z torby z zakupami. Z pyska zwierzaka wystawał rybi ogon; pies z zadowoleniem oblizywał wargi. –



Tylko patrzeć, jak w domach starców zaczną urządzać sekspartty, bo będą mu się starali dorównać. Ładna perspektywa! Triest już teraz wyróżnia się najwyższą we Włoszech konsumpcją viagry na głowę.

– I według statystyk także najniższą średnią wieku dziewcząt z pierwszymi doświadczeniami seksualnymi – powiedział Laurenti, próbując się uwolnić. – Miejmy nadzieję, że te sprawy nie wiążą się ze sobą.

– Ach, co też pan! – wtrąciła Raisa swoim ostrym akcentem. – Starcy obmacują co najwyżej ukraińskie pielęgniarke. Za drobną dopłatą, oczywiście. Pięć euro za tyłek przy ścieleniu łóżka; a dziesięć za piersi, gdy leżącym wyciągają spod dupy basen.

Galvano oniemiał. Puścił Laurentiego, gwałtownie szarpnął swoją towarzyszkę za żakiet w nadziei, że skłoni ją do milczenia. Komisarz wykorzystał szansę i czmychnął. Był bardzo spóźniony.

– Ach, Laurenti, pomyślałam już, że pan o mnie zapomniał – powiedziała *dottoressa* Iva Volpini, spoglądając na ozdobny zegarek na swojej ręce, gdy Proteo z piętnastominutowym spóźnieniem wszedł do jej gabinetu.

– Proszę wybaczyć, zatrzymano mnie.

Laurenti usiadł.

– To pismo dostaliśmy dzisiaj poprzez ambasadę Jej Wysokości.

W nagłówku widniała nazwa znanej kancelarii adwokackiej z Londynu, pięć nazwisk wydrukowanych ciemnoszarą antykwą i wielkimi literami; papier miał też znak wodny. Laurenti szybko przeleciał pismo wzrokiem i chociaż jego znajomość angielskiego pozostawiała wiele do życzenia, zrozumiał, że chodzi o ostry pozew. Żądanie dwóch i pół miliona funtów szterlingów odszkodowania wraz z wezwaniem do zaniechania, w imieniu brytyjskiej deputowanej do Izby Gmin nazwiskiem Jeanette McGyver. Dalsza część pisma zawierała doniesienie o oszczerstwie, znieważeniu, stalkingu i molestowaniu seksualnym. Ostatnie punkty wypełniały znamiona czynu karalnego – władze będą musiały się tym zająć.

– O tym nie było w gazetach – stwierdził Laurenti, oddając pismo prokurator. Pewnie miejscowa prasa doniesie o sprawie już następnego dnia. – To absolutnie coś dla wydziału do spraw przestępstw seksualnych.

– Jednak ja chciałabym, żeby to właśnie p a n się tym zajął, komisarzu –

odparła prokurator. – Niech pan weźmie tego typka w obroty. To sprawa dla kogoś, kto się nie boi ludzi na stanowiskach. Diabli wiedzą, co się za tym kryje. Czy to faktycznie spisek, jak sugeruje „The Independent”?

– Jeśli spodziewa się pani tła politycznego, *dottoressa*, to będzie sprawa dla kolegów z DIGOS<sup>[1]</sup>.

Iva Volpini pominęła uwagę Laurentiego milczeniem.

Codziennie można było przeczytać o przypadkach obywateli, których nęcano za to, że odważyli się żądać kontroli poczynań decydentów. Podobny los spotykał niewygodnych dziennikarzy, prawników, policjantów, prokuratorów i sędziów. I oczywiście także uczciwych polityków, którzy nie chcieli wejść do sitwy. Było jeszcze takich kilku, niedobitki, i aby się od nich uwolnić, niekoniecznie trzeba było wynajmować płatnego mordercę. Człowiek załamuje się psychicznie zwykle o wiele szybciej, niżby się spodziewał.

Psychoterrorem zajmowali się specjaliści. Ich pomysłowość nie miała granic. Już dobrze przemyślane doniesienie do urzędu skarbowego, praktykowane przez opuszczone żony albo sekretarki, wysłużone jako kochanki, wiązało się z poważnymi uciążliwościami i obciążeniem czasowym ofiary. Niekoniecznie trzeba było sięgać do grożenia wprost, podstępne wywieranie presji zwykle opłacało się bardziej. Czasem wystarczyło postawić przed drzwiami ofiary faceta o rozmiarach szafy, który miał jedynie uprzejmie pozdrawiać delikwenta i jednocześnie powtarzać, jakże piękne jest dane przez Boga życie, oczywiście dopóki człowiek i jego najbliżsi cieszą się dobrym zdrowiem i mogą z tego życia korzystać.

Odkąd wymyślono usługi pocztowe, funkcjonowała perfidna taktyka tajnych służb, stosowana wobec prominentów: pisemne zniesławienie za plecami ofiary. Dobrze obmyślane historyjki o naruszeniu tabu miały duży potencjał plotkarski i łatwo było je puścić w obieg: molestowanie dzieci, kazirodztwo, zdrada z transeksualistami, sodomia, kokainizm. Homoseksualizm, oszustwo i zdrada, morderstwo albo sprzeniewierzenie już dawno stały się nieprzydatne do oszczerczych kampanii. Teraz to wszystko należało niemal do dobrego tonu.

Specjaliści znali skutki swoich metod z wieloletniego doświadczenia

i stosowali je strategicznie. Ofiara nie musiała być zagrożona fizycznie, wystarczyło, by znikła ze sceny publicznej, zamilkła na zawsze albo, nie mogąc dłużej wytrzymać presji, sama podniosła na siebie rękę. W takich przypadkach policja była często bezradna, gdyż tylko mocodawcy znali zakres i następny krok realizacji takiego planu. Potrafili uprzedzić ruchy swojego obiektu i policji, ponieważ ci ledwo mogli się rozeznac w sytuacji. A przez ten czas ofiara nieuchronnie traciła reputację.

Aby skruszyć obiekt, o którym wiedziano zbyt mało, nasyłano na niego niewidocznych prześladowców. Także owe dziwne postacie, które nagle pojawiały się nie wiadomo skąd, a potem znikwały, gdy już wyrządziły wystarczająco dużo szkód, były narzędziami tych, którzy pociągali za sznurki. Strach. To najpotężniejszy instrument. W ten sposób można było nawet zaszczyć człowieka na śmierć.

– Na pierwszy rzut oka wszystko wygląda wiarygodnie – mówiła dalej prokurator. – Ale rzuciłam okiem na kartotekę tego Gazzy. Pan miał już z nim do czynienia. Przed ośmiu laty. Ten typ nie wydaje się zbyt lotny. Trudno uwierzyć, że sam wymyślił taki numer.

– I to koniecznie ja muszę się zająć tą sprawą, *dottoressa*? Nie wydaje mi się, że bym był odpowiednią osobą. – Laurenti bezskutecznie próbował się bronić.

– Kto wie, czy ta posłanka jest rzeczywiście takim niewinnym barankiem. Tak czy owak zasiada w Izbie Gmin już drugą kadencję. Niech pan się do tego zabierze, Laurenti, nich pan działa konsekwentnie i proszę cały czas pamiętać o tym, że zadrażnienia polityczne z Anglikami to ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy. Tamtejsza prasa codziennie sobie na nas używa. Proszę informować mnie na bieżąco.

Na swoje czterdzieste urodziny, przed pół rokiem, prokurator przeprowadziła się do Triestu, do mężczyzny, z którym była związana od jedenastu lat i który był właścicielem laboratorium zajmującego się dekofeinizacją ziaren kawowych. Iva Volpini pochodziła z Rimini, doktoryzowała się w Rzymie. Zyskała opinię osoby niezwykle rygorystycznej, niewybaczającej błędów wynikających z niedbalstwa. Była średniej budowy ciała, miała miłe, łagodne rysy, przez co klientela często jej

nie doceniała. Grube ryby, typy butne, wprost pękające z zarozumiałstwa, często się na to nabierały i niejeden się przez to wygadał. Iva Volpini lekko utykała na jedną nogę, jednak dostrzec to mógł tylko bardzo uważny obserwator. Jeden z jej kolegów twierdził, że to skutek postrzału w biodro w Casercie, podczas szeroko zakrojonej akcji przeciwko jednemu z klanów camorry. Poprzednik nowej prokurator, z którym Laurenti rozwiązał kilka trudnych spraw dotyczących międzynarodowej przestępczości zorganizowanej, w pewnym momencie spełnił swoją groźbę, że zmieni pracę na spokojniejszą, sędziego rodzinnego. Jak gdyby ta robota faktycznie była łatwiejsza.

– A ten topielec, Laurenti? – zagadnęła go jeszcze prokurator.

– Jest pewien postęp. Na razie niewielki.

\* \* \*

Akta leżały rozłożone na całym biurku. Laurenti trzymał w ręku plik dokumentów, przerzucając go strona po stronie. Musiał aż trzy razy prosić Mariettę, żeby mu wreszcie przyniosła do gabinetu te materiały. Za to zgromadziła skrupulatnie wszystko, co tylko można było znaleźć w archiwum komendy policji na temat Giulia Gazzy i Raffaele Raccara, zupełnie jakby chciała utrudnić życie swojemu szefowi. Papiery z działu paszportowego, wszystkie dokumenty rejestracji samochodów od czasu, gdy Raccaro zrobił prawo jazdy; wszystkie zmiany adresów, mandaty – niczego nie brakowało. Wszelkie doniesienia, jakie Raccaro złożył przez całe życie, jego zeznania jako świadka przy przestępstwach innych. Było tu wszystko. Przed dwoma laty, w wieku siedemdziesięciu lat, Lele za swoje szczególne zasługi został przez prezydenta Republiki mianowany *Cavaliere del lavoro*, Kawalerem Orderu Zasług w Pracy, i tym samym znalazł się w jednym szeregu z szefem rządu. Mówiono, że Lele zabiegał o to całe życie, wykorzystując w tym celu wszelkie swoje kontakty i układy.

Wieloletnie doświadczenie zawodowe nauczyło Laurentiego kilkakrotnie czytać protokoły i zeznania, choćby były nie wiadomo jak nudne. Starał się znaleźć w nich sprzeczności, luki, nielogiczności, które uszły uwadze innych. Praca w policji to nie telewizyjny kryminał, składa się w dużej części z roboty administracyjnej, przeszukiwania archiwów, wypytywania i przesłuchań,

z mozolnego gromadzenia materiałów, filtrowania mętnych zeznań, porównywania danych i przypadków, robienia notatek; i przekopywania się przez góry papierów zawierających niezbędne reguły biurokratyczne, które mają gwarantować demokratyczny porządek w delikatnej sferze bezpieczeństwa publicznego. Logika, fakty, dowody – żadnych fantazji i wymysłów. Podział władz – żadnych działań na własną rękę. Wzajemna kontrola: komendant, prokurator, sędzia śledczy – i oczywiście koledzy z technicznych działów specjalnych oraz pozostałych sektorów tej złożonej struktury, która ma się troszczyć o przestrzeganie praw oraz przywracać porządek publiczny. Jednak w obrębie tych ograniczeń można było robić, co się chce – a niekiedy nawet je przełamywać, o ile tylko robiło się to po cichu. Dopóki nie zwąchali czegoś adwokaci albo dziennikarze. Robota policjanta to trzymanie gęby na kłódkę. Także w domu. Laurenti uważał, że telewizyjni śledczy stanowczo przynoszą zbyt wiele zaszczytu temu zawodowi. Bo w codziennej rzeczywistości nie istnieją bohaterowie tacy jak oni: którzy nie muszą łykać kurzu z akt, lecz pewnie jak egzorcyci wypleniają zło.

Wszystkie postępowania, prowadzone w przeszłości przeciwko Raccarowi, przedawniły się albo zostały wstrzymane, albo też skończyły się uniewinnieniem. Kilka spraw było nowych nawet dla Laurentiego, media je zataiły. Chodziło o pozwy w sprawach konkurencji, o wrogie przejęcia, przestępstwa dewizowe, fałszywe bankructwa i pranie brudnych pieniędzy. Lelego reprezentowała pewna duża mediolańska kancelaria, której właściciel był senatorem w Rzymie. W pomniejszych sprawach występowali adwokaci triesteńscy. Laurenti wiedział, że musi postępować bardzo rozważnie, jeśli chce wyświetlić powiązania Lelego z Kalabrią. Z Gazzą natomiast sprawa była prosta: zwykle sam się pakował w tarapaty. Dureń, który nie umie się pohamować i nieraz już zaliczył odsiadkę.

W trzech powyginanych metalowych regałach za biurkiem Laurentiego piętrzyły się dalsze akta. W każdym razie komisarzowi udało się zachować w gabinecie dwie wolne ściany. Nie wisiały na nich, jak w innych komisariatach, urlopowe pozdrowienia od kolegów albo plakaty z nagłówkami z „Piccola”, które miały w kioskach zachęcać do kupowania najważniejszej lokalnej gazety – oczywiście najłatwiej było to osiągnąć

doniesieniami o przestępstwach. Laurenti nie zapomniał wprowadzić żadnej ze swoich spraw, lecz zgrywanie bohatera nie leżało w jego naturze. Interesowało go tylko aktualne postępowanie – i to, czy drzwi do pokoju Marietty są dobrze zamknięte, żeby nie podsłuchiwała wszystkich jego rozmów. Istotne było też, by zarezerwowane miejsce było wolne, gdy zajeżdża na parking, i by jak najrzadziej musiał przebywać drogę od siebie do gabinetu szefowej, pięcioro drzwi dalej w tym samym korytarzu.

Nowa komendantka policji objęła służbę pod koniec listopada. Była jedną z niewielu kobiet w kraju zajmujących taką pozycję i od początku dała jasno do zrozumienia, że będzie wymagać większej dyscypliny i lepszych efektów niż jej poprzednicy płci męskiej. Poprzedzała ją sława błyskotliwej śledczej, mającej na koncie rozwikłanie kilku słynnych spraw. Z wyglądu Marisa Quagliarello odrobinę przypominała niemiecką kanclerz i Laurentiemu na jej widok zaraz przyszło do głowy porzekadło o nowych miotłach; na szczęście w doborze strojów pani komendant wykazywała o wiele lepszy gust. A za jej biurkiem obok flagi Europy wisiała oczywiście i trójkolorowa oraz flaga miasta Triestu, z białą halabardą na czerwonym tle.

Natomiast na ścianach biura Laurentiego wisiały wprowadzić obowiązkowo dyplomy, jakimi w ciągu lat służby został wyróżniony za specjalne dokonania – co za szczęście, że nie przyznają ich za upomnienia i nagany! – lecz za to nad należącym do biurowego inwentarza stołem narad oraz czterema krzesłami o wyściełanych siedzeniach z turkusowego poliakrylu zostało miejsce na ogromną, podświetlaną od tyłu fotografię Davida Byrne'a zatytułowaną *Winners are Losers with a New Attitude*. Kopię dzieła, nigdy niewystawionego przez autora na sprzedaż, Laurenti nabył za niewielkie pieniądze przy wejściu w jednym z licznych sklepów z czerwonymi lampionami: na zdjęciu uskrzydłony dwiema dolarówkami pistolet unosi się idyllicznie na tle lekko zachmurzonego nieba. Na oryginał Proteo nie mógłby sobie pozwolić. Na szczęście są Chińczycy, którzy i rubłówki zamienili na solidniejszą walutę. Komendantka podczas pierwszego obchodu budynku z powątpiewaniem przyjrzała się fotografii.

# Trafił swój na swego

Ledwie Aurelio uchylił drzwi swojego apartamentu, a już prawy sierpowy powalił go na ziemię – Aurelio nie zdążył nawet rozpoznać, kto stoi na zewnątrz. Giulio Gazza impetem masywnego ciała otworzył drzwi na całą szerokość i właśnie brał zamach do następnego ciosu, gdy Aurelio przewrócił go błyskawicznym kopniakiem w kolano i natychmiast boleśnie wykręcił mu rękę na plecy, aż z piersi Gazzy wyrwał się niski charkot.

– Ty podła świnió! – wrzeszczał Aurelio. – Wstawaj, draniu!

Wykręcił rękę grubasa jeszcze mocniej, zmuszając go do wstania. Potem wepchnął go do pomieszczenia treningowego obok. Giulio Gazza wylądował na siedzisku atlasa z głuchym hukiem i takim impetem, że aż zawył z bólu. Nim się zorientował, miał już na rękach kajdanki.

– To tak mnie witasz! – ryknął Aurelio, szarpiąc go za przeponą koszulkę. – Czy ty się w ogóle nigdy nie myjesz, flejtuchu? Będę tu musiał potem wszystko zdezynfekować!

Gazza napluł mu w twarz.

– Zaczynij od siebie, wszawa gnido!

Aurelio, rozwścieczony do białej gorączki, wymierzył mu dwa siarczyste policzki.

– Długo na to czekałem, za długo. Dręczyłeś mnie przez piętnaście lat! Zwaląłeś na mnie wszystkie swoje świńskie sprawki! Bezcelnie branzlowałeś się na moich oczach, ciulu jeden. A ja musiałem jeszcze nazywać cię bratem. Pojęcia nie masz, jakim wyzwoleniem był dla mnie internat. Brzydzę się tobą.

A potem nagle w jego lewej ręce błysnęła zapalniczka – gdy ją zapalał, jego spojrzenie było twarde i nieruchome.

Kiedy czarnoskóra dziennikarka wyszła, Giulio Gazza przeczytał artykuł w „The Independent” i pismo z angielskiej kancelarii adwokackiej, a na

koniec uważnie obejrzał ksero koperty firmy kurierskiej. Nie miał najmniejszych wątpliwości: charakter pisma Aurelia. Ten gnój posłużył się jego adresem! A on go jeszcze chronił, nie zdradził jego adresu! W brytyjskiej gazecie wymieniono tylko nazwisko jego, Gazzy, i jeśli to prawda, że „Piccolo” i „Messaggero Veneto” też dostały ten materiał, to tkwi po uszy w gównie. Dygotał na całym ciele. Aurelio mu za to zapłaci. Wściekły chwycił za słuchawkę.

– Słuchaj, gnido! – wydarł się bez wstępu. – Sześćdziesiąt procent ze stu tysięcy przypada mnie.

– Zmień diler, wieprzu! Co ty chrzanisz? – Aurelio się roześmiał.

– Ty gnoju! Myślałeś, że możesz się za friko posłużyć moim adresem? Nic z tego.

Po drugiej stronie na chwilę zaległa cisza. Aurelio zrozumiał. Zaprzeczanie nic nie da.

– Och, całkiem zapomniałem, że brakuje ci poczucia humoru. Ale wyniuchałeś to szybciej, niż się spodziewałem. *Complimenti!* Zapraszam cię na jednego i będziemy kwita.

– Sześćdziesiąt tysięcy. Albo cię zakapuję. Ciesz się, że jeszcze tego nie zrobiłem.

– Nawet o tym nie myśl, gruby. Myślenie to nie twoja specjalność. A jak na to wpadłeś?

– Jest tu poczta dla ciebie. Odpowiedź. Od angielskiego adwokata. Treść mówi sama za siebie.

– Może byś mi to przyniósł? Bo chyba nie sądzisz, że ja przyjdę do ciebie!

– Możesz być pewny, że cię odwiedzę, dupku. A czy twój ojciec wie, jaki z ciebie palant? Radzę ci, bądź dzisiaj po południu w domu, bo drugi raz się nie pofatyguję. – Gazza rozłączył się, zanim Aurelio zdążył odpowiedzieć.

Potem wybrał numer redakcji „Piccola” w Trieście i poprosił o połączenie z kierownikiem działu kroniki miejskiej, ale nie udało mu się wyjść poza sekretariat. Zagroził adwokatem, jeśli następnego dnia jego nazwisko ukazało się w gazecie, zanim on złoży zeznania w tej sprawie. Taką samą wiadomość zostawił w „Messaggero Veneto” i w „Gazzettino”. Spojrzał



na zegarek i postanowił natychmiast pojechać do Triestu.

Cienkie smugi dymu unosiły się w promieniach światła słonecznego wpadających do pomieszczenia przez wąskie okno. Hantle i ciężarki leżały na stojakach, pod drabinką stało urządzenie do wiosłowania, a obok atlas – teraz ława tortur Gazzy. Pod jedyną wolną ścianą spoczywało kilka jutowych worków oraz drewnianych beczulek. Na jednym z worków, leżącym na samym wierzchu, był napis: „Hawaii Captain Cook”.

Przypalone włosy na piersiach Gazzy śmierdziały piekielnie; nadgarstki miał przywiązane do atlasa plastikowymi żyłkami, a czterdziestokilowe hantle blokowały mu nogi. Na jego ciele pozostały resztki owłosienia – poskręcane czarne kuleczki na różowej skórze. O mały włos, a ogień sięgnąłby brody Gazzy. Aurelio zgasił płomyki na jego piersi mocnymi uderzeniami ręcznika. Giulio dygotał i spazmatycznie chwycił powietrze.

Aurelio szeroko rozwarł okno, razem z hałasem z ulicy do pokoju napłynęło gorące powietrze lata.

– No więc, gdzie jest ta poczta?

Gazza uniósł brwi.

– Sam sobie poszukaj, gnido jedna!

Aurelio wyszedł i po chwili wrócił, trzymając w ręce kopertę, która wysliznęła się grubasowi przy upadku. Usiadł na ławce do rozciągania i szybko przeleciał artykuł w „The Independent”, potem przeczytał pismo adwokata. Gdy przerzucał odbitki zdjęć, z rozbawienia drgały mu kąciki ust; potem spojrział na bezwładną, zapadniętą w sobie górę mięsa na atlasie.

– Ale z ciebie podła świnia – powiedział wreszcie. – Podglądałeś mnie z tą Angielką, napstrykałeś zdjęć! A potem pewnie trzepałeś sobie przy nich swojego marnego fiutka. Gdybyś przynajmniej przy tym pozostał. Biedna Jeanette! Ale już ona sobie poradzi, jak widzę. Siedzisz po uszy w gównie, grubasie! Przygotuj się na to, że dostaniesz jeszcze jedno pismo od adwokata. Od mojego. Tej samej treści.

– Ty gnoju! – wysyczał Gazza. – Ty parszywa świnio! Ten numer nie przejdzie!

– Słuchaj no, grubasie. Jak mi powiesz, od kogo dostałeś te materiały, to może trochę poprawisz swoje położenie. Chociaż właściwie na to nie

zasługujesz.

Aurelio rozwiązał linki na nadgarstkach Gazzy, cofnął się o dwa kroki – postrzelone drapieżniki są niebezpieczne.

– No, na co czekasz? Gadaj!

Podarta koszula jedynie częściowo okrywała jego osmalony tułów, kiedy Gazza, kuśtykając, wywłókł się w końcu z mieszkania Aurelia. Przymknął, że jeszcze tego popołudnia skontaktuje się z dziennikarką i wywabi ją z hotelu.

Aurelio chciał ją zobaczyć. Musi wiedzieć, z kim ma do czynienia. I chociaż żałował teraz, że w swoim zadufaniu pokazał zdjęcia Lelemu, to wiedział już, jak uratować własną skórę. Beknie za niego Gazza. Bo przecież on, Aurelio, nic takiego nie zrobił, on tylko zaciągnął do łóżka jakąś turystkę. Pech, że ktoś go przy tym podejrzwał. Teraz musi tylko trzymać Raccara z dala od tego wszystkiego.

\* \* \*

Jadąc z powrotem spod biura Angel Travel Agency, Miriam kierowała się znakami wskazującymi parkingi publiczne. Zaparkowała w podziemnym garażu i pieszo poszła do centrum. Udine jest uroczym miasteczkiem, pełnym eleganckich sklepów. Kryjąc się w cieniu arkad, szła spacerem przez gwarny rynek, otoczony wzniesionymi ciasno jedna obok drugiej kamienicami. Ich mury pochylały się pod ciężarem wieków – patrząc na fasady, odnosiło się wrażenie, że wspierają się nawzajem. Miriam weszła w końcu do lokalu w stylu rustykalnym, gdzie w sali spod wykrzywionych belek stropowych zwisały niezliczone kapelusiki i czapki. Na ogromnej tablicy łupkowej widniała wypisana kredą niekończąca się karta win, a na jednym z krzeseł spał szaro prążkowany kot. Miriam usiadła przy stoliku w pobliżu potężnego słupa, który zapewne został wstawiony długo po wzniesieniu domu, aby dodatkowo podeprzeć strop. Zamówiła kieliszek merlota Doro Prinčič i zjadając makaron ze świeżymi borowikami, przeglądała przewodnik turystyczny. Zatrzymała się przy fragmencie o dolinie Natisone. Czy powinna tam pojechać? Czy powinna szukać swojego dziadka w wojskowych archiwach? Ale właściwie gdzie ma szukać? W spisach mężczyzn, którzy w 1941 roku nie wrócili do Włoch? W Etiopii

pozostały setki, jeśli nie tysiące Włochów, kto wie, czy reżim nie wpisał ich po prostu na listy poległych. Jedynym punktem zaczepienia było imię: Paolo. Cóż, kiedy bardzo popularne... A babcia czasem mówiła na niego Pavel. Ale i to niewiele da.

Na umówione spotkanie w Trieście zjawiała się z półgodzinnym spóźnieniem. Zabłądziła na wąskich, krętych uliczkach; a źródła rzeki Natisone pozostały przed nią ukryte, podobnie jak pochodzenie jej nazwiska rodowego.

Z Udine pojechała drogą lokalną do Cividale. Ze średniowiecznego diabelskiego mostu patrzyła na Natisone, której ciemnozielone wody romantycznie wijącym się korytem płynęły przez schludne, wdzięczne i zadbane miasteczko. Potem wzdłuż rzeki pojechała w górę doliny, wzdłuż której wznosiły się zalesione stoki. Tu i tam w rzece kąpały się dzieci. Po przekroczeniu granicy Słowenii kręta, wyboista droga zaczęła piąć się w górę tak stromo, że Miriam zawróciła, obawiając się, że może zajeździć samochód. W przewodniku napisano, że Natisone powstała w wyniku połączenia się Rio Nero i Rio Bianco na granicy Włoch i Słowenii.

\* \* \*

– Ta piana to mieszanka około tysiąca pięciuset substancji. Z nich jakieś osiemset do dziewięciuset to związki lotne, ulatniając się, dają zapach, który czujemy. Odpowiednie parzenie espresso skupia i wydobywa te wszystkie smaki i aromaty. – Właściciel najslynniejszego w mieście zakładu produkcji kawy wskazał na resztki w jej filiżance. – Dlatego ja z zasady pijam czarną, aby nic nie uронić z tego bogactwa.

– Ulatniają się? Niczym złoczyńcy z kryminału? – zażartowała Miriam.

– Tak, z tym, że tu jest odwrotnie – im więcej się ulotni, tym lepiej. W kryminale chodzi o to, by nikt się nie ulotnił – taka kawa byłaby okropna.

Oprowadzanie po laboratoriach i palarni trwało prawie dwie godziny. Przewodnikiem był sam właściciel przedsiębiorstwa, mężczyzna w jej wieku, o kanciastej czaszce i włosach jeszcze krócej przyciętych niż język na jej głowie. Powitał ją w doskonałej angielszczyźnie i ze szczegółami wyłożył filozofię tudzież historię firmy. Przedsiębiorstwo założył jego dziadek, imigrant jak wielu innych, którzy tutaj zaczęli działalność w branży.

– Już w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim opatentował pierwszy ekspres do kawy, wykorzystujący ciśnienie wody – opowiadał przedsiębiorca. – Idealna temperatura to dziewięćdziesiąt stopni. Oczywiście para pod ciśnieniem jest gorętsza i może spalić kawę. Mój dziadek już wtedy pakował uprażoną kawę w hermetyczne pojemniki, tak aby zachowywała aromat, dzięki czemu wyeksportował, że tak to ujmę, kulturę picia espresso na północ, najpierw do Holandii i Szwecji. Dzisiaj jesteśmy obecni w stu czterdziestu krajach. Nasza specjalność. Importujemy surowiec, uszlachetniamy go i wysyłamy dalej w świat.

– Do Holandii i Szwecji? – upewniła się Miriam. Nieudana akcja misyjna.

Gdy tylko jej gospodarz zaczął mówić o etyce, zrównoważonym rozwoju i ochronie środowiska, Miriam zaczęła go szczegółowo wypytywać. Na stole leżały pojemniczki z tworzywa sztucznego i pojedynczo pakowane tabletki, umożliwiające przygotowanie idealnego espresso także w domu. Usłyszała, że chociaż wytwórcy podkreślają, iż zachowuje się dzisiaj wszelkie normy i standardy, to ze względu na wymagania smakowe powstaje jednak przy produkcji cała masa odpadów. Zagadnięty o tereny uprawy, przedsiębiorca zaczął opowiadać o biznesowej dalekowzroczności, gwarantującej lepsze warunki pracy i wyższe dochody drobnym plantatorom, a przez to stały wzrost produkcji i lepszą jakość. Podkreślił, że sam Sprawiedliwy Handel, *Fair Trade*, nie wystarczy, że przez długi czas była to tylko piękna idea, która obejmowała jedynie drobną część rynku, co oczywiście nie mogło zagwarantować jakości. W ojczyźnie Miriam, skąd pochodzi najwyższej jakości arabica wyżynna na świecie, firma zainwestowała w rozbudowę infrastruktury, w budowę dróg i elektryfikację. Od dwudziestu lat współpracują z tymi samymi partnerami.

Miriam zastanawiała się nieraz, ile jest prawdy w słowach odnoszących sukcesy biznesmenów – wraz z wielkim krachem i kryzysem gospodarczym, który jeszcze długo nie zostanie przezwyciężony, słownictwo i zasób argumentów używanych przez polityków, bankierów i przedsiębiorców powiększyły się tak bardzo jak ilość pieniędzy wpompowanych w rynki przez banki emisyjne. Jednak ten człowiek wiarygodnie udowadniał, że w interesie

jego prażalni leży, by stabilność zaczynała się już od plantacji, gdyż gwarantuje to stałą jakość, którą firma wyróżnia się spośród innych na rynku. W Etiopii byt siedemnastu milionów ludzi jest zależny od upraw kawy, ludzie ci zarabiają poniżej jednego dolara dziennie. Drobnego wytwórcę od hurtownika za granicą dzieli – o ile nie ma on bezpośredniego kontaktu z importerami – nawet do stu pięćdziesięciu etapów handlowych.

Na pożegnanie Miriam otrzymała komplet artystycznych filizanek, puszkę mielonej kawy i książkę fachową, wydaną przez właściciela przedsiębiorstwa. Gdy przeglądała ją w drodze powrotnej, jadąc taksówką, jej wzrok zatrzymał się na danych statystycznych: jak to, u diabła, możliwe, że Etiopia wśród głównych krajów uprawiających kawę zajmuje zaledwie drugie miejsce od końca, przed Ugandą? Skoro kawę odkryto właśnie tam, niemal przed tysiącem pięciuset laty, a dopiero kilkaset lat później, wraz z rozprzestrzenianiem się islamu i rozwojem pierwszych światowych kontaktów handlowych, pojawiła się ona w Wenecji. Następnie, za sprawą mocarstw kolonialnych Francji, Anglii i Holandii, trafiła do Azji, a wreszcie do Ameryki Południowej. Nie ma równowagi w handlu światowym, myślała, a źródłem biedy i głodu nie jest tak zwany niedorozwój krajów Trzeciego Świata, tylko rozwój rynków w ostatnich stu latach. Co z tego, że w Etiopii codziennie podaje się przez radio światową cenę kawy, skoro mnóstwo ludzi nie posiada radioodbiornika i te informacje nie trafiają do plantatorów. Często zarabiają oni na kawie jedynie połowę tego, co powinni według oficjalnych ustaleń – a więc kto ciągnie z tego zyski?

\* \* \*

Zapach świeżo uprażonej kawy towarzyszył jej nawet pod prysznicem. Telefon musiał dzwonić długo, usłyszała sygnał dopiero, gdy wyłączyła suszarkę. Recepcjonistka przekazała jej, że *signor* Gazza prosi o pilną rozmowę. Cholernie szybko poszło, przemknęło jej przez głowę i aż wstrząsnęła się na myśl o tym, że Gazza przedstawił się na recepcji. Bo w jakim świetle stawia ją taka znajomość! Poprosiła, by pan Gazza zechciał zaczekać kwadrans.

Kiedy weszła do lobby, nie mogła uwierzyć własnym oczom. Gazza zjawił się wypucowany, w czystym ubraniu. Co prawda, koszulka polo

wielkości namiotu cyrkowego mocno go opinała, no i bardzo się pocił.

– Proszę wybaczyć, jeśli przeszkadzam, Mrs. Natisone, i dziękuję, że zechciała pani mnie przyjąć. – Usilnie starał się być uprzejmy, prawie wylaził ze skóry.

Miriam zignorowała jego wyciągniętą rękę.

– Muszę z panią pilnie pomówić – rzekł Gazza, rozglądając się, jakby szukał miejsca, gdzie nikt ich nie usłyszy. – Być może dowiedziałem się czegoś, co panią interesuje. Ale wolałbym rozmawiać na zewnątrz, bez świadków.

– Nie mam nic przeciwko temu – powiedziała Miriam. – Na placu jest dużo miejsca.

Choć sprawa miała być pilna, grubas w ślimaczym tempie włókł się za Miriam, która lekkim, sprężystym krokiem skierowała się w stronę Fontanny Czterech Kontynentów przed ratuszem. Stosunkowo niedawno przeniesiono monument na pierwotne miejsce. W roku 1938 musiał je odstąpić imponującemu podium w formie monstrualnego dziobu statku, z którego Mussolini ogłosił włoskie prawa rasowe.

Stojąc na drugim schodku, oparta o szary kamień fontanny Miriam czekała, aż Gazza wreszcie do niej dojdzie. Człapiąc w jej stronę, co raz to nerwowo oglądał się. Opór ud, które ocierały się o siebie, musiał być znaczny, Gazza uśmiechał się z udręką, wyglądało na to, że czuje się niezręcznie, jakby było coś niestosownego w tym, że widzą go z nią na ogromnym, pełnym ludzi placu. Stoliki przed popularnymi kawiarniami były wszystkie zajęte. Miriam przyglądała się zwietrzałym statuom fontanny. Figurze uosabiającej Afrykę wandale odłupali głowę, Ameryce i Azji – ramiona. Na szczycie fontanny unosiła się skrzydlata postać Famy, wsparta na wykutych w kamieniu skrzyniach i pakunkach, jakby Fama właśnie spakowała walizki, by udać się w podróż bez powrotu. Jednak cztery baseny fontanny, które miały symbolizować cztery najważniejsze rzeki znanych wówczas kontynentów, były suche, bez wody: Nil przy bezgłowej Afryce z lwem u stóp, podobnie jak Dunaj, Ganges i Rio de la Plata.

Wreszcie Gazza, ciężko dysząc, stanął przed Miriam. Pot spływał mu z czoła. Chusteczka do nosa, którą otarł twarz, była czysta. Zanim

odpowiedział na jej rozkazujące spojrzenie, jeszcze raz rozejrzał się nieufnie dookoła.

– Tego faceta na fotografii już kiedyś widziałem.

– Nie dziwi mnie to. Pewnie to pan nacisnął wyzwalacz.

Gazza zrobił zaprzeczający ruch ręką.

– Ale nie wiem, jak się nazywa.

– Aurelio – podpowiedziała Miriam. – Przynajmniej tak się przedstawił.

– Widziałem go przed kilkoma miesiącami, towarzyszył wtedy pewnemu mężczyźnie, którego tu wszyscy znają. Nawiasem mówiąc, to bardzo wpływowy człowiek, Raffaele Raccaro, ma swoje biura przy Piazza Oberdan.

– Ach, tak? A co to była za okazja?

– Miałem spotkanie, naradę z Raccarem. Ten chłopak jest u niego kimś w rodzaju gońca.

– No proszę, Gazza, jak się chce, to się może. Zatem ma pan kontakty z tymi ludźmi?

– Zajmuję się bukowaniem lotów dla AFI, Action Film Italia, rezerwuję też pokoje hotelowe w całym regionie, apartamenty, załatwiam serwis limuzynowy i całą resztę. Raccaro ma przedsiębiorstwo obsługujące ekipy filmowe, a także agencję castingową. I wielkie archiwum fotografii historycznej. A niezależnie od tego jest udziałowcem w wielu innych przedsiębiorstwach.

– A co on ma wspólnego z tym szantażem?

– Jestem pewien, że doskonale wie, co wyprawia ten Aurelio. Tutaj nic się nie dzieje bez jego zgody.

– Sugeruje pan, że ta sprawa ma związek z Raccarem?

– Nie, nie. Ale jeśli chce pani znaleźć Aurelia, to...

– A teraz pewnie od razu mnie pan poprosi, żebym nie wymieniała pańskiego nazwiska, gdybym odwiedziła Raccara, by zasięgnąć informacji o Aureliu.

– Przecież pani widzi moją dobrą wolę, *signora*. Lepiej, żeby on o niczym nie wiedział, wtedy ja może będę mógł pani bardziej pomóc. – Gazza znowu się obejrzał. Zupełnie jakby Raccaro miał na każdym rogu szpiegów, którzy

natychmiast doniosą o jego spotkaniu z piękną Afrykanką.

– A adres? Proszę mi podać jego adres. – Miriam nie miała najmniejszego zamiaru obiecywać czegokolwiek temu typowi, z którego plugawego biura podróży wysłano list szantażysty do jej przyjaciółki. Zastanawiała się też, czemu Gazza nagle przekazuje jej te wszystkie informacje.

– Przy ostatnim przystanku tramwaju do Opiciny. Piazza Oberdan trzy, narożny budynek między via Carducci i via XXX Ottobre. Nazywa się Palazzo Vianello. Pozna pani bez trudu po czterech obeliskach na dachu. Jego biura zajmują cały budynek.

– Ale czemu mi pan to mówi? Spodziewa się pan, że się w ten sposób wywinie? Tak łatwo panu nie pójdzie.

– Ja naprawdę nie mam nic wspólnego z tymi zdjęciami. – Grubas otarł chusteczką czoło. – Po co miałbym wtedy do pani przychodzić?

– I w dodatku myć się i przebierać. Prawdziwe święto dzisiaj, rozumiem. Ale za to zdradza pan swojego najważniejszego klienta.

– Przecież on nie musi o tym koniecznie wiedzieć – zaskomłał Gazza i zrobił oczy jak basset ze *Snu nocy letniej* Szekspira; spojrzenie, które co rano zdaje się obiecywać panu, że będzie trzymać od niego z daleka wszelkie trudy dnia. Tylko uszy miał Gazza krótsze.

Miriam zagryzła wargę, by nie wybuchnąć śmiechem.

– W każdym razie Lele Raccaro to bardzo wpływowy człowiek – podjął grubas nieoczekiwanie zimnym tonem. – Może rozwiązać wszystkie pani problemy.

– Ja nie mam żadnych problemów! – wykrzyknęła Miriam z wściekłością. – To pan je ma, *mister* Gazza. I aby je rozwiązać, byłby pan gotów sprzedać nawet własną matkę.

– Jednak Raccaro mógłby pani przysporzyć problemów, i to takich, o jakich do tej pory nie miała pani bladego pojęcia – skwitował Gazza z paskudnym uśmieszkiem, patrząc w przestrzeń obok niej.

Ach, więc to jest powód, dla którego grubas do niej przyszedł! Nie zgłosił się sam! Ktoś go wysłał. To wszystko udawanie, jej groźby nie zrobiły na nim najmniejszego wrażenia. Ręka Miriam spoczywała na grzywie kamiennego lwa u stóp Afryki na fontannie. Spojrzenie jej sposepniało: wiedziała teraz, że



po Gazzy może się spodziewać wszystkiego. A jego fałszywa służalczość była jej wstrętna.

– Proszę przekazać swojemu szefowi, żeby miał się na baczności. A panu radzę się przygotować na kłopoty. Bo zrobi się bardzo nieprzyjemnie, zapewniam pana! – wysyczała, zeszła ze schodków i oddaliła się, nie obejrząwszy się ani razu.

\* \* \*

Właściwie czemu nie zrobił tego już dawno? Aurelio siedział przy jednym ze stolików przed barem „Audace” na Piazza Unità, czekając, aż Giulio pojawi się z dziennikarką. Sączył swoją *caffè shakerato*, mrożone espresso, i śmiał się w kułak.

Ale dał grubasowi nauczkę! Już dawno mu się należało. Gdy Gazza, upokorzony, wynosił się z jego domu, przedstawiał godny pożałowania widok: skóra na piersiach zaczerwieniona, poszarpana koszula zwisająca z ramion jak szmata – w oczach rozpaczliwa pustka. Ale wcześniej, przez wiele długich lat, sytuacja wyglądała inaczej, dokładnie odwrotnie: tłuścioch dręczył go i upokarzał, gdy on, Aurelio, był jeszcze mały i bezbronny, i nic nie mógł zrobić. Teraz postanowił, że nie poprzestanie na tej pierwszej lekcji – czas, gdy tylko dusił w sobie nienawiść, minął bezpowrotnie.

Na placu panował ożywiony ruch, ci, którzy jeszcze nie wyjechali na urlop, o tej porze dnia opuszczali klimatyzowane biura, przysiadali ze znajomymi na pogawędkę przy drinku albo śpieszyli nad morze, by wykorzystać ostatnie godziny słońca na kąpiel. Aurelio spoglądał na ładne kobiety, których tu było wiele, a ich widok latem sprawiał jeszcze większą radość. I myślał o owej Angielce, która w Grado zafundowała mu tyle przyjemności. Takie pozapinane pod szyję damy, które u siebie w domu z pewnością odgrywają nieprzystępne cnotki, są doprawdy fantastyczne, po prostu niezrównane, gdy na urlopie, z dala od zwykłego życia, pozwalają sobie na wszystko i pokazują swoją białą skórkę. Aurelio już dawno się w tym połapał. Nie musi daleko jeździć na łowy. Grado, kąpielisko z piaszczystymi plażami, oferuje wszystko, czego mu potrzeba. Po Niemkach i Austriaczkach Jeanette była na jego liście pierwszą Angielką. Co bynajmniej nie zmieniało nagich faktów.

Inicjatywę od początku przejęła Jeanette. Bardzo jej się śpieszyło i było widać, że przywykła do tego, że to ona nadaje ton. Dzięki Bogu nie należała, by spędzać z nim całe noce. Wystarczyło, żeby po kolacji ukołysał ją do snu, potem mógł robić, co chciał, wychodził, spotykał się z przyjaciółmi, którzy, podobnie jak on, przechwalali się liczbą ustrzelonych zdobyczy. To, że Jeanette na koniec dała mu jeszcze pieniądze czy też, jak to ujęła, pożyczyła do następnego razu, zaskoczyło nawet jego. Cała reszta to była oczywistość i gdy Aurelio z udawaną namiętnością zegnał ją na lotnisku, jego plan był dawno ustalony. Zdjęcia zrobił kelner, któremu wcisnął do ręki aparat razem z banknotem, wcześniej zablokował fleszt. Ten kretyń miał z tego w dodatku przyjemność, lecz i tak zrobił ostre ujęcia.

Ale że Jeanette teraz chciała popsuć całą zabawę, że zaangażowała renomowanych i z pewnością pioruńsko drogich adwokatów, że jeszcze bardzo sprytnie włączyła w to ponadregionalną prasę, to go naprawdę mocno uderzyło. Musi się koniecznie dowiedzieć, kogo też nasłała na Giulia Gazzę, że ten ze strachu prawie robił w gacie. I gdzie on się podział, ten nędznik? Minęło już prawie dwadzieścia minut, odkąd zniknął w „Grand Hotelu”. Przecież miał nakazane, by wywabić tę dziennikarkę na plac, gdzie Aurelio będzie mógł ją bez przeszkód obserwować, a potem ewentualnie za nią pójść. Aurelio zastanawiał się, rozważał plan dalszego postępowania. Pomyśl, by ze swej strony nasłać na Gazzę adwokata i pozwać tłuściocha o odszkodowanie, wydał mu się genialny, zwłaszcza że ten głupek zostawił u niego wszystkie materiały. Idealny sposób, by się oczyścić i zemścić.

W końcu zobaczył ich oboje. Zdumiał się, widząc, że Gazza w dużym oddaleniu człapie za dziennikarką, która pomaszerowała prosto do fontanny przed ratuszem i tam przystanęła przy brzegu basenu. Tłuścioch włókł się, jakby do podeszew kleiła mu się glina, z wysiłkiem stawiał krok za krokiem, na świeżej koszulce poło pojawiły się ciemne plamy potu. I czemu ogląda się co parę metrów, jakby go ktoś śledził? Było widać, że jest strasznie zdenerwowany. Jakby się bał nowego ataku. Tu, w najbardziej zatłoczonym miejscu w mieście? Chociaż właściwie czemu nie, to świetny pomysł, pomyślał Aurelio. Dopił mrożone espresso i położył na stoliku kilka monet. Coś się na pewno wymyśli; ale teraz musi dyskretnie pójść za tą Angielką.

Ona w żadnym wypadku nie może go zauważyć – na fotografiach jego twarz widać przecież wyraźnie. Jeśli chce śledzić jej dalsze kroki, musi działać ostrożnie i z ukrycia.

\* \* \*

Miriam chciało się pić, ale była zbyt niespokojna, by wstąpić do jednego z licznych barów przy Piazza. Długo szła przez miasto, aż w końcu trafiła na nieduży plac, gdzie na cokole królował potężny Giuseppe Verdi z brązu; na jego głowie stała na jednej łapce mewa i załatwiała się. Ramiona mistrza upstrzone były białymi smugami. Miriam znalazła wolne miejsce przy stoliku przed lokalem na placu. Barman, cały w czerni, zagadnął ją po francusku i przeprosił natychmiast, gdy ona odpowiedziała po włosku. Niedługo potem przyniósł jej kieliszek wina musującego z Krasu, znakomitego *spumante rose* na bazie pinot noir Ediego Kante, jak powiedział, potem sam się przedstawił jako Walter von der Malabar – i dyskretnie się oddalił. Hrabiowskie nazwisko, maniery dżentelmena. Miriam popijała wino i zastanawiała się, co dalej.

Jeanette powiedziała jej przecież, że Aurelio, jeśli akurat nie podrywał turystek, to pracował u jakiegoś wpływowego biznesmena. A jeżeli Gazza nie kłamał, to pewnie musi chodzić o tego Raccara; zatem to on miał rzekomo być winien pieniądze swojemu pracownikowi. Ów Raccaro jest założycielem ogromnego archiwum specjalizującego się w fotografii wojennej, jednego z największych zbiorów na świecie, zainwestował w nie mnóstwo pieniędzy... Aurelio, bardzo zaniepokojony, zwierzył się też swojej angielskiej flanie, że to człowiek niebezpieczny, pozbawiony wszelkich skrupułów, z którym lepiej nie zadzierać. Nieszczęsny mały ogier z czarną grzywą sam siebie opisał jako ofiarę – z korzystnymi układami, które jednak w jego własnych sprawach nie wychodzą mu na dobre. Opowiadał jej, że nie wie, jak się wyrwać z tej pułapki, że się boi, że w każdej chwili może mu się przytrafić coś złego. No, jeśli to nie był szantaż psychiczny! I Jeanette się na to złapała!

– Proszę bardzo, piękne bransoletki, wszystko ręczna robota. Talizmany na szczęście. – Czyjś głos wyrwał ją gwałtownie z rozmyślań. Przed Miriam stał wysoki czarnoskóry mężczyzna w ciemnoniebieskim kaftanie

i w wełnianej czapce na głowie; przez ramię miał przewieszoną ciężką torbę, a w lewej ręce trzymał stojak z ręcznie wyrabianą biżuterią z drewna, szylkretu i miedzi.

– Kup coś – powiedział i nie czekając na zachętę, zaczął zachwalać swój towar: – Te tutaj są z mojej wsi – wskazał na bransoletki. – Prawdziwa rzemieślnicza robota. Ręczę za to. Ta jest przeciwko złym spojrzeniom i reumatyzmowi, a ta pomaga w dolegliwościach miesięcznych, tamta jest na policję, na urząd skarbowy i przeciwko siłom wyższym.

– Gdzie leży twoja wieś? – zapytała Miriam.

– W Somalii.

– A dokładnie? – Miriam zadała pytanie w somali, języku, którym mówiono także w kilku regionach w południowo-wschodniej części jej kraju i którym jeszcze jako tako władała, chociaż nie używała go od czasu, gdy usiłowała dociec prawdziwej przyczyny śmierci swojego męża w Mogadiszu.

Mężczyzna spojrział na nią zdumiony, z powrotem umieścił swoje bransoletki na stojaku. Wymamrotał jakąś nazwę, której nie zrozumiała.

– A ty skąd pochodzisz? – Jego spojrzenie pobiegło w bok.

– Z Dżimmy, z Etiopii – odparła Miriam, lecz w tym momencie przerwał im chudy, wysoki starzec z czarnym psem utykającym na jedną łapę. Pozdrowił ulicznego sprzedawcę, wołając do niego Alberto, po czym z uśmiechem podał mu rękę; handlarz odwrócił się od Miriam na parę chwil. Skorzystała z okazji, by zamówić jeszcze jeden kieliszek *spumante*.

– Naprawdę nazywasz się Alberto? – zapytała.

– Abdullah Abd-al-Kadir Mahamadu – wyrecytował błyskawicznie i szeroko się uśmiechnął. – Oni tutaj nie potrafią tego wymówić, dlatego wszyscy mówią na mnie Alberto. No to kupujesz czy nie?

Miriam obejrzała ozdoby i zdecydowała się na grubo kutą bransoletkę z miedzi, która rzeczywiście mogła pochodzić z Afryki, a nie spod chińskiej sztancy. Sprzedawca żądał dwudziestu euro, ale na koniec zażartego targowania, znowu w somali, zadowolili się pięcioma. Miriam przyglądała się, jak bezskutecznie próbuje namówić do kupna ludzi przy innych stolikach. Z wieloma rozmawiał niemal po przyjacielsku. W końcu mężczyzna około pięćdziesiątki, w szarym garniturze, z którym starzec z czarnym psem

przywitał się, tytułując go *commissario*, postawił ciemnoskóremu handlarzowi szklankę mleka. On także zwracał się do niego Alberto. Osobliwe towarzystwo, które traktowało czarnego muzułmanina jak przyjaciela, a ten z kolei wesoło żartował z pijącymi przy stolikach kobietami.

\* \* \*

– No, nareszcie! Nie można się do ciebie dodzwonić! W ogóle nie odbierasz! Chcę ci tylko powiedzieć, że dzisiaj wrócę do domu później – oznajmiła Laura, kiedy Proteo wreszcie odebrał telefon. Dzwonek swojej komórki nastawił tak cicho, że w hałasie i gwarze, jaki panował w „Gran Malabar”, usłyszał dopiero trzeci telefon. – Ale nie martw się, mama poda ci kolację.

– A ty gdzie jesteś? – zapytał Laurenti, zasłaniając drugie ucho, gdyż właśnie na sygnale przejeżdżał wóz policyjny.

– Ach, w „Stazione Rogers”, umówiłam się na aperitif z dwiema przyjaciółkami.

– Znowu?

– Zaprosiły mnie na rejs żagłówką. Właśnie to omawiamy. Możliwe, że wypłyniemy już w sobotę koło południa, a wrócimy dopiero w niedzielę wieczorem albo w poniedziałek. Płyniemy tylko we trzy, mamy sobie dużo do opowiedzenia. Chyba nie masz nic przeciwko temu, prawda? Zresztą, jak słyszę, znowu prowadzisz śledztwo, a wtedy i tak po całych dniach siedzisz w komendzie.

Laurenti nie lubił, gdy go stawiano przed faktami dokonanymi.

– Bardzo chętnie spędziłbym weekend z całą rodziną – powiedział krnąbrnie. – Latem ciągle się wszyscy rozbiegają, prawie wcale się nie widzimy.

– Skarbie, jeśli chcesz, to naturalnie zrezygnuję. Zaraz im powiem.

Laurenti znał ten ton. Laura umiała postawić na swoim: pełna wyrzutu uległość, wytrącająca z ręki wszelkie argumenty.

– Ależ co ty! Nie musisz! – zaoponował pośpiesznie. – Rozerwij się, pogoda jest idealna. Zobaczymy się później. To do wieczora!

Słońce stało już nisko, wkrótce jego czerwona kula miała zniknąć na

zachodzie, gdy komisarz, odrobinę podchmielony i z pustym żołądkiem, zaparkował alfa romeo przy Strada Costiera i zszedł po schodach do domu. Jak co dzień rozdrażnił go widok kupy gruzu zostawionej przez robotników budowlanych, którzy wynieśli się późną wiosną, dzięki czemu ich rodzina wreszcie znowu odzyskała swój dom. Państwo Laurenti prawie dwa lata czekali na pozwolenie na rozbudowę, chociaż chodziło jedynie o niewielkie poszerzenie, konieczne ze względu na szybko powiększającą się liczbę mieszkańców domu. Przedsięwzięcie okazało się dla wszystkich prawdziwą próbą nerwów. Horda robotników budowlanych oblegała dom i zajmowała działkę, jakby to była ich własność. Tylko Marcowi udało się utrzymać ich z dala od dolnych tarasów, gdzie z wielkim oddaniem uprawiał własny ogród warzywny, do którego wstępu kategorycznie zabronił wszystkim z wyjątkiem babci. Marco, ku zadowoleniu Laurentich, robił dobre postępy w nauce na kucharza u Scabarów, w najsztywniejszej restauracji Triestu. W ciągu kilku lat z pewnością uda mu się zyskać renomę dobrego szefa kuchni. Terminowanie u Scabarów to wprowadzić twarde szkoła, nie dla rozpieszczonych maminsyneków, ale za to daje potem najlepszą rekomendację.

Przedsiębiorstwo budowlane, wybrane za radą zaprzyjaźnionego architekta, który potem jakoś przestał się u nich pokazywać, przysłało im niewykwalifikowanych robotników z Kosowa. Pomijając fakt, że koszt przebudowy okazał się ponaddwukrotnie wyższy, niż założyli Laura i Proteo, to zapłacili nieźle frycowe. Czemu nikt im nie doradził, żeby w umowie z firmą budowlaną zawrzeć warunek zabraniający zatrudniania podwykonawców? Tylko kierownik budowy był w porządku – za to kompletnie przeciążony, gdyż pracodawca zwałił mu na kark za dużo budów naraz. Ci mądralę sprytnie oszczędzali kosztem klientów i mieli na względzie przede wszystkim własny profit, a dopiero potem realizację projektu. Osoby odpowiedzialnej nie było – za to wymówek i wykrętów co niemiara. To, że inwestorem jest wysoki rangą policjant, nie robiło na nikim najmniejszego wrażenia. Za to zaliczek żądali punktualnie i dobitnie.

Z początku wszystko szło bardzo szybko, Albańczycy z Kosowa nie bali się ciężkiej pracy fizycznej. Muskularni, prostacy mężczyźni o popsutych zębach, w trudnym do określenia wieku. Pewnie wszyscy podczas

jugosłowiańskiej wojny domowej nosili kałasze, walczyli o niezależność Kosowa i przeciwko Jugosławii Slobodana Miloševicia i widzieli rzeczy, które nawet po najtwardszych facetach nie spływają bez śladu. Kiedy pewnego wieczoru wzdłuż stromo wznoszącej się uliczki, która prowadzi do Santa Croce, pojawiły się na skale wymalowane czerwoną farbą litery UÇK<sup>[2]</sup>, Laurenti wiedział, że jego podejrzenia były słuszne. Ilu spośród tych mężczyzn, którzy bez szemrania znosili po schodach do domu worki z tonami piasku i cementu, a potem znów targali na górę gruz, uczyło się obsługi broni u niemieckich, amerykańskich i brytyjskich pracowników prywatnych firm ochroniarskich? Mężczyźni, pomyślał Laurenti, podobni do tych z lasu tam na górze, nad latarnią morską, którzy chodzą na dziki z kałaszami z tłumikiem. Jednak chaos w pracach budowlanych to nie była ich wina.

Pewnej niedzieli, kiedy Laurenti bezradnie obchodził ten koszmarny plac budowy na swojej posesji, zauważył przezroczystą plastikową koszulkę z dokumentami. Przejrzał papiery i między pokwitowaniami dostaw oraz planami znalazł umowę podpisaną przez wynajętą przez siebie firmę budowlaną z podwykonawcą, także pochodzącym z Kosowa. Nie wierzył własnym oczom. Popędził do domu i porównał pozycje w swojej umowie z ofertą firmy. Suma wynosiła jedynie jedną czwartą tego, co oni mieli wybulić za wywózkę ziemi i gruzu i oddanie budowy w stanie surowym, łącznie z materiałami. Co tu jest grane? Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że przedsiębiorca odważy się wysłać na budowę u niego, zastępcy komendanta policji, robotników pracujących na czarno – bo przecież inaczej nie dało się tego wytłumaczyć. I zrobił to akurat u Laurentiego, który przed kilku laty urządził wielką łapankę na nielegalnych robotników i zlikwidował czarny rynek na Piazza Garibaldi, o czym gazety donosiły tłustym drukiem.

Zaraz w poniedziałek Laurenti zjawił się bladym świtem w biurze szczerwanego przedsiębiorcy, ryk obu mężczyzn wystraszył urzędników w sąsiednich pomieszczeniach. Właściciel firmy naturalnie wyparł się wszystkiego, z całkowitą obojętnością wskazując na podpisane przez Laurentiego umowy; dorzucił też, by komisarz miał się na baczności, bo w końcu zrezygnował z kilku ścian działowych i kazał przesunąć okna, czego

nie przewidziano w planie budowy. Gdy Laurenti, wróciwszy na komendę, chciał właśnie omówić sprawę z kolegą odpowiedzialnym za nadzór budowlany, zadzwoniła Laura i powiedziała, że robotnicy w niecałą godzinę po rozpoczęciu pracy zniknęli bez śladu, a wraz z nimi wszystkie narzędzia. Laurenti się wściekł, lecz przedsiębiorca budowlany przyrzekł mu przez telefon, że następnego dnia przyjedzie druga ekipa i prace zostaną ukończone w terminie. Ale i ci robotnicy zniknęli któregoś dnia bez uprzedzenia, wyniósłszy wcześniej narzędzia i niez użyte materiały. Pozostałej po budowie kupy gruzu nikt nie uprzątnął mimo wszelkich telefonicznych i pisemnych zażaleń. Pewnie Laurenti będzie musiał zrobić to sam, gdy tylko minie ta fala upałów. Do tego czasu musi jakoś znosić ten irytujący widok.

A po wakacjach powinni jeszcze raz przyjść dekarze – oby zdążyli, zanim następna burza znowu zacznie zalewać nowo dobudowaną część domu potokami wody, zmuszając rodzinę do biegania z wiadrami.

Stół na tarasie był nakryty tylko dla niego. Matka Laury jak zwykle siedziała przed telewizorem, pomachała do Protea, jakby był mile widzianym gościem, a nie panem domu. Oglądała jakiś durny program, jeden z tych idiotycznych konkursów telewizyjnych, za pomocą których tresuje się obywateli na narodek posłusznych wyborców. Po chwili wstała i poszła do kuchni, żeby przygotować mu kolację.

– Mała śpi? – zapytał Laurenti.

– Patrizia właśnie ją przewija – odparła starsza pani, zabierając się do przygotowania dla niego *pastasciutta*: odcedziła makaron, a potem zmieszała go w misce z drobno pokrojonymi świeżymi pomidorami, pepperoncini, czosnkiem i oliwą, po czym posypała całość bazylią z ogródka Marca. – Barbara ma biegunkę.

Laurenti odkorkował butelkę malvasji od Škerka i wyniósł ją na zewnątrz. Naturalne białe wino z Krasu, cudowny napój, podnosiło go na duchu nawet w najcięższych momentach.

– Zawsze tyle tego wina pijesz, Proteo – zauważyła matka Laury, stawiając na stole talerz.

– Ale poza rozwolnieniem to nic naszej małej nie dolega? Wszystko w porządku?



– Tak, tak, pogodna jak zawsze. Właściwie marudzi tylko, jak jest głodna.  
– Poczciwa Camilla nie zamierzała się przysiąść. Z salonu słyhać było telewizor: „Szczęście czy miłość” – ryczał prezenter przy radosnym aplauzie publiczności.

– Pewnie, to normalne – mruknął Laurenti, nawijając spaghetti na widelec. – Mam nadzieję, że dziecko cię za bardzo nie męczy?

– Ach, nie! Dzieci to radość. Chociaż, szczerze mówiąc, coś mi się zdaje, że twoja ukochana córka może sobie niepotrzebnie narobić kłopotów.

Proteo, zdziwiony, podniósł wzrok.

– Jak to?

– No wiesz... to niedobrze, że Gigi jest tyle czasu poza domem. Mężczyzna powinien być z kobietą i dzieckiem, a nie ciągle na statku. Patrizia to młoda kobieta. I stale jest sama.

– Nie wydaje mi się, żeby się nudziła. Rano wychodzi do pracy. Popołudnia ma wolne. Cała rodzina jest na miejscu. Istny kurnik.

– Nie to miałam na myśli, Proteo. Wydaje mi się, że powinieneś z nią porozmawiać. Wy dwoje jesteście w świetnej komitywie, jak nikt inny w rodzinie.

– Ale o czym, Camillo? – Nieczęsto zwracał się do niej po imieniu. Właściwie tylko wtedy, gdy chciał dodać sobie autorytetu. Zwykle do matki Laury mówił teściowo albo na wpół żartobliwie tytułował ją *signora* Camilla albo *signora* Tauris.

– Przecież wiesz, ja cały dzień jestem w domu. Nic się przede mną nie ukryje. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby Patrizia w wolnym czasie spotykała się z przyjaciółkami. Tak jak jej matka.

– Aha, więc uważasz, że ona za dużo jest sama? Ma za mało przyjaciół?

– Nie, nie to miałam na myśli. Po prostu wydaje mi się cokolwiek dziwne, że dokładnie od dwóch tygodni, kiedy tylko Patrizia jest na plaży, leży obok niej jakiś młody człowiek.

– I co?

– I się całują. O dotykaniu nawet nie wspomnę. Po prostu nieprzyzwoite.

– Teściowa spojrzała na zmierzchające niebo, tak jakby jej słowa wypowiedział ktoś inny.

Laurenti uniósł brwi.

– Chcesz przez to powiedzieć, że przyprawia Gigiemu rogi?

– Nie chcę przez to nic powiedzieć. Przecież wiem, że młodzi ludzie dzisiaj widzą wiele rzeczy inaczej. Ale od czasu do czasu trzeba z dziećmi porozmawiać wprost. Zanim będzie za późno. – Wygłosiwszy to krótkie kazanie, *signora* Camilla odwróciła się, by wyjść.

– Oni i tak robią, co chcą. Dajmy im spokój!

– Tu u was, w Trieście, zawsze obowiązywały jakieś dziwne reguły. U nas, we Friuli, coś takiego jest nie do pomyślenia, u nas żyje się porządnie.

Laurenti powstrzymał się od komentarza. Rzeczywiście, w San Daniele, leżącym u stóp Alp Karnijskich, sto kilometrów dalej na północ, życie toczyło się innym rytmem. Zwłaszcza od czasu gdy śliczne miasteczko, w którym produkuje się słynną szynkę, przyłączyło się do ruchu *Città slow*. Ciekawe, co też teściowa opowiada o nim? Że zostawia skarpetki na fotelu, kiedy wieczorem przed telewizorem masuje sobie stopy? Że chodzi nago z sypialni do łazienki i że ma pryszcz na półdupku? Proteo zaczął z nalaniem wina, aż starsza pani wróci do swojego telewizora. A potem zaraz nappełnił kieliszek po raz drugi. Makaron smakował wyśmienicie!

Patrizia, która przed czternastoma tygodniami uczyniła Protea i Laureę dziadkami, urodziwszy małą Barbarę, postanowiła jak najszybciej wrócić do pracy. Pracę na czas określony, jak to teraz w zwyczaju, dostała dzięki kontaktom Laury. A ojciec dziecka, Gigi, tak czy owak był ciągle poza domem. O narodzinach Barbary dowiedział się przez telefon satelitarny. Kontenerowiec, na którym pracował jako pierwszy oficer, przemierzał właśnie tor wodny Malakki, cieśniny między Malezją, Singapurem i Indonezją, co wymagało od załogi najwyższej uwagi, gdyż z trasy tej korzysta do sześciuset statków dziennie, a przejście przez cieśninę utrudniają dodatkowo ataki pirackie. Gigi mógł oddzwonić dopiero w kilka godzin później, gdy najtrudniejszy etap mieli za sobą i znowu zrobiło się spokojniej. Uszczęśliwiony kazał sobie opisać, jak wygląda córeczka i jak przebiegł poród. Patrizia opowiedziała mu wszystko z radością, chociaż słabym z wyczerpania głosem, a potem posłała mu zdjęcia na komórkę. Gigi

najchętniej od razu wsiadłby w samolot i poleciał do domu, ale nie było to możliwe: nikt nie ryzykuje utraty pracy w czasach kryzysu, gdy coraz więcej statków stoi w portach, a fracht kontenerów do Europy spadł niemal o siedemdziesiąt procent. Poza tym, jak dobrze pójdzie, Gigi ma szansę jeszcze w tym roku zrobić patent kapitański, co jednak, niestety, nie będzie miało wpływu na czas pracy: cztery miesiące na morzu i dwa w domu to reguła w żegludze. Laurenti, choć początkowo miał wątpliwości, polubił tymczasem marynarza Patrizii. Wszyscy w domu darzyli sympatią przyszłego kapitana towarzystwa żeglugowego Italia Marittima, dawniejszego Lloyd Triestino di Navigazione, należącego obecnie do wielkiego armatora tajwańskiego.

Kiedy Proteo opróżnił już talerz, Patrizia skończyła wreszcie przewijanie i przyszła z małą na rękę.

– Barbarella! – zawołał zachwycony Proteo i wziął dziecko od córki.

Uśmiechnął się uszczęśliwiony i pocałował wnuczkę. Mała przez chwilę wpatrywała się w niego wielkimi oczami, ale zaraz zaczęła wywijać mu się z rąk i płakać.

– Jest głodna – powiedziała Patrizia; usiadła przy stole, przystawiła dziecko do piersi. – Tak długo pracowałeś? Coś się wydarzyło?

Laurenti pomyślał, że to dopiero szczęście mieć pracę, która wszystkich ciekawi – zwłaszcza wtedy, gdy ma się dość, bo śledztwo nie idzie i człowiek nie ma ochoty o tym gadać.

– A ty co dzisiaj robiłaś? – odpowiedział pytaniem.

– Ach, to co zwykle! Rano papierkowa robota. Składanie wniosków, występowanie o pozwolenia, pisanie do sponsorów. Archeologia to nie tylko prace wykopaliskowe. A tymczasem „Mercurio”, statek zatopiony przez Anglików pod Grado w tysiąc osiemset dwunastym, okazał się źródłem ciekawych znalezisk. Niestety, nie wolno mi jeszcze nurkować. Tak mówi lekarka. Myślisz, że Gemma jest naprawdę dobra w swoim zawodzie?

– Oczywiście! – Laurenti nastawił uszu. Patrizia też zaczęła się leczyć u Gemmy.

– „Mercurio” leży na głębokości osiemnastu metrów, na otwartym morzu. Większość przedmiotów na pokładzie jest dobrze zachowana. Nie

mam chęci odwalać tylko biurowej roboty za kolegów, gdy oni zajmują się tym, co najciekawsze, a ja potem mogę sobie co najwyżej pooglądać zdjęcia.

– Skoro Gemma tak radzi, to ja bym się tego trzymał. Jest bardzo dobrym lekarzem. Naprawdę odżyłem, odkąd jestem pod jej opieką. Zresztą takiego starego statku nie wyciągną przecież na powierzchnię z dnia na dzień. A kontaktowałaś się dzisiaj z Gigim? Dokąd teraz popłynie?

– Właśnie przyjmują w Dżibuti kontenery z Etiopii. Za pięć dni wróci do domu, będzie miał dwa miesiące wolnego. – Głos Patrizii brzmiał obojętnie. – Wreszcie pozna swoją córkę.

Odstawiła dziecko od piersi i ułożyła w starej drewnianej kołysce, którą teściowa Laurentiego przywiozła ze sobą i która, jak twierdziła starsza pani, służyła już Laurze. Stoczona przez korniki kołyska przez kilkadziesiąt lat stała na strychu rodzinnego domu w San Daniele, w którym teraz mieszka siostra Laury i który od niepamiętnych czasów mieścił także biura wytwórni słynnej szynki. Laura dała mebel do odrestaurowania.

– Wyobrażam sobie, jak się Gigi ucieszy! – powiedział Laurenti. – Ty chyba też?

Patrizia w zamyśleniu patrzyła na nocne morze.

– Tak, tak – odparła po chwili. – Barbara niedługo skończy cztery miesiące.

Laurenti na tym poprzestał. W końcu on odpowiada tylko za utrzymanie porządku publicznego i ściganie przestępców w mieście.

\* \* \*

Przy trzecim kieliszku *spumante* u Malabara Miriam udało się ściągnąć na iPhone'a stronę internetową archiwum fotograficznego. „Archiwum Raccaro. Od roku 1972. Największy prywatny zbiór fotografii wojennych”. Krótka notka dostarczała jedynie pobieżnych informacji na temat założyciela, żadnych danych o miejscu urodzenia, o wieku, za to zamieszczono jego motto: „Fotografia rządzi światem”. Zdjęcie właściciela archiwum można było powiększyć: Raccaro z prezydentem, który nadaje mu tytuł *Cavaliere del lavoro*, rycerza pracy, za zasługi w dziedzinie gospodarki, i w paradnej sali pełnej mężczyzn w ciemnych garniturach i pod krawatami wręcza mu dyplom i Złoty Krzyż orderu. Do zakonu orderu, do którego należał także

szef rządu, zgodnie ze statutem mógł wejść tylko ten, kto zarówno w sferze prywatnej, jak i publicznej wiódł przykładne życie, bez zarzutu wywiązywał się z obowiązków podatkowych, dokładał wszelkich starań, by dbać o dobro pracowników i ani we Włoszech, ani poza granicami kraju nie prowadził interesów, które mogłyby przynieść szkody gospodarce narodowej. Lista odznaczonych w ciągu ostatnich stu lat obejmowała ponad dwa i pół tysiąca nazwisk – i nie wszyscy spełniali kryteria nieskazitelnie czystych rąk.

Archiwum fotograficzne to znakomity pretekst, by nawiązać kontakt z tym człowiekiem. Z planu miasta wynikało, że budynek, w którym znajdowały się biura Raccara, był oddalony tylko o kilka przecznic. Miriam pomyślała, że zanim się tam zjawi, najpierw poobserwuje trochę dom, zorientuje się w sytuacji. Gdy szła na Piazza Oberdan, opanował ją dziwny niepokój, co chwila oglądała się za siebie, ale niczego nie zauważyła.

Na placu gromada wrzeszczących chłopaczków zabawiała się kopaniem pustych puszek po piwie, hałas był okropny. Ostre porywy bory unosiły uliczny kurz. W krótkim czasie dwa razy zjawili się policjanci i wypiercingowane dzieciaki w wytartych dżinsach musiały się wylegitymować. Miriam pomaszerowała do kamiennej ławki osłoniętej przez wiatę przystanku tramwajowego, skąd mogła bez przeszkód obserwować wejście do Palazzo Vianello. Zgodnie z opisem Gazzy dach pięciopiętrowego budynku wieńczyły cztery obeliski. Ten, kto zlecił budowę pałacu, wzniesionego na początku XX wieku, musiał być bardzo zarozumiałym człowiekiem – pompatyczna budowla świadczyła o bogactwie i niepoahamowanej rozrzutności. Takie granitowe kolumny jak obeliski na dachu cesarze rzymscy przywozili jako trofeum z Egiptu, faszyści zaś w okresie krwawej okupacji Etiopii w podobny sposób zaopatrzyli się na polu stel w Aksum. Ale skąd pochodziły obeliski na tym dachu?

Na parterze musi się pewnie znajdować agencja pracy czasowej, widać to po liczbie wchodzących i wychodzących osób. Za to ciężkie dębowe drzwi, za którymi znajdowała się klatka schodowa zawdzięczająca przestronność czasom minionej świetności, otwierały się rzadko. W ciągu godziny Miriam naliczyła tylko pięć osób. Tymczasem, sądząc po światłach palących się w oknach na piętrze, pracowano tutaj dłużej niż w innych biurach.

Nieco później Miriam z pewnym zdziwieniem ujrzała nie całkiem już młodą kobietę z tak obfitym biustem, że pewnie nie mógł być naturalny. Obejrzała ją z zaciekawieniem od stóp do głów: opięta minispódniczka z białego frotowego materiału ledwie zakrywała pośladki, przesadnie je eksponując. Piękność rodem z bulwarówek – wydatne, jaskrawo umalowane botoksowe usta, długie rude włosy, wybitnie szerokie ramiona, a na nogach mimo upału buty z długimi cholewkami, sięgającymi ponad kolana. Miriam mogłaby się założyć, że ta dama ma niezwykle donośny głos. Raczej trudno sobie wyobrazić, żeby wykonywała tu prace biurowe. Nieco później na ciężkim skuterze zajechał młody mężczyzna, zsiadł i zadzwonił do drzwi, lecz kask zdjął dopiero, gdy rozległ się brzęczyk przy drzwiach. Miriam zanotowała sobie numer rejestracyjny skutera. Potem wybrała numer archiwum; przedstawiła swoją sprawę aż trzem osobom, zanim wreszcie połączono ją z samym Raffaele Raccarem. Powiedziała mu o reportażu z podróży, który pisze dla „Travellera”, i że dopiero w Trieście dowiedziała się o nim i o jego archiwum, o którym także chciałyby napisać.

– Zaraz sprawdzę, kiedy mogę się z panią spotkać – powiedział Raccaro bez dalszych pytań i Miriam usłyszała szelest kartek papieru. – Jedyne termin, jaki mogę zaproponować, to jutro wieczorem o dziewiętnastej. Odpowiada pani?

– Oczywiście – powiedziała Miriam. – Bardzo dziękuję.

– Łatwo do mnie trafić... – zaczął Raccaro, ale mu przerwała.

– Wiem, gdzie jest pańskie biuro. Do zobaczenia.

Burczało jej w brzuchu, mimo to zaczekała, aż ciemność łagodnie opadnie na miasto, nim wybrała się poszukać jakiejś restauracji. Szła platanową aleją, wzdłuż której jeden obok drugiego stały cieszące się popularnością bary i lodziarnie, pełne o tej porze. Przypadkiem natknęła się na dom, w którym urodził się Italo Svevo – zatrzymała się na chwilę, by przeczytać tekst na tablicy pamiątkowej.

Wreszcie znalazła wolny stolik w „Antica Trattoria Menarosti” na via del Toro. Lokal w stylu rustykalnym, na ścianie obraz i czarno-białe fotografie przodków, kamienna posadzka i obrusy z białego lnu. W karcie tradycyjne potrawy rybne. Na przystawkę wybrała małże sauté, a kiedy zabierała się do

dania głównego, mureny w sosie buzara, otworzyły się drzwi i między stolikami zaczął się ze swoją ciężką torbą przeciskać somalijski handlarz uliczny w niebieskim kaftanie i wełnianej czapce. Właścicielka lokalu, uprzejma starsza pani, poprosiła go delikatnie, by nie nagabywał gości. Zdziwiła się, kiedy Miriam zawołała do niego „Alberto” i wyjaśniła, że to znajomy. Somalijczyk wsunął swoje torby pod stół i usiadł, tak jak go poprosiła Miriam.

– Jak długo mieszkasz w Trieście? – zapytała. – Prawdziwy człowiek instytucja z ciebie. Wszyscy cię tu znają.

– Ale prawie nikt nic nie kupuje. Jestem tu już siedem lat i dobrze poznałem skąpstwo Istryjczyków. Niełatwo tu zarabiać pieniądze. A teraz ludzie kupują jeszcze mniej. Wszyscy tylko gadają o kryzysie. Ale do knajp chodzą, jak chodzili. I nie myśl, że wypijają choćby o kieliszek mniej.

– Masz rodzinę?

– W kraju. – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. – Mam ośmioro dzieci, trzy żony. Ale po co właściwie robisz cały czas te notatki?

– Przygotowuję reportaż o Trieście.

– Dziennikarka? Obaj moi bracia są w południowych Włoszech. Przyjechali pół roku temu, znaleźli pracę jako pomocnicy przy zbiorach w Kalabrii. Ale pieniędzy, które im się należą, nie dostali. Już od dawna nie mam od nich żadnych wiadomości. Napisz o tym. – Sięgnął pod stołem do uchwytu swojej ciężkiej torby z tanimi ozdobami, wyciągnął z niej bransoletkę z drewna tropikalnego, położył przed Miriam. – To dla ciebie. Chroni przed złymi mocami.

Miriam spojrzała na niego zdumiona.

– Sądzisz, że jest mi potrzebna?

– Niewykluczone – powiedział Alberto i wstał. Wyszedł z lokalu bez pożegnania.

– Biedni ci ludzie – powiedziała gospodyni. – Czasy nie są dobre. Wszyscy oszczędzają.

Niedługo potem Miriam ruszyła piechotą z powrotem do hotelu. Skuter, którego numery zanotowała przed Palazzo Vianello, przejechał koło niej trzy razy. Kierowca i teraz, chociaż była noc, miał opuszczony przyciemniany

wizjer kasku. A potem zauważyła pojazd w pobliżu swojego hotelu, kilka metrów od baru, przed którym na ulicy tłoczyli się goście. Przez chwilę przypatrywała się im z przeciwnej strony ulicy, ale w słabym świetle latarni nie dało się rozróżnić twarzy. Pomyślała sobie, że wypije jeszcze jednego drinka przed snem i przecisnęła się przez zgromadzony tłumek. Gdy szła do lokalu, towarzyszyły jej spojrzenia młodych mężczyzn. Podeszła do baru, zamówiła gin z tonikiem; nagle coś kazało jej się odwrócić. Nikogo. Nie mogła się jednak oprzeć wrażeniu, że jest obserwowana.



# Żółcień

– Nie powiem, bardzo gustowne. Nareszcie mamy w biurze słońce – rzucił Laurenti, wchodząc do przedpokoju. Zmrużył oczy jak przed ostrym światłem.

Marietta sortowała pocztę i nawet na niego nie spojrzała.

– Już rozumiem, to dlatego wczoraj wcześniej wyszłaś... – mówił dalej. – A miałbym dla ciebie robotę. Następnym razem bądź łaskawa się odmeldować.

Marietta wreszcie znowu była porządnie uczesana, miała świeżo ufarbowane włosy. A także nowy strój, kostium szafranowego koloru, co prawda, jak na jej zwyczaje, bardzo przyzwoity w kroju, z czego Laurenti wywnioskował, że przy zakupie musieli jej doradzać króliczek Bobo i jego pan.

– Za to dzisiaj przyszedłam wcześniej. I wszystko się wyrównało – mruknęła Marietta.

– Nienormowany czas pracy jest u nas tylko w formie niepłatnych nadgodzin, zapomniałaś już?

– Jak ci się nie podoba, mogę złożyć podanie o przeniesienie!

– Zdziwiłabyś się, takiego szefa jak ja nigdzie nie znajdziesz. Co z raportem? Czekam.

Marietta od razu poszła za nim do gabinetu, bez kawy, i usiadła naprzeciwko.

– Nowy projekt władz miasta przewiduje, żeby grzywną trzysta euro karać właścicieli psów także wtedy, gdy ich ulubieńcy nasikają na koło samochodu, skuter albo wejście do sklepu.

– Czy to dotyczy także białych króliczków?

Marietta zignorowała komentarz szefa.

– To dotyczy tylko psów płci męskiej. Za to nie będzie się już pociągać do odpowiedzialności matki, jeśli dziecko nasiusia na ulicy, pod warunkiem

że ma poniżej sześciu lat. Ten przepis wchodzi od zaraz.

– Nie ma przypadkiem nic ważniejszego do zrelacjonowania?

– Zainstalowaliśmy w lesie kolejne fotopułapki z obiektami na podczerwień; uruchamiają się automatycznie, gdy tylko ktoś znajdzie się w polu widzenia. Wykonują ujęcia seryjne. Karty pamięci analizuje się codziennie. Zresztą w niższych partiach lasu takie kamery są już od dawna. Leśnicy zainstalowali je do zliczania dzików i obserwacji przemieszczania się zwierząt. Dają piękne, ostre zdjęcia. Nawiasem mówiąc, ci kłusownicy rzeczywiście mieli karabiny AK-47. Z tłumikami własnej roboty, przynajmniej na to wygląda. Patrole już dostały zdjęcia. Z pewnością wkrótce uda się ująć tych ludzi. A poza tym bardzo mnie wypytywali, czego akurat ty tam szukałeś...

– Ja?

Marietta popatrzyła na szefa długo, badawczo, po czym, lekko westchnąwszy, powróciła do sprawozdania: w milczeniu położyła na biurku trzy zdjęcia. Laurenti przyjrzał się im uważnie przez lupę.

– Jeden z tych facetów przypomina robotnika z naszej budowy. Ciekawe, ile dostaje się za zabitego dzika?

Oddał zdjęcia Mariettcie, która nadal siedziała na krześle, mocno ściskając papierową teczkę, leżącą na jej kolanach.

– Coś jeszcze? – zapytał Laurenti, widząc, że jego asystentka ani nie zamierza dalej mówić, ani wyjść.

– Całkiem inna sprawa jest z tymi tu zdjęciami – westchnęła Marietta po kolejnej długiej przerwie i nagle wyprostowała się energicznie. – Tego mężczyznę znają wszyscy. Kobietę zresztą też.

Efektownie, niczym pokerzysta karty, wyłożyła zdjęcia na stół. Laurenti nie wierzył własnym oczom, twarz mu stężała. I bez lupy rozpoznał, o kogo chodzi. Nawet nie wziął fotografii do rąk, tylko wpatrywał się w Mariettę skamieniałym wzrokiem.

– Są jeszcze inne?

Milczała.

– Są jeszcze inne? Pytam!

– Wykasowałam wszystkie – odpowiedziała wreszcie Marietta. –

Technikowi, który robił odbitki, nakazałam milczenie. Patrzyłam mu na ręce, kiedy czyścił pamięć.

Wstała i wyszła energicznym krokiem. Z furią zatrzęsła za sobą drzwi.

Krople potu wystąpiły Laurentiemu na czoło. Pierwsza seria zdjęć ukazywała jego i Gemmę przedzierających się przez las. Natomiast druga była już jednoznaczna: ciasno objęci stali pod starym dębem, jego ręce wsunięte pod jej bluzkę. W trzeciej serii z fotopułapki widać ich było, jak spoglądają w dół zbocza. Czwarta ukazywała, jak znikają na górze. Gorączkowo grzebał we wspomnieniach. Jeśli mieli szczęście, to faktycznie wszystko, wszystkie zdjęcia, tak jak zapewniała Marietta. Kamery były zainstalowane u dołu, u podnóża zbocza. Ale co, u diabła, wyprawia Marietta? Czyżby była zazdrosna? Czy to jest właśnie powód jej złego humoru?

W tej chwili dostał SMS-em codzienny poranny znak zapytania. Rzucił okiem na drzwi, uspokoił się, widząc, że są zamknięte. Potem oddzwonił do Gemmy.

– Policjant w policyjnej pułapce! Ale heca!

Dobrze jej się śmiać! Alvaro, jej przyjaciel, mieszka w Mediolanie i nawet jeśli ktoś puści w obieg plotkę, to do niego pewnie i tak nic nie dotrze. Wprawdzie Marietta zapewniła go, że technik się nie wygada, lecz Laurenti wiedział, że teraz musi zdwoić czujność i bardzo uważać – a także liczyć się ze złośliwymi uwagami ze strony kolegi. I będzie musiał obchodzić się z nim jak z jajem, ostrożnie dobierać słowa i ładnie prosić, gdyby na przykład potrzebował jakiejś ekspertyzy szybciej, niż przewidują normalne procedury biurowe. O Mariettcie lepiej nie mówić!

– Tak czy owak, mamy o jedną kryjówkę mniej – powiedział.

– Jeszcze tylko kilka dni, kochany – uspokoiła go Gemma. – Wczoraj dzwonił ojciec. Jest teraz na wysokości Dubrownika, niedługo wróci. A wtedy będziemy mieli do dyspozycji jego jacht.

Rozległo się krótkie pukanie do drzwi, które zaraz otworzyły się z rozmachem i wszedł inspektor Gilo Battinelli. Laurenti rozłączył się bez pożegnania.

– „Greta Garbo” przygotowuje się do wyjścia w morze. Dwóch ludzi

myje pokład. Widziałem też, jak dowożą tam i ładują towary. Wino, żywność. Napęniają zbiornik na wodę. Przypuszczam, że Raccaro niebawem wypłynie.

Kronika miejska nie przyniosła zbyt wielu nowości. Skandaliczna historia z angielską deputowaną nadal królowała na pierwszej stronie, innymi słowami powtarzano to, co zamieszczono w gazecie już poprzedniego dnia. Nowa była jedynie wiadomość, że próby wymuszeń czy zniesławień za pomocą kompromitujących zdjęć mają długą tradycję:

„Już w styczniu 1862 roku ofiarą takich praktyk stała się Maria Zofia Amalia Wittelsbach, młodsza siostra Sissi – informował artykuł. – Sfałszowane zdjęcia, ukazujące ją w nieprzyzwoitych pozach, z okresu, gdy przebywała na wygnaniu u papieża Piusa IX w Rzymie, rozesłano do wszystkich dworów Europy. A dagerotypię wynaleziono ledwie dwadzieścia pięć lat wcześniej! Nikt wówczas nie przeczuwał, jakie będą kiedyś możliwości fotografii, o fotoshopie nikomu się nawet nie śniło. Rzym był wówczas jeszcze stolicą Państwa Kościelnego i stał na drodze do zjednoczenia Włoch. Za pomocą owych fotografii chciano wywrzeć na Watykan nacisk, aby odmówił dalszego azylu Marii Zofii oraz jej małżonkowi Franciszkowi II, królowi Obojga Sycylii. Pikanterii dodaje tej historii fakt, że siedemnastoletnia księżniczka zgodziła się na małżeństwo z Franciszkiem po obejrzeniu upiększonego zdjęcia adoratora. Jej późniejszy małżonek nie grzeszył urodą”.

Potęga fotografii! Laurenti zanotował sobie kilka haseł: fotopułapki, kamery monitoringu, paparazzi, Maria Zofia, Angielka, szantaż, film telewizyjny. Codziennie mógłby dodawać nowe nazwiska: właśnie w ten sposób niedawno zmuszono do ustąpienia prezydenta regionu Lacjum. Znalazł się na pierwszych stronach gazet, które donosiły o filmach wideo ukazujących żonatego katolickiego polityka lewicy podczas seksu z transseksualistką; osoba ta oświadczyła, że jest od siedmiu lat jego kochanką i że zaopatruje go też w kokainę. Najczystsza intryga polityczna, mająca na celu odsunięcie niewygodnego człowieka i zrobienie miejsca dla kandydata premiera. Tymi filmami szantażowało polityka czterech karabinierów,

a mężczyznę, który miał je sprzedać mediom, wkrótce potem znaleziono martwego. Przedawkowanie. Inna transseksualistka wskutek podpalenia zatrula się dymem w swoim apartamencie. Natomiast były gubernator w celu pokuty i medytacji udał się podobno do klasztoru. Wybory, zgodnie z planem, wygrała prawica.

Czyżby prokurator Volpini nie myliła się, sugerując, że szantażowanie angielskiej deputowanej może mieć tło polityczne? Laurenti zmarszczył czoło. Jak, u diabła, ma to rozwikłać? I jeszcze te jego zdjęcia z Gemmą! Jeśliby Marietta go zdradziła, wpadłby w nie lada tarapaty!

\* \* \*

Żółcień. Obrazy pojawiały się zawsze w żółtych odcieniach. Początkowo przejrzyste jak wschód słońca, potem coraz bardziej mętne, jakby nadciągała burza piaskowa.

Sen zawsze zaczynał się pogodnie, lecz posepniał z minuty na minutę: znane twarze i bezlik obcych ludzi. Niektórych znał z widzenia, cieszył się, że go serdecznie pozdrawiają, rozmawiają z nim, proszą o wyrażenie opinii. Dziwne było to, że wszyscy poza nim byli ubrani; ich uprzejmość kończyła się w momencie, gdy dostrzegali jego nagość – natychmiast go wtedy odtrącali. Stał pośród nich jak sparaliżowany, bezbronny, wydany na pastwę pogardliwych spojrzeń, uwag i wyzwisk, które stawały się coraz głośniejsze, aż pękały mu bębunki w uszach. Potem rzucali w niego kamieniami, policzkowali go, popychali, ciosy palącym bólem przeszywały ciało. Nie uciekał, wił się tylko, cierpiał męki wśród tego wrzasku. Nie mógł ani przykryć rękami swojej męskości, ani zasłonić uszu. Jego ręce były jakby przyrośnięte do bioder, nogi bez siły. Nie udawało mu się nawet odwrócić. Zresztą dokąd miałby uciekać? Otaczała go tłuszcza, wydawało się, że patrzą przez niego na wyłot. A jednak to on stanowił ośrodek ich zainteresowania, a agresja, która z tego wynikała, dotyczyła wyłącznie jego. Byli wśród otaczających wysoko postawieni politycy, osobistości z gospodarki i show-biznesu, także burmistrz i cała prowincjonalna socjeta. Najstraszniejsze jednak były te głęboko wydekoltowane kobiety, które, krzycząc piskliwie, naśmiewały się z jego małego przyrodzenia i pokazywały je sobie palcami. Stała też tam siwowłosa kobieta o łagodnej twarzy, krył się za nią gruby

chłopiec. Kobieta życzliwym głosem tłumaczyła mu, że to wszystko tylko dla jego dobra, że sam się przekona. W okamgnieniu jej twarz niknęła za gęstą mgłą. Wszystko zaczynało się kręcić, wrzask się nasilał. Czuł, jak mdłości podchodzą mu do gardła. Potem nagle ktoś chlustał mu w twarz jakimś mlecznym płynem. Wreszcie się budził. Pot spływał mu po piersi i czole, łaskotał w uszach.

Znowu miał jeden z tych zaropiałych dni, jak je nazywał. Czasami, pełen lęku, czuł, że nadciągają. Jak letnia burza, podczas której ciemne, ponure chmury z szybkością wiatru nasuwają się od zachodu nad krasowe góry i zaciągają czyste niebo nad morzem, a powietrze robi się tak gęste, że można by je kroić, i ledwie daje się oddychać. W końcu pierwsza błyskawica, której towarzyszy ogłuszający grzmot, rozdziera chmury, każąc zamilknąć przerażonemu światu.

Aurelio, udręczony sennymi koszmarami, ściągnął mokre od potu prześcieradła, usiadł na łóżku. Zgnębiony i wyczerpany, oparłszy głowę na dłoniach, po raz kolejny próbował zrozumieć, czemu nie potrafi uciec od tych obrazów, które prześladują go od dzieciństwa.

Mała wskazówka zegara kuchennego stała na dziesiątce, do mieszkania wpadało jaskrawe światło, a kiedy otworzył okno, z dworu buchnęło gorące letnie powietrze. Kiedy zasnął? Co się stało? W komórce dwanaście nieodebranych telefonów, większość od Lelego. Pewnie się wścieknie, ale co on mu może zrobić, ten stary dziad? Aurelio wiedział za dużo o rzeczach, o których inni tylko przebąkiwali. Lele, co prawda, nigdy nie wtajemniczał go w swoje interesy, ale od czasu do czasu, niby mimochodem, zdradzał to i owo. Robił to naumyślnie? Aurelio notował wszystko, gdy tylko Lele się odwrócił.

Znowu wróciło kilka scen z jego żółtego snu. Zamknął oczy, próbował je rozszyfrować. Gdzieś daleko w tle Lele wściekle wygraża palcem, wskazuje na niego. We śnie był o wiele wyższy niż w rzeczywistości, przerastał wszystkich, wydawał się potężnym Lucyferem o ogromnych szmaragdowych oczach. Aurelio z rozpaczą uderzył głową w ścianę. Ogarnęła go ślepa, czarna wściekłość.

Drżącymi rękami postawił kawiarkę na gazie, poszedł do pokoju

z przyrządami do gimnastyki. Maksymalnie obciążył atlasa, zaczął ćwiczyć. Z początku słabo mu szło, ale gdy kilka razy powtórzył ćwiczenie i złapał rytm, mięśnie się rozgrzały; w ciele czuł ciągle jeszcze to dynamiczne napięcie, efekt panicznego lęku. Kiedy wyczerpany opadł na oparcie, z kuchni zaleciał go swąd spalenizny. Kawa! Zawartość kawiarki wyparowała, a smród zwęglonej gumowej uszczelki zatruł powietrze. Aurelio wściekły cisnął aluminiowy dzbanuszek do zlewu, zalał go dwiema szklankami wody. Potem długo stał pod prysznicem, co chwila szybko zmieniając temperaturę wody, to na lodowatą, to na ukrop. Po jakimś czasie poczuł się lepiej, był odświeżony i orzeźwiony, ale ciągle jeszcze nie wrócił mu wewnętrzny spokój, ów chłód i zimna krew, które go wyróżniały. Z biegiem lat nauczył się odczytywać sygnały zapowiadające nadejście koszmarów. Na kilka godzin przedtem za każdym razem opanowywał go silny niepokój, od którego nie potrafił się uwolnić. Wczorajszego wieczoru już przy pierwszej oznace wskoczył na swojego malaguti i wściekle, ostro wyjechał na ulicę. Zmierzchało. Na pełnym gazie popruł nabrzeżami. Kilkupasmową Strada Costiera przebudowano dopiero kilka lat temu, i to tak, jakby to była ostatnia prosta toru wyścigowego w Monzy. Aurelio bez przerwy kłął na światła i na każdego, kto pojawił się na jego drodze. Ludzie siedzący przed kawiarniami dziwili się rykowi wydobywającemu się spod kasku integralnego, gdy pędził na skuterze, patrzyli za nim ze śmiechem.

A on cały czas dodawał gazu; im szybciej udawało mu się zostawić za sobą kolejne auto, tym bezpieczniej się czuł, to samo dotyczyło pieszych przy przejściach. W pewnej chwili, gdy jechał pasem dla skręcających w lewo, akurat przy nim zarzuciło jadącym obok samochodem; ognistoczerwone alfa romeo mito, za kierownicą jasnowłosa kobieta. Łokieć Aurelia uderzył w boczne lusterko niewielkiego wozu. Z wściekłością zwinął lewą pięść i pokazał kobiecie środkowy palec, prawą ręką nadal podkręcając manetkę gazu. Na estakadzie biegnącej wzdłuż portu kawowego, terminalu kontenerowego i stoczni remontowych wyprzedził pojazdy z prawej i wkrótce potem rozpędził skuter do maksymalnej prędkości, zmniejszał ją tylko na wyciągniętych zakrętach, którymi autostrada pięła się po Krasie. Skulił się za osłoną skutera i zjechał z autostrady dopiero przed punktem

opłat Lisert, by drogą lokalną pojechać do Gorycji, a stamtąd do doliny Val Canal, na północ.

Kiedy w dwie godziny później odstawił skuter przed „Stazione Rogers”, był już spokojniejszy. Cylindry jego maszyny stygły z trzaskiem. W barze, jak co dzień, mnóstwo sympatycznych, rozradowanych ludzi piło o zachodzie słońca aperitif. Wszyscy się tu znali, wszyscy się pozdrawiali i przepijali do siebie. Opalone ciała i białe zęby, nażelowane włosy, perfumy, lekkie stroje i beztroska wesołość. Aurelio zamówił koktajl, dołączył do kilkorga znajomych, siedzących na obitych materiałem drewnianych paletach, ustawionych do siedzenia przed lokalem. Obok niego atrakcyjna blondynka, piękna, dojrzała kobieta, flirtowała ze skipperem Enrikiem D’Agostino, którego tu wszyscy znali i który paręset metrów dalej, przy nabrzeżach, miał eleganckie mieszkanie pełne dzieł sztuki. Kobieta co chwila odgarniała za ucho kosmyk długich, gęstych włosów i uśmiechała się, a D’Agostino głośno zachwycał się urokami żeglowania, kiedy jacht przy dobrym wietrze i stabilnym nachyleniu śmiga po falach Adriatyku, a wieczorem zawija do przystani na jednej z tych małych wysepek Kornatów, na które można się dostać tylko drogą morską i gdzie gospodarz w jedynej trattorii serwuje dopiero co złowione langusty i ryby.

– Bajer-gadka na podryw... – mruknął Aurelio i spojrzał na zegarek. Czas się znowu zająć dziennikarką.

\* \* \*

W Palazzo Vianello Aurelio zjawił się przed południem; usiadł przy swoim biurku w przedpokoju Lelego i zaczął przeglądać gazety.

– Chodź tu i zamknij za sobą drzwi – warknął stary tak jadowitym tonem, że Aurelio aż się wzdrygnął, gwałtownie oderwany od lektury. Z niechęcią usłuchał wezwania. Porządnie domknął za sobą wytłumione drzwi gabinetu szefa. Lele zamknął książkę z tygodniowym raportem sieci swoich sklepów; rozparł się w swoim ogromnym skórzanym fotelu, którego oparcie wystawało mu nad głowę na dobre dwie szerokości dłoni. Nogi Lelego ledwie dotykały parkietu. Na biurku leżały dwie otwarte gazety, Aurelio wiedział już, co w nich jest.

– Czemu mnie okłamujesz? – wściekł się Lele z punktu. – Ostrzegalem



cię, żebyś nie przeholował z tym szajsem. – Jego falset stawał się coraz ostrzejszy, jak głos wydawany przez grzechotnika. – A teraz o wszystkim jest w gazetach. I jaki tam kelner obsługi pokojowej! Zrobiliście to razem z bratem.

– On nie jest moim bratem – wtrącił Aurelio urażony.

– Wszystko jedno, uważaj go, za kogo chcesz. Ale nie waż się wciskać mi więcej kitu. A teraz gadaj. Ale całą prawdę, chcę wiedzieć wszystko, do ostatniego szczegółu. Potem ja zadecyduję, co dalej. Zrozumiano?

Aurelio zaklął w duchu, potem zaprezentował Lelemu swój wariant całej historii, przedstawiając Gazzę jako wyuzdanego podglądacza i szantażystę, oraz oświadczył, że on także wystąpi przeciw niemu na drogę sądową.

– Nie zrobisz niczego bez mojego rozkazu! – fuknął Lele. – Opowiadaj dalej.

– Ktoś złożył wczoraj tłuściochowi wizytę. Jakaś angielska dziennikarka zjawiała się w jego biurze i wręczyła mu pismo z kancelarii adwokackiej oraz „The Independent”. A on, w swojej bezgranicznej głupocie, dał się na to nabrać. Teraz próbuje zwalić wszystko na mnie. Ale mu się nie uda.

– Ale to ty pokazałeś mi te zdjęcia, ty się przechwalałeś. I to ty twierdziłeś, że zrobił je jakiś pokojowy.

– Przecież nie jestem donosicielem. Nie chciałem od razu mówić, że to Giulio. Ale popełniłem błąd, chroniąc tę świnię. Przyznaję, wybacz. Życzliwość nie popłaca.

– Co wiesz o tej kobiecie z Anglii?

Aurelio z ociąganiem zaczął opowiadać, jak śledził dziennikarkę: z „Gran Malabar” poszła na Piazza Oberdan, widział, jak kilka razy wyraźnie ogląda się za siebie. Potem przesiedziała ponad godzinę na ławce przy przystanku tramwajowym, obserwując wejście do Palazzo Vianello. Dodał, że kiedy wchodził do budynku, kask zdjął dopiero, gdy zatrzasnęły się za nim ciężkie, dębowe drzwi.

Lele od razu zrozumiał, że musi chodzić o tę samą dziennikarkę, która rzekomo chce pisać o archiwum. Zatem jej zainteresowanie zbiorami to tylko pretekst. Podrapał się za uchem – nie podobała mu się ta sprawa.

– Jakim cudem ta kobieta wie, że tu pracujesz? – Wstał, ale nawet na

stojąco nie sięgał ponad krawędź oparcia gigantycznego fotela. – Opowiadałeś może o tym tej swojej angielskiej kochance?

– Z całą pewnością nie. – Aurelio bezradnie rozłożył ręce. – Ona nawet nie zapytała mnie o nazwisko. Chciała się tylko pieprzyć. Nic poza tym.

– Zaciekawia mnie ta dziennikarka. – Stary wziął białą bejsbolówkę i włożył na głowę daszkiem do tyłu. – Obserwuj ją dalej. Łaż za nią krok w krok. I masz mnie na bieżąco informować o najdrobniejszych szczegółach. Zrozumiano? A z Giuliem jeszcze pogadam, muszę usłyszeć jego wersję. Potem zobaczymy, co dalej. I biada ci, jeśli próbujesz mnie nabrać! Teraz muszę na chwilę skoczyć na plan do tej ekipy telewizyjnej. Są wstrząśnięci, bo nagle zniknął ich szef. Tymczasem mogliby mi w zasadzie podziękować za ułatwienie pracy. Niezależnie od wszystkiego Giulio ostatnio namieszał przy bukowaniu lotów dla aktorów, trzeba to jakoś wyprostować. A teraz zajmij się przesyłkami wartościowymi, trzeba je do południa wysłać kurierem.

\* \* \*

– Kiedy w Trieście zamówi pani cappuccino, dostanie pani coś, co gdzie indziej nazywa się *macchiato*, które u nas z kolei nazywamy *capo*. A *capo* dostanie pani w filiżance albo w małej szklaneczce, lecz wtedy to będzie *capo in bi*. Jeśli jednak chce pani cappuccino takie, jakie pija u siebie, to należy zamówić *caffè latte*. U nas wszystko jest inaczej. – Nicola Zadar się roześmiał. W środowy poranek, punktualnie o dziewiętej, tak jak się umówili, przyjechał po Miriam do hotelu samochodem; najpierw zaprowadził ją do baru za rogiem.

– Proszę zwrócić uwagę, jak ludzie tu zamawiają kawę. Triesteńczycy w niczym nie są równie pedantyczni.

Miriam pilnie robiła notatki.

– Dobry barista parzy codziennie około pięćdziesięciu różnych rodzajów kawy, ale nie jak w Starbucksie, z syropem i przyprawami. Zawsze tylko w tym oto urządzeniu. – Serdecznie, jak starego przyjaciela, poklepał duży ekspres do kawy, stojący na kontuarze. – Raz to nawet z grubsza policzyliśmy. Teoretycznie istnieją pięć tysięcy sto osiemdziesiąt cztery warianty. Triest to kawowa stolica Włoch. Kawy pije się tu przeszło dwa razy

więcej niż przeciętnie w naszym kraju. Prawie tysiąc pięćset filiżanek na osobę rocznie. Cztery filiżanki dziennie. I żadne inne miejsce nie dysponuje tak jak Triest kompletnym łańcuchem produkcyjnym, nigdzie też ta branża nie zatrudnia tylu osób. Wprawdzie Uniwersytet Kawowy założono w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym w Neapolu, ale po trzech latach słusznie przeniesiono go tutaj.

Nicola Zadar był co najmniej dziesięć lat starszy od Miriam; elegancki, zadbany mężczyzna, pewnie obejmując wymanikiurowanymi rękami kierownicę, spokojnie prowadził luksusowe maserati przez port wolnoćlowy, aż w końcu zatrzymał się przed jakimś składem. Wózki widłowe wyładowały z kontenera jutowe worki z kolorowymi nadrukami i przewoziły je do wysokiego budynku.

– Istnieje mnóstwo legend na temat pochodzenia kawy. Pewne jest tylko to, że na samym początku Etiopczycy wytwarzali sok z miąższu czerwonego owoka, „wisienki” kawowej, czasem nawet poddawali go fermentacji alkoholowej. A liście rośliny żuto, jak gdzie indziej *khat* albo kokę. Systematyczną uprawę rozpoczęli dopiero Arabowie. Pobudzający napój idealnie nadaje się dla wspólnoty religijnej, która zabrania picia alkoholu. Pierwszą plantację założono w Jemenie w piętnastym wieku – miasto Mokka, czy też Mocha, nad Morzem Czerwonym było pierwotnie największym targiem kawowym. Ziarna przed sprzedażą gotowano, aby nie kiełkowały. Po przeciwnej stronie cieśniny leży Dżibuti, skąd dzisiaj odpływają statki z kawą etiopską. Z powodu wojny pani kraju z Erytreą oraz wojny domowej w Somalii jest to jedyny port dla etiopskiej kawy. Współpracujemy bezpośrednio z pewnym hurtownikiem w Addis Abebie, a także z nielicznymi rolnikami. Moim celem jest przekonanie plantatorów do zbioru kawy ściśle według rodzajów. Istnieje przecież mnóstwo rodzajów i odmian kawy dziko rosnącej! Ale skłonić do tego ludzi nie jest łatwo. Otrzymujemy stosunkowo niewielkie ilości i obrót także jest niewielki. Pomijając już to, że trzeba umieć te rodzaje rozróżniać! Przed nami długa droga, lecz moje doświadczenie mówi, że z czasem jakość zacznie się bardziej liczyć niż ilość. Trzeba umieć wykorzystać nisze w obszarze *high quality*. W Etiopii problemem dla nas są, niestety, regulacje prawne.

Oczywiście, rozumiem dążenie do tego, by wynegocjować ceny korzystne dla wszystkich, także dla drobnych plantatorów, którzy nie mają pojęcia o rynku. Jednak odkąd wszystko zaczęło iść przez Ethiopian Comodity Exchange, nie możemy już być pewni, że otrzymamy towar, jaki zamówiliśmy.

Szli razem długimi korytarzami, na których po obu stronach piętrzyły się sześćdziesięciokilowe worki. Rodzaj i pochodzenie ziarna były wydrukowane kolorowymi literami na grubej jucie. Poszczególne sekcje oznaczały tabliczki z nazwami krajów eksportujących surowiec. Spotykał się tutaj cały świat.

– Importujemy kawę z ponad pięćdziesięciu krajów. Popyt na poszczególne gatunki i rodzaje można w przybliżeniu rozpoznać po liczbie worków. Na przykład tutaj, arabica z Ugandy, a dalej z Sudanu. – Potem wskazał na skład, wypełniony nawet nie w jednej czwartej. – Kawę z Etiopii przechowujemy w następnym korytarzu. Wojny zredukowały i tak już skromne tamtejsze zbiory. Zresztą nasi główni klienci z północnej Europy wolą mieszanki z robustą – przeznaczone na kawę filtrowaną o wysokiej kwasowości. Każdy kraj ma swoje preferencje. Działające u nas zakłady mogą zaspokoić wszelkie gusta. Znajdzie tu pani przedsiębiorstwa, które przodują na rynku światowym, oraz inne, zaopatrujące określonych odbiorców. To rynek wzrostowy, na którym toczy się ostra walka, niech pani tylko pomyśli o przemianach społecznych w Chinach! A Triest już w połowie dziewiętnastego stulecia był w basenie Morza Śródziemnego najważniejszym portem kawowym.

– Czy nie zdarza się, że w tych kontenerach szmugluje się jakieś inne towary? Broń, narkotyki? Albo przerzuca ludzi?

– Kontenery z Kolumbii są z zasady urzędowo otwierane. Inne tylko losowo. Ruch frachtowy jest zbyt duży, by można było skontrolować każdy kontener.

– Zatem w międzynarodowe stosunki handlowe niejako wpisana jest działalność przestępcza?

– A Unia Europejska otwiera przed nią drzwi. Niemcy, Francja, Włochy chcą przecież bez przeszkód eksportować. W przypadku kawy jesteśmy chociaż zabezpieczeni przed podróbkami, takimi jak choćby w branży

tekstylnej. Jednak, pomijając źle spreparowaną kawę, to i w naszej branży zdarzają się poważne przestępstwa. Jakiś czas temu skradziono tutaj ciągnik siodłowy z osiemnastoma tonami surowego ziarna. Odzyskano go dopiero w okolicach Caserty, pod Neapolem. Wszczęto wielkie dochodzenie, które wykazało, że szły tam i inne skradzione ładunki kawy, którą następnie przetwarzano w prażalni camorry. Jeśli koszty zakupu są niemal zerowe, można potężnie zarobić. U mnie przed kilkoma dniami było włamanie, skradziono bardzo rzadki, luksusowy towar, na całym świecie zbiera się tej kawy tylko paręset kilogramów rocznie. Przypuszczam jednak, że złodziej nie był smakoszem.

Właściwie Miriam powinna być wdzięczna przyjaciółce za jej lekkomyślność. Bez tego pewnie nigdy by tu nie przyjechała. Robota była łatwa, wystarczyło się uważnie przysłuchiwać. Wiedziała już, że w swoim reportażu nacisk położy na przedstawienie ludzi, którzy z profesjonalizmem i zaangażowaniem uprawiają swój fach i którzy zechcieli poświęcić jej swój czas, a o swoim mieście i jego roli opowiadają z taką dumą, nieledwie czułością, widać, że darzą to miejsce szczególną sympatią. Ciekawe, czy dotyczy to wszystkich triesteńczyków, czy tylko handlarzy kawy? Nicola Zadar powiedział jej, podobnie jak poprzedniego dnia właściciel wielkiej prażalni, że często podróżuje i że objechał wszystkie kraje, z których sprowadza surowiec. To naprawdę ludzie o szerokich horyzontach.

Zadar opowiedział jej jeszcze trochę o dziejach triesteńskiego „zrzeszenia kawiarzy”: do jego powstania przyczyniło się pół Europy. Wszystko zapoczątkowali Szwajcarzy z Gryzonii, którzy przed trzystu laty zaczęli sprowadzać kawę do gwałtownie się wówczas rozwijającego miasta portowego. Do branży, która co roku odnotowywała wzrost na rynku światowym, szybko wcisnęli się Włosi, Grecy, Żydzi, Niemcy, Serbowie i Chorwaci.

– A dzisiaj, czy dzisiaj ci wszyscy kupcy czują się Włochami? – zapytała Miriam.

– Nie, to Europejczycy. – Zadar uśmiechnął się uprzejmie.

Po powrocie do centrum oprowadził ją po swoich laboratoriach, gdzie prażyło się i degustowało próbki, by potem sporządzić mieszanki kawy

surowej dla poszczególnych klientów. Zadar zasypał ją taką masą informacji, że właściwie mogłaby od razu napisać swój artykuł. Musiała jeszcze tylko odwiedzić kilka typowych kawiarni i barów. Zadar był gotów jej towarzyszyć, lecz Miriam uprzejmie podziękowała, tłumacząc, że to by ją tylko rozpraszało, sama lepiej się skoncentruje.

\* \* \*

Marietta nie podała mu kawy, a skoro tak, musiał wyskoczyć na miasto. Zatopiony w myślach stał przy kontuarze „Caffè Torinese”, niewielkiej, historycznej kafejki przy Corso Italia. Przyglądał się brunatnym smużkom wewnątrz opróżnionej już filiżanki i dumął nad tym, co poprzedniego wieczoru zwierzyła mu Patrizia. Tylko raz coś go oderwało od rozmyślań: kiedy do kontuaru podeszła piękna ciemnoskóra kobieta z krótko ostrzyżonymi jasnobłond włosami i złożyła zamówienie, po włosku, lecz z angielskim akcentem, a potem zaczęła wypytywać baristę o upodobania i zwyczaje klientów.

Patrizia zaś z z troskaniem oczekiwała powrotu Gigiego, ojca swojej córki.

– Wiesz, *papà* – powiedziała, kiedy wieczorem siedzieli razem i gawędzili – tak szybko się od siebie oddaliśmy. Ja go przecież lubię, ale właściwie nie wiem, kim jest. Już nawet prawie nie pamiętam jego twarzy. Latem zeszłego roku, kiedy miał urlop, prawie przez dwa miesiące byliśmy ze sobą dzień i noc. A potem musiał z powrotem wypłynąć na cztery miesiące na morze. Wrócił, gdy byłem w szóstym miesiącu, i już zaraz znowu go nie było, wypłynął na krótko przed urodzeniem małej. Oczywiście, jest ojcem Barbary, ale to jeszcze nie znaczy, że jest odpowiednim mężczyzną na całe życie dla mnie.

Upiła duży łyk z jego kieliszka, chociaż ciągle jeszcze karmi małą.

– Patrizio, przecież nie musisz na łeb na szyję podejmować decyzji – odparł Proteo. – Daj sobie czas, nie rób żadnych gwałtownych wolt.

Córka niemo kiwnęła głową.

– A kto to jest ten nowy, ten, z którym się tak obejmujesz na plaży?

Patrizia wzdrygnęła się przestraszona.

– Skąd wiesz?!

– Ludzie mają oczy, nie zapominaj o tym... – Proteo był jak najdalszy od tego, by donosić na teściową. Spokój w domu rzecz święta.

– Nazywa się Guerrino. To nic poważnego, tato. Od początku jasno postawiłam sprawę.

– Jak długo to już trwa?

– Poznałam go w szpitalu, na oddziale położniczym. To brat Giulii, z którą dzieliłam pokój, pamiętasz, ta z bliźniakami.

– Młoda matka i świeżo upieczony wujek! Moje uznanie! Faktycznie, nie tracisz czasu.

– Naprawdę jest uroczy, ma poczucie humoru, a do tego jest przystojny – rozmarzyła się Patrizia.

– A czym się zajmuje ten młody człowiek? Chyba ma dużo wolnego czasu.

– Jest w Corpo Forestale, pracuje na zmiany.

– Strażnik leśny?

Patrizia naprawdę go zdumiewała. Marynarze i strażnicy leśni. Nigdy by się tego po niej nie spodziewał. A potem pomyślał krótko, że zadaniem tego młodego mężczyzny jest walka z pożarami lasu i kłusownikami. Że wyposażony w remingtona zajmuje się także planowym odstrzałem dzików.

W chwilę później wróciła do domu Livia, przerywając im rozmowę. Jego najstarsza córka znowu miała za sobą długi dzień pracy na planie u tych wnerwiających ludzi z telewizji. Była blada jak mieszkanka Monachium po deszczowym lecie. Strasznie zdenerwowana i podminowana przysiadła się do nich, wlała sobie resztę wina z butelki.

– Co ja najlepszego zrobiłam! To największy błąd w moim życiu! – zaczęła wyrzekać. – Banda tych zakichanych filmowców doprowadza mnie do obłędu!

– Przecież od razu ci powiedziałam, że powinnaś się zgłosić na casting, nadajesz się na aktorkę – powiedziała Patrizia. – Ale ty koniecznie chciałaś zostać sekretarką planu.

– Sekretarka planu to by było sto razy lepsze, niż stale obrywać za niezdecydowanie tych idiotów. Zawsze mnie się dostaje, chociaż ja tylko przekazuję te bzdury, które wygadują!

Łzy zmęczenia i rozżalenia napłynęły jej do oczu. Livia spojrzała na czarne nocne morze. Pół mili od brzegu rybacy na kutrach oświetlali powierzchnię wody reflektorami, aby zwabić ławice sardeli do ogromnych sieci w formie worków, które potem dźwigi wyciągają na pokład; pod ciężarem ryb łodzie przechylały się na bok. Snopy światła, padającego z mocnych lamp, odbijały się w wodzie, biegly po morzu, zdawało się, że nieomal dotykają brzegu. Monotonne terkotanie dieslowskich generatorów dolatywało aż do tarasu Laurentich, lecz zwykle te dźwięki działały przyjemnie usypiająco.

– Co to za krety! – wybuchnęła znowu Livia. – Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak źle mówił o swoich klientach! Dla nich widz jest głupi jak kołek. W dodatku wielki szef stacji nadawczej, tępy tłuścioch z potężnym bandziochem, znika nagle bez śladu, nie uprzedziwszy nikogo ani słowem. Nie można się nawet do niego dodzwonić. Teraz wszyscy przy najdrobniejszej decyzji robią w spodnie, tak się boją, że coś wypadnie nie po myśli bossa! Zastanawiają się, czy romans między dwojgiem głównych bohaterów to nie za dużo dla widza! Boże!

– Jak to? – zapytała Patrizia zdumiona.

– Bohater, niemiecki prokurator, jest żonaty, ma, jak papa, troje dzieci, podczas akcji za granicą zadurza się we włoskiej policjantce, która z kolei jest zamężna. – Livia skrzywiła się z niesmakiem.

– No i co z tego? Niemcy nie robią skoków w bok? – Patrizia z niedowierzaniem popukała się w czoło. – Na jakiej oni planecie żyją?!

– „To się nie spodoba widzowi”, stwierdza za każdym razem wielki szef, gdy coś mu nie pasuje. A co sam robi? Podwala się do każdej aktorki, chociaż jego młodziutka żona oczekuje drugiego dziecka. Wielki moralista! – Livia była autentycznie wściekła.

– No, chyba nie ma wyrzutów sumienia? Ale popatrz tylko: wszyscy się zdradzają na prawo i lewo, a ty nie masz teraz nawet jednego jedyne faceta! – roześmiała się Patrizia.

– A skąd wziąć na to czas? Zasuвам od rana do wieczora. Gdybym musiała zajmować się jeszcze i tym...

– Ale właściwie o jakim szefie mówisz? – przerwał im Laurenti.



– Taki nadęty bubek. – Livia rozłożyła szeroko ramiona. – Ma we wszystkim ostatnie słowo. Producent opłaca panu dyrektorowi nawet podróż autokuszetką i cały pobyt. Za każdego drinka i każdą kolację ten typ od razu przynosi rachunek i chce, żeby mu natychmiast zwrócić za wydatki.

– I powiadasz, że gdzie on teraz jest?

– Nie ma go, po prostu zniknął. Diabli wiedzą, gdzie się podziewa.

– A jak wygląda? Opisz go dokładnie.

– Papciu, błagam, czy ty nie możesz chociaż na chwilę zapomnieć o tym, że jesteś gliną?

– Opisz go, proszę!

– No dobrze! Wysoki, gruby, antypatyczny. Dobre sto pięćdziesiąt kilo, prawdziwa beka tłuszczu, wymanikiurowane ręce, olśniewająco białe zęby, na łysinę zaczesuje ciemnobrązowe kosmyki. A te jego ciuchy! Musiałbyś to zobaczyć!

– Zgłosiliście zaginięcie?

– Nie. Bo co, jeśli nagle zjawi się z powrotem? Pewnie zabawia się w jakimś burdelu w Słowenii.

– A gdzie się zatrzymał?

W książkach meldunkowych triesteńskich hoteli nie znaleźli nikogo o takich personaliach jak wyłowiony z morza Niemiec. Nadal nie wiedzieli, gdzie mają o niego pytać, a na ogłoszenie w prasie nikt się nie zgłosił.

– Wynajęliśmy dla niego apartament. Ale tam też go nie ma.

– Gdzie? Adres, Livia!

Koło północy rodzinny krąg powiększył się o Laurę i Marca, którzy jednocześnie przyszli do domu. Laurenti, odprowadzany pełnym dezaprobaty spojrzeniem teściowej, która siedziała przed telewizorem, przyniósł z lodówki kolejną butelkę. Marco, mimo późnej pory i wielu godzin pracy w restauracyjnej kuchni, chciał jeszcze koniecznie zajrzeć do swojego warzywnika. Wrócił z koszykiem pełnym świeżych ziół. Jednak zapach skręta, którego najstarsza siostra wyciągnęła mu z ust, był tak jednoznaczny, że w zasadzie ojciec powinien go natychmiast aresztować. Lecz Laurenti był skonany jak pies i marzył tylko o łóżku. Kazanie będzie prawil synowi jutro.

– A co z tym twoim rejssem? – zapytał żonę, gdy już leżeli w łóżku, i ziewnął szeroko.

Laura wtuliła się jego ramiona, pocałowała go. Bardzo podekscytowana zaczęła opowiadać, że wypłyną z przyjaciółkami w sobotę po południu. Chcą pożeglować wzdłuż wybrzeża Istrii. Pierwszego dnia wypłynąć na Brioni albo do Puli, a później, o ile wiatr pozwoli, przez zatokę Kvarner dalej na południe, tam gdzie na wysepkach, do których można dotrzeć tylko łodzią, małe trattorie serwują świeże ryby i owoce morza. I domowe wino. Łagodne powietrze, słońce, morze, statek marzeń – i żadnych zrządzących mężczyzn na pokładzie.

Ostatnie słowa już do niego nie dotarły. Proteo chrapał cichutko.

\* \* \*

Co za miasto! Za każdym razem, gdy Miriam chciała przejść przez ulicę, ryzykowała życie. Czuła się pewniej nawet w Hanoi, gdzie po ulicach uwijały się tysiące motorowerów, wpychając się, jak popadnie, między samochody, rowerzystów i tragarzy. Tu za to była taka masa skuterów, jakiej nie widziała dotąd nigdzie w Europie. Kierowcy, niezależnie od wieku, ignorowali wszelkie reguły ruchu, przemykali w poprzek między autobusami, samochodami dostawczymi i autami, a na światłach zrywali się z prędkością stada antylop gonionego przez gromadę wygłodniałych lwów. A jeśli któryś musiał gwałtownie zahamować przed pasami, by krew przechodniów nie obryzgała jego dwukołowego pocisku dum-dum, zwykle posyłał soczystą wiąchę. Lekceważyć nie należało też kierowców samochodów. Dla większości dwa pasy ulic jednokierunkowych były zbyt wąskie. Zmieniali je dowolnie bez włączania migacza, ignorując rzucane w ich stronę wyzwiska. Szkoły jazdy w mieście musiały tu wprowadzić jakiś własny, oderwany od reszty Europy system. A jeśli idzie o wyprzedzanie, to łatwiej dogadywano się – chociaż także bez specjalnej troski o przepisy – nawet w Neapolu, gdzie Miriam nie tak dawno przeprowadziła wywiad z wyzyskiwanym przez camorrę Erytrejczykiem, który zdobył się na odwagę i zwrócił do władz.

Właściciel „Bar delle Torri” za kościołem Sant’Antonio Taumaturgo z dumą pokazał Miriam najnowszą edycję książki *Bar d’Italia* wydawnictwa i magazynu „Gambero rosso”. Biblia włoskiej gastronomii także w tym roku

wymieniała elegancki bar na pierwszym miejscu. Miriam obiecała, że wspomni o tym w swoim artykule. Nagle poczuła na ramieniu czyjąś rękę. Obejrzała się przestraszona. Za nią stał Alberto.

– Muszę z tobą pomówić – powiedział tylko, odwrócił się i wyszedł.

Gospodarz spojrzał na nią zdziwiony.

– Jest pani w Trieście ledwie trzy dni i już zna Alberta?

– To nietrudne – odparła Miriam i poprosiła o rachunek. – Wszędzie go można spotkać.

– To prawda, tak właśnie jest, Alberto to jakby stały element krajobrazu. Jak się jakiegoś dnia nie zjawi, wszyscy to zauważają. A pani espresso jest na koszt firmy.

Miriam podziękowała bariście i podążyła za handlarzem na via delle Torri, rozdzieloną teraz na dwie części cieniem padającym od budynków oświetlonych ostrym słońcem.

\* \* \*

Obserwacja i śledzenie wydawały się Aureliowi o wiele ciekawsze niż ślęczenie w biurze i wykonywanie rozkazów Lelego. Odnotowywać każdy krok obiektu obserwacji, nabierać wyobrażenia o tej osobie, budować coraz wyraźniejszy obraz człowieka, aż w końcu będzie się umiało przewidzieć jego następny krok – to było bardzo ekscytujące. Aurelio szybko znowu wytropił „piękną wiwerę”, jak nazywał w duchu dziennikarkę. Jej niezwykła osoba bardzo go pociągała. Nie chodziło tylko o egzotyczny wygląd, sposób poruszania się, przypominający drapieżniki, otwarte i bystre spojrzenie czy krótko obcięte tlenione włosy, mocno kontrastujące z ciemną karnacją. Wszystko w niej wyrażało poczucie pewności siebie i dumę. Robiła mnóstwo notatek, wyglądała jak żywcem wyjęta z angielskich thrillerów szpiegowskich, które uwielbiał oglądać. Tak jak nagle zniknęła, tak nagle pojawiła się z powrotem. Stanowczo Lele powinien ją przyjąć do swojej agencji castingowej.

Zobaczył dziennikarkę przypadkowo, przy Canale Grande, gdy wysiadała z samochodu Nicoli Zadara, importera kawy surowej, którego pomieszczenia biurowe dobrze znał. Od tego momentu szedł za nią w pewnym oddaleniu. Nieznośny upał panujący w mieście zdawał się nie

stanowić dla niej najmniejszego problemu, gdy tymczasem jemu z pragnienia zaschło w ustach.

Dziennikarka raz po raz zaglądała do swojego notatnika Moleskine, wchodziła do kolejnych kafejek i kawiarni, rozmawiała z gospodarzami, pstrykała zdjęcia. Najpierw, ogromna dawniej, „Piazza Grande”, na parterze ratusza, gdzie swego czasu bywali Italo Svevo i Umberto Saba; wbudowanie windy zmniejszyło lokal do obecnej wielkości. Potem „Urbanis” ze starą mozaikową posadzką; kilka kroków dalej „La Nuova Portizza”, gdzie jak zwykle było gwarnie i niespokojnie; Aurelio rozpoznał też paru tajniaków z pobliskiej komendy, więc czym prędzej się skrył. I w końcu „Torinese”, po drugiej stronie, gdzie zatopiony w myślach stał samotnie przy barze komisarz, którego dwa dni temu spławił przez telefon Lele. Stamtąd dziennikarka skierowała się ku nabrzeżom, weszła do „Caffè Tommaseo”, najstarszego lokalu w mieście, z pełnymi przepychu stiukami na ścianach i sufitach, i ze stylowymi meblami. Zimą 1830 roku Stendhal odwiedzał to miejsce jako stały bywalec – twierdził, że prędzej zmieni kobietę niż lokal. W kawiarni odbywało się właśnie spotkanie polityczne: zorganizowana lewica w Trieście skurczyła się do żałośnie małej grupki osób, które mimo to wyglądały na bardzo zadowolone z siebie.

Aurelio nie spuszczał z oka obu wyjść z lokalu, w końcu podążył za Miriam Natisone do „Stella Polare”, gdzie w roku 1909 zazdrosny o swoją Norę James Joyce w ataku zazdrości spoliczkował pewnego dziennikarza, gdyż ten jawnie emablował jego przyjaciółkę, która zresztą prowokująco przyjmowała komplementy w obecności młodego pisarza, aby zemścić się za jego eskapady do triesteńskich prostytutek.

Jednak po pewnym czasie Aurelio poczuł, że zaczyna mieć dość tej zabawy. Gdyby przynajmniej mógł jechać na skuterze! Ale nie! Człapał za nią, spragniony, po chodniku, a potem czekał na ulicy, gdy tymczasem ona zawsze mogła się czegoś napić. Dalej dziennikarka poszła do „Bar delle Torri”, za kościołem Sant’Antonio Taumaturgo. Długo rozmawiała z właścicielem lokalu.

Aurelio zdziwił się, gdy po opuszczeniu baru podeszła prosto do Alberta, czarnoskórego handlarza ulicznego – zupełnie jakby był jej dobrym

znajomym! Skąd ona zna tego człowieka? Co ma z nim wspólnego? Zniknęli w sklepie fotograficznym. Bezskutecznie próbował podpatrzeć ich przez witrynę. Gdy wychodzili, Alberto trzymał w lewej ręce plastikową torbę z zakupem – uważnie zapakował ją do swojego ciężkiego worka marynarskiego. Pożegnali się – i Miriam weszła do „Gran Malabar”. Usiadła przy barze, gawędząc z gospodarzem, próbowała różnych rodzajów kawy, które dla niej parzył.

Następny cel Aurelio odgadł bez trudu: „Caffè San Marco” na via Battisti. Dziennikarka weszła do wspaniałej sali kawiarni. Obok drzwi stał na sztalugach portret starszego mężczyzny; ten mężczyzna we własnej osobie siedział teraz przy zarezerwowanym stoliku w tylnej części sali. Zaglądał do papierów leżących w stosach na stoliku, w skupieniu robił notatki, od czasu do czasu wypijając łyk piwa. Gdy podnosił wzrok, spoglądał na swoją olejną podobiznę; głowa mężczyzny odbijała się w wielkim lustrze, które wisiało za jego plecami.

Aurelio długo czekał, nim Miriam wreszcie znowu wyszła na ulicę. Musiał teraz być ostrożniejszy, gdyż często nieoczekiwanie się odwracała i zatrzymywała, spoglądała w witryny sklepowe albo ni stąd, ni zowąd przechodziła na drugą stronę ulicy i cofała się o parę metrów. Przy Corso Umberto Saba wstąpiła do kawiarni o tej samej nazwie, położyła na stoliku kilka monet i raptem wyszła na zewnątrz, przespacerowała się kilka kroków po chodniku, po czym z powrotem weszła do środka. Aurelio ledwo zdołał się skryć przed jej wzrokiem, omal nie zderzył się przy tym z czarnoskórym handlarzem, który akurat też próbował szczęścia w tej okolicy. Po tych ilościach kawy, jakie wypija, dziennikarka musiała być bardzo pobudzona, lecz jednocześnie wyglądała na zmęczoną i wyczerpaną. Wyszędłszy ze starej cukierni i kawiarni „Pirona”, przeszła się bocznymi uliczkami, kolejno wchodząc do skromnych kafejek, lokalików, gdzie w paru łykach pośpiesznie wypija się swoje espresso i szybko wraca do pracy. Wędrówkę zakończyła na via di Cavana – zajrzała tam do starej *torrefazione* „La Triestina”, kawiarni z palarnią kawy, gdzie goście mogą zamawiać mieszanki według własnego gustu i smaku.

Kiedy Miriam wreszcie zniknęła w hotelu, Aurelio wypił drinka w lokalu

na najbliższym rogu, potem popędził po skuter i pojechał do Lelego, by zgodnie z poleceniem zdać mu raport. Drzwi do biura szefa były lekko uchylone.

\* \* \*

– *Porcamiseria!* – wrzasnął Lele na grubasa, który siedział naprzeciwko niego zgarbiony, istna kupka nieszczęścia, i cisnął mu w twarz pierwszy z brzegu plik papierów. – Nie umiecie docenić mojej hojności! Dobrze, skoro tak, od tej chwili będziemy gadać inaczej! Nie będę się z wami dłużej patyczkował! Twojego brata już pogoniłem, teraz kolej na ciebie! Pozbieraj to! No, już!

Lele, rozwścieczony, zerwał się z za ogromnego biurka. Wyglądał przekomicznie. Wszystko w jego gabinecie było przesadnie wielkie. Obity czarną skórą fotel dyrektorski bez trudu pomieściłby nawet tłuste brzuszysko Gazzy. Od barokowego kompletu wypoczynkowego po drugiej stronie pokoju biurko i fotel dzieliła tak duża odległość, że gabinet przypominał raczej stanowisko dowodzenia partyjnego bonzy w Phenianie albo w Hawanie niż centralę wpływowej szarej eminencji w XXI wieku – łączył te pomieszczenia brak umiaru.

– Czekam! – syknął z wściekłością.

Opadł z powrotem na fotel, czekał, niecierpliwie stukając drogim piórem wiecznym w blat biurka, podczas gdy Gazza z wysiłkiem podniósł się z krzesła i opuściwszy się na czworaki, ciężko dysząc, zbierał z podłogi porozrzucane papiery. W końcu podniósł się niezgrabnie. Pocił się mocno, jego ciało wydzielalo kwaskowatą woń.

– Aurelio nie jest moim bratem! – bezskutecznie próbował się bronić przed atakiem. – I to on nawarzył piwa, które każesz mi teraz wypić!

– Jesteś do tyłu z bukowaniem lotów dla aktorów, przez ciebie AFI ma kłopoty. Będziemy też musieli ponieść dodatkowe koszty tylko dlatego, że wysyłasz jakieś idiotyczne listy, które zresztą pociągną za sobą jeszcze inne konsekwencje. Jak myślisz, po co otworzyłem ci biuro podróży w Udine?

– Bo podobno tu masz za mało miejsca. – Gazza obrzucił wzrokiem olbrzymie pomieszczenie. – I ponieważ chciałeś mieć jeszcze jedną filię firmy we Friuli po to, żeby łatwiej dostać się do subwencji. Po cóż innego?

Codziennie muszę jeździć tam i z powrotem. Myślisz, że teraz, w szczycie sezonu, to taka przyjemność? No a te zaległości nie są też znowu aż tak duże.

– Za każdym razem tak mówisz, Giulio. Oczekuję, że nadrobisz wszystko do jutra wieczorem, inaczej ani się obejrzysz, a zamknę tę twoją budę.

Gazza westchnął ciężko. To było prawie niewykonalne. Będzie musiał siedzieć dzisiaj co najmniej do północy, a jutro wstać już o piątej rano. Czemu po śmierci matki dał się przekonać Lelemu, żeby ów skromny spadek w gotówce, jaki mu zostawiła, zainwestować we wspólną firmę? Jaka tam wspaniałomyślność! Teraz miał tylko mały domek na via dell'Eremo i tych parę groszy, które dostawał jako właściciel Angel Travel Agency. Tyle, ile przeznaczał dla niego Lele, gdy już zgarnął cały zysk.

Gazza nie ruszał się z miejsca.

– Na co czekasz? Rusz dupsko i do roboty! Masz czas do jutra wieczorem. Pamiętaj! A teraz przyślij mi swojego brata.

– To nie jest mój brat – powtórzył Gazza uparcie.

– Jest. Zapewniam cię. I bądź łaskaw się umyć, jak będziesz tu miał przyjść następnym razem.

Gazza wyszedł do przedpokoju. Na przywitanie pokazał Aureliowi środkowy palec.

– Masz wejść, gnojku – burknął. – Nasz ukochany ojciec cię oczekuje.

– Ty nie masz ani ojca, ani matki, wieprzu jeden! Jesteś kutafon bez jaj. Zapamiętaj sobie! – zawołał za nim Aurelio. – A to lanie ostatnio to była dopiero przygrywka.

## Sorbetto al limon

Raffaele Raccaro był niezwykle szarmancki, gdy oprowadzał ją po przestronnych pomieszczeniach biurowych neoklasycystycznego pałacu przy Piazza Oberdan. Z dumą podkreślał rzeczywiście imponującą obszerność swojego zbioru fotografii wojennych. Kierowniczką archiwum, kobieta o wąskich ustach, wyjaśniła Miriam, według jakich zasad grupuje się zdjęcia, wymieniła też dokładną liczbę fotografii w każdej sekcji. Oczywiście wszystkie zdjęcia są zdigitalizowane, powiedziała, a najcenniejsze oryginały znajdują się w opancerzonej suterenie. Fotografie opatrzone są hasłami kluczowymi, ułożone według kontynentów, krajów, miejsc, konfliktów, bitew i walk, grup etnicznych, epok, użytych środków bojowych, rodzajów broni i zwycięstw. O ofiarach ani słowa.

Kierowniczką dodała, że prawdopodobnie jest to największe archiwum w rękach prywatnych, Raccaro jednak zbył tę uwagę stwierdzeniem, że to tylko jego prywatny bzik, robi to z zamiłowania, tak naprawdę nikt się tym nie interesuje, chociaż on ma tu całą historię świata. Widzi to po niewielkiej liczbie wejść na jego stronę internetową, a przecież są tu prawdziwe skarby, których nikt jeszcze nie oglądał – zdjęcia ze wszystkich wojen, od czasu gdy wynaleziono fotografię. Są w jego zbiorach nawet takie, jak twierdził, które mogłyby zmienić pewne obszary historiografii, gdyby tylko zainteresowała się nimi właściwa osoba. Zmienić ogólnie i w szczegółach. Dlatego jest tak ważne, by owe zdjęcia nie dostały się w niepowołane ręce; historia to zamknięta sprawa, nie da się jej odkręcić, nawet jeśli pewne kręgi społeczne niezmordowanie próbują.

– Wprawdzie układy wydają się stabilne, *signorina* Natisone... – Mężczyzna, który sięgał jej ledwie do ramienia, najwidoczniej uważał za szarmanckie, by do czterdziestoczterolatki zwracać się „panno” – ...prawda jednak wygląda inaczej. Ataki na system nasilają się codziennie. Lewica nie odpuszcza. Komuniści wcale jeszcze nie zostali pozbawieni wpływów i siły.



Dominują w mediach, w prokuraturze i w sądach. Trzeba być czujnym, mieć się na baczności, pilnie uważać na to, co się udostępnia opinii publicznej, gdyż sprawy są natychmiast zafałszowywane. Manipulacja fotografią to niewiarygodna i straszna broń. A my jesteśmy w samym środku medialnej wojny światowej.

Miriam uznała go za typowego niedużego faceta z wybujałym poczuciem ważności, który niewielki wzrost kompensuje sobie nieokiełznaną żądzą władzy. Przedstawiwszy się, powiedziała, że chce napisać o jego niezwykłym zbiorze i o nim jako o kolekcjonerze pasjonacie – jest przecież kimś wyjątkowym. Wydawało się, że odebrał jej słowa jako komplement. Miriam nie wspomniała, że wygląd jego strony internetowej przypomina styl radykalnych organizacji prawicowych. Czerwień i biel na czarnym tle, do tego zdjęcie z uroczystości podpisania paktu trzech mocarstw przez ministrów spraw zagranicznych Niemiec i Włoch, Ribbentropa i Ciano, oraz przez ambasadora japońskiego, 27 września 1940 roku w Berlinie. Na następnym Benito Mussolini z ręką wyciągniętą w rzymskim pozdrowieniu podczas ogłaszania ustaw rasowych na Piazza Unità d'Italia w Trieście w roku 1938. Dalej fotografia *caudillo* Franco, który przygląda się egzekucji homoseksualnego komunisty przez uduszenie garotą. I jeszcze jedna, przedstawiająca rozstrzelanie trzydziestu etiopskich rebeliantów na oczach Amedea, księcia Aosty, dowódcy naczelnego we Włoskiej Afryce Wschodniej. Miriam musiała to najpierw przetrwać.

– W epoce digitalizacji manipulować można wszystkim, *dottore* Raccaro. Nikt nie może być pewny, wojna zaczyna się tuż za progiem domu.

– W rzeczywistości człowiek nie jest już bezpieczny nawet za drzwiami własnego domu. Mamy dzisiaj teleobiektywy, których zasięg jest większy niż zasięg karabinów strzelców wyborowych. Proszę tylko pomyśleć o tych wszystkich fotomontażach, za pomocą których atakuje się szefa naszego rządu. Zdjęcia, które ukazują go z młodymi panienkami wiadomej profesji, jedna ładniejsza od drugiej... – Uśmiechnął się od ucha do ucha. – Dziennikarze się na to nabrali. Hiszpanie, Francuzi i oczywiście wy, Anglicy. Jakbyście nie mieli własnych problemów. Ale kiedyś wyjdzie na jaw, kim jest wielki manipulator. I chociaż pracuje on niemal tak perfekcyjnie jak niegdyś

Stalin, lewica coraz bardziej traci łaski wyborców. Wiadomo, tonący brzytwy się chwyta! A poza tym, moja droga, proszę się do mnie zwracać Lele, wszyscy tak mnie nazywają. Lele, bez *signor*! Sam już prawie nie pamiętam, jak się naprawdę nazywam.

– Rzeczywiście jest pan przekonany, że zdjęcia waszego premiera to fałszerstwo? – Miriam, mimo zachęty, nie zamierzała tytułować go Lele.

– W każdym razie zajmuje się tym prokuratura, Miriam. A zresztą Henryk Ósmy miał sześć żon, dwie kazał ścinać. A mimo to wy, Anglicy, jesteście z niego dumni. Nie rozumie pani, moja droga? Nawet gdyby fotografie naszego premiera były autentyczne, figę by mu to zaszkodziło. To jest wielki polityk, już choćby jako mówca przerasta innych o niebo! To prawdziwy lider, którego potrzebuje kraj. Tak, ale burczy mi już w brzuchu i chętnie bym się też czegoś napił. Może kontynuowalibyśmy rozmowę przy kolacji? Z przyjemnością panią zapraszam. To niedaleko stąd, możemy pójść piechotą.

Miriam nie wahała się ani sekundy. Jeśli chce zdobyć więcej informacji, nie pozostaje jej nic innego, jak przyjąć zaproszenie. Kiedy wychodzili z Palazzo Vianello, znowu odniosła wrażenie, że jest obserwowana. Na skrzyżowaniu na masywnym skuterze siedział mężczyzna w czarnym kasku z przyłbicą. Gdy go mijali, Lele skinął mu głową.

Miriam zapytała, czy w swoim imponującym archiwum ma też zdjęcia z wojny abisyńskiej.

– Naturalnie! Chyba nie dość uważnie słuchała pani tego, o czym mówiłem! – Zatrzymał się na krótko, ujął ją za ramię. – Przecież powiedziałem, że w zbiorach nie brakuje niczego. Proszę się umówić z moją współpracowniczką. W każdej chwili może pani zajrzeć do tego działu. Powiadomię archiwistkę. Zdjęcia z wojny powietrznej, Aksum, Desje, bitwa o Tambien, Mai Ceu. I przede wszystkim rok tysiąc dziewięćset trzydziesty czwarty, atak wojsk cesarza na naszych w oazie Ueluel. Bezwstydna agresja etiopska przeciwko *askari*, naszym somalijskim sprzymierzeńcom w kolonii. W każdym razie od tego zaczęły się wszystkie okropieństwa. Ale lewica o tym nigdy nie mówi. To fałszerze historii.

Miriam już chciała mu odpowiedzieć, ale ugryzła się w język. Dobrze

znała historię swojego kraju. Ofiarą okrutnej wojny, podczas której Włosi użyli gazów trujących, padło do roku 1941 ćwierć miliona cywilów i niemal trzysta tysięcy etiopskich żołnierzy. Włosi zaatakowali kraj już w roku 1882, wtedy – bezskutecznie; jednak w 1935 roku wystawili największą na kontynencie afrykańskim armię zachodnią w sile trzystu trzydziestu tysięcy żołnierzy – po to, by urzeczywistnić szaleńcze imperialne rojenia Mussoliniego o drugim cesarstwie rzymskim. Wojska faszystowskie wyrzynały ludność, masakra następowała po masakrze. Po raz pierwszy użyto gazów bojowych, atakując z powietrza; taką taktykę powtórzono dopiero po czterdziestu latach, w roku 1983, podczas wojny irańsko-irackiej. Jednym z włoskich żołnierzy był wówczas jej dziadek – złamał wszelkie regulaminy, kiedy zakochał się w jej babce. Kontakty z Afrykankami były surowo zakazane. Dziadek wiele ryzykował.

„Gwiżdżemy na Murzynów teraźniejszości, przeszłości i przyszłości, i na ich ewentualnych obrońców. Już niedługo pięć kontynentów naszej Ziemi pochyli głowę przed faszystowską wolą”, obwieścił wówczas Mussolini w wielkiej mowie. Słów aplauzu nie szczędził arcybiskup Mediolanu: „Bóg prowadzi nas w tej narodowej i katolickiej misji dobra, teraz, gdy przez pola bitewne Etiopii flaga Italii triumfalnie niesie krzyż Chrystusa”. Przedstawiciel Międzynarodowego Czerwonego Krzyża opisał, jak wyglądało owo dobro: „Wszędzie leżą ludzie. Tysiące ludzi. Na stopach, na wynędzniałych członkach widzę straszliwe, krwawiące rany od poparzeń. Życie już ulatuje z zatrutych gazem musztardowym ciał”.

Kiedy w roku 1941 Anglicy, sprzymierzeni z etiopskimi oddziałami emigracyjnymi, w końcu pokonali Włochów, jej dziadek się ukrył – nie chciał wracać do Włoch i został w kraju, w którym po trzydziestu jeden latach zmarł, wycieńczony malarią i gruźlicą, na krótko przed pięćdziesiątymi czwartymi urodzinami.

Miriam przez moment rozważała, czy nie skonfrontować swojego rozmówcy z faktami na temat zbrodni wojennych. Raffaele Raccaro najwyraźniej należał do tych, którzy od wielu już lat pracowali nad nową historiografią. Tak jakby wystarczyło niezłomnie wierzyć w kłamstwa rewanżystów, stylizujących się na ofiary. Po prostu unieważnić wypowiedzi

świadców i badania historyków z całego świata.

– Zapewne zna pani tę fotografię rządu bolszewickiego, z której wyretuszowano postać towarzysza Lenina, Trockiego, gdy popadł w niełaskę? Później, gdy przebywał na wygnaniu w Meksyku, został zamordowany – zginął od ciosu czekanem w głowę. Także słynne zdjęcie Roberta Capy, zrobione podczas hiszpańskiej wojny domowej, to, które przedstawia padającego żołnierza, jest ustawione. Jeśli idzie o autentyczność zdjęć, trzeba się mieć pilnie na baczności.

– A pan, czy urodził się w Trieście? – przerwała mu Miriam. – Co sprawiło, że stał się pan pasjonatem tego typu fotografii?

– Przybyłem tu dopiero po oswobodzeniu miasta od okupacji alianckiej w latach pięćdziesiątych. Pewnie pani wie, że Triest pod koniec drugiej wojny światowej został ogłoszony wolnym miastem angielsko-amerykańskim. Pakt Zachodu z komunistami Tity.

– A gdzie się pan urodził, jeśli wolno spytać?

– Pochodzę z biednej rodziny, z niewielkiej wioski we Friuli, właściwie to prawie głodowaliśmy. Wie pani, Miriam, tak naprawdę to przyjąłem panią tylko ze względu na pani niespotykane nazwisko. Natisone. Tak nazywa się rzeka, nad którą leży miejsce, gdzie się urodziłem. Lasiz, parę domów na krzyż, niedaleko Púlfero. Poszedłem w świat zaraz po szkole, miałem wtedy zaledwie szesnaście lat. Kogoś takiego jak ja wy, Brytyjczycy, nazywacie self-made man. Człowiek sam musi przełamać swoje ograniczenia. Zainteresowania i ciężka praca – tylko na tym można budować. To podstawa. I dobre kontakty z ludźmi, którzy pragną postępu. Zacząłem od prażenia kawy w garażu. Szło dobrze, wkrótce mogłem rozbudować interes. My, Włosi, zawsze byliśmy żeglarzami i odkrywcami, rolnikami albo cwanyimi kupcami, a Triest to miasto, w którym można do czegoś dojść. Proszę tylko popatrzeć, ile pozakładano tu towarzystw ubezpieczeniowych, prażalni kawy, towarzystw żeglugowych. Kto zechce, dojdzie tu do pieniędzy, wystarczy dbać o właściwe stosunki.

– Wszędzie tak jest – wtrąciła Miriam. – A fotografia? Tylko kaprys, hobby, jak pan wcześniej powiedział? Nie wierzę.

– Kto wychował się w tej okolicy, ten dobrze wie, że pokój nie trwa

długo. Większość boi się obcować z tak straszną materią. Kiedy zacząłem gromadzić moje zbiory, nie było żadnych konkurentów, którzy mogliby podbijać ceny. Sztuka to sprawa elit – a to jest coś dla ludu. Nawiasem mówiąc, mój ojciec, jak tylu innych, też był w koloniach. Nie wrócił z Abisynii do domu.

– Poległ? – zapytała Miriam.

Raccaro wzruszył ramionami.

– A co innego? Kto by chciał z własnej woli zostać w tym dzikim kraju, żeby potem zdechnąć na malarię?

– Ma pan jakieś dokumenty? Jak się nazywał pański ojciec?

– Paolo. Raccaro. Urodzony w tysiąc dziewięćset osiemnastym. Tam gdzie ja. Ojca znam tylko ze starej fotografii rodzinnej.

– A pan, ma pan dzieci?

– Nieudanego syna. – Lele się roześmiał. – Wszyscy synowie są nieudani, tak uważają ojcowie. Nic się na to nie poradzi. Mam nadzieję, że syn kiedyś zajmie się polityką. W końcu odpowiednie kontakty już ma. A tak na marginesie: zna pani to zdjęcie ze zdobycia Berlina? Czerwonoarmista wciąga czerwony sztandar na budynek Reichstagu. To też fałszywka. Wszystko zostało ustawione w kilka dni później, jak już nie strzelano. Komunistyczna propaganda!

Ten człowiek przejmował ją zgrozą. Jego argumenty: częściowo prawdziwe, częściowo bezczelne i tak pokrętne, że Miriam zadawała sobie pytanie, czy się z nią bawi, czy rzeczywiście wierzy w te bzdury. Zapadał zmierzch. Nie przestając gadać o nadużywaniu fotografii, Raccaro poprowadził ją do trattorii, w której, jak powiedział, za ogromne porcje płaci się niewiele i w której od dziesięcioleci nic się nie zmieniło. Po dziesięciominutowym spacerze dotarli na miejsce. Gdy weszli do środka, wszyscy bez skrępowania zaczęli się na nią gapić, posyłając Lelemu, który był tu najwidoczniej stałym gościem, pytające spojrzenia. Wyraźnie słyszała obraźliwe uwagi: od kiedy to przyprowadza się czarne kurwy na kolację? Czy Lele kupił sobie taną kobietę? Lele, całkowicie niewzruszony, ujął ją za łokieć i poprowadził do stolika pod ścianą lokalu, w którym było dobre sto miejsc.

– Lubię tu przychodzić – powiedział, zauważywszy jej niespokojne spojrzenie. – Klasyczna trattoria. Duże porcje, niskie ceny. Polecam kalmary w sosie z polentą. Albo *gnocchi* ziemniaczane z gulaszem, także klasyczne danie. Albo spaghetti z owocami morza. Tak, weźmiemy to. – Złożył zamówienie, nie pytając Miriam o życzenia.

Miriam z niechęcią grzebała w ogromnej porcji spaghetti *con frutti di mare*. Jedzenie jej nie smakowało. Kucharz miał chyba raczej rękę do ilości niż do jakości. Sam lokal też nie przypadł jej do gustu. Sufit i ściany wołały o świeżą farbę. Papierowe obrusy mogły jeszcze ująć, wino z beczki było lepsze niż większość z tych, jakie serwowano w Londynie, za to kelnerzy byli gburowaci, nerwowi i przemęczeni. Przede wszystkim jednak nie podobali się Miriam goście, którzy gapili się na nią jak na małpę w zoo. Ledwie tknęła jedzenie, tymczasem jej gospodarz młócił swoją porcję jak kombajn zboże, aż dziw, że zostawiał muszle.

– Niech się pani nie przejmuje, Miriam – powiedział z iskrzącymi się oczami. – Głupków i zacofańców nigdzie nie brakuje. – Lecz zaraz wrócił do swojego ulubionego tematu: – Pytanie jest zawsze to samo: w czym posiadaniu są zdjęcia? Kto dokonuje ich wyboru? Przecież ludzie wierzą w to, co się im pokaże.

– To stały temat we Włoszech, nieprawdaż? Oczywiście, kto wie za mało, ten nie może sobie wyrobić solidnej opinii. Albo gdy na przykład przemilcza się część prawdy. Telewizja pańskiego sterowanego testosteronem premiera...

– Bzdury! To wszystko uprzedzenia, Miriam! Nasz kraj ma wielkie zalety i wielkie wady. Trzeba umieć wykorzystać jedno i drugie. Działania dyktuje ten, kto ma władzę, to truizm. Rząd został wybrany przez naród, a Włochy to najstarsze cywilizowane państwo w Europie od starożytności. Pod wieloma względami jesteśmy w stosunku do innych o krok do przodu. W awangardzie od czasu, gdy Rzymianie zastąpili Greków. Nowoczesne prawodawstwo, podboje, rozpowszechnienie chrześcijaństwa...

– Całkiem zapomniałam, że Jezus był Włochem – wtrąciła Miriam.

Lele zignorował jej uwagę, perorował dalej:

– Niech pani tylko pomyśli o renesansie! O sztuce Piera della Franceski,

Michała Anioła, Giotto, Belliniego! O Leonardzie da Vincim. I o commedia dell'arte. *Life is a cabaret*, moja droga, a polityka to komedia. Tylko tak można rozumieć ten polityczny show, Miriam. Proszę spróbować, Anglicy są zdecydowanie zbyt sztywni. Znieście wreszcie Izbę Lordów i tę starszą panią w kapeluszu i z torebką.

– Wyniki wyborów... – spróbowała włączyć się Miriam, ale Lele natychmiast wpadł jej w słowo:

– ...upoważniają zwycięzcę do kierowania krajem. Czy zastanawiała się kiedyś pani nad tym, jaki postęp przynieśliśmy Afryce Wschodniej? Wcześniej w Abisynii nie istniała służba zdrowia, nie było szpitali; to nam ten kraj zawdzięcza wzrost produktywności w rolnictwie, podobnie jak budowę fabryk, organizację poczty i oczywiście budowę kolei. A pierwszy plan zagospodarowania przestrzennego dla nowoczesnej zabudowy Addis Abeby – arcydzieło faszyzmu. A *Aida* Verdiego? Etiopska księżniczka, branka faraona, która dla miłości składa ofiarę z życia. Czy to nie fantastyczne?!

Raffaele Raccaro odłożył widelec na bok, zabębnił palcami w wymyśloną klawiaturę, zanucił kilka taktów słynnego marsza triumfalnego z opery. Potem przerwał nagle i w zadumie uśmiechnął się do Miriam.

– Ale pani nic nie je, moja droga! Nie smakuje pani?

– Pan zapomina o ofiarach! Także faszyzm to wynalazek włoskiej awangardy! – Miriam wpatrywała się w niego przerażona.

– Myśmy wymyślili, a Niemcy doprowadzili do perfekcji. – Lele roześmiał się serdecznie. – Oni po prostu tacy są: pozbawieni poczucia humoru i ambitni. Gdyby tylko potrafili, obniżyliby punkt wrzenia wody. Ale czymże byłaby Europa bez drugiej wojny światowej? Pozostałaby feudalną własnością szlachty. Niczym więcej. Ja pozostałbym biednym chłopskim synem, niemającym co zjeść. A wy, Afrykanie, bylibyście nadal czarnuchami, których ładowano by jak bydło na statki niewolnicze i sprzedawano.

Miriam miała ochotę natychmiast wyjść, ten cynizm był nie do zniesienia. Co tydzień docierały do Europy wiadomości o uciekinierach z Erytrei, którzy utonęli w Morzu Śródziemnym; znowu przewróciła się

któraś z nędznych łodzi, jakimi bandy przemytnicze przewoziły ludzi z Afryki Północnej do Włoch. Ten mały spryciarz z Rzymu właśnie podpisał z Libią porozumienie, które pozwalało natychmiast odsyłać uciekinierów. Najpierw w nieludzkich warunkach trzymano ich w więzieniach, potem wydawano krajowi, z którego uciekli, by ratować życie; tam znikali bez śladu. Wszystko działo się przy aprobacie Unii. Wcześniej włoski premier, przepraszając Kaddafiego za zbrodnie wojenne Mussoliniego, jednym tchem obiecał zbudować autostradę wzdłuż wybrzeża. Kto mógł wykluczyć, że dyktator nie zechce nawet pójść tam na wygnanie, gdy zawiodły wszelkie prawa, które mogły uratować jego osobę?

Rzym wspierał także rząd Isajasa Afewerkiego, jednego z ostatnich komunistycznych dyktatorów świata, który swoje wykształcenie polityczne odebrał w Chinach. W Erytrei Afewerki zlikwidował wolność prasy, torturował i mordował krytyków reżimu. Według raportów ONZ przewyższał w okrucieństwie nawet tyrana z Korei Północnej. Jednak rząd włoski zawierał z nim umowy handlowe i wdrażał inwestycje, w których udziały mieli także krewni członków rządów. Europę mówienie o prawach człowieka obchodzi tyle, co zeszłoroczny śnieg. A ten Lele zapluwa się i chełpi zasługami swojego kraju w pierwszej kolonii, jaką Włochy zdobyły w Afryce Wschodniej, zresztą placet na to dali Anglicy – było to posunięcie strategiczne, którego celem było uprzedzenie ekspansji Francuzów.

– Ten pański szef rządu to ostatni komunistyczny car, jak Kim Dzong Il w Korei Północnej, generalissimus Than Shwe w Birmie, jak Hu Jintao w Chinach; wszystkie decyzje zależą od niego; zupełnie jak w Moskwie.

– Zakończmy to! – przerwał jej Raccaro. – Nie ma sensu unosić się gniewem z powodu różnic w zapatrywaniach na tych ludzi! – Jego głos stał się ostry i nieprzyjemny, jednak Lele zaraz się zreflektował i przepił do niej. – I czym tu się denerwować, Miriam? Bliźniaczą siostrą władzy jest korupcja. Oczywiście że ma manię wielkości i jest skorumpowany. Ale przecież nie ma tu nikogo, kto mógłby go powstrzymać. Lewica to gromada staromodnych, skłóconych polityków, którzy najchętniej znieśliby naród, tak bardzo się go obawiają. Opozycja może się wywodzić co najwyżej z własnych szeregów i z Watykanu. To przecież nie jest normalne.



Miriam nie przestawała się dziwić. A więc tak pisze się historię!

– I proszę, niech pani nie sądzi, że my, Włosi, sami tego nie widzimy. Nie jesteśmy aż tak ulegli i głupi, jak się nas często przedstawia. My po prostu potrafimy dostrzec i wykorzystać pole działania. Elastyczność. Tak to się nazywa. Żyjemy w voyeurystycznym społeczeństwie, moja droga. To efekt postępu technicznego. Kiedy świat obrazów tworzyły tylko malowidła olejne, nie było to możliwe. Ale dzisiaj każdy ma przy sobie komórkę z wbudowaną kamerą.

– Faktycznie, *dottore*.

Sam dał hasło, nie musiała go naprowadzać. Miriam wyciągnęła powiększone zdjęcia Jeanette i jej kochanka z torebki i bardzo powoli wyłożyła na stół. Jedno po drugim.

– Pan zna tego człowieka. Jak się nazywa i gdzie mogę go spotkać?

Oczy Lelego zwężyły się w wąziutkie szparki, wykrzywił twarz w diabolicznym grymasie.

– Czemu interesuje się pani akurat tym tutaj? Z pewnością stać panią na kogoś lepszego.

– Potęgą fotografii, jak pan to pięknie ujął. To szantażysta. Prokuratura prowadzi już śledztwo. A więc gdzie go znajdę?

– Szantażysta? No proszę, co za podły typ! Kogo szantażuje? I czym?

– Niech pan przeczyta gazety. Ale facet przeholował i powinien się mieć na baczności. Jego ofiara upoważniła już parę osób do działania, odechce mu się tych sztuczek. – Miriam obok fotografii położyła „The Independent”.

– I pani należy do tych osób?

– Ja tylko badam sprawę. Jeanette McGyver ma w odwodzie cięższe działa. To nie jest jej ostatnie słowo, właściwy atak dopiero nastąpi. A więc, kto to jest?

– Spokojnie, moja miła. To nie takie proste, jak się pani wydaje. – Lele wsunął do ust ostatni widelec makaronu, otarł wargi serwetą, upił z kieliszka duży łyk wina. – Do kogo będzie strzelał ten wasz zabójca, jeśli zabraknie celu? Widziałem autentyczne zdjęcia. One nie zniknęły, nadal istnieją. Wyobrażam sobie, jakim ciosem byłoby dla tej damy, jeśliby przypadkiem pojawiły się w brytyjskich mediach.

– Rewizja nie należy do przyjemności, *dottore*. – Miriam schowała zdjęcia do torebki.

– Zatem pani zainteresowanie dla mojego archiwum to był tylko pretekst – skonstatował Lele wyniośle i czekał na jej reakcję.

– Przeciwnie! Pańskie wywody są naprawdę interesujące. Niespotykana perspektywa.

– Nie wezmę sobie do serca tej drobnej utarczki, Miriam. Archiwum nadal jest przed panią otwarte. – Lele uśmiechnął się. Skinął na kelnera. – Polecam sorbet cytrynowy po triesteńsku. Nie, nie do jedzenia łyżeczką, można go pić. – Znowu zamówił i dla niej, nie pytając, czy ma ochotę. – Proszę się umówić z moją współpracowniczką. Może pani pokazać dział Afryki Wschodniej. Wszystko, bez ograniczeń. Nawet gdybym ja nie mógł być obecny.

Sorbetu, który podano w kieliszku do szampana, Miriam nie tknęła. Kiedy wychodziła z lokalu, towarzyszyły jej spojrzenia gości i Raffaele Raccara.

O tej porze ruch na ulicach był mały. I jak okiem sięgnąć – ani jednej taksówki. Miriam piechotą wracała do hotelu przez pogrążone już w ciemności miasto. Na Piazza Goldoni omal nie potracił jej biały skuter, kierowca jechał na pełnym gazie prosto na nią. Uratowała się, w ostatniej chwili uskakując na chodnik. Zza zamkniętego kasku wydobył się dziki śmiech. Spojrzała za pojazdem, który bez świateł przemknął na czerwonym i zniknął w Galleria Sandrinelli, tunelu pod wzgórzem Colle di San Giusto. Gdy ochłoneła ze strachu, zadzwoniła do Candace do Londynu. Koniecznie musiała porozmawiać z córką o tym osobliwym wieczorze – na pewno szybko go nie zapomni. Potem zatelefonowała do Jeremy’ego Jonesa, adwokata Jeanette, udało jej się złapać go w domu.

– Jeśli chcesz tu zrobić prawdziwą rozróbę, to wystąp jeszcze z oskarżeniem przeciwko AFI, firmie Raffaele Raccara – powiedziała, bardzo wzburzona. – Zażądaj zadośćuczynienia pieniężnego, ale takiego, żeby popamiętali, naprawdę dużo. I złóż doniesienie o przestępstwie: szantaż, grożenie, oczernienie, stalking. Zrób z tego sprawę dyplomatyczną, zażądaj rewizji domowej. Podobno ten Aurelio to nieślubny syn Raffaele Raccara. I

śpiesz się, trzeba ich uprzedzić. Im się naprawdę wydaje, że świat do nich należy. A poza tym jestem śledzona.

– Zwróć się do policji!

– I co im powiem? Że podejrzewam, że ktoś mnie śledzi, skoro właściwie nikt mnie tu nie zna? Przecież mnie wyśmieją. Ale może ty mógłbyś dla mnie sprawdzić pewne numery rejestracyjne...?

– Mamy w Trieście kancelarię partnerską – odparł Jones po krótkiej chwili wahania. – Zajmują się głównie prawem morskim. Ale ci pomogą.

Przechodząc przez via Teatro Romano przed komendą policji, Miriam znowu natknęła się na biały skuter. Tym razem stał na poboczu przed wysokim budynkiem o wyłożonej klinkierem fasadzie. Kierowcy nigdzie nie dostrzegła, jednak numery rejestracyjne zgadzały się z tymi, jakie w przeddzień zanotowała przed Palazzo Vianello.

# Gniew i kawę smakuj na gorąco

Na schodach teatru rzymskiego, naprzeciwko komendy policji, odbywała się dzika pogoń: dwaj gangsterzy – czarne garnitury, ciemne okulary przeciwsłoneczne – zaciekle strzelali z pistoletów zabawek do pani komisarz, która uciekała, klucząc i uskakując, aż w końcu udało jej się umknąć za ruiny. Prawdziwi funkcjonariusze stali przed budynkiem komendy po przeciwnej stronie i z rozbawieniem przyglądali się kręconej scenie.

Już podczas parkowania Laurenti zobaczył, na co się zanosi: czarny, kudłaty pies, merdając ogonem, tak mocno szarpnął smycz, że omal nie wyrócił swojego pana, mężczyzny w bardzo podeszłym wieku. Galvano zagapił się na ładną Afrykankę, która właśnie w jednym z okienek wydziału do spraw cudzoziemców w westybulu budynku komendy odebrała pozwolenie na pobyt i ze szczęścia aż zatańczyła na ulicy. Pies, dysząc z ekscytacji, ciągnął starego doktora prosto do Laurentiego.

– Słyszałem, że Lele ma mały kłopotek – Galvano omal nie wyłożył się jak długi, lecz w ostatniej chwili udało mu się przyciągnąć psa do siebie. – Stary oszust, może niedługo skończą się jego gierki. I bez ciebie, ty leniwe zwierzę; a także bez pańskich naiwnych kolegów, *commissario*.

– Podobno jak dzień się źle zacznie, to i dalej pójdzie krzywo. Przeczytałem to wczoraj wieczorem w jednej powieści, a już dzisiaj mi się sprawdza... – mruknął Laurenti. – Ale co się stało? Co tu pana sprowadza? Czyżby emerytowany pies policyjny i patolog w stanie spoczynku odczuwali tęsknotę za centralą? Czy może wynajęli was jako kaskaderów do filmu?

Nachylił się do kudłatego zwierzaka, którego kilka lat temu z litości wziął do siebie, jednak ze względu na protesty żony musiał oddać owdowiatalemu starszemu panu. Laura nie życzyła sobie mieć w domu ani żadnych kundli, ani wysłużonych psów policyjnych.

– Przypadek, Laurenti! A co? Może powinienem chodzić naokoło, żeby się na ciebie nie natknąć? – Galvano lizał lody kawowe, ciekły mu po

palcach. – Ta lodziarnia na rogu via Malcanton jest całkiem niezła – powiedział, wskazując za siebie ręką z lodami, przez co parę kropli skapnęło mu na marynarkę.

– O ho, ho! Lody o tak wczesnej porze? Galvano! Nareszcie jakieś ludzkie odruchy!

Laurenti miał nadzieję, że stary nie zechce mu towarzyszyć aż do biura. Komisarz zrezygnował dzisiaj z codziennej porannej kąpieli w morzu, by jeszcze przed pracą pojechać do domu Giulia Gazzy na via dell'Eremo. Był tam przed szóstą. Jednak daremnie dzwonił do drzwi. Ze środka nie dochodził nawet najlżejszy dźwięk.

– Mój konował zabronił mi pić więcej niż jedno espresso dziennie, o lodach nic nie mówił – burknął Galvano, z niezadowoleniem patrząc na lepiące się palce. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się takie zaniedbanie zasad kultury i dobrego wychowania. Jedzenie na ulicy uważał za okropność, a im więcej przybywało mu lat, tym bardziej jadowite i pełne nienawiści tyrady wygłaszał przeciwko gwałtownemu upadkowi obyczajów: przeciwko damskim spodniom z obniżoną talią, spod których wyłaziły stringi; przeciwko mężczyznom, którzy do ciemnych spodni noszą jasne sportowe buty na rzepy, wypuszczone koszule i chodzą z niechlujnym zarostem, który należało zgolić przed dziewięćdziesięcioma sześcioma godzinami. Kiedy jeszcze był na służbie, stary Galvano nigdy nie palił na ulicy, swoje mentole wyciągał co najwyżej na miejscu przestępstwa – nie tyle dla uspokojenia po strasznych często widokach, ile po to, by dymem stłumić odór śmierci.

– A ja myślałem, że chciałeś mnie odwiedzić.

– Raz wstałeś wcześniej niż zwykle, a już ci się wydaje, że przyszedłem tu ze względu na ciebie! – fuknął opryskliwie Galvano, gdy Laurenti troskliwie ścierał chusteczką krople lodów z szarej wełnianej marynarki, której starszy pan nie zdejmował nawet w największe upały. Krótkie albo podwinięte rękawy szacowny medyk także uważał za ciężkie wykroczenie przeciwko dobremu smakowi. Teraz w jego oczach wyraźnie widać było złość na własną nieuwagę. Pies wychłęptał resztę lodów z jego ręki, dokładnie oczyszczając mu też palce.

– Chodząca życzliwość. Jak zwykle! A co to się stało, że szanowna

małżonka puściła cię samego do ludzi?

Wśród starych przyjaciół Galvana coraz częściej krążyły żarty na temat ekscentrycznej trójki: wysokiego, chudego mężczyzny, niedużej i nie najszczuplejszej już blondynki, trajkoczącej bez przerwy z ostrym, obcym akcentem, i czarnego, kudłatego kundla o zmierzwionej sierści.

– Poszła nad morze. Sam młody narybek, nie lubię się tam pchać.

– To i lepiej. Tyle ładnych dziewczyn, za bardzo byś się podniecał.

– Będziesz mi zazdrościł, jak dojdiesz do mojego wieku, Laurenti. Nie masz pojęcia, jaka to ulga. Teraz ta twoja nowa flama tak bardzo cię absorbuje, że zaniedbujesz robotę i przyjaciół.

– Też to ciągle powtarzam.

Na dźwięk głosu za plecami Laurenti aż się wzdrygnął. Człowiek nie ma nigdzie spokoju. Nawet gdy idzie rano o ósmej do biura. Marietta uśmiechała się po raz pierwszy od dłuższego czasu. Ironicznie i kaśliwie.

– No więc, jaki to problem ma twoim zdaniem Lele? – Laurenti nie spuszczał oczu z twarzy Galvana.

– Jego partnerzy się niecierpliwia. Ostatnie inwestycje, przede wszystkim w te dwa centra handlowe, są nietrafione. Mogłem mu to zresztą z góry powiedzieć. Z wyjątkiem paru obniżek na przynętę, ceny nie są tam wcale korzystniejsze, w dodatku trzeba stać w kolejkach do kas i wysłuchiwać tych pedalskich piosenek Michaela Bublé. A przecież to samo co tam, i jeszcze znacznie więcej, można dostać w starych sklepach w centrum. Jednak Lele uparcie pracuje nad tym, żeby powykańczać w mieście wszystko, co się da, a potem wykupić za niewielkie pieniądze. Razem z jakimiś sympatycznymi panami z zewnątrz, którym nie wystarczają już pralnie brudnych pieniędzy w ich własnych krajach. I wcale bym się nie zdziwił, gdyby już wyznaczył swojego syna jako kandydata na burmistrza. Na zimno zaprogramowany upadek.

Czarne psisko podniosło nogę i obsikało felgę służbowego samochodu Laurentiego.

– Hej, Galvano, niedługo za takie coś trzeba będzie zapłacić trzysta euro!

– Bez obawy! Już ja im pokażę przy najbliższym posiedzeniu rady miasta. Możesz być pewien.

– Jasne, narobią ze strachu w gacie! Lepiej powiedz, skąd wiesz, że u Raccara coś nie gra.

– Ba! Widzisz, wcale nie jest tak źle mieć za żonę Rosjankę, która ma długie uszy. Nawet jeśli wy stroicie sobie z niej durne żarty. Otóż gdy byliśmy u Scabarów, przy stoliku obok siedziało trzech typków. Zajadaliśmy się karmazynem przyrządzonym przez twojego syna. Chłopak ma lepiej poukładane w głowie niż ty, mój przyjacielu. Delicje. A o metr od nas Rosjanie tak głośno gadali o Lelem, że aż ludzie się skarżyli. Ale tamtych figę obchodziło, czy ich kto słyszy. Bo kto tu mówi po rosyjsku? Nikt. Z wyjątkiem Raisy, rzecz jasna. Jeden z tamtych powiedział, że ściągną pieniądze z AFI, jego agencji filmowej, która dysponuje mnóstwem kont zagranicznych, przynosi krociowe zyski i wykańcza każdego konkurenta. Podobno nie zawsze uczciwymi metodami.

– AFI? – zapytał Laurenti, zaalarmowany. – Galvano, naprawdę powiedziałaś AFI?

– Tak, a co?

– Marietta, to chyba było zanotowane na jednej z karteczek znalezionych w kieszeniach tego topielca?

Jego asystentka obojętnie wzruszyła ramionami.

– Nikt nie wie dokładnie, jakie interesy robi Lele, ale i mnie doszły słuchy, że miewał już lepsze okresy – dodała. – W tym mieście naprawdę ciągle plotkują.

– I ja dopiero teraz o tym słyszę? – napadł na nią Laurenti. – Od kiedy to jesteś taka dyskretna?

– Cóż, mało wiesz, bo przecież już się z nikim nie spotykasz poza swoją lekarką. Bardzo jesteś chory, Proteo? – odparowała Marietta i odwróciła się.

– Zajmij się sprawą AFI, natychmiast! – zawołał za nią Laurenti.

\* \* \*

Wiatr w Trieście jest nieobliczalny. Bywają dni, że trzy razy zmienia kierunek, odmieniając zarazem światła i cienie na morzu, i barwy wody. Bora ucichła nocą. Za to wiał libeccio, bryza z południowego zachodu – „Libia” pobrzmiwa już w nazwie – sprowadzając na północ gorące afrykańskie powietrze. Warstwa wysokich, aksamitnych cirrostratusów

rozpraszała światło, na horyzoncie niebo i morze stapiały się w biały welon. Krystaliczna przejrzystość ostatnich dni utonęła we mgle.

Na tarasie śniadaniowym zjawiała się jako pierwsza. Popijając kawę, błędziła wzrokiem po Piazza Unità, widziała, jak ludzie śpieszą do pracy. Nic podejrzanego. Była ósma, gdy wymeldowała się z hotelu. Ciągnąc za sobą walizkę, poszła do wypożyczalni samochodów. Kółka samsonite'a terkotały po płytach chodnika. Na przejściu przed Piazza Unità światło dla pieszych było czerwone, nie jechało akurat żadne auto, lecz Miriam czekała, rozglądając się dokoła. Przy jednym z dwóch odlanych w żelazie słupów o szczytach ozdobionych halabardami stał oparty o cokół młody mężczyzna i z zainteresowaniem przyglądał się budynkowi prefektury, której fasada, bogato dekorowana pozłacanymi mozaikami, majestatycznie połyskiwała w porannym słońcu. Przeszedłszy przez czteropasmową ulicę, Miriam znalazła się na nadmorskiej promenadzie; jeszcze raz obejrzała się za siebie. Mężczyzna szybkim krokiem oddalił się w kierunku „Grand Hotelu”.

W wypożyczalni powiedziała, że samochód wynajmuje tylko na jeden dzień – wczesnym popołudniem odstawi go pod lotnisko. Jej plan był starannie obmyślony. Minionej nocy jeszcze raz rozmawiała z Jeremym Jonesem. Adwokat bardziej niż ona sama niepokoił się tym, że jest śledzona, i po pierwszym telefonie od razu skontaktował się z kolegą w Trieście, aby omówić sprawę. Szybko uzgodnili, że po pierwsze, Miriam faktycznie nie ma w ręku nic konkretnego, z czym mogłaby się zgłosić na policję, i po drugie, że powinna opuścić hotel najpóźniej następnego dnia rano. Adwokat bezskutecznie próbował namówić ją do powrotu do Londynu. Miriam uparła się przy pozostaniu w Trieście.

– Myślisz, że zaszłabym w moim zawodzie tak daleko, gdyby można mnie było od razu zastraszyć? – powiedziała.

W kwadrans później Jeremy Jones znowu zadzwonił i poinformował Miriam, że znalazł dla niej nowe miejsce zakwaterowania. Nie hotel, lecz apartament znajomego, który z niego prawie nie korzysta. Miriam może tam zostać, ile zechce. Adwokat błagał ją tylko, by najpierw pozbyła się swojego anioła stróża.

Gdy tylko zostawiła za sobą obszary przemysłowe Monfalcone, okolica



zrobiła się płaska jak flądra. Rozległe pola kukurydzy na zmianę z winnicami i plantacjami owoców, niekiedy pośród zieleni otwierał się widok na fragment rzeki albo kawałek laguny. Miriam przejechała przez dwa mosty, na jednym widniała tablica z nazwą Isonzo, Socza – woda miała kolor jadeitu. Nieco dalej po lewej stronie leżało osiedle turystyczne i plac kempingowy, przed nią powoli toczyły się samochody z niemieckimi i austriackimi numerami, w końcu minęła tablicę: „Grado – wyspa słońca”. Pojechała za znakami i faktycznie udało jej się znaleźć wolne miejsce parkingowe niedaleko strefy dla pieszych. Biały skuter, który pół godziny wcześniej dostrzegła w lusterku wstecznym, przejechał obok, kierowca nie odwrócił głowy w jej stronę; numery rejestracyjne oczywiście znała. Darowała sobie opłatę parkingową; to wynajęty wóz. Bez trudu znalazła hotel „Savoy”, w którym Jeanette mieszkała w maju. Przyjemne miejsce z obszernym, klimatyzowanym lobby, zacisznym ogrodem dla gości i z basenem. Gdy tylko Miriam przedstawiła się jako dziennikarka z „Travellera”, recepcjonistka natychmiast zawołała właściciela hotelu. Mężczyzna mówił z wyraźnym niemieckim akcentem, z uprzedzającą grzecznością poprosił ją do stolika, zamówił dwie kawy. Miriam bez większego wysiłku przekonała go, by złamał zawodowy kodeks honorowy swojego *métier* i udzielił jej informacji o jednym z gości hotelu. W końcu w czasach kryzysu człowiek musi usilnie zabiegać o angielskich turystów, którzy cenią sobie bezpośrednie połączenie z Londynem. A negatywny artykuł w angielskiej prasie nie przysłużyłby się interesom. Oczywiście mężczyzna doskonale pamiętał Jeanette. Szybko załapał, o co chodzi. Czytał lokalne gazety, a w tym niedużym kąpielisku wszyscy się znali i znali też wielu stałych gości, nawet spośród tych, którzy wynajmowali pokoje gdzie indziej.

Była już jedenasta przed południem, ulice zapełniły się turystami. Miriam bez pośpiechu przeszła się po uliczkach, obejrzała wystawy sklepowe, potem poszła na promenadę i wypijała *caffè shakerato*, przed nią rozpościerał się widok na piaszczystą plażę. Miała mnóstwo czasu – niech jej prześladowca trochę się pomęczycy. Wróciwszy do centrum, zajrzała do kościoła Świętej Eufemii na Campo dei Patriarchi, potem do baptysterium i do bazyliki Santa Maria delle Grazie, gdzie mogła podziwiać mozaiki

z piątego wieku; lecz przede wszystkim rozkoszowała się odświeżającym chłodem panującym w świątyniach – gdy tymczasem jej cień na zewnątrz męczył się w upale. Miriam nie zadawała sobie najmniejszego trudu, by mu uciec.

\* \* \*

– Urocza historia. Ta angielska deputowana to, moim zdaniem, rozgarnięta osóbką. Sięga po wszelkie środki obrony – stwierdził Galvano z sympatią. Komisarz zaproponował, że potowarzyszy mu do baru „Portizza” przy placu Giełdy.

– A ja mam znaleźć tego donżuana. Masz pojęcie, pani prokurator akurat mnie wcisnęła tę sprawę. Twierdzi, że tu potrzeba dyplomacji.

– No to faktycznie, nie mogła wybrać lepiej – rzucił Galvano kpiąco. – A kto to jest ten typek, co ją szantażuje?

– Ma biuro podróży w Udine. Notowany, jego teczka jest całkiem pokaźna. Karany za oszustwa, a także za uszkodzenie ciała, bijatyki. Nicpoń i ladaco, usiłuje się tanio przewinać przez życie. Mieszka w niewielkim domku przy via dell’Eremo, odziedziczonym po rodzicach. Na moje telefony nie odpowiada, dzisiaj o szóstej rano nie było go w domu. Pewnie ma jeszcze jakąś melinę.

– Jak taki zobaczy numer komendy na wyświetlaczu, to traci słuch.

– Ale! Przecież dzwoniłem z ukrytego!

– Po tym, co napisały o nim gazety, na pewno nie ty jeden do niego dzwoniłeś.

– No i teraz będę jeszcze musiał pojechać do Udine, żeby go przesłuchać.

– Nawet tam, we Friuli, nie wszystko złoto, co się świeci. Przekaż go miejscowym. A poza tym to byłoby na wskroś pożądane, żeby chociaż raz jakaś prominentka pozwoliła sobie na taką swobodę jak jej męscy koledzy.

– Od razu by ją napiętnowano, zrobiliby z niej dziwkę, o mężczyźnie nie byłoby słowa. Gdyby niemiecka kanclerz zachowywała się tak jak nasz premier...

– Szczerze mówiąc, nie bardzo rozumiem, o co tyle krzyku – przerwał mu Galvano. – Ludwik Piętnasty codziennie kazał sobie przyprowadzać do

łóżka świeżą dziewicę. A sam śmierdział jak stary cap! Mao i John F. Kennedy też nie gardzili okazją. W każdym razie nie jest to kwestia poglądów politycznych. François Mitterrand przy osiemdziesiątce nagle wytrząsnął z rękawa dwudziestoletnią córkę, która przez wiele lat razem z matką mieszkała w wielkim pałacu. Nasz premier i większość ministrów rozwiedli się przynajmniej raz, nawet Watykan już się na to nie oburza. No a Niemcy mieli ostatnio kanclerza żonatego aż cztery razy. Odrzućmy wreszcie to zakłamanie! Czemu nie pojedziesz do Anglii, żeby przesłuchać tę lady? Przydałaby ci się zmiana otoczenia. A jakbyś to sprytnie urządził, mogłaby z tobą pojechać Gemma. Wystarczy, że polecą innym samolotem. Tylko uważaj, rachunek hotelowy nie może opiewać na dwuosobowy pokój!

– Znaleźliśmy mieszkanie Bierchena! – Inspektor Pina Cardareto z niecierpliwością oczekiwała Laurentiego. – Pana córka podała adres, pod którym umieściła go agencja filmowa. Mansarda w dzielnicy Gretta, via Braidotti. Z garażem.

Pina brzęknęła kluczami.

– Skąd je pani ma?

– Nie będziemy musieli się męczyć otwieraniem. Enrico D'Agostino, właściciel apartamentu, jest przyjacielem mojego znajomego. Pójdzie pan z nami? Technicy już czekają.

Czy to nie u tego człowieka była ostatnio Laura, żeby obejrzyć jego zbiory i spróbować namówić go do współpracy ze swoim domem aukcyjnym? No przecież, to był D'Agostino! Facet odziedziczył kupę pieniędzy i nieruchomości. I jest bliskim przyjacielem notariusza, który przy sprawach spadkowych albo przeniesieniach własności sam zagarnia najlepsze nieruchomości i działki, zanim jeszcze ktokolwiek zdąży wyniuchać sprawę. Ten notariusz jest dosłownie nadziany forszą, elegancki gość, zawsze nieskazitelnie ubrany. No i należy do kliku Raccara. Ale na korytarzach komendy policji szeptano przede wszystkim o tym, że niedawno romans z nim nawiązała właśnie Pina. Akurat ona. Wszyscy zadawali sobie pytanie, co pociągało inspektora w żonatym mężczyźnie, ojcu dwóch niedorosłych synów. Zupełnie nie pasowało to do sztuk teatralnych, jakie Pina pisała w wolnych chwilach, nie licowało ze zjadliwymi karykaturami, które, ku

przerażeniu portretowanych kolegów, potrafiła w parę minut nakreślić na papierze. Ona i ten facet to dwa światy, nie mogą nadawać na tych samych falach. Mała Pina była wprawdzie znana jako fanatyczna kick bokserka, ale nie jako pożeraczka męskich serc! Dla nikogo nie było tajemnicą, że wszystkie jej dotychczasowe związki zakończyły się fiaskiem i że Pina, mimo wytatuowanego na bicepsie przekreślonego serca z podpisem: *Basta amore*, nie potrafi być sama.

– Zostawiam pani wolną rękę, proszę się tam rozejrzeć. Ja muszę do Udine, porozmawiam sobie z panem Gazzą.

Nagle wbiegła Marietta.

– Miałeś rację, Proteo! AFI to Action Film Italia, figuruje w rejestrze handlowym. Proszę, oto kopia tej karteczki, którą Niemiec miał w kieszeni.

– Dwadzieścia tysięcy euro. – Laurenti wskazał palcem na świstek. – I data: dzień przedtem, nim wyłowiono go z morza. Jak wrócę, zajmę się Lelem. A pani, Pino, niech najlepiej od razu pojedzie do tej firmy i trochę ich przycisnie. O, tutaj, nazwisko dyrektorki, proszę ją przemaglować, nastraszyć policję skarbową, sama pani wie...

Odezwała się jego komórka. SMS. Na wyświetlaczu znak zapytania. Lecz Proteo nie miał czasu oddzwonić. Czekala na niego prokurator. Zadzwonił do Gila Battinellego, że ma z nim pójść. Podział obowiązków to świetny wynalazek. Po drodze inspektor powiedział mu, że wyniki analizy DNA z włosów i śladów krwi, znalezionych przez techników na ramie okiennej w toalecie importera kawy, ciągle jeszcze nie nadeszły. Materiał posłano do Padwy, do laboratorium specjalistycznego, odpowiadającego za cały północny wschód kraju. Oczywiście pierwszeństwo mają ciężkie przestępstwa. W każdym razie było wiadomo, że w przedsiębiorstwie Zadara nie pracował nikt o tym kolorze i tej długości włosów.

\* \* \*

– Śledzenie to nie etat przy biurku! Tu nie ma normowanego czasu pracy! – Raccaro się wściekł, gdy po północy zastał Aurelia w domu. Nie chciał słuchać żadnych sprzeciwów ani tłumaczeń – Masz spać przed jej hotelem! Chcę, żebyś ani na moment nie tracił jej z oczu, masz mnie natychmiast powiadomić, gdyby poszła do gliniarzy. I chcę wiedzieć, z kim

rozmawia!

Po długim dniu Aurelio zasnął w fotelu przed telewizorem, do połowy opróżniona szklanka whisky stała na stoliku po lewej stronie. Kostki lodu już dawno się roztopiły, kiedy zadzwonił telefon. Aurelio zakończył obserwację, gdy zobaczył, jak dziennikarka po kolacji z Lelem przechodzi obok komendy policji. Było dla niego jasne, że po długiej wędrówce po mieście mogła o tej porze iść już tylko do położonego w pobliżu hotelu. W końcu ona też musi kiedyś spać.

Już dawno stracił przyjemność ze szpiegowania dziennikarki. Gdyby Jeanette nie popsowała mu zabawy, teraz przynajmniej mógłby spróbować szczęścia u tej podniecającej kobiety, tak jak u innych turystek, które podrywał od kilku lat. Pomysł z szantażem przyszedł mu do głowy dopiero przy Jeanette, i to mimo prawdziwej przyjemności, jakiej mu dostarczyła. Jeanette była naprawdę świetna, prawdziwy wulkan, jednak tyle pieniędzy i władzy naraz okazało się zbyt kuszące. To była szansa, by oddzielić kreską rozdział „Raccaro” i zacząć nowe życie. Szybko odrzucił początkowe skrupuły. O tym, że Jeanette jest kimś ważnym, świadczyły już choćby częste telefony z Anglii, zwięzłe odpowiedzi, których udzielała, i polecenia, które bez wątpienia wydawała. Wystarczyło ukradkiem zajrzeć do jej torebki. W portfelu poza grubym plikiem banknotów tkwiła także legitymacja poselska. Telefonem komórkowym zrobił kilka zdjęć jej dokumentów, przyjrzał się im dokładniej wieczorem, gdy Jeanette spała. A przeprowadzenie sprawy przez biuro podróży Giulia Gazzy zacierało wszelkie ślady. Kuriera zamówił na wczesny rano, czekał na niego w Udine przed budynkiem biura, grubas przecież zawsze późno przychodził do pracy. A Jeanette i tak wiedziała, jak go znaleźć. Aurelio był przekonany, że zadzwoni, gdy tylko dostanie zdjęcia. W końcu zapisała sobie numer jego komórki.

W Grado tłum turystów przelewał się po ulicach, osłonięte parasolami stoliki przed restauracjami, których było tu mnóstwo, były pozajmowane. Nie wszyscy urlopowicze spędzali południowe godziny nad morzem, wielu przedkładało bryzę z wentylatorów nad gorący południowy wiatr, który przemykał plażami.

Aurelio już trzeci dzień chodził za dziennikarką. Z pozoru bez celu

walęsała się po ulicach miasteczka, w pewnej chwili weszła akurat do tego hotelu, w którym niedawno uszczęśliwił Angielkę, lecz po niedługim czasie wyszła stamtąd z prospektami w ręku. Faktycznie wyglądało na to, że czarnoskóra żurnalistka przyjechała do Grado jedynie po to, by przyjemnie spędzić dzień. Czy jest sens śledzić ją jeszcze i tutaj? Aurelio był wściekły, że Lele zmusił go do tej roboty, ale nie miał śmiałości się sprzeciwić. Czuł zmęczenie, ziewał raz po raz.

Otrząsnął się z zamyślenia, gdy dziennikarka nagle przyśpieszyła i pewnym krokiem, zupełnie jakby wcześniej sprawdziła drogę, poszła trasą, którą on znał aż nadto dobrze. Zatrzymała się przed niepozornym, trzypiętrowym budynkiem o błękitnej fasadzie i z uwagą wczytała w wielojęzyczny szyld obok bramy do ogrodu: „Bed & Breakfast Nontiscordardimé”. Pensjonat „Niezapominajka”, położony w centrum miasta, oferował przestronne pokoje i korzystne, jak na warunki, ceny, toteż był od lat ulubioną kwaterą Aurelia. Dziennikarka zadzwoniła, przeszła przez bramę, za którą rozciągał się troskliwie wypielęgnowany ogród frontowy – bujnie kwitnące kwiaty obramiały alejkę, wiodącą do budynku.

Jakim cudem tak szybko zdobyła ten adres? Jeanette go przecież nie znała. Przeraził się, serce waliło mu jak młotem, nerwowo przestąpił z nogi na nogę. Musi ją uprzedzić! Nie może dopuścić do tego, by jej podali jego dane albo pozwolili zajrzeć do księgi gości! To by była katastrofa! Jego adres był taki sam jak adres Lelego. Aurelio pośpiesznie wybrał numer pensjonatu, długo czekał, aż ktoś odbierze. Zdenerwowany wybąkał swoje nazwisko, lecz uspokoił się, gdy usłyszał miękki głos właścicielki pensjonatu, znała go od dawna. W krótkich słowach przedstawił swoją prośbę, by pod żadnym pozorem nie podawała jego adresu. Powołał się na ich starą znajomość i obiecał, że niedługo sam osobiście wszystko wyjaśni. Dokładnie w chwili gdy zobaczył, jak otwierają się drzwi i dziennikarka wychodzi z budynku, usłyszał słowa gospodyni:

– Przykro mi, powinieneś był uprzedzić mnie wcześniej. Ale z pewnością sobie z tym poradzisz, Aurelio. Jak dotąd umiałeś sobie każdą owinąć wokół palca. A jak z twoją rezerwacją na drugą połowę sierpnia? Zostaje?

Zamiast odpowiedzi w słuchawce rozległ się przerywany sygnał.

\* \* \*

Poszukiwania Miriam zakończyły się pomyślnie: znała już teraz nazwisko Aurelia, jego datę urodzenia oraz adres. Aurelio Selva, lat dwadzieścia osiem. W świetnym nastroju przekazała dane Jeremy'emu Jonesowi i poszła do samochodu. Mandat, zatknięty za wycieraczki, zmięła, rzuciła za siedzenie.

Nie śpieszyła się z powrotem, nawet nie próbowała wyprzedzić któregokolwiek z wlokących się aut pełnych turystów. Za to upewniła się, że jej anioł stróż nadal jedzie za nią na swoim ciężkim skuterze. W pół godziny później zajęła na parking wypożyczalni samochodów przy lotnisku Trieste-Ronchi dei Legionari. A gdy przy okienku zdawała samochód, zobaczyła wreszcie twarz swojego prześladowcy. Ze znudzoną miną przeglądał w hali odlotów prospekt biura informacji turystycznej. Rzeczywiście, przystojny chłopak. Miriam poszła do stanowiska *check-in*, nadała bagaż. Planowy lot do Londynu był wyznaczony na godzinę 14.30. Wyciągnęła z torebki potwierdzenie rezerwacji, którą zrobiła minionej nocy przez internet. *Low cost*, warto było zainwestować tych parę euro, tym bardziej że dostrzegła swojego anioła stróża, czatującego przy wejściu do lotniskowego terminalu, w którym wszystko było widać jak na dłoni. Po przejściu przez kontrolę paszportową i bramkę bezpieczeństwa obejrzała się jeszcze raz, szukając go wzrokiem. Kusiło ją, by mu pomachać. Ale nigdzie go nie dostrzegła. Zamówiła przy barze *tramezzino* z tuńczykiem i jajkiem, i kieliszek prosecco. Kiedy wywołano lot, Miriam zapytała o wyjście. W końcu bywa, że podróżny rozmyśli się w ostatniej chwili.

\* \* \*

Aurelio zaparkował swojego spidermaxa między dwoma autami na via dell'Eremo, kask wepchnął do schowka pod siedzeniem. Rozejrzał się przelotnie, jednak tego gorącego dnia na ulicy nie było nikogo; doleciał go tylko brzęk naczyń z jakiegoś otwartego okna. Dwa pręgowane jak tygrysy koty leżały leniwie wyciągnięte w cieniu pod krzewem i nie zaszczyciły go ani jednym spojrzeniem, gdy poszedł w dół Scala Bonghi. Te schody stanowiły jedyne dojście do zatopionych w zieleni domów, które w latach dwudziestych wzniesiono na zboczu. Wówczas nazwano to miejsce „Rione

del Re”, królewską dzielnicą. Osiedle zbudowano z przeznaczeniem na nowe lokum dla osób z klasy średniej – kupców, urzędników, pracowników umysłowych. W zamian mieli opuścić średniowieczne budynki w centrum miasta, by zwolnić miejsce pod imperialną zabudowę, odpowiadającą manii wielkości partyjnych bonzów Mussoliniego. W owym czasie uważano to osiedle za wielkie osiągnięcie architektoniczne – wzniesiono je w błyskawicznym tempie. Obecnie administracja miasta zaniedbywała dzielnicę do tego stopnia, że mieszkańcy musieli wystąpić z protestem. Uskarżali się na watahy dzików, pleniące się wszędzie zielsko, dzikie zarośla pełne kleszczy, nędzne oświetlenie schodów nocą. W każdym razie zakłady miejskie rozpoczęły niekończące się roboty remontowe i renowacyjne, po których wszędzie zalegały wielkie kupy gruzu.

Aurelio skręcił w drugą uliczkę, wszedł po schodkach do jednego z bliźniaków, wyciągnął z kieszeni narzędzia. Rozejrzał się jeszcze raz, naciągnął lateksowe rękawiczki i w niecałą minutę później zamknął za sobą drzwi. W pokojach panował smrodliwy zaduch, przez zamknięte okiennice wpadało nagle światło.

Znał każdy centymetr kwadratowy tego mieszkania. Przeżył tu całe dzieciństwo, aż do dnia kiedy jego protektor wysłał go do internatu nad jeziorem Garda, gdzie miał zdać maturę. Do tego czasu dzielił pokój z chłopakiem, który był od niego starszy o jedenaście lat. Giulio od początku traktował go źle, dręczył, pastwił się nad nim, jak tylko mógł. Nigdy nie zaakceptował decyzji rodziców, by przyjąć małego Aurelia do domu, i dawał mu to boleśnie odczuć. Wszystko, co sam nabroił, zwał na niego i cieszył się, gdy Aurelio obrywał po buzi. I regularnie, bez najmniejszego skrępowania, onanizował się we wspólnym pokoju.

Aurelio nim gardził; chował się pod łóżkiem. Gdy raz zebrał się na odwagę i zrobił do tego aluzję przy matce, najpierw zarobił od niej po twarzy, a potem Giulio stłukł go tak, że przez tydzień bolały go zębra.

Gazza miał dwadzieścia siedem lat i był już strasznym tłuściochem, gdy szesnastoletni Aurelio został wysłany do internatu. Giulio nie miał żadnego zawodu, był na garnuszku u matki, która nie miała dość woli, by kopnąć go w tyłek. Zamiast tego potajemnie wtykała mu pieniądze, nawet jeśli nie



prosił. O śmierci przybranego ojca Aurelio dowiedział się dopiero po pogrzebie, na który nie został zaproszony. A kiedy w następne wakacje letnie przyjechał do domu, jak nazywał to miejsce, gdyż niezależnie od wszystkiego spędził tu całe dzieciństwo, matka podczas obiadu oświadczyła mu, że ma się natychmiast przeprowadzić pod nowy adres w Trieście. To jego nowe lokum. Aurelio zagryzł wargę, w milczeniu spojrzął na karteczkę z adresem. Nie pytał o przyczyny tej decyzji. Podniósł się z ociąganiem, spojrzął na kobietę, która go wychowała; przez ostatni rok jej włosy zrobiły się zupełnie białe. Pozwolił się objąć, sam nie uczynił żadnego gestu, jego oczy patrzyły w pustkę.

Wziął nierozpakowaną jeszcze walizkę, zszedł Scala Bonghi do via Sinico, gdzie wsiadł do autobusu numer 11, który zawiózł go do centrum miasta. Gdy dzwonił do wysokiego budynku przy teatrze rzymskim, serce waliło mu jak młotem, uspokoił się dopiero, gdy wysiadł z windy i powitał go chudy mężczyzna niewielkiego wzrostu, który poprowadził go do mieszkania, a potem na balkon z niczym nieograniczonym widokiem. Ta zamiana nie wydała mu się taka zła, w każdym razie nie będzie już musiał znosić złośliwości Giulia. Jego nowy pokój, wprawdzie z oknem na góry, a nie na morze, jak się spodziewał, był jednak jasny i duży. Mały człowiek mówił do niego Auro i kazał się tytułować Lele, powiedział, że teraz to on będzie się o niego troszczył, jego przybrana matka po śmierci męża ma wystarczająco ciężkie życie. Jednak na nieśmiałe pytania, kim jest jego prawdziwa matka, stary za każdym razem odmawiał wszelkiej odpowiedzi. Tylko wtedy, gdy się obaj kłócili, Lele rzucał pod jej adresem najordynarniejsze wyzwiska.

Aurelio do dzisiaj wstrzymywał się przed szukaniem matki w urzędzie ewidencji ludności. Zresztą, niezależnie od tego, czego się tam ewentualnie dowie, i tak nic to nie zmieni w jego postanowieniu, by najszybciej, jak się da, na zawsze opuścić Triest.

Rozejrzał się po mieszkaniu – było straszliwie zapuszczone. W kuchni piętrzyły się niepozmywane naczynia, śmiecie cuchnęły okropnie, roje czarnych much pokrywały szyby. Już chciał pootwierać okna, ale się wstrzymał – nie po to tu przyszedł. A gliny przyjdą później też nie na sprzątanie. Ale jak można tak mieszkać?

Przeszedł do trzeciego pomieszczenia: pokój, który od dzieciństwa musiał dzielić z tłuściochem. Teraz brakowało tu łóżek, pewnie Giulio przeniósł się do sypialni rodziców, gdy przed trzema laty pochował także matkę i odziedziczył dom. Aurelio ukląkł obok okna, zaczął opukiwać listwę przy podłodze, aż natrafił na pustą przestrzeń, skrytkę, którą zrobił w dzieciństwie, żeby móc chować tu przed Giuliem swoje ukochane rzeczy. Włożył do środka kartę pamięci z aparatu fotograficznego i pokwitowanie przyjęcia przesyłki przez kuriera, zamknął schowek. Jego spojrzenie padło na album fotograficzny, który leżał otwarty na podłodze przy oszklonej witrynie w salonie. Schylił się, wyjął z albumu zdjęcie kobiety, która go wychowała, z czasów gdy jej włosy były jeszcze ciemne, a pogodny uśmiech rozświetlał oczy. Wsunął fotografię do tylnej kieszeni spodni i wyszedł. Nie minął nawet kwadrans, gdy znowu uruchomił skuter i pomknął w górę, do Villa Revoltella, a nieco później skręcił na autostradę w kierunku Kopru. Za dawnym przejściem granicznym podjechał do stacji benzynowej; gdy płacił za paliwo, poprosił o kartę telefoniczną. Przy toaletach wisiał aparat publiczny. Centrala redakcji „Piccola”, największej triesteńskiej gazety codziennej, bez problemu połączyła go z redaktorem odpowiedzialnym za raporty policyjne. Dziennikarz od lat przeobrażał suche meldunki z komendy w autentyczne, pasjonujące mikropowieści. Aurelio nie podał swojego nazwiska, od razu wypowiedział trzy jasne zdania:

– Chodzi o Angielkę. Fotografie zrobił Giulio Gazza, karta pamięci z cyfrówki jest w jego mieszkaniu. Gliniarze powinni poszukać skrytki.

– A gdzie dokładnie? – zapytał redaktor sucho. Wiedział z doświadczenia, że nie ma sensu pytać dzwoniącego o nazwisko.

– Niech się trochę wysilą.

Redaktor usłyszał jeszcze tylko trzask w słuchawce. Spojrzał na słoweński numer telefoniczny, który odpisał z wyświetlacza, potem zaczął grzebać w stosach papierów – zajmowały połowę jego biurka i tylko on jeden orientował się w tym bałaganie. Po krótkiej chwili wyciągnął teczkę z napisem „Giulio Gazza”. Szybko przeleciał wzrokiem oba swoje artykuły. Gdy wykრęcał numer komórki Laurentiego, Aurelio właśnie jechał Viale d’Annunzio z powrotem do centrum miasta.

– Już pani wróciła? – zapytał taksówkarz. – I tak bez bagażu?

Przypadek chciał, że na postoju podjechał do niej ten sam taksówkarz, który wiozł ją do miasta, gdy przybyła do Triestu. Zresztą wybór taksówek przy tym niewielkim lotnisku nie był zbyt duży. A kurs kosztował trzy razy tyle co tani lot do Londynu. Miriam rzuciła okiem przez tylną szybę, odetchnęła uspokojona. Podstęp się udał.

– I co, dowiedziała się pani czegoś o swoim nazwisku? – zapytał taksówkarz.

Miriam pokręciła głową.

– Nie, ale pojechałam doliną, o której pan mówił. Niestety, drogi były tak wąskie i kręte, że musiałam zawrócić, nim udało mi się znaleźć źródła rzeki. Widoki naprawdę piękne, ale zapytać nie było kogo.

– A kawa? Jak posuwa się praca nad artykułem?

– Muszę sprawdzić jeszcze tylko kilka drobiazgów. Tu wszystko jest inne niż gdzie indziej.

– Ależ skąd! Niczego takiego nie dostrzegam. Jesteśmy całkiem zwyczajnym miastem.

Samochód zatrzymał się na via Trento przed siedzibą towarzystwa prawniczego, o którym Jeremy Jones mówił jej podczas nocnej rozmowy telefonicznej. Wprawdzie jego kancelaria współpracowała z nimi w kwestiach prawa morskiego, jednak praktykowało tu też dwóch znakomitych karnistów. Jones zapewnił ją, że do tych prawników może się zwrócić z pełnym zaufaniem; osobiście sprawdził, w jakich stosunkach są z Raffaele Raccarem. Na prowincji osoby należące do określonych środowisk zwykle dobrze się znają – klient może nabrać wątpliwości, gdy zobaczy, jak jego obrońca przyjaźnie pije kawę z adwokatem strony przeciwnej, albo gdy się dowie, że panowie grywają razem w golfa. Jednak prawnicy z Beltrame, Grandi & Kraft Associati szybko się zorientowali, że mogą dobrze zarobić, reprezentując przeciwników Raffaele Raccara i jego kliki, złożonej z polityków i podejrzanych geszefciarzy. Miriam może się spokojnie zwrócić do Fausta Aiazziogo, ten człowiek ma duże doświadczenie.

Prawnik już na nią czekał. Podała mu numery rejestracyjne skutera

i personalia Aurelia. Aiazzi wykonał krótki telefon i od razu powiedział jej, że pojazd także zarejestrowany jest na via Donota 1.

– W wysokościowcu naprzeciwko komendy policji, obok teatru rzymskiego – wyjaśnił. – Znamy tego młodego człowieka. To prawa ręka Raffaele Raccara, który zamieszkuje czternaste piętro. Na samej górze. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby to na jego polecenie Aurelio Selva uwiódł i szantażował pani przyjaciółkę. Raccaro zajmuje się sprawami innego kalibru.

– A to, że ten Aurelio mnie szpiegował, przyczepił się jak rzep do psiego ogona?

– To nie jest dobry znak – powiedział Aiazzi. – Selva jest znany z agresywności. Mój kolega Jones powiedział, że nie udało mu się nakłonić pani do opuszczenia miasta. Centrum Triestu nie jest duże, nie sposób się tu ukryć. Obawiam się, że szybko panią zauważą, jeśli pani zostanie. Proszę to jeszcze raz przemyśleć.

Miriam energicznie pokręciła głową.

– Nie wyjadę. Zamierzam doprowadzić tę sprawę do końca.

– Dobrze pani radzę. Z Raccarem nie ma żartów. Reprezentujemy teraz jego kontrahentów w trzech sprawach. Raccaro, mimo niezbitych faktów, ma jak najlepsze szanse, by się wywinąć. Jego adwokaci próbują wszelkimi sposobami przeciągać procesy, grają na zwłokę, liczą na przedawnienie spraw.

– A o co chodzi?

– Dwa procesy toczą się już w drugiej instancji. Jeden o przekupstwo przy przetargu publicznym, mamy w ręku wszelkie dowody, jednak strona przeciwna ciągle żąda nowych ekspertyz. Druga sprawa też dotyczy przyjęcia przez Raccara korzyści majątkowej, tym razem na stanowisku członka rady nadzorczej jednego z dostawców energii. W trzeciej, w imieniu naszych partnerów z Londynu, reprezentujemy londyńskiego Lloyd'sa. Sprawa ciągnie się od lata dwa tysiące szóstego. Odebrano wtedy certyfikat pół miliona worków robusty z Wietnamu. Postawiło to port kawowy w bardzo złym świetle.

– Ach, tak? A co się takiego stało?

Jasne, że żaden ze specjalistów od kawy, z którymi Miriam

przeprowadziła wywiady, nie mógł jej opowiedzieć tej historii.

– Doszło do zagrzybienia od wilgoci – odparł Aiazzi, wzruszając ramionami. – Jedni twierdzili, że to przez wilgotne palety, one są z drewna. A konkurencja w Hamburgu upierała się, że warunki magazynowe w Trieście nie odpowiadają normom. Ceny kawy na Euronext.liffe, giełdzie terminowej w Londynie, skoczyły do wartości najwyższej od siedmiu lat. Lloyd's musiał wypłacić odszkodowania, które na koniec objęły tylko dwadzieścia pięć tysięcy worków. I właśnie owe tysiąc pięćset ton jedna z firm Raffaele Raccara odkupiła od ubezpieczyciela, który oczywiście nigdy nie zobaczył pieniędzy. Ba, więcej! Ta firma zaczęła nagle twierdzić, że została oszukana. Sprawa będzie się jeszcze długo ciągnąć.

– Ale co oni zrobili z tym paskudztwem? – zapytała Miriam, wzdrygając się z obrzydzeniem. Dobrze pamiętała z dzieciństwa, jak wygląda i jak smakuje zepsuta kawa.

– Przypuszczamy, że Raccaro kazał ją po cichu przerobić w jakiejś prażalni za granicą, a potem, szast-prast, po obniżonych cenach opchnął w swoich supermarketach niczego nieświadomym klientom. Jako hit cenowy. To nie takie rzadkie w handlu żywnością, że się zarabia nawet na nieświeżym towarze. Jeśli to panią naprawdę interesuje, proszę w starych gazetach poszukać wielkoformatowych reklam ofert specjalnych kawy, jakimi nęcono klientów.

Coś takiego! Informacja, której mimochodem udzielił Miriam adwokat, to ekstra dodatek do jej reportażu: deficyt dostaw z adriatyckiego portu maksymalnie wywindował ceny robusty na giełdach światowych! Dotąd nie przypisywała tak wielkiego znaczenia triesteńskiemu portowi. Przypuszczalnie tego typu zdarzenia przynoszą korzyść głównie spekulującym na transakcjach terminowych, którzy dzięki zmianom kursów osiągają maksymalne zyski. Na tym właśnie opierał się pomysł Raccara z zapleśniałym towarem. Widełki cenowe. Jednak kalkulacja Lelego była jeszcze bardziej wyrafinowana, gdyż cena, którą wynegocjował z Lloyd'sem, nie uwzględniała podrożenia kawy na rynku. Tymczasem w handlu detalicznym w okresie najwyższych cen cena dumpingowa nędznego towaru jest siłą rzeczy wyższa niż zwykle, co przynosi podwójny zysk! Ten facet jest

kuty na cztery nogi, a szkodliwość pleśni oczywiście nic go nie obchodziła. W końcu to dotyczyło najwyżej niczego nieświadomych klientów. Zresztą przy ograniczonej czasowo sprzedaży i tak nikt nie sprawdzał dostaw. Miriam była zadowolona: będzie z tego dobry reportaż. Przyjemne spotkania z ludźmi z branży kawowej podczas ostatnich dni można opisać jako stronę pozytywną. Lele dostanie za swoje, a tamci będą błyszczeć.

– A poza tym pozew z Londynu został dzisiaj po południu dostarczony zarówno do prokuratury, jak i do biura Raccara. – Aiazzi pokazał jej kopię pokwitowania odbioru, podpisaną przez sekretarkę Lelego. – Jednak obawiam się, że jego adwokaci i tutaj będą próbować kruczków prawnych, które dopuszcza nasz system i które kilkakrotnie uratowały też naszego premiera... Cóż, skoro nie daje się pani odwieść od swojego zamiaru... – Fausto Aiazzi położył na stole pęk kluczy. – To ekskluzywny apartament na Strada del Friuli dziewięćdziesiąt osiem, własność jednego z kolegów. Myślę, że się pani spodoba, z tarasu jest fantastyczny widok. Radzę, żeby pani została w mieszkaniu i wychodziła tylko po najpotrzebniejsze rzeczy, tak będzie najlepiej. W pobliżu jest parę sklepów.

\* \* \*

Z kancelarii Beltrame, Grandi & Kraft Associati pojechała taksówką na Strada del Friuli 98, po drodze zrobiła w supermarkecie najpotrzebniejsze zakupy. Mieszkanie na ostatnim piętrze od razu przypadło jej do gustu – widok rzeczywiście zapierał dech w piersiach. Urządzenie natomiast było równie oszczędne, jak purystyczny styl tej szykownej designerskiej willi, wkomponowanej w otoczenie, tak jakby stała tutaj od zawsze. Miriam odstawiła torby, rozsunęła szklane drzwi, przez chwilę rozkoszowała się świeżą bryzą niosącą zapach morza. Potem wyciągnęła się wygodnie na leżance na tarasie i zadzwoniła do Jeremy’ego Jonesa, do Summit House przy Red Lions Square.

– Świetne lokum, lepsze niż jakikolwiek hotel, dzięki – powiedziała, po czym opisała mu, w jaki sposób pozbyła się swojego prześladowcy.

– Fantastyczne! – skomentował Jeremy i roześmiał się z zadowoleniem, jakby właśnie udało mu się wyratować Falstaffa z pułapki wesołych kumoszek z Windsoru. Siedział wygodnie rozparty w klubowym fotelu o tak

wysokich podłokietnikach, że jego wolna ręka spoczywała niemal na wysokości barku. – Byłabyś świetnym szpiegiem, Miriam!

– Prowadzę dochodzenie, a nie szpieguję. – Miriam opowiedziała o wizycie u Fausta Aiazziiego i o tym, czego się od niego dowiedziała na temat Raccara.

– No więc, co zamierzasz? – wymamrotał Jones, a Miriam usłyszała trzask pocieranej zapalki i cmokanie, gdy zapalał swoje ulubione cygaro Montecristo; potem ssał je przez całą ich rozmowę, wyraźnie to słyszała.

– Muszę znaleźć Alberta, somalijskiego handlarza ulicznego. Spotkałam go parę razy na mieście. To on zwrócił mi uwagę, że ktoś mnie śledzi. Kupiłam cyfrówkę, żeby obfotografował gościa. Kosztowało mnie to pięć stówek zaliczki i tyle samo mam mu zapłacić, kiedy mi odda aparat.

– Niezła cena. Jeanette z pewnością zwróci ci koszty. Jak wykorzystasz te zdjęcia?

– Skonfrontuję z nimi Raccara. Potem zobaczymy, co dalej zrobi. Ktoś, kto się posługuje fałszywymi dowodami, potrafi nastraszyć każdego.

– Jak biedną Jeanette.

Wyglądało na to, że jej przyjaciółka przemilczała przed adwokatem nagie fakty.

– I jak mnie, nasyłając tego typa.

– Subtelny, lecz jednoznaczny nacisk to skuteczny sposób, by pozbyć się intruza, który wtyka nos w nie swoje sprawy. Wtargnęłaś na jego rewir, lepiej by było, gdybyś zostawiła brudną robotę mnie.

– Tutaj przynajmniej świeci słońce, Jeremy. I nie sądzę, abyś mógł z kancelarii w Londynie dobrać się do Raccara.

– W takim razie przynajmniej zakładaj czador – zaproponował na koniec Jones. – Ciebie można przecież rozpoznać na kilometr.

– Przefarbuję włosy – odparła Miriam.

– Pewnie na zielono – westchnął adwokat.

– Na czerwono. Ulubiony kolor mojego męża. Od jego śmierci nigdy nie nosiłam czerwonego.

Następny telefon wykonała do Candace. Córka ciągle jeszcze siedziała nad archiwizacją zdjęć przywiezionych z podróży na Wschód. Słuchając

opowieści matki o tym, jak pozbyła się prześladowcy, Candace weszła na stronę linii obsługujących rejsy między Londynem a Triestem.

– O jedenastej dwadzieścia pięć ze Stansted – usłyszała nagle Miriam podekscytowany głos córki. – Są jeszcze dwa miejsca. Przylecę.

Miriam się ucieszyła. Gdy tylko zakończy się ta historia z szantażystą Jeanette, będą mogły spędzić kilka dni nad Adriatykiem. Może w Grado, jak jej przyjaciółka.



## Sezon ogórkowy

Był ostatni piątek lipca. Proteo Laurenti z roztargnieniem słuchał w samochodowym radiu popołudniowego serwisu informacyjnego z godziny siedemnastej. Właśnie podali wiadomość, że do okolicznych szpitali trafiły setki brytyjskich pasażerów z pewnego statku wycieczkowego. Z powodu zatrucia salmonellą. Ale co jaja po rosyjsku robiły w bufecie przy tych temperaturach? Laurenti wyobraził sobie różowoskórych wycieczkowiczów w kolorowych bermudach i był zadowolony, że tym razem nie musi patrzeć, jak przechodzą przez Piazza Unità i zaraz siadają w pierwszej z brzegu kawiarni, by pozostać w niej całe popołudnie. Konsumpcja chipsów ziemniaczanych do cappuccino za każdym razem robiła na nim wrażenie. Kelnerzy byli odpowiednio poinstruowani. A gołębie w odległości jednego machnięcia skrzydłem wyczekiwały na moment nieuwagi gości, by sfrunąć na stoły i rzucić się na zdobycz. Radio podało jeszcze, że „Ecstasea” Abramowicza nie cumuje już przy moło IV.

Laurenti kłął sam siebie. Czemu trzy kilometry wcześniej, przy zjeździe na lotnisko Ronchi dei Legionari, nie wystawił koguta? Wtedy mógłby się prześliznąć przez stoczniowe Monfalcone aż do nadbrzeżnej Strada Costiera. Jego samochód na resztkach paliwa włókł się na szarym końcu, a ściślej rzecz biorąc – stał. Początek ferii, „wielki exodus”, jak spiker radiowy nazwał coroczny gigantyczny korek na autostradach. Piętnaście milionów Włochów, ogarniętych panicznym lękiem przed samotnością, tego weekendu razem przemieszczało się metodą *stop-and-go* w kierunku swoich miejsc urlopowych, najwyraźniej kpiąc sobie z kryzysu. Na głównej magistrali wiodącej na zachód od lat panował stan wyjątkowy – wydawał się boleśnie dotykać wszystkich z wyjątkiem tych, którzy podejmowali decyzje w urzędach. Pilnie potrzebną rozbudowę odcinka odsuwano od lat, chociaż trasą pchała się połowa Europy Wschodniej. Dziewiętnaście milionów samochodów ciężarowych rocznie, pięćdziesiąt milionów aut osobowych.

I karawany przeładowanych ludźmi i towarami samochodów dostawczych z Rumunii, Bułgarii, Ukrainy i Mołdawii, których kierowcy bezustannie kursowali po Europie. A w sezonie do tego wszystkiego dołączali się jeszcze urlopowicze, goniący za spokojem na plaży; tego roku zaznają go pewnie tylko ci, którzy posiadają własną wyspę.

Nawiew klimatyzacji był ustawiony na maksimum, mimo to Proteo pocił się i niespokojnie wiercił na skórzanym siedzeniu swojego alfa romeo. Był o krok od tego, by skręcić na pobocze, przeskoczyć przez barierkę i nie bacząc na widzów, uwolnić się od coraz mocniejszego parcia na pęcherz. Jazda z Udine do stolicy regionu w normalnych warunkach trwa ledwie nieco ponad pół godziny. W zwykły dzień tygodnia siedziałby już znowu przy biurku, ale teraz miał przed sobą jeszcze pięć kilometrów do punktu opłat Lisert, dopiero potem może zrobi się luźniej. Czemu, do diabła, nie wziął pod uwagę tych weekendowych korków? Już dawno by się spokojnie wysusiał, wypiłby dla orzeźwienia *caffè shakerato*, rozłożyłby na biurku papiery i podyktował Marietcie wniosek o przeniesienie aresztowanego, który tymczasowo został zakwaterowany w kiciu w Udine. A wracając do domu, zafundowałby sobie jeszcze kąpiel w morzu przy Diga Vecchia – wale ochronnym przed Starym Portem. Tak jak to często robił tego lata: późnym popołudniem wsiadał na starą łódź, która po kilkudziesięciu latach pracy w porcie odbywała ostatnią służbę, przewożąc chętnych do kąpeli. A na Diga Vecchia czekałaby na niego Gemma. Ale jak ten przeklęty korek się wreszcie nie ruszy, to będą mogli się zobaczyć dopiero w poniedziałek. W weekend nad morzem jest za dużo ludzi, zaraz by ich ktoś zauważył. Przede wszystkim można się natknąć na przyjaciółki Laury, od razu by do niej poleciały!

Długi szereg samochodów nie przesunął się nawet o metr. Laurentiemu od parcia na pęcherz pot wystąpił na czoło, dostał dreszczy. Przez moment pomyślał, czyby jednak nie postawić koguta na dachu i nie włączyć syreny, lecz od razu porzucił ten pomysł: do bramki drogowej prowadziły tylko dwa pasy, a pobocze zablokowały ciężarówki, które, sądząc po napisach, należały do niemieckiej ekipy filmowej. Między samochodami przeciskały się jednoślady, co dodatkowo przedłużało innym czas czekania przed kasami.

Laurenti z niepokojem popatrywał na wskaźnik zużycia paliwa. Asfalt parował, temperatura na zewnątrz wynosiła czterdzieści cztery stopnie. W oddali znad Krasu unosiły się czarne chmury dymu, co chwila nadlatywały samoloty strażackie, by w zatoce przed Monfalcone napełnić zbiorniki wodą i zaraz wrócić do akcji. Przez krótkofalówkę dowiedział się, że pożar wybuchł na północ od Doberdò del Lago i że włoscy strażacy pracują ręka w rękę z kolegami słoweńskimi oraz obroną cywilną, lecz jak dotąd nie udało im się opanować ognia. Prawdopodobnie to znowu robota jakiegoś bezmózgiego podpalacza.

– Marietta! – Laurenti zadzwonił z samochodowego telefonu do asystentki. – Jest coś nowego z zakładu medycyny sądowej?

– Niee. Zerial odpowiedział dopiero po piątym telefonie, oświadczył, że w weekend nie zamierza go kroić. Najwcześniej w poniedziałek! W weekendy jest do dyspozycji tylko w nagłych przypadkach. Ale właściwie dlaczego nie zapytasz Piny? To jej sprawa!

Pięknie! Triest ma tę rzadką zaletę, że żyje się tu w jedności z morzem. Woda jest czysta, kąpać się można nawet w środku miasta, wielu posiada wspaniałe łodzie żaglowe. Lecz te wszystkie dogodności odbijają się na morale pracowników. Czy człowiek naprawdę musiałby się dać zamordować, żeby główny patolog znalazł dla niego czas w piątek po południu? Za czasów starego Galvana coś takiego byłoby nie do pomyślenia.

– Powiedział coś jeszcze? – Laurenti kurczowo trzymał się kierownicy, chociaż samochód stał w miejscu.

– Owszem! Krwiak na prawym biodrze ofiary mógł powstać od uderzenia o reling lub o burtę, tak wynika z jego umiejscowienia. Ten Birkenstock był zalany, może spadł z jakiejś łodzi – powiedziała Marietta beznamiętnym tonem, nieświadoma tego, że właśnie nadała zmarłemu nazwisko, które będzie się przewijać przez wszystkie akta, co na koniec wywoła u pani prokurator atak wściekłości.

– A więc Zerial jednak zajął się ciałem.

– Jeden i osiem promila i był też nakoksowany. To wszystko? – zapytała Marietta niecierpliwie.

– Nie, nie wszystko. Poproszę cię jeszcze o spisanie protokołu. Od razu

prześlij do prokurator, to pilne. Zaraz podyktuję.

– Psiakrew! Właśnie wyłączyłam komputer. – Głos jego asystentki zagrział w głośnikach jak długo oczekiwana letnia burza.

– To bądź tak miła, Marietto, i włącz go z powrotem!

– Czy to nie może poczekać do poniedziałku?

– Po pierwsze, powiedziałem „poproszę”, po drugie, powiedziałem „to pilne”, a po trzecie – to polecenie służbowe, więc łaskawie notuj, zanim znikam się tu w tym korku w spodnie. To musi wyjść jeszcze dzisiaj!

– Co?

– Pismo!

Laurenti zaczął dyktować.

– Masz wszystko? – zapytał, gdy skończył. – Przeczytaj mi, proszę, jeszcze raz.

Marietta odchrząknęła i markotnie powtórzyła:

– Triest, data i tak dalej... „Adresat: Prokuratura Triest, prokurator *dottor*essa Iva Volpini. Dotyczy: przekazanie Giulia Gazzy, urodzonego 1 czerwca 1966 roku w Trieście, obecnie w więzieniu śledczym w Udine, zgodnie z nakazem aresztowania dnia dzisiejszego, 27 lipca roku bieżącego. Komenda policji w Trieście reprezentowana przez zastępcę komendanta Protea Laurentiego wnosi o niezwłoczne przeniesienie aresztowanego do tutejszego więzienia śledczego. Dzisiejsze przesłuchanie Giulia Gazzy oraz wyniki przeszukania, przeprowadzonego w miejscu jego zamieszkania przy via dell’Eremo, wskazują na to, że podejrzany może być sprawcą próby wymuszenia pieniędzy od obywatelki brytyjskiej Jeanette McGyver. Patrz doniesienie z dnia... Wnosimy o natychmiastowe przekazanie aresztowanego w celu doprowadzenia go przed sędziego śledczego w Trieście w przewidzianym prawnie terminie. Przeniesienie Giulia Gazzy przyspieszy postępowanie dochodzeniowe”. Podpisany i tak dalej.

Wprowadziwszy jeszcze jedną poprawkę, Laurenti przesadnie podziękował asystentce i życzył jej beztroskiego weekendu pełnego zmysłowych przyjemności. Powstrzymał się od zagadnięcia jej o właściciela króliczka i jego zwierzątko i rozłączył się, nim Marietta zdążyła odparować.

Wraz z kolumną pojazdów podjechał o kilka metrów do przodu. Parcie

na pęcherz było nie do wytrzymania. Laurenti obszukał ręką podłogę samochodu przy nogach; pod siedzeniem namacał pustą butelkę po wodzie mineralnej. Przesunął się na fotelu do przodu tak daleko, że aż dotknął piersią kierownicy i niechcący nacisnął na klakson. Obok niego stał opel minivan: w środku stłoczeni pasażerowie o bladych twarzach; deski surfingowe na dachu, rowery górskie na tylnym bagażniku, tylne siedzenie zapakowane bagażami. Kiedy zauważył rozbawione spojrzenia urlopowiczów poubieranych w kolorowe T-shirty, uzbrojonych w torebki z chipsami i napoje energetyzujące w srebrzyście niebieskich puszkach z podobizną Mozarta, butelka była już bliska przepełnienia. Zakręcił ją, odetchnął z ulgą, odprężony, wygodnie oparł się w fotelu. Kolumna samochodów na bocznym pasie wreszcie ruszyła. Niedługo będzie w domu.

\* \* \*

Kiedy Proteo Laurenti wraz z dwoma umundurowanymi funkcjonariuszami z Udine zjawił się w biurze Gazzy i podetknął mu pod nos nakaz aresztowania, ten siedział apatycznie przy biurku, wyraźnie wykończony. Gapił się na komisarza z wyrazem zdumienia w szeroko otwartych oczach. Prokurator Volpini nie zawahała się ani sekundy, gdy Laurenti, już po raz drugi tego dnia, przyszedł do niej w asyście Battinellego i poinformował o tym, co znaleźli w zapuszczonym mieszkaniu Gazzy w skrytce pod listwą przy podłodze.

– W porządku – powiedziała prokurator. – Nawet jeśli coś tu nie gra i ktoś tego faceta wrabia, nie mam wyboru. Jeżeli go nie zamkniemy, dostarczymy Anglikom kolejnego pretekstu, by nas zmieszać z błotem. Skoro Gazzy nie ma w Trieście, to może siedzi w swoim biurze w Udine. Proszę tam natychmiast pojechać i aresztować go. Ja tymczasem przygotuję raport dla sędziego śledczego. I bardzo proszę przysłać mi jeszcze dzisiaj wniosek o przekazanie aresztanta.

– O ile go złapię – zauważył Laurenti.

– Złapie pan! – rzuciła prokurator krótko i wymownie spojrzała na Battinellego, z którego komórki rozbrzmiał właśnie marsz triumfalny z *Aidy*.

Battinelli wybąkał przeprosiny i odebrał.

– Raccaro przygotowuje się do wypłynięcia – zaraportował, gdy

wychodzili.

– Zupełnie jakby wyczuł, że chcę mu po południu złożyć wizytę i pokazać notatkę tego Niemca! Nie szkodzi, przecież wróci. A do tego czasu nie spuszcza go z oka, Battinelli!

Nad Raccarem będzie czuwać inspektor – na Laurentiego spada papierkowa robota. Wielka szkoda, że nie może już dziś dobrać się do Lelego!

Do domu Gazzy weszli koło jedenastej. Był z nimi technik, który poinformował Mariettę o fotopułapkach w lesie. Laurenti mógłby przysiąc, że facet uśmiechnął się idiotycznie, kiedy przed komendą witał się z nim, wsiadając do samochodu ze swoimi przyrządami. Jednak gdy przeszukiwali budę Gazzy, zachowywał się profesjonalnie, był skupiony na pracy i nie dał po sobie niczego poznać. Wiadomość o schowku przekazał telefonicznie redaktorowi „Piccola” anonimowy informator. Inna sprawa, skąd ten człowiek wiedział o istnieniu skrytki. Znaleźli ją ledwie w pół godziny, w trzecim pokoju, przedtem pozdejmowali ze ścian wszystkie obrazy i opukali ściany.

Gdy Battinelli plombował drzwi, Laurenti zadzwonił do Marietty i w szczególnie uprzejmych słowach poprosił ją, by wyciągnęła z archiwum akta wcześniejszych mieszkańców domu. Wszystko poszło zbyt gładko. Informator musi się tu dobrze orientować.

– O la la! – odezwał się z tylnego siedzenia technik, gdy w drodze powrotnej do komendy zgrał zdjęcia z karty do swojego komputera. – Gorący lipiec przynosi niespodziankę za niespodzianką! Jedna piękniejsza od drugiej! Rok skoków w bok. Rok jeleni. No, jeśli to nie jest ostre porno!

Podał Laurentiemu swój laptop; Gilo Battinelli od kierownicy zezował na ekran.

– A ja do tej pory uważałem Anglików za pruderyjny naród! – skomentował. – A tu proszę, znowu to samo: czysty mit!

– Grubsza sprawa – mruknął Laurenti. – Jeśli te fotografie są prawdziwe, to kto sfalszował tamte? Wydrukuj to, jak tylko wrócimy do komendy. – Laurenti odwrócił się do kolegi na tylnym siedzeniu. – Jeszcze przed obiadem.

– Bardzo proszę – odpowiedział technik.

– Bardzo proszę – powtórzył Laurenti w roztargnieniu. Myślał o prokurator Volpini. Czy nie powiedziała, że prosi go o wzięcie tej sprawy, gdyż potrzebuje kogoś, kto nie boi się osób na stanowisku i potrafi przeprowadzić rzecz dyplomatycznie? Czyżby Iva Volpini wyczuła, że to gra znaczonymi kartami? Nie bez przyczyny cieszyła się sławą dobrej śledczej.

# Rejs

Biała czapka kapitańska z niebieskim daszkiem i złotymi galonami tkwiła na bakier na głowie drobnego mężczyzny, który z obnażonym torsem stał na podeście przy sterze. O piętnastej napędzana mocą dieslowskich silników „Greta Garbo” wypłynęła z portu Grignano pod zamkiem Miramare na otwarte morze. Vittoria czekała na Raccara już na pokładzie. Miała na sobie pareo w kwiaty owinięte wokół bioder i górę od białego bikini, które z powodzeniem mogłoby być o numer większe. Okulary słoneczne z ekstrawaganckimi aplikacjami kwiatowymi na zausznikach, podróbkę Gucciego, wytargowała od Alberta. Jej rude włosy powiewały na wietrze.

Raccaro, gdy usłyszał od Aurelia, że dziennikarka nieoczekiwanie poleciała z powrotem do Londynu, zlecił sekretarce, by odwołała wszystkie jego spotkania na najbliższe dni. Czuł się zmęczony, brakowało mu energii, koniecznie musiał wziąć kilka dni wolnego. Potem podyktował sekretarce listę delikatesów, które miała zamówić w jednym z jego supermarketów, z dostawą na jacht zacumowany w porcie w Grignano. Na koniec zawiadomił swoją towarzyszkę uciech i ściągnął ją na łódź.

Gdy tylko zostawili za sobą hodowle małży przy brzegu, Lele włączył automatycznego sternika i wciągnął rdzawego koloru żagle. Ostrząc na wiatr, jacht przechylał się na burtę pod podmuchami libeccia, radośnie przemykał po falach. Dziób wskazywał na zachód, na cypel Punta di Barbacale w Grado. Vittoria podała Lelemu kieliszek szampana, przytuliła się do niego.

– Dokąd żeglujemy, skarbie? – zagruchała czule. – Nie mam ze sobą zbyt dużo garderoby.

– Nie będzie ci potrzebna. Dzisiaj nie popłyniemy daleko. O siódmej będziemy na miejscu, zostaniesz na łodzi do mojego powrotu jutro przed południem.

– Co? Mam być całą noc sama na tym czółnie? Zanudzę się na śmierć!

– Jakoś wytrzymasz. Lodówka jest pełna, masz telewizor. Żadnego



schodzenia na ląd, zrozumiałaś? Nie płacę ci za randki z innymi.

\* \* \*

Gdy tylko dostrzegł dwumasztowiec, Gilo Battinelli mimo protestów uwolnił się z objęć Margherity. Był święcie przekonany, że Raccaro, tak jak większość urlopowiczów, weźmie kurs na południe, na latarnię morską w Savudriji, i minąwszy północno-zachodni cypel Istrii, popłynie dalej do wybrzeża Dalmacji. Gilo wypłynął godzinę wcześniej, po kilku milach ustawił „Kitty”, swoją 32-stopową łódź żaglową, z wiatrem, zrefował łopoczące żagle i wyciągnął butelkę prosecco z wąskiej lodówki w ciasnej kajucie, w której wystarczało miejsca akurat na kuchnię i spanie.

– Później, skarbie – powiedział do Margherity, sięgając po lornetkę. – Przecież ci powiedziałem, że nasza wycieczka to potajemne regaty. Musimy zmienić kurs.

– I naprawdę mi nie zdradzisz, dokąd płyniemy?

– Sam jeszcze nie wiem. Przecież wiesz, czym się zajmuję.

– A kto jest naszym przeciwnikiem? – zapytała Margherita, podążając za jego wzrokiem, by odgadnąć, kogo Gilo obserwuje.

Trzydziestosiedmioletnia, krótko ostrzyżona blondynka pracowała jako tłumaczka dla pewnego instytutu przyrodniczego, przekładała angielskojęzyczną literaturę fachową na włoski. Sergio, jej mąż – znała go od czasów szkolnych – był inżynierem na platformie wiertniczej dwadzieścia kilometrów od wybrzeża Sycylii. Jego zawód wymagał wyrzeczeń, do pracy wyjeżdżał zawsze na kilka miesięcy, za to przywoził do domu kupę wolnych od podatku pieniędzy. Niedługo pojedą razem na urlop – od początku sierpnia do połowy września będą w Polinezji. Do tego czasu Margherita mogła robić, co jej się żywnie podoba.

Gilo wytrymował żagle, jego łódź była zwrotna i lekka, od razu nabrała prędkości. Płynęli kursem równoległym do ciężkiej „Grety Garbo”, starając się zachować odległość dwóch mil morskich. To daleko. Raccaro nie powinien nabrać podejrzeń. Ale dokąd on się, u diabła, kieruje? Na wysokości Grado jacht popłynął powoli wzdłuż wybrzeża, niedługo potem Raccaro wybrał żagle, stanął na kotwicy. Przez lornetkę Gilo bez trudu zobaczył, że z burty została spuszczone drabinka kąpielowa i Lele skoczył do

wody za nagą kobietą o bujnych kształtach.

– Chyba mamy teraz trochę czasu dla siebie, Margherita – powiedział.

Przez środek Tagliamento przebiega granica między Friuli-Wenecją Julijską a sąsiednim regionem Wenecją Euganejską. Tagliamento, jedna z ostatnich dzikich rzek alpejskich, początek swój bierze na przełęczy Passa della Mauria. Przez sto siedemdziesiąt kilometrów płynie roztokami, szeroko rozciągniętym żwirowym łożyskiem po płaskich terenach południowego Friuli; zwęża się dopiero kilka kilometrów przed wybrzeżem Adriatyku. Pod Lignano „Greta Garbo” popyrkotała ujściem rzeki do Mariny Uno, gdzie Raccaro jeszcze z Triestu zarezerwował miejsce do cumowania, choć jego jacht był właściwie na to za długi. Raccaro należał jednak do inwestorów, którzy w roku 1982 przyłożyli się do rozbudowy portu jachtowego; miał w nim nadal zyskowne udziały. Podobnie jak w jednym z hoteli w tej urlopowej miejscowości. A w należącym do niego supermarkecie, usytuowanym w pobliżu molo, wielu skipperów zaopatrywało się w prowiant.

Gilo Battinelli z niepokojem obserwował z daleka manewry „Grety Garbo”. Przy odrobinie szczęścia, mimo że sezon jest w pełni, i jemu uda się zacumować na przystani, bo przecież „Kitty” należy do mniejszych łodzi. Jednak znacznie trudniej jest wpłynąć tak, by nie zauważył go Lele, a w dodatku przy manewrowaniu nie stracić go z oczu.

Zacumowawszy szczęśliwie łódź, Gilo pozostawił Marghericie załatwienie formalności zgłoszeniowych w porcie. Sam włożył jej złoty kapelusz przeciwsłoneczny, nasunął go głęboko na twarz, na nos nasadził ciemne okulary. Szybkim krokiem ruszył do wyjścia z mariny. Towarzyszka Lelego została na pokładzie, a on sam wsiadł do taksówki, Gilo zdołał jeszcze tylko dostrzec numery rejestracyjne odjeżdżającego samochodu. Bez namysłu, nawet się nie rozejrzawszy, wskoczył na stojący samotnie pod ogrodzeniem mariny rower górski, energicznie nacisnął na pedały.

Lignano Pineta i Lignano Sabbiadoro to sztucznie utworzone kąpieliska z ciągnącymi się wzdłuż wybrzeża wielopiętrowymi silosami hotelowymi i długimi piaszczystymi plażami pełnymi parasoli i leżanek, stojących równiutko jak żołnierze w szyku. Długimi promenadami przewalają się

tłumy urlopowiczów. Taksówka wioząca Raccara zniknęła bez śladu. W końcu Gilo, spocony i bez tchu, zatrzymał się, wyciągnął z kieszeni komórkę. Poprosił o pomoc Pinę Cardareto. Jemu centrala taksówek z pewnością nie udzieliłaby żadnych informacji, przez telefon: każdy może się podać za policjanta. Pina zwróciła się do kolegów z posterunku policji w Lignano i wkrótce potem oddzwoniła do Gila. Okazało się, że taksówkarz wysadził Lelego przed jedynym pięciogwiazdkowym hotelem w miejscowości. Gilo absolutnie nie mógł się tam pokazać w T-shircie, spodenkach kąpielowych i kapeluszu przeciwsłonecznym. Popedałował z powrotem do Mariny Uno, gdzie czekał już na niego właściciel roweru, nie na żarty rozwścieczony.

– Macie tu fantastyczny serwis – powiedział Gilo beztrąsko, opierając rower o parkan. – Inne mariny nie oferują rowerów.

Nieogolony weekendowy kapitan zastąpił mu drogę.

– Nie bądź taki bezczelny, bo oberwiesz. Zostaniesz tu do przybycia policji. My się tu nie obcyndalamy ze złodziejami rowerów.

– A co, wieszacie ich? Jak kiedyś koniokraków na Dzikim Zachodzie? I o jakich złodziejach gadasz, człowieku? Twój wehikuł przecież tu stoi. Czy ktoś go ukradł? Jak tak powiesz glinom, od razu wyślą cię do psychiatryka. – Gilo ze śmiechem popukał się w czoło. – Lepiej kup sobie kapelusz od słońca. Taki jak ten. Wtedy nikt cię nie rozpozna.

Wróciwszy na łódź, Gilo poprosił Margheritę, żeby szybko wskoczyła w eleganckie ciuchy – teraz ona zajmie się Lelem. Margherita, ubawiona, chętnie zgodziła się pomóc. Gdy się szykowała, Battinelli zaklinał ją, by zachowała całą rzecz dla siebie – występować przeciwko Raccarowi jest niebezpiecznie.

– A ty co będziesz robił przez ten czas? – zapytała Margherita.

– Zostanę na łodzi. Przyślij mi SMS-a, jak tylko go odnajdziesz. Potem zobaczymy, co dalej. To raczej niemożliwe, by dzisiaj znowu wypłynął. Za dwie godziny będzie ciemno.

Margherita pojechała taksówką do „Arco del Grecale”. Z wysoko poniesioną głową, stukając obcasami, wkroczyła do hotelowego lobby. Na ciężkich czerwonych sofach siedziało tu ledwie paru gości, nic dziwnego

przy tak pięknej pogodzie. Zaraz też dostrzegła Lelego w hotelowym parku, towarzyszyło mu trzech mężczyzn, rośli i silnie zbudowanych, odzianych w letnie garnitury od Armaniego. Wszyscy trzej znacznie przewyższali Raccara wzrostem. Jeden z nich trzymał w lewej ręce elegancki neseser. Rozmawiając po angielsku, minęli zapelniony gośćmi taras restauracji nad basenem i zniknęli w klimatyzowanej sali restauracyjnej o pięknie nakrytych stolikach, przy których jednak nikt nie siedział. Można tu było swobodnie rozmawiać.

Margherita wysłała Battinellemu wiadomość. Odpowiedział natychmiast: „Bądź tak miła i usiądź w pobliżu. I miej oczy i uszy otwarte”.

Weszła do sali, kelnerowi mruknęła coś o alergii na kwiaty, wspomniała, że potrzebuje stolika także na następne trzy wieczory. W tym momencie usłyszała, jak Lele zamawia szampana:

– Rachunek proszę na pokój czterysta dziesięć – powiedział sommelierowi. – Na początek poprosimy cristall rosé Kruga.

Margherita wybrała miejsce dwa stoliki dalej, usiadła tak, aby być plecami do mężczyzn – podsłuchujący bardzo łatwo zdradza się oczami.

Stwierdziła, że menu jest zestawione wyraźnie pod turystów z północy, natomiast karta win oferowała piękny wybór dla gości z grubszym portfelem, szukających markowych trunków. Jak na potwierdzenie usłyszała: „na zdrowie!”, gdy kelner nalał gościom do kieliszków. A więc Rosjanie. Już w recepcji zwróciły jej uwagę eleganckie prospekty w języku rosyjskim.

– Prijatno! – odezwał się ktoś barytonem przy stoliku Raccara. Mężczyźni w rekordowym tempie spałaszowali talerz przystawek, do którego podano faiveley puligny-montrachet, rocznik '97. Przy daniu głównym przeszli na czerwone, od razu zamówili dwie butelki mouton rothschild.

Margherita wysłała drugiego SMS-a: „Raccaro zameldował się w hotelu”. Poradziła też Battinellemu, żeby poszedł coś zjeść; zobaczą się później.

Wreszcie mężczyźni przeszli do kawy. Raccaro wyciągnął z aktówki jakieś dokumenty, rozłożył je na stole. Rozmawiali o centrach handlowych i nowo pobudowanych hotelach – obiekty spekulacji i pralnie brudnych pieniędzy, które nie przynosiły spodziewanych zysków.

– Żadnych więcej interesów bez gwarancji! Żądamy udziałów w AFI! –

Jeden z mężczyzn, nieco starszy niż pozostali, z bardzo drogim zegarkiem z masywnego złota na przegubie, był wyraźnie rozgniewany.

– Miałeś złą noc, Borys? – sarknął Raccaro. – Tylko centra handlowe, hotele albo dzieła sztuki! Rynek finansowy jest teraz zbyt labilny. Jak inaczej chcecie ulokować waszą forszę? Przecież wiecie, że te obiekty są idealne dla dużych inwestycji. Odpisy amortyzacyjne są wysokie, a po upływie obowiązującego okresu zakazu hotele można przekształcić w mieszkania własnościowe. Jak tylko nasze galerie handlowe załatwią sklepy w samym mieście – a nie trzeba będzie na to zbyt długo czekać – zaczną przynosić porządne zyski. Racjonalizacja – o to chodzi! Pół świata nad tym pracuje: unifikacja produktów, mniej pojedynczych sklepów, większe obroty i jeszcze większe zyski. Ta cała różnorodność kosztuje przecież tylko pieniądze i rodzi kulturowy mętlik. A tych, którzy twierdzą, że różnorodność oznacza bogactwo, powolutku wyłączymy. To przemijająca moda. W Związku Sowieckim lepiej sobie z tym radziliście. Na szczęście oś Trypolis–Rzym–Moskwa działa dalej, ani Paryż, ani Berlin nie stawiają oporu. I nawet jeśli w polityce trzeba postępować nieco wolniej, aby nie stracić kontroli, to przecież bez wkładu Niemców i Francuzów rzeczywistość gospodarcza wyglądałaby znacznie gorzej. Jesteśmy na najlepszej drodze do sukcesu.

– Długoterminowo może tak, Raccaro – zauważył mężczyzna, którego Lele przedtem nazwał Borysem. – Ale twoje ostatnie inwestycje mocno kuleją.

Lele zbył zarzut pogardliwym machnięciem dłonią.

– Całkowicie kontroluję sytuację. Robią, co im każę. Trochę cierpliwości, kryzys niedługo minie.

– Ale przez ten czas inkasują inni. Nie zgadzam się. Chcę gwarancji.

– Możesz sobie wsadzić tę twoją podejrzliwość! Chcesz gwarancji – ja też. Myślisz może, że moi przyjaciele z cosenzy i caserty to zacofane głupki? Uprawy warzyw i owoców tylko dlatego dają takie zyski, że wszyscy współpracujemy i nie kłócimy się o drobiazgi. Jedni kontrolują uprawy, inni transport. Jeszcze inni troszczą się o właściwe inwestowanie. I tak samo jest z projektami zaopatrzenia w energię. Wiesz o tym o wiele lepiej niż ja. Planowana w Trieście oczyszczalnia gazu ciekłego, gazociąg przez zatokę –

możemy to zrealizować tylko wtedy, jeśli wszyscy na tym zyskamy.

– A co z AFI?

– Ręka rękę myje, Borys. Okay, zostaniesz udziałowcem u mnie, jak ja zostanę u ciebie. Tylko tak się da, skoro dotychczasowa podstawa naszych interesów to dla ciebie za mało.

Margherita wpisała do komórki kilka haseł, ukradkiem pstryknęła parę zdjęć. Koło dwudziestej drugiej Lele podpisał się pod rachunkiem. Napiwku nie zostawił.

– Śniadanie jutro o dziewiątej, u mnie w suicie. Tymczasem zapoznajcie się z umową – powiedział, wskazując na walizeczkę z dokumentami, stojącą przy krześle jednego z mężczyzn. – Pieniądze przyniesiecie mi jutro. – Nawet gdy wstał, nie był wyższy od siedzących Rosjan. – Idę spać, towarzysze – dodał i wyszedł.

Trzej mężczyźni pozostali przy stoliku i zamówili jeszcze jedną butelkę mouton rothschild.

Margherita opuściła hotel zaraz po wyjściu Raccara. Z Battinellim spotkała się na pełnej turystów promenadzie Lungomare Adriatico. Gdy ramię w ramię szli nieśpiesznym krokiem w stronę Sabbiaodoro, Margherita relacjonowała przebieg spotkania. Mówiła szybko, starając się przekazać jak najwięcej szczegółów.

– O takich rzeczach nie ma w gazetach. Właściwie dlaczego? – zapytała wzburzona. – Jeśli prawdą jest chociaż połowa z tego, co usłyszałam, to i tak jest bardzo źle. Teraz już rozumiem, dlaczego nic się w mieście nie dzieje, kompletna stagnacja. Jestem wstrząśnięta.

– To są te brudne chwytaki, które się dzisiaj stosuje, moja droga. Kupuje się udziały mniejszościowe w firmie, wykańcza się ją, a potem wykupuje po kosztach amortyzacji to, co z niej zostało. Założę się, że stosują tę metodę także gdzie indziej. I nic dziwnego też w tym, że gadali o Expo Milano w dwa tysiące piętnastym. Chodzi o miliardy. Laurenti mówił, że to właśnie Raccaro był jednym z tych, którzy swego czasu po cichu sabotowali akces Triestu. Członków komisji kwalifikującej zarzucono wówczas przed ostatecznym rozstrzygnięciem mnóstwem anonimów, pełnych nieuzasadnionych oskarżeń.

– No i zwyciężyła Saragossa.

– Aż się wierzyć nie chce, że tak szybko przyszła kolej na inne włoskie miasto. Ale to dlatego, że w Mediolanie da się o wiele więcej zarobić niż tutaj.

– No a Raccaro?

– O ile dobrze rozumiem, jest kimś w rodzaju pośrednika, który swoim dzisiejszym gościom ma pomóc wejść do interesu.

Kiedy usiedli, żeby się czegoś napić, Gilo Battinelli obejrzał zdjęcia, które Margherita zrobiła przez lewy łokieć – tylko na jednym z nich widać było wszystkie cztery głowy. Na małym wyświetlaczu nie dało się nikogo rozpoznać, Gilo pomyślał, że zdjęcia trzeba powiększyć w komputerze. A jeśli po analizie obrazów komputer wypłuje nazwiska partnerów Raccara, wtedy sprawa będzie za duża nawet dla komisarza. Gdyby jakimś sposobem ci z ministerstwa wywęszyli, że przeciwko Raccarowi prowadzone jest dochodzenie, Laurenti nic by nie wskórał, musiałby się obejść smakiem – nikt nie mógłby przewidzieć, czy i kiedy zajęto by się tą sprawą. Czasem na pierwszym miejscu stawiano rację stanu w formie dla zwykłego obywatela niezrozumiałej.

– I spróbuj tylko powiedzieć, że nie jestem dobrą tajną agentką – zażartowała w końcu Margherita. – Ale teraz koniec służby.

# Cavana

Oglądała się za siebie co parę metrów. Chwilami wydawało się jej, że wśród tłumów spacerowiczów dostrzeże swego prześladowcę. Pewna nie była, lecz instynkt popychał ją do ucieczki. Kręciło się tu zbyt wielu ludzi. Mimo że było już po północy, goście tłoczyli się przed knajpami, tarasując ciasne uliczki Città Vecchia, Starego Miasta. Nawet nie patrzyła na ich twarze, zwinnie prześlizgiwała się wśród tłumów, lecz co raz to czyjeś szerokie plecy zagradzały jej drogę, musiała kogoś obchodzić i wymijać, tracąc cenną przewagę. Serce jej waliło, ciało było mokre od potu. Uspokoila się siłą woli – nie mogła pozwolić na to, by panika odebrała jej jasność myśli. Stracić kontrolę nad sobą, znaczyło nie móc się obronić, gdyby ten typ zdołał ją dopaść mimo tłumów i ścisku. Szczupła, wysoka kobieta, której krótko ostrzyżone i ufarbowane na żywoczerwony kolor włosy mocno kontrastowały ze skórą barwy jasnego bursztynu, przyciągała spojrzenia, a jej zgrabne ciało o pięknych proporcjach wywoływało komentarze młodych mężczyzn, lecz ona nawet ich nie słyszała. W pewnej chwili jakiś pijak pokazał na nią palcem i wybełkotał: – Grace Jones z płonąca strzechą!

W centrum miasta mimo późnej pory temperatura spadła ledwie odrobinę poniżej trzydziestu stopni, na szczęście wiała lekka bryza, więc oddychało się lżej niż za dnia. Przed barami w rejonie Cavana, której uliczki były już teraz schludne i pięknie odrestaurowane, gwar i ruch panowały aż do wczesnych godzin poranka, jak każdej letniej nocy. Podobnie jak niegdyś, w czasach kiedy marynarze zapuszczali się aż tutaj, do tego kwartału starego miasta, odwiedzali burdele i upijali się w spelunkach. Potem uliczki Cavana na kilkadziesiąt lat popadły w beznadziejny marazm, martwość, po których teraz nie zostało nawet śladu. Nocne życie lata kwitło właśnie tutaj albo na nadmorskiej promenadzie. Głuche dudnienie muzyki buchało z knajp i mieszało się z gwarem głosów i salwami śmiechu. Beztroska wesołość, która miała się utrzymać całe lato. Każdy bar miał inną klientelę, pielęgnującą



własne upodobania i zwyczaje. Studenci, po całym dniu spędzonym na plaży, wciągali albo jarali potajemnie, za to pili mniej alkoholu. Urzędnicy biurowi topili frustracje dnia w piwie i winie; młodzi przedsiębiorcy z upodobaniem popijali egzotyczne koktajle; i wreszcie ludzie starsi, którzy z całą powagą wdawali się w bezsensowne dyskusje polityczne, a na ich twarzach uśmiech nie pojawiał się ani razu. Wcześniej rano trotuary będą zasłane odpadkami: guma do żucia, niedopałki papierosów, plastikowe kubki i puszki po piwie – resztki ich zawartości tworzą zawsze paskudne, lepkie plamy. A służby oczyszczania miasta być może znowu nie pojawią się na ulicach – jak słychać z ratusza, konieczne są oszczędności. Dlatego też władze karzą grzywną pięciuset euro każdego, kto załatwia swoje potrzeby w miejscu publicznym. Co noc funkcjonariusze miejskich służb porządkowych przyłapują na sikaniu na ulicy zarówno mężczyzn, jak i kobiety; tak przynajmniej podaje prasa.

Miała nadzieję, że przy następnej przecznicy uda jej się złapać taksówkę i bezpiecznie odjechać. Nic z tego. Z trudem przebiła się przez gęsty tłum przed barem „Unità”, a na wielkim placu puściła się biegiem – od budynku komendy policji dzieliło ją ledwie kilkaset metrów, tam będzie bezpieczna. Niestety, zaraz drogę zagroziły jej samochody dostawcze ekipy filmowej, ich reflektory były skierowane na Fontannę Czterech Kontynentów. Wbiegła pod arkady ratusza – i od razu pożałowała. Na ciemnym Largo Granatieri, przy którym stały budynki administracji miasta, nie było żywego ducha. Jej kroki głośno rozbrzmiewały w nocnej ciszy, odbijały się echem od ścian domów, zupełnie jakby ciemne okna odpowiadały powściągliwym aplauzem. Miriam nie mogła złapać tchu, po szyi spływały jej strużki potu, na obcisłej jaskrawoczerwonej sukience pojawiły się ciemne plamy. Obejrzała się ze strachem, próbując wypatrzeć ścigającego ją mężczyznę. Jeśli się domyślił, że ona chce dotrzeć do komendy, wystarczy, że zastąpi jej drogę tuż przed budynkiem. Pewnie poszedł którąś z bocznych uliczek, będzie na nią czyhał za najbliższym rogiem. Musi go wyprzedzić. Teraz już pędziła ile sił w nogach. Nagle tuż przed nią rozbłysły dwa reflektory, z samochodu wyskoczył jakiś mężczyzna, serce nieomal stanęło jej w piersi. Dopiero po chwili spostrzegła, że mężczyzna jest w mundurze – funkcjonariusz Polizia

di Stato.

– Tam, tam, mężczyzna w białej koszuli! – Rozdygotana wskazała ręką w ciemność za siebie. Dyszała i głos jej się rwał, nie mogła wypowiedzieć jednego składnego zdania. Złapała policjanta za ramię. – Chce mnie zabić!

Z radiowozu wyskoczył drugi funkcjonariusz, przeszedł się parę metrów ulicą. Z rękę na kaburze, gotów w każdej chwili wyciągnąć broń, okrążył okoliczne kontenery na śmieci, zajrzał w bramy domów i boczne uliczki, pod zaparkowane samochody. Nikogo. Gdy wrócił, wyjął krótkofalówkę i w kilku zdaniach opisał zajście, podał także rysopis mężczyzny według urywanych słów, które udało się wydyszeć Miriam; koledzy z innych patroli mieli rozejrzeć się za podejrzanym.

– Ma dwadzieścia pięć do trzydziestu lat, metr osiemdziesiąt, wysportowany, czarne włosy, nażelowane, zaczesane do tyłu, długości piętnastu do dwudziestu centymetrów. Biała koszula z krótkim rękawem, beżowe dżinsy.

– Takich tu dzisiaj w nocy są setki – zatrzeszczało w głośniku.

– Jest jeszcze coś! – zawołała Miriam. – Ma na szyi ciężki złoty łańcuch z dużym, czerwonym kamieniem.

Ciągle jeszcze lekko drżała.

Zauważyła go dopiero w chińskiej restauracji, gdy odwróciła się od stolika, by przywołać kelnerkę. Gapił się na nią otwarcie, nawet nie próbował spuścić wzroku. To oczywiste, że musiał ją rozpoznać, czerwone włosy nic nie pomogły. Gdyby było inaczej, nie szedłby przecież za nią od chwili, gdy opuściła lokal przy Piazza Venezia.

– Ale tam przecież nikogo nie ma – powiedział w końcu drugi z mundurowych. – Proszę się uspokoić. Spiszemy protokół, a pani obejrzy sobie kilka zdjęć. Przy odrobinie szczęścia szybko go znajdziemy.

Przytrzymał przed Miriam drzwi do tylnej części radiowozu, wsiadła po krótkim wahaniu. Policjant odruchowo na moment położył jej rękę na głowie, jakby była aresztantką.

Trochę się już uspokoiła, a początkowe wątpliwości policjantów ustąpiły, gdy zaczęła mówić jasno i składnie. Jazda nie trwała długo, zakończyła się przed bocznym wejściem do komendy, jedynym, które nocą prowadziło do

ogromnego budynku, i strzeżonym przez wartowników. Olbrzymia, wyłożona błyszczącymi marmurowymi płytami hala wejściowa, przez którą przechodzili, spoczywała w upiornym półcieniu, jasno oświetlony był dopiero korytarz na trzecim piętrze. Policjanci z patrolu odprowadzili ją do inspektora, która przedstawiła się jako Pina Cardareto. Sięgała Miriam ledwie do ramienia. Widać było, że z trudem ukrywa wrazenie, jakie zrobiła na niej powierzchowność Miriam: czerwone włosy, czerwona sukienka, turkusowe cienie na powiekach, no i ta ciemna karnacja. Miriam patrzyła na nią i czekała; wreszcie wyraźnie młodsza od niej funkcjonariuszka, wsuwając do czerwonej aktówki zdjęcia zwłok otyłego mężczyzny, wskazała jej krzesło po drugiej stronie biurka. Miriam usiadła, nie odrywając wzroku od twarzy policjantki.

– Poproszę o dowód – powiedziała funkcjonariuszka. Dokładnie obejrzała dokument. – Przerabowała pani włosy? – zapytała, opierając się na krześle. – Na tej fotografii ma pani tlenione.

Miriam kiwnęła głową.

– Proszę opowiedzieć, co się stało.

Miriam nie wiedziała, że jej prześladowca zrezygnował z pościgu natychmiast, gdy tylko weszła na pełne ludzi uliczki Città Vecchia. Nie miała pojęcia, że on już wie, gdzie i kiedy ją dopadnie.

Inspektorka nie zadała zbyt wielu pytań, dwoma palcami wstukała w komputer zeznania, a gdy Miriam przeciągle ziewnęła, zaproponowała, żeby stawiała się ponownie za dnia, o godzinie czternastej, by obejrzyć fotografie z bazy danych. Kiedy Miriam wymieniła nazwisko i adres prześladowającego ją mężczyzny, policjantka nawet nie mrugnęła okiem – po prostu wpisała dane do protokołu.

Pokerowe twarze śledczych Miriam знаła już z Londynu – kilkakrotnie zeznawała w charakterze świadka. Regulaminowa zasada zachowania, pewnie uczą tego policjantów na całym świecie. Mało pocieszające dla ofiar, które od policjanta oczekują zaangażowania i wsparcia, reakcji, troski i natychmiastowego działania.

Wóz patrolowy około drugiej w nocy zawiózł Miriam do nowej kwatery w „Villa Sottolofaro” na Strada del Friuli. Funkcjonariusze najpierw

sprawdzili zamki, a potem także elegancki apartament. Nie kryli niezadowolenia, kręcili nosami nie tyle dlatego, że nie przypadł im do gustu purystyczny styl umeblowania, ile dlatego, że ich zdaniem przeszklona fasada wychodząca na morze nie stanowiła dobrego zabezpieczenia.

Miriam siedziała na tarasie po ciemku, z laptopem na kolanach, w padającym od monitora świetle jej twarz była szara jak popiół, serce jej waliło, adrenalina przyspieszyła puls. Chociaż już o szóstej rano miała spotkanie, teraz pośpiesznie wstukiwiała jeszcze tekst do komputera. Jej córka Candace i Jeremy Jones, londyński adwokat Jeanette, muszą ze szczegółami znać przebieg jej pobytu w tym osobliwym mieście. W co ona się wplątała...? Prawdziwe gniazdo os.

Co jakiś czas przerywała pisanie, przez dłuższą chwilę spoglądała z góry na przytłumione światła miasta i Porto Vecchio. Reflektor białej latarni morskiej rytmicznie omiatał okolicę, rzucając świetlne błyski daleko na Adriatyk. W oddali, na redzie zewnętrznej, stały trzy frachtowce i dwa tankowce, raz dostrzegła jasny dziób okrętu straży wybrzeża, który pruł przez czarne nocne morze, ciągnąc za sobą biały ślad piany.

\* \* \*

W tynkach na ścianach wąskiej klatki schodowej budynku przy Colville Mews do dzisiaj widać było dziury, które pozostawił stół ze szlachetnego drewna, kiedy – odbywszy długą drogę z Etiopii do Londynu – był wnoszony na trzecie piętro przez klnących w żywy kamień mężczyzn. Tak jak robiła to jej matka, Miriam stawiała zawsze dzbanek z kawą na herbie saubaudzkim, znajdującym się pośrodku blatu i wykonanym z masy perłowej, kolorowych kamyków oraz intarsji szylkretowych.

Ten stół to była jedyna pamiątka po rodzicach i młodszym bracie, którzy nie przeżyli klęski głodu. Pewnie i Miriam podzieliłaby ich los, gdyby Spencer Elliot nie zabrał jej do Londynu. Potem wszystkimi możliwymi kanałami wysyłał pieniądze do Dzimmy, żeby uratować rodzinę Miriam. Doszły tylko dwa razy. Kiedy sytuacja w kraju jeszcze się pogorszyła, prywatna pomoc w ogóle przestała docierać. Nie było też prawie żadnych wiadomości stamtąd. Funkcjonariusze reżimu rozdrapali wszystko – i

przeżyli. Podobnie jak sam dyktator, kilku z nich otrzymało azyl w Zimbabwie, gdzie pod opiekuńcze skrzydła wziął ich Robert Mugabe.

Straszną wieść przywiózł Spencer Elliot dopiero po dwóch latach, gdy jeszcze raz wyruszył do Etiopii, by przygotować kolejne reportaże. Przeżyli koszmar tylko starsi bracia, którzy jakoś sobie radzili w Addis Abebie. Dom w Dżimmie popadł w ruinę, mieszkali w nim obcy ludzie. Spencer odkupił od nich ten osobliwy stół, zorganizował transport do Notting Hill.

Londyn to był szok. Żeby mogła wjechać do Wielkiej Brytanii, Spencer Elliot musiał użyć wszystkich swoich kontaktów. Chociaż jej angielszczyzna była mizerna, udało mu się przy pomocy BBC uzyskać dla niej pierwsze pozwolenie na pobyt: pomoc Miriam przy montażu jego filmu dokumentalnego była absolutnie konieczna – nikt nie mógł zastąpić jej jako tłumaczki.

Notting Hill to była nieatrakcyjna dzielnica, zamieszкана przez barwną mieszkankę ludności. Pierwsze dni w wielkim, obcym mieście kompletnie wystraszyły dziewiętnastoletnią dziewczynę. Przez długi czas bała się sama wychodzić na ulicę. Spencer prowadził ją do sklepów, kupowali ubrania dla niej i żywność, produkty, jakich nigdy dotąd nie widziała. *Fish & chips*, ryba z frytkami, to było wielkie odkrycie. Spencer przedstawiał ją swoim przyjaciom, ledwie nadążała za ich rozmowami. Mówili o rzeczach, o których nigdy przedtem nie słyszała, a gdy zdarzało się, że któryś z nich wpadał w dialekt, jej znajomość języka kompletnie zawodziła. Gdy Spencer szedł do studia, by montować materiał, zostawiał ją pod opieką innych mieszkańców domu na Colville Mews. W końcu zatroszczyła się o nią pewna miła sąsiadka – namówiła Miriam do pójścia na kurs języka. Poprosiła ją też o wsparcie przy pracy w punkcie pomocy dla afrykańskich imigrantów. Miriam słuchała przygnębiających historii, które opowiadali przybysze, i spisywała je do celów postępowania azylowego. Z początku inni pracownicy biura musieli poprawiać gramatykę jej raportów. Miriam tęskniła za domem, przede wszystkim jednak nie do zniesienia była niepewność co do losów rodziny. Nie dostała z Dżimmi ani jednego listu. Po roku Spencer znalazł dla niej miejsce w college'u. W owym czasie narastała w niej nieokiełznana żądza wiedzy, pragnienie poznawania tła i przyczyn wydarzeń.

Milczenie, ignorowanie rzeczywistości było najgorszym złem, nie chciała w tym uczestniczyć.

Spencer ciężko pracował nad swoim filmem, często prosił ją o pomoc przy przeglądaniu zgromadzonych materiałów. Pod koniec kilka tygodni spędził niemal wyłącznie w studiu. Miriam wieczorami często siedziała sama w mieszkaniu, pisała listy, czekała na niego, wracał do domu późno, zmordowany, ze zmęczeniem wypisanym na twarzy. Jego dokument wyświetlono pod koniec października – wywołał szok światowej opinii publicznej. Po raz pierwszy poznano rozmiary klęski głodu w Etiopii. Jednak w owych państwach, w których niezmordowanie debatowano nad przestrzeganiem praw człowieka i eksportem demokracji do wszystkich części świata, rozstrzygnięcia parlamentarne podejmowali ludzie o pełnych brzuchach. Bądź co bądź, Bob Geldof i Migde Ure założyli grupę Band Aid, by zgromadzić pieniądze dla głodujących: udało im się skrzyknąć trzydzieści sześć międzynarodowych gwiazd popu i nagrać piosenkę *Do They Know It's Christmas*, sprzedaż singla z przebojem przyniosła ogromne zyski. Jednak dużą część z milionów, które zarobiła piosenka i które miały służyć ratowaniu ludzi, pochłonęły zachłanne gardziele skorumpowanego etiopskiego reżimu.

W Europie życie Miriam toczyło się wśród zalewu informacji, które dawniej do niej nie docierały. Gazety i telewizja pochłaniały ją całkowicie. W grudniu owego roku w indyjskim Bhopalu wydarzyła się katastrofa: z zakładów chemicznych należących do jednego z amerykańskich koncernów przedostały się do atmosfery tony trujących gazów, tysiące ludzi zginęły, pół miliona doznało ciężkich obrażeń. Przyczyną katastrofy było oszczędzanie na środkach zabezpieczających i konserwacji urządzeń. Śmieszne odszkodowania wypłacono dopiero po wielu latach, gdy późne skutki katastrofy jeszcze bardziej zdziętkowały liczbę tych, którym się owe odszkodowania należały. Szkód w środowisku nigdy nie usunięto – i dotąd nie skazano żadnej z osób odpowiedzialnych. W roku 1985 w Związku Sowieckim doszło do zmiany władzy, nowym pierwszym sekretarzem KPZR został Michaił Gorbaczow. W Afryce Południowej po raz pierwszy dopuszczono małżeństwa mieszane między czarnymi i białymi. W Nowej

Zelandii francuskie tajne służby zatopiły „Rainbow Warrior”, okręt, na którym aktywiści Greenpeace’u chcieli zaprotestować przeciwko próbom atomowym Francji na atolu Mururoa. U wybrzeży włoskich palestyńska grupa terrorystyczna uprowadziła statek wycieczkowy „Achille Lauro”. Na lotniskach w Wiedniu i Rzymie miały miejsce zamachy bombowe, zginęli ludzie. Z mediów Miriam dowiedziała się także o zamordowaniu Diane Fossey, która w Rwandzie walczyła o ochronę goryli górskich i ich siedlisk.

Kiedy Candace miała pięć miesięcy, wybuchł reaktor atomowy w Czarnobylu, początkowo media informowały o tym z ociąganiem i bagatelizowały zagrożenie. A w rok później Maggie Thatcher zderegulowała giełdę londyńską. Financial Services Act wprowadził elektroniczny handel papierami wartościowymi – co otworzyło drogę do dzikiego rozrostu giełd światowych. Ten dzień nazwano Big Bang, chociaż faktycznie wielki wybuch nastąpił dopiero w dwadzieścia dwa lata później – i z impetem uderzył przede wszystkim w kraje Trzeciego Świata.

Candace przyszła na świat w domu przy Colville Mews, 11 listopada 1985 roku o 23.59. Przynajmniej tak zostało zanotowane w jej metryce urodzin. Obecne przy tym wydarzeniu były położna i trzy przyjaciółki Miriam z sąsiedztwa. I właściwie też Spencer, który zresztą zachowywał się bardziej nerwowo niż wszystkie kobiety razem. Od pojawienia się pierwszych bólów nieustannie krążył po mieszkaniu, aż w końcu Miriam poprosiła go, by zrobił w okolicznych sklepach parę sprawunków. Kiedy wrócił, czuć było od niego piwo i whisky. Jedna z przyjaciółek wypchnęła go piętro wyżej, do swojego męża. Gdy w końcu zawołano go z powrotem, wszedł, zataczając się niebezpiecznie: uniósł nowo narodzoną na wyciągniętych ramionach i nagle, ku przerażeniu wszystkich, stracił równowagę i poleciał do tyłu na łóżko. Przez nogi Miriam, która aż krzyknęła z bólu. Ale nie wypuścił Candace, trzymał ją mocno, uszczęśliwiony przyglądał się małej długą chwilę, potem z głośnym śmiechem podał ją matce. Zaraz też, śmiejąc się jeszcze głośniej, położył się z powrotem na łóżko i natychmiast zasnął. Powiększone ujęcie migawkowe tego momentu wisiało nad biurkiem Miriam i jako wygaszacz ekranu zdobiło laptop, na który właśnie patrzyła.

Była już dwudziesta druga. Miriam starała się unikać miejsc, które odwiedziła do tej pory. Gdyby mimo to natknęła się na Aurelia, pewnie by jej nie rozpoznał. Zaraz po rozmowie z Candace zabrała się do roboty: ufarbowwała włosy na czerwono. Usminkowała usta, czego normalnie nigdy nie robiła. Metamorfozy dopełniła letnia sukienka w odcieniu włosów. Czerwonowłosa i w czerwieni siedziała w lokalu, w którym z sufitu zwisały czerwone lampiony. Kontuar i wejście miała za plecami.

– Bardzo proszę, amulet przeciwko fiskusowi, przeciw dolegliwościom miesięcznym i złym spojrzeniom – usłyszała za sobą dobrze znany głos.

Alberto zrobił wielkie oczy, kiedy dała mu znak, i wreszcie ją rozpoznał. Jego twarz rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

– Co ty z sobą zrobiłaś? I gdzie się podziewałaś przez cały dzień?

Wbrew radzie mecenasa Aiazziiego, by pozostała w willi pod latarnią morską, Miriam pojechała do miasta, chciała poszukać Alberta, który pewnie jak zwykle obchodził centrum ze swoim kramem. Była jedynym gościem w klimatyzowanej sali chińskiej restauracji – pozostali klienci okupowali taras przy nabrzeżu. Zamówiła pieczoną kaczkę z ryżem i czekała, mając nadzieję, że handlarz po prostu pojawi się w pewnym momencie.

– Usiądź. Czego się napijesz? – zapytała z ulgą, kiedy nagle rzeczywiście stanął obok niej.

Alberto zamówił sok ananasowy.

– Miałam już dość tego typka, co za mną chodzi. Stąd to przebranie – powiedziała, skubiąc czerwony kosmyk. Potem zapytała w somali: – Masz ze sobą aparat?

Alberto pokręcił przecząco głową.

– Nie. Zostawiłem w domu. Pomyślałem, że pewnie zwiłaś, żeby sobie oszczędzić drugiej raty. Przekażę ci w bezpiecznym miejscu. Jutro rano o szóstej. W parku przy zamku Miramare.

– W parku? O szóstej? Dlaczego?

– Mieszkam w pobliżu.

– No to przyjdę do ciebie.

– Lepiej, żeby nas razem nie widziano. Nie mam najmniejszej ochoty



narażać się przez ciebie na utratę pozwolenia na pobyt. To są bardzo wpływowi ludzie. Ty możesz w każdej chwili wrócić do Londynu i żyć sobie wygodnie jak dotąd, ja muszę zostać tutaj i zarabiać. A teraz słuchaj, powiem ci, jak się dostać do Miramare.

Gdy tylko kelner podał jej jedzenie, Alberto zniknął równie prędko, jak się pojawił. Danie z pewnością nie było przygotowane przez mistrza sztuki kulinarnej. Trzy łyżki ostrego sosu nadały mu nieco charakteru. Kiedy się odwróciła, by zamówić piwo, na moment zamarła z przerażenia. Jej prześladowca właśnie wychylił kieliszek obowiązkowej śliwownicy, otarł usta wierzchem dłoni. Szybko odwróciła się do stolika, próbowała nabrać ryżu na pałeczki. Usłyszała, jak Aurelio mówi „do widzenia” i wychodzi z restauracji.

\* \* \*

Filmowa pani komisarz chciała koniecznie do Chińczyka. W Trieście! Aurelio unikał tych lokali, nie przepadał za Azjatami, wydawali mu się podejrzani, z niezadowoleniem obserwował, jak się rozprzestrzeniają. Niemiecka aktorka wpadła mu w oko od pierwszego dnia kręcenia filmu i wreszcie udało mu się namówić ją na kolację. Ale Cornelia Katschek uparła się przy chińszczyźnie! Powiedziała, że w Berlinie też chodzi do chińskich restauracji na Prenzlauer Berg, bo to jedzenie jest smaczne, a przede wszystkim tanie.

Przed tygodniem AFI załatwiła dla aktorki nowy apartament, Aurelio przekazał jej klucze i nawet przeniósł rzeczy. Mimo pięknego widoku z balkonu w dotychczasowej kwaterze Cornelia chciała jak najszybciej wynieść się z bezpośredniego sąsiedztwa wielkiego dyrektora. Harald Bierchen niemal każdej nocy dzwonił do jej drzwi. I chociaż powiedziała mu prosto w twarz, co o nim myśli, nie rezygnował, obiecywał złotą przyszłość w filmie telewizyjnym, jeśli tylko okaże mu odrobinę przychylności. Na koniec musiała przemykać się do swojego apartamentu ukradkiem!

Aureliowi spodobała się trzydziestoczteroletnia aktorka grająca w tym właśnie filmie swoją pierwszą główną rolę; zaangażowano ją jednak dopiero w ostatniej chwili – jej poprzedniczka na krótko przed rozpoczęciem zdjęć na planie złamała nogę. Z powodu kryzysu na rynku filmowym toczyła się

ostra walka, wielu spośród kolegów Cornellii było bez pracy albo zatrudniało się za psie pieniądze. Zresztą i gaża Cornellii wynosiła ledwie jedną trzecią tego, co dostawał jej znany kolega, grający rolę prokuratora. I to mimo koprodukcji! O angażu rozstrzygnęły jej kruczoczarne włosy i „włoski wygląd”, jak to określili ludzie z telewizji.

Kontrakt podpisała, nie przeczytawszy nawet scenariusza, i od razu zaczęła wkuwać tekst – miała na to ledwie tydzień. Od ostatniego angażu minął już przeszło rok i Cornelia z każdym dniem, który mijał, z każdą kolejną odmową coraz bardziej się obawiała, że ostatecznie wypadnie z branży. Aby w ogóle utrzymać się na powierzchni, ostatnimi czasy brała nawet tanie filmiki reklamowe, uczestniczyła w inicjatywie teatralnej na Kreuzbergu i kelnerowała w knajpie przyjaciółki.

Aurelio spotkał aktorkę przypadkowo przy „Stazione Rogers”, gdy wyszedł na miasto po załatwieniu spraw w biurze. To było dobre popołudnie, wszystko ułożyło się korzystnie: Lele wypłynął jachtem i Aurelio miał wolną rękę, mógł zrealizować swój plan. Spokojnie pobrał z systemu plik z adresami klientów luksusowych, każdego osobno poinformował, że właśnie przybył specjalny transport ekskluzywnych odmian kawy surowej: Kopi Luwak, Jamaica Blue Mountain, Tansania Peaberry i Hawaii Captain Cook. Pilne zamówienia będą realizowane za zaliczką; kawa jest pakowana próżniowo w opakowania dwu- lub pięciokilowe; oferta ważna do wyczerpania zapasu. Aurelio skok miał przygotowany od dawna: wpadł na ten pomysł za którymś razem, gdy Lele jak zwykle posłał go do Zadara, by odebrał zamówiony towar i przygotował go do wysyłki. Miał dostęp do adresów, a kawa właściwie czekała na to, by ją podprowadzić. Konto bankowe założył w Koprze, w filii pewnej instytucji kredytowej z Karyntii, na nieistniejącą firmę-przykrywkę Kras in Morje d.o.o. – Kras i morze sp. z o.o. – którą odkupił od znajomego. Nic tu na niego nie wskazywało. I nikt też nie będzie się niczego doszukiwał, jeśli planowo zrealizuje zamówienia w ciągu najbliższych dni. Pierwsze odpowiedzi nadeszły już po godzinie. Zanosilo się na lukratywny interes, na którym może lekką ręką zarobić nawet dwa razy więcej, niż Jeanette jest mu winna za zdjęcia.

Włamanie do pomieszczeń importera kawy to była dziecinna igraszka. Wywóz surowca nastęrczał już nieco więcej trudności. Aurelio skrupulatnie wyliczył dzień i czas. Podczas odpływu obładowany bajbot „Grety Garbo” mógł się prześliznąć pod niskim Ponte Verde, mostem, który oddziela Canale Grande od otwartego morza. Aurelio dwa razy zjechał windą z pomieszczeń firmowych Zadara na piętrze, na krótko przed brzaskiem załadował łódź. Miasto spało jeszcze mocno, na ulicach nie było nikogo. Cała akcja nie trwała nawet pół godziny. Towar zdeponował tymczasowo na dwumasztowcu, który stał w niewielkim porcie jachtowym Grignano, po czym partiami przetransportował do swojego mieszkania. Beczułki i worki z kawą złożył w pokoju treningowym. Waga kuchenna, mała zgrzewarka do folii, schludne plastikowe torebki ze sklepu z artykułami gospodarstwa domowego, które opatrzył etykietami własnego projektu, jak również porządne kartony wysyłkowe, to było wszystko, czego potrzebował, żeby sfinalizować transakcję. No i trochę pracy. Gdyby nadeszło sporo zamówień, będzie miał w najbliższych dniach wystarczająco dużo czasu na ich realizację. Jednak teraz, po czterech godzinach siedzenia za biurkiem, mógł spokojnie wyjść i czegoś się napić.

Aktorka sama jak palec siedziała na drewnianej palecie przed lokalem i smętnie spoglądała na morze. Aurelio przywitał się z nią wylewnie, miał wrażenie, że naprawdę się ucieszyła na widok znajomej twarzy. Postawił jej drinka, *negroni*, wiedział, że Cornelia szybko poczuje jego działanie. Parę metrów dalej znany w mieście skipper znowu flirtował z tą ładną blondynką z domu aukcyjnego. Ostatnio i oni stali się bywalcami „Stazione Rogers”.

Młody mężczyzna z czerwonym wisiolem na szyi nie wzbudzał szczególnej sympatii Cornellii. Jednak słuchał jej uważnie i z wyczuciem zadawał pytania, kiedy, już lekko wstawiona, zaczęła się uzalać na chaos panujący na planie filmowym i oburzać na zachowanie Haralda Bierchena. Aurelio zaprosił ją na kolację. Ale flirt to była ostatnia rzecz, na jaką miała w tej chwili ochotę, była zbyt zmęczona na romansowanie. Powiedziała mu o tym otwarcie, ledwie zajęli miejsce na tarasie restauracji przy ruchliwej ulicy wiodącej wzdłuż nabrzeża i zamówili jedzenie. Lecz jej, jak sądziła, jasne słowa wywołały skutek zgoła przeciwny: zdawały się wręcz zachęcać

Aurelia. Zamówił piwo Tsingtao i dolewał jej, gdy tylko upiła łyk. Prawił komplementy, w pewnej chwili delikatnie odgarnął jej z czoła czarne loki, zaklinał, by po zakończeniu prac na planie po prostu została w Trieście. Nad morzem, w miłym cieple, którego na pewno brakuje jej w Berlinie. Zaprosił ją na rejs swoim jachtem, dwumasztowcem z lat trzydziestych. Już za kilka dni, gdy tylko upora się z pilnym zleceniem, a ona będzie miała przerwę w kręceniu. Romantyczna kąpiel w otwartym morzu, kolacje z *foie gras* i szampanem na jachcie, fale pluskające o dziób. Ale Cornelia Katschek pozostała nieugięta. Wprawnie nabierając pałeczkami jedzenie, odsuwała jego rękę. Trafiała kosa na kamień. Aurelio mówił coraz mniej, oczy mu się zwężały, zaczął żałować, że w ogóle ją zaprosił.

Było już koło dwudziestej trzeciej, coraz częściej spoglądał na zegarek, a kiedy wszedł czarnoskóry sprzedawca uliczny, zachwalając swoje talizmany, warknął na niego grubiańsko, żeby to swoje barachło opchnął raczej Murzynom w Afryce. Mężczyzna odszedł bez słowa i z podniesioną głową, jakby znoszenie upokorzeń należało do jego codziennej pracy; zniknął wewnątrz lokalu. Po chwili Aurelio wstał od stolika, by przy barze zapłacić za jedzenie. Mruknął coś, że ma jeszcze dzisiaj sprawy do załatwienia.

Chinka przy kasie, zanim wybiła kwotę, naląła mu słodkiego likieru śliwkowego. Aurelio znów zobaczył czarnoskórego handlarza: siedział przy stoliku z kobietą o czerwonych włosach, odwróconą do baru plecami. Gdyby mężczyzna w ciemnoniebieskim kaftanie nie powiedział do niej „Miriam”, Aurelio nie zwróciłby na nią uwagi. Ale teraz nastawił ucha, stanął za parawanem, spoza którego mógł ją niezauważony obserwować. Bez wątpienia to ona! Wcale nie odleciała! Nagle go olśniło: kiedy ją śledził podczas wędrówki po kawiarniach, co raz to natykał się przecież na tego przekupnia! To znaczy, że facet go zauważył, a ona o wszystkim wiedziała, to była gra, paskudnie go wykiwała! Jakby tego było mało, on, Aurelio, zadowolony z siebie, zapewnił Lelego, że dziennikarka wreszcie się wyniosła i że można spokojnie przejść nad sprawą do porządku. Stary mu tego nie daruje! Bo co on może przedstawić na swoje usprawiedliwienie? A ona? Co tu jest grane?! Co ona, u diabła, planuje? I te czerwone włosy! Jak nic dla

niepoznaki!

Wyraźnie usłyszał, jak Alberto mówi do dziennikarki, żeby jutro rano o szóstej przyszła do parku przy zamku Miramare i przyniosła drugą część ustalonej kwoty. Kiedy kelner przyniósł jedzenie, handlarz wstał, jeszcze raz upomniał ją, by przyszła punktualnie na miejsce spotkania. Gdy Alberto opuścił lokal, Aurelio jednym haustem opróżnił kieliszek, zapłacił i wyszedł na taras. Chłodno pożegnał się z aktorką. Powiedział, żeby wzięła taksówkę, on po takiej ilości piwa nie może jej odwieźć do domu. Krótco kiwnąwszy głową, zostawił ją i zniknął na ciemnej Piazza Venezia. Czas położyć kres tej zabawie.

\* \* \*

Dochodziło wpół do czwartej, kiedy Miriam, zmęczona, zamknęła laptop. Bardzo potrzebowała tych dwóch godzin snu, które jej jeszcze zostały, bo przecież już o szóstej ma się spotkać z Albertem pod zamkiem Miramare; Somalijczyk dokładnie opisał jej miejsce, w którym może się precyzyjnie znaleźć między sztachetami ogrodzenia zamkowego parku. Jego kwatery znajduje się w pobliżu eleganckiego cesarskiego dworca, ale za nic nie chciał wyjawić gdzie. Miriam przypuszczała, że Alberto dzieli mieszkanie z innymi mężczyznami, którzy tak jak on usiłują zarobić trochę pieniędzy na sprzedaży zapalniczek, okularów przeciwsłonecznych, bransoletek i innych drobiazgów, apelując do resztek współczucia, które jeszcze zostały u ludzi pomimo kampanii strachu prowadzonej przez prymitywnie populistycznych polityków.

Niespokojnie przewracała się na łóżku. Nie mogła się uwolnić od powracającego co chwila obrazu czerwonego kamienia wiszącego na złotym łańcuchu na szyi jej prześladowcy. Że też ten drań musiał ją wytropić akurat w chińskiej restauracji! Bardziej prawdopodobna byłaby już wygrana w toto-lotka. Zobaczyła go, gdy tylko wyszła z lokalu. Stał w ciemności po przeciwnej stronie ulicy, opierając się o pień drzewa. Ruszyła prosto do niego, chciała go zatrzymać. Ale on błyskawicznie umknął w pustą uliczkę, nie miała odwagi tam za nim iść. Jednak gdy tylko przeszła przez Piazza Venezia i przed Museo Revoltella skręciła w via Diaz, na której nie było żywego ducha, poczuła, że on znowu jest w pobliżu. Musiała jak najszybciej

dotrzeć do Cavany, gdzie spragnieni rozrywki ludzie gromadzili się na ulicach przed barami.

Czy rzeczywiście udało jej się uciec? Uwolniła się od niego? Czego on od niej chce? Czy to psychopata, który rozkoszuje się jej strachem?

I czy rzeczywiście może zaufać tej młodej inspektor, która przyjęła jej zgłoszenie? Funkcjonariuszka powiedziała tylko, żeby Miriam stawiała się następnego dnia, by obejrzeć zdjęcia karanych z tego samego paragrafu. Poza tym nie zaproponowała niczego. Tymczasem Miriam właśnie o tej godzinie miała odebrać z lotniska córkę. Przynajmniej nie będzie teraz w Trieście sama. Czy może powinna zrezygnować, tak jak radzili obydwaj prawnicy, przekazać im sprawę i wyjechać z Candace, gdy tylko dostanie kamerę i po wizycie na policji? Wyjechać z tego miasta kawy i szaleńców?

Wstała z łóżka, poszła do urządzonej po spartańsku kuchni. Bezskutecznie przewróciła do góry nogami wszystkie szuflady w poszukiwaniu ostrego noża. Mieszkańcy tego ekskluzywnego apartamentu pewnie mieli zwyczaj jadać na mieście. Będzie musiała zdobyć się na odwagę i iść do parku bez żadnej broni. Bądź co bądź, jest jednak dobrą biegaczką i nie narzeka na kondycję. Nastawiła kawę, poszła do łazienki; długo stała pod prysznicem.

# Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz, stworzył mężczyznę i niewiastę

– Lauro, nie martw się! To nie jest duże uszkodzenie. W poniedziałek oddamy brykę do warsztatu, koszty pokryje ubezpieczyciel – powiedział Proteo, z rozmachem odrzucając w krzaki kawał grubego konara, którym właśnie odgiął prawy błotnik ich nowej alfy mito, odblokowując tym samym przednie koło. Reflektor był wgnieciony i samochód trochę zezował. – Możesz nim jechać. Ale zdradź mi przynajmniej, odkąd to uczestniczysz w programie odstrzału dzików? Dostajesz za to premię czy jak?

Strażnicy leśni, do których zadzwonił z samochodu, załadowali dzika na land-rovera; przedtem strzałem z remingtona dobili potrącone zwierzę, które bezskutecznie próbowało się podnieść na nogi. Laurenti zastanawiał się, czy młodszy z mężczyzn, ten, który bardziej przykładał się do roboty, nie jest przypadkiem tajemniczym kochankiem Patrizii.

Kiedy Laura zadzwoniła do Protea, była kompletnie roztrzęsiona, powiedziała, że miała wypadek pod Contovello, skąd właśnie wyjechała po spotkaniu z przyjaciółkami. W tamtejszej osmizy<sup>[3]</sup>, pięknie położonej, z zapierającym dech w piersiach widokiem na miasto i morze, omawiały ostatnie szczegóły rejsu, na który miały się wybrać następnego dnia w południe.

– Jedź ostrożnie, skarbie – szepnął Laurenti i wsiadł do swojego wozu. – Za dużo wypiął. Najlepiej trzymaj się tuż za mną, wtedy będzie bezpiecznie.

Gdy już zawiadomił Gemmę, że co prawda udało mu się uwolnić z korka na autostradzie, ale i tak jest za późno na spotkanie, zadzwoniła Laura i oświadczyła, że znowu nie będzie jadła kolacji w domu. Musi jeszcze obejrzyć i ocenić kolejne obrazy z prywatnej kolekcji, a potem jest umówiona z przyjaciółkami. Jedzenie poda mu teściowa.

Proteo pojechał potem prosto do Santa Croce, malowniczej wioski wysoko nad morzem, gdzie w „Pettirosso” z radością powitali go przyjaciele. Siedzieli przed lokalem, przy długim, ważącym tonę stole, wyciosanym z szarego krasowego kamienia, przy którym od pokoleń zasiadali tutejsi mężczyźni, mocne głowy, by litrami pić czyste białe wino z beczki. Miejscowe wino z winorośli uprawianej na rozpieszczanym przez słońce klifowym wybrzeżu, dla nich prawdziwy eliksir życia – pili je tym chętniej, im usilniej żony prosiły ich o umiarkowanie.

Latem przyjaciele nie przepuszczali żadnej okazji – ostatnio brakowało tylko Protea, dlatego od razu zarzucono go pytaniami, ile jest prawdy w gazetowych wiadomościach o tej angielskiej posłance, co to podobno miała w Grado zakosztować wszelkich urlopowych rozkoszy. Laurenti tylko machnął ręką i zabrał się do panierowanych sardeli i frytowanych *calamari*, żeby wino nie podziałało zbyt szybko.

Kiedy zadzwoniła Laura z wiadomością o kolizji z dzikiem, z wielką niechęcią pożegnał się z rozochoconym towarzystwem.

– Ryzykujesz utratę prawa jazdy, *commissario!* – rzucił jeden z przyjaciół i wszyscy się roześmieli. Laurenti ustawił na dachu koguta i ruszył.

Prababcia Camilla była w złym humorze, gdy Laura i Proteo krótko przed północą zjawili się w domu. Zbyt głośno nastawiony telewizor usłyszeli z daleka, jeszcze zanim otworzyli drzwi. Starsza pani siedziała na sofie, obok stała kołyska ze śpiącym niemowlęciem. Camilla oglądała talk-show, w którym starannie dobrani goście oceniali pracę rządu, by na koniec wystawić premierowi dobre świadectwo: ostatecznie ma on prawo do życia prywatnego, a romanse w żaden sposób nie wpłynęły przecież na jego poczucie odpowiedzialności jako męża stanu. To jedyna osoba, która może wyprowadzić kraj z kryzysu. Dobroczynca i wybawiciel.

– Zostawiacie mnie tu z małą zupełnie samą. Nikt się mną nie interesuje – rozżaliła się matka Laury. – Przez cały dzień nie mam do kogo ustworzyć. Gdybym wiedziała, że tak będzie, zostałabym w San Daniele. To czyste niewolnictwo. Prowadzę dom – sprzątam cały dzień, gotuję. A małą zajmuję się od rana do nocy, bo teraz Patrizia nawet wieczorem szwenda się z tym lubieżnikiem. Gotuję też dla twojego męża, Lauro, bo ty podobno



jesteś zawałona robotą. Zawsze mówiłam, że ludzie mieszkający nad morzem są pozbawieni moralności. A mężczyźni za dużo piją!

– Idź już, proszę, do łóżka, *mamma* – powiedziała Laura. – Przecież wiem, ile dla nas robisz i że jesteś zmęczona. Ja się zajmę małą. A o reszcie porozmawiamy jutro.

Laurenti zostawił obie panie same, poszedł do kuchni i nalał wina dla Laury i siebie, wyniósł kieliszki na taras. Dziecko śpi, a Patrizia powinna niedługo wrócić. Pewnie wyskoczyła tylko do Barcoli, do „La Voce della Luna”, znowu mają otwarte. Laurenti swego czasu też tam chętnie zaglądał: przyjemny bar, romantycznie położony nad morzem i ze świetną muzyką.

– Matki i córki – skomentował, gdy starsza pani bez pożegnania poszła do siebie, a Laura wyłączyła telewizor i przesunęła kołyskę na taras. – Co z twoją wycieczką?

– Wypływamy jutro koło południa. Strasznie się cieszę, już tak dawno nie byłam na rejsie. Przecież ciebie nie sposób zaciągnąć na łódź.

– Dokąd płyniecie?

– Zobaczymy, dokąd się uda... Zależy od wiatru – powiedziała Laura. – Po prostu na południe.

– A jak się nazywa ta łódź?

– „Amor II”. To grand soleil, pięćdziesiąt stóp. Na pokładzie dwie łazienki, kompletnie wyposażona kuchnia i mnóstwo miejsca. Każda z nas ma własną podwójną kabinę. Gdyby nie to, że w środe mam ważne spotkanie, najchętniej zostałabym cały tydzień.

– Tyle miejsca, że możecie nawet zabrać pasażerów.

– Pewnie! Chciałbyś! – I Laura roześmiała się tym swoim radosnym, dźwięcznym jak dzwoneczek śmiechem, w którym Proteo zakochał się bez pamięci prawie przed trzydziestu laty. Cudowna kobieta.

– A kto jest skipperem?

– Mariantonietta, oczywiście.

– Kto?

– Ależ skarbie, przecież ci o niej opowiadałam!

– Hmm... miejmy nadzieję, że ma trochę oleju w głowie, dalej na południu zapowiadają burze – mruknął Proteo.

Oczywiście Laurenti nawet nie rzucił okiem na prognozę pogody. A Laura nigdy mu nie mówiła o Mariantonietcie.

– Nie macie przypadkiem jeszcze jednego wolnego miejsca?

– Mógłbyś sobie darować, Proteo. Miejsca mamy dość, ale to babska wyprawa, chcemy choć raz być same, między nami kobietami...

Jakby brakowało jej tego w domu! Marco i on w tym tryskającym kobiecością gospodarstwie stanowili nic nieznaczącą mniejszość.

– A co z jedzeniem?

– Jesteśmy świetnie zaopatrzone! A, zapomniałam! W niedzielę będzie dla was gotował Marco. Ma wolne i mama wreszcie będzie mogła odpocząć. To jej powinno poprawić humor. Widzę, że Marco od kilku dni wypływa łódką na ryby. Ale właściwie nie wiem, czy coś złowił.

Laurenti ucieszył się na myśl, że obiad przygotuje syn, to będzie odmiana w domowym menu. Wprawdzie teściowa gotuje całkiem niezłe, ale dania coraz częściej się powtarzają.

– A jakbyśmy jutro przepływały koło domu, to zawołam i pomacham do ciebie! – zaszczebiotała Laura.

– Tak czy owak, ja rano będę chciał pójść na dół, na plażę.

– Zdaje mi się, że będzie tam Patrizia. Z jakimś przyjacielem – wtrąciła Laura szybko.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że jestem persona non grata we własnym domu?!

– Chciałam tylko, żebyś wiedział. Ją teraz tak łatwo rozdrażnić, a ma z tym człowiekiem coś na spokojnie omówić.

Czyżby to znaczyło, że Laura od dawna wie o eskapadach córki, gdy tymczasem on dowiedział się o tym całkiem przypadkowo przedostatniej nocy? I tylko dlatego, że jego teściowa tego nie pochwała? Czy Laura chce mu dać do zrozumienia, żeby nie przeszkadzał Patrizii, gdy ona przyprawia rogi świeżo upieczonemu ojcu swojej córki? Biedny marynarz...

– Ten nowy to naprawdę coś poważnego? – rzucił nieoczekiwanie.

– Jaki nowy? – zapytała Laura, szeroko otwierając oczy ze zdziwienia.

– Ten, z którym romansuje Patrizia. Gość z oddziału położniczego.

– Ja nic nie wiem, Proteo. – Laura westchnęła, szybko upiła duży łyk

wina. – Powiedz lepiej, kto ci tego naopowiadał.

– Świat jest pełen szpicli. Nie zapominaj, czym się zajmuję.

– Zobaczymy, co będzie, jak wróci Gigi. Umówili się, że dwa miesiące urlopu spędzi u nas. Patrizia wspomniała też, że może wyjadą gdzieś z małą na kilka dni. Gigi chce w góry.

– W góry – jęknął Laurenti. – Latem!

– Przecież Gigi morza ma aż nadto. Uważam, że to świetny pomysł, Patrizia musi się najpierw znowu do niego przyzwyczaić.

– Laura, a zastanawiałaś się nad tym, czy Gigi jest rzeczywiście ojcem Barbary?

– Że co?

– Barbara wprawdzie ma włosy po matce, ale za to niebieskie oczy! A Patrizia ma intensywnie zielone jak ty, moje są prawie czarne. Niebieskich oczu nie ma żaden z naszych krewnych! A Gigi też ma brązowe.

– Ach, Proteo! – Laura uśmiechnęła się łagodnie. – Już nie pamiętasz, jak było z twoimi dziećmi? Ostateczny kolor oczu wykształca się dopiero w ciągu następnych miesięcy. Trochę zaufania!

## Poranek w parku

Był na nogach już od trzech godzin. Teraz musi wreszcie wypić espresso, to będzie długi dzień. Krótko po szóstej ze snu wyrwał go alarmujący telefon. Wołanie o pomoc. Nie zdążył nawet wziąć prysznic.

O wpół do dziesiątej, gdy na miejscu przestępstwa zjawili się technicy i zaspana Pina Cardareto, pojechał tych parę kilometrów z Miramare z powrotem do domu, żeby zmienić samochód na vespę. W gorący letni weekend nie sposób było się przepchać autem promenadą w Barcoli. Już wczesnym rankiem w sobotę trasę blokowały posuwające się powoli samochody amatorów kąpieli, którzy mieli nadzieję, że znajdą wolne miejsce do zaparkowania – najlepiej tuż przy leżaku. Tylko na dwóch kółkach można było uniknąć wykańczającego *stop-and-go* i jakoś się prześliznąć.

Kiedy Laurenti ustawiał skuter na podpórkach przed lokalem Malabara, właściciel wybiegł do niego, wymachując gazetą. Śmiejąc się zgryźliwie, rozłożył dziennik na siodełku.

– Spójrz na te dwa artykuły, *commissario*, jeden lepszy od drugiego. – Pośpiesznie przerzucił stronicę aż do działu wiadomości policyjnych, zaczął czytać na głos:

„Uratowani przez pizzę. Dziki są wśród nas. Słońce jeszcze nie zaszło, jeszcze moce ciemności nie dały znać o sobie, gdy nagle w krzakach coś zatrzeszczało i na parę, która właśnie kupiła na straganie kawałek pizzy, wyleciało ogromne zwierzę. Czyżby to spotkanie zostało wywołane przez ezoteryczne fluidy? Latem w tym miejscu obchodzi się celtyckie uroczystości i odprawia rytuały New Age. Nie, dzik po prostu chciał pizzy. Zakochani salwowali się odważnym skokiem na stół, lecz zwierzę ani myślało ich zostawić. Dopiero gdy poświęcili swoją pizzę z kiełbasą wieprzową, udało im się umknąć na pobliską ulicę. Ledwie uciekli. Dzik chciał jeszcze pizzy”.

– To nie wszystko, będzie coś lepszego! – zawołał Walter ubawiony, wyrrywając Laurentiego z ponurego zamyślenia.

– Ale najpierw bądź tak miły i zrób mi kawy – poprosił Laurenti, lecz gospodarz się nie ruszył.

– Zaraz – powiedział tylko i przerzucił dwie następne strony. – Dzisiaj prawdziwie szczęśliwy dzień, Proteo. Nasi przyjaciele dziennikarze są w cholernie dobrej formie. – Walter wskazał następny artykuł, także pod wielkim nagłówkiem. – Jaka szkoda, że to nie była twoja akcja. – Zostawił Laurentiemu gazetę i wreszcie zakrzętała się przy parzeniu kawy.

„Orgia w domu starców. Sąsiedzi uskarżają się na nasilające się nocne hałasy. «Tak jest od dwóch tygodni – wzdycha Giovanni D., urzędnik, lat 48. Jest blady, ma podkrążone oczy. – Nie wysypiamy się. Dopiero wczoraj wreszcie potraktowano poważnie nasze skargi. A ja przecież naprawdę nie jestem jakimś donosicielem». Jego żona, Silvana, lat 46, skarży się na permanentny ból głowy. «W samym seksie nie ma nic złego – mówi, ziewając. – Ale te głośne krzyki nie dają nam spać. My przecież rano wstajemy do pracy, ci emeryci są tacy bezwzględni. Czemu nie uprawiają seksu w dzień albo niechby przynajmniej zamykali okna. Już na samą myśl o tym, co się tam wyprawia, człowiek czuje się niezręcznie». Jej mąż to potwierdził. Także sąsiedzi poświadczyli, że gdy tylko zrobiło się ciepło, faktycznie z domu opieki zaczęły dobiegać «osobliwe dźwięki», które jednakże oni interpretują inaczej. Zdaniem sąsiadów zażywni seniorzy grają po prostu w karty. Nikt spośród pensjonariuszy nie chciał się wypowiedzieć na ten temat. Tylko pewna siwowłosa dama oburzyła się na insynuacje: «Zawsze to my, starzy, jesteśmy winni» – powiedziała. Zdesperowani młodzi ludzie z sąsiedztwa mogli się wreszcie spokojnie wyspać dopiero dzięki interwencji patrolu policji”.

Walter i Proteo kochali prasę prowincjonalną za oryginalność, która odróżniała ją od wielkich dzienników. Triest uchodzi we Włoszech za miasto o najwyższym standardzie życia. Poza niskim poziomem przestępczości, i to raczej tej drobnej, oraz wysokimi wkładami oszczędnościowymi podstawą takiej oceny jest też najwyraźniej witalność emerytów, którzy na północnym wybrzeżu Adriatyku dożywają ponadprzeciętnie późnego wieku. Czyżby pensjonariuszy domu starców natchnęły miłosne eskapady niewiele młodszego premiera? Pozytywny wpływ tego człowieka jest stanowczo

niedoceniiany.

– Pobito Alberta. – Laurenti położył wreszcie kres swawolnej atmosferze.

– Co?! – wykrzyknął Walter z przerażeniem.

– Źle z nim. Operują go teraz. Mam nadzieję, że z tego wyjdzie. Trzech typów z tej samozwańczej samoobrony obywatelskiej twierdzi, że przyłapali go na próbie gwałtu.

– Niemożliwe.

– Przemagujemy każdego z osobna, bez obawy.

Z wystawionym kogutem i na syrenie popędził do zamku Miramare, po drodze zawiadomił pogotowie i komendę. Na krótko zwolnił dopiero przed masywnym łukiem parkowej bramy, lecz ledwie ją minął, znów docisnął gaz. Nagle – stoły filmowego cateringu! Proteo ostro zahamował, by ich nie staranować. Jeszcze parę centymetrów, a wylądowałby w fontannie przed głównym portalem białego zamku. Plan filmowy! Nerwowo wymachując rękami, rzuciło się w jego stronę trzech mężczyzn z ekipy.

– Psst! – zawołał młody człowiek, przykładając palec do ust, gdy dobiegł do Laurentiego. – My tu kręcimy. *Silenzio!* – Zdaje się, że tylko tyle potrafił powiedzieć po włosku.

Opony zazgrzytały po żwirze, gdy komisarz znowu ruszył, lecz nagle wyskoczyła mu przed maskę młoda kobieta, zahamował w ostatniej chwili.

– Stój, *papà!* Czekać! Tędy nie można!

– Livia, co ty wyprawiasz! Omal cię nie przejechałem! Co się tutaj dzieje?

– Kręcimy tam z tyłu.

– A jak myślisz, dlaczego jadę na sygnale? Też gram w filmie? Lepiej mi powiedz, gdzie jest pomnik Amedea d'Aosty – burknął Laurenti, uderzył ręką w kierownicę i ruszył ostro.

Już od dawna nie był w parku i nie bardzo pamiętał, gdzie stoi pomnik. Za pierwszym zakrętem drogę zatarasował mu radiowóz z otwartymi drzwiami, w jego kierunku szło właśnie dwóch aktorów z uniesionymi w górę rękami. Z zarośli wyszła też filmowa pani komisarz w asyście dwóch gangsterów w ciemnych okularach. Wszyscy ze zdumieniem spojrzeli na

policyjne alfa romeo, którego opony wyłobiły głębokie ślady w starannie wypielegnowanej kwiatowej rabacie.

Wreszcie kilkaset metrów dalej, w północnej części parku, Laurenti dostrzegł rzeźbę z brązu na marmurowym cokole. Pod nieruchomym spojrzeniem byłego wicekróla Etiopii wysiadł z auta, wyciągnął broń. Nie musiał długo szukać. Trzech zwalistych mężczyzn w żółtych odblaskowych kurtkach z napisem *Volontari della Sicurezza* z wyrazem niepewności na twarzach obserwowało każdy jego krok.

– Gdzie on jest? – zapytał Laurenti, wetknął berettę z powrotem do kabury, podsunął mężczyznom legitymację służbową pod nos.

– Kto pana zawiadomił? – zapytał szef małego oddziałku. Miał wygoloną na łyso czaszkę, czerwony byczy kark, końce jasnych wąsów zwisały mu aż na brodę. Nie śpiesząc się, wskazał kciukiem za siebie, ale nawet na krok nie usunął się z drogi. Na rękawie miał plamę krwi.

– Pytania zadaję ja! – warknął Laurenti. Usłyszał wycie syren, zbliżało się szybko, gdy pochylał się nad Albertem, który, rzeżąc, leżał na brzuchu. W lewej ręce, ukrytej pod piersią, trzymał komórkę, z której wezwał pomoc.

– Możesz mówić?

– Zajmij się nią... – wybełkotał Alberto ledwo dosłyszalnym głosem.

Pięć metrów dalej leżała kobieta. Krótko ostrzyżone włosy, ufarbowane na czerwono. Czerwona sukienka zadarta do bioder. Zakrwawiona ręka kobiety spoczywała na szyi. Wycie syreny karetki pogotowia zbliżyło się i gwałtownie urwało.

– Niech pan wezwie jeszcze jedną karetkę! – rozkazał Laurenti jednemu z sanitariuszy; drugi pochylił się nad Albertem. Lekarz pogotowia namacał na szyi puls kobiety. Cofnął rękę, palec miał ubrudzony krwią. Głośno wydawał polecenia swoim ludziom.

Laurenti pobiegł do samochodu, wrócił z lateksowymi rękawiczkami i plastikową torebką. Rozwarł zaciśniętą w pięść prawą rękę kobiety, ostrożnie wyciągnął z niej cienki kosmyk włosów. Potem odsunął się, robiąc miejsce lekarzowi.

– Idziemy, chłopaki – powiedział ten z byczym karkiem.

– Panowie zostają grzecznie tutaj! – Laurenti odwrócił się błyskawicznie.

– Dokumenty, proszę!

– My tylko spełniliśmy swój obowiązek – sprzeciwił się przywódca, klepnął swoich ludzi po plecach.

– Ocenimy to później.

– Drań próbował zgwałcić tę kobietę. Daliśmy mu nauczkę.

– Dowody, proszę!

Mężczyźni niechętnie wyciągnęli dokumenty. Komisarz niedługo był z nimi sam, nadjechały dwa dalsze radiowozy.

– Zabezpieczyć teren w dużym promieniu, od tego z byczym karkiem wziąć kurtkę, ma ślady krwi na rękawie. Przeszukajcie też tamtych dwóch – wydał polecenia funkcjonariuszom. – A potem na komendę z nimi. Każdy osobno. Żeby się nie kontaktowali.

Rzucił okiem na zegarek. Było dwadzieścia przed siódmą, kiedy pierwsza karetka pogotowia zawróciła przed pomnikiem Amedea księcia Aosty i pojechała do kliniki uniwersyteckiej. Także Alberto został opatrzony jeszcze na miejscu i zabrany do szpitala. Jego kaftan był cały we krwi, wełniana czapka leżała kilka metrów dalej. Po raz pierwszy odkąd poznał ulicznego handlarza, Laurenti zobaczył jego nagą czaszkę.

\* \* \*

Kawa, którą nastawiła, idąc pod prysznic, nie nadawała się do picia. Miriam zadowolila się szklanką wody i wezwała taksówkę. Z domu wyszła dopiero, gdy samochód w jeszcze łagodnym słońcu poranka stanął przed drzwiami. Podczas jazdy do Dworca Głównego co chwila rozglądała się wokoło. O piątej zero dwie wsiadła do pociągu podmiejskiego linii regionalnych, którym dojeżdżali do pracy robotnicy zmianowi wielkiej stoczni w Monfalcone; jako jedyna wysiadła zaraz na stacji Sistiana-Visogliano. Przeszła na drugi peron, musiała czekać aż pół godziny, nim wjechał następny pociąg powrotny do Triestu. Teraz była sama w wagonie. Krótco przed szóstą wysiadła na niewielkim, ślicznie odrestaurowanym dawnym dworcu cesarskim przy zamku Miramare. Znowu rozejrzała się dokoła; nikogo. Pociąg zniknął w oddali, słychać było tylko radosny, rześki świergot ptaków. Skierowała się do przejścia podziemnego i po kilku metrach stanęła przed zamkniętą północną bramą parku zamkowego.



Zgodnie ze wskazówkami Alberta przeszła około stu kroków w prawo wzdłuż ogrodzenia, do miejsca gdzie była niewidoczna od strony ulicy. Bez trudu znalazła obluzowany pręt, przez wąski otwór prześliznęła się do parku. Założyciel kazał go obsadzić egzotycznymi roślinami. Chociaż nie odczuwała lęku, unikała zwirowanych alejek, na których można było usłyszeć jej kroki. Daleko w dole, nad morzem, nad wierzchołkami starych drzew wznosiła się wieża białego zamku z trójkolorową flagą łagodnie powiewającą na wietrze. Miriam minęła błotnistą sadzawkę, pływały po niej kaczki i łabędzie, a także cieplarnię, w której trzymano kolibry i egzotyczne motyle. Skierowała się w prawo i wreszcie, zgodnie z opisem Alberta, wyszła prosto na posąg Amedea księcia Aosty.

Bohater faszystowskich Włoch, wicekról Etiopii i gubernator Włoskiej Afryki Wschodniej, który dla duce poprowadził kampanię w Abisynii, a dziś opromienia go gloria człowieka honoru, stał w zbroi na kamiennym postumencie. Inskrypcja oznajmiała, że w roku 1971 pośmiertnie przyznano mu tytuł honorowego obywatela Triestu.

Pomniki bohaterów narodu wszędzie ukrywały straszliwą prawdę. Dopiero w roku 1941, wraz z bezwarunkową kapitulacją przed Anglikami, położono kres okrucieństwom okupantów w Etiopii. Tylko niewielu Włochów zostało w kraju, jednym z nich był jej dziadek, Paolo Natisone. To on po odwrocie swoich rodaków sprowadził ze splądrowanej kwatery głównej Sabaudczyka w Addis Abebie do Dżimmy ten wielki stół, który dzisiaj stoi w apartamencie przy Colville Mews w Londynie.

Miriam usłyszała kroki, oderwała wzrok od monumentu, to musi być Alberto. Nagle od tyłu otoczyło jej szyję czyjeś ramię, poczuła na plecach czyjeś ciało. Zaczęła się rozpaczliwie wyrywać, lecz mężczyzna był silny, nie miała szans wywinąć się z uścisku. Jednak zdołała trafić napastnika w kolano, a jej paznokcie wbiły mu się w przedramię. Krzyknęła przeraźliwie, długo i ostro, i jeszcze raz kopnęła z całej siły, lecz nagle poczuła na krtani mocny ucisk, który odebrał jej głos. Kątem oka dostrzegła błysk krótkiego ostrza, zbliżającego się do jej szyi od dołu z lewej. Najmocniej, jak mogła, wbiła się zębami w przedramię napastnika, zasłaniające teraz jej twarz. Z ust mężczyzny wyrwał się stłumiony krzyk. Zebrała wszystkie siły, kopnęła i

rzuciła się, szarpała mężczyznę za włosy. Potem poczuła na szyi cięcie, natychmiast przestała się szamotać, osunęła się bezwładnie, jak martwa. Uścisk się rozluźnił, usłyszała jakiś głos. Uniosła rękę do rany, przycisnęła, na żwirowej alejce rozległy się szybkie kroki, tak jakby ktoś uciekał. A potem głos Alberta, z bliska, jakby Somalijczyk pochylał się nad nią. Przez chwilę kaszłała i odpluwała, wreszcie zobaczyła go jak przez mgłę.

– Miriam, powiedz coś. Słyszysz mnie? – Dwoma palcami wziął nóż, który leżał na jej piersi, odrzucił w trawę. Ujął głowę Miriam w swoje ręce. Potem spróbował odjąć jej rękę od rany. Nagle usłyszała wściekły wrzask, Alberto raptownie zniknął jej z pola widzenia. Krzyknął, męskie głosy zaczęły go wyzywać od śmierdzących czarnuchów. Usłyszała jeszcze jego głośny jęk. Potem straciła przytomność.

\* \* \*

Przypadek ofiar z parku Miramare to był skandal, ta sprawa wołała o pomstę do nieba! Pod naciskiem Lega Nord, Ligi Północnej, rząd wydał dekret popierający Ronde, dobrowolną straż obywatelską. Ksenofobicznej partii udało się podczas ostatnich wyborów zgarnąć głosy także tych wyborców z opozycji, którzy generalnie nie zgadzali się z jej moralizatorskimi i nacjonalistycznymi sloganami. Teraz Lega Nord rozgrywała swoje posunięcia w rządzie jako jęczyczek u wagi. Do oddziałów straży obywatelskiej zgłaszali się mężczyźni bez wykształcenia, przekonani o własnej ważności; patrolowali nocą ulice. W swoim zadufaniu twierdzili, że znakomicie współpracują z karabinierami i policją. Bredzili o pladze obcokrajowców, której należy położyć kres, i o tym, że romskie obozy pilnie wymagają deratyzacji. W Trieście owa osobliwa formacja nie miała zbytniego powodzenia, jednak w niektórych regionach na północy kraju członkowie Ronde pozwalali sobie na groźne gesty i demonstracje siły. Na YouTube krążyły filmy wideo z ich rasistowskich przemarszów i wieców z pochodniami i w maskach Ku-Klux-Klanu. Finansowaniem owych *Volontari della Sicurezza* ministerstwo chciało obciążyć budżet regularnych sił porządkowych, którym nierzadko brakowało środków na utrzymanie i remonty parku transportowego, ba, niekiedy nawet na paliwo do końca kwartału. O wyposażeniu biurowym nie ma nawet co mówić. To także była

część rządowego gmachu kłamstwa: celowo pogarszać sytuację, tak by można było usprawiedliwić stosowanie ostrych środków i przy okazji co raz to przypuszczać atak na praworządność. Tępy populistyczny cynizm, udatnie sprzedawany przez uległych dziennikarzy telewizyjnych w szacie pięknych słówek. Jednakże policjanci i karabinierzy przysięgają na konstytucję, że będą przestrzegać prawa i je egzekwować. No to teraz muszą się dodatkowo zajmować bezprawnymi ingerencjami prawicowych bojówkarzy. Ci tutaj rzekomo przyłapali czarnoskórego mężczyznę na próbie gwałtu.

Laurenti z trudem zrozumiał Alberta, kiedy ten zadzwonił do niego nad ranem. Zastanawiał się, skąd Somalijczyk ma numer jego komórki, w końcu przypomniał sobie, że sam podał mu go przed laty, gdy Alberto był świadkiem bijatyki między Senegalczykami a Chińczykami na Piazza Ponterosso. Chodziło o spór o rewiry, podczas zajścia ciężko ranny został jeden z Afrykańczyków, który z groźną raną kłutą wylądował na oddziale intensywnej terapii. Alberto obchodził wtedy centrum miasta ze swoim kramem i mógł dokładnie opisać zajście. Ale po co miałby wzywać Laurentiego w sobotni poranek, jeśli coś przeszkrobał? Z czystego strachu, że zostanie zamordowany przez samozwańczych stróżów prawa? Możliwe. Jednak co muzułmański handlarz uliczny robił o szóstej rano w tym rozległym romantycznym parku, którego podwoje otwierały się dla publiczności dopiero później w ciągu dnia? I kim jest ta kobieta? Co ją z nim łączy?

U Malabara przebąkiwano, że Alberto jest w swoim rodzinnym kraju doktorem matematyki, ma cztery żony i całe stadko dzieci. A tutaj sprzedaje tanie błyskotki. Trudno dociec, ile z tych pogłosek brało się z fantazji niestroniących od kielicha stałych gości baru. Pewne było tylko to, że Alberto jest szefem całej grupy wędrownych handlarzy, których kontroluje i ściąga od nich kasę. Żaden z tych mężczyzn nigdy nie wyjawiał nic więcej ponad swoje nazwisko. Władze o tym wiedziały, interesowano się tymi, którzy pociągają za sznurki – jednak dojść do nich było bardzo trudno: zbyt gęsta była sieć wzajemnych zależności, oparta na strachu i szantażu. Alberto był tu tylko płotką. Z przyczyn strategicznych współpracował ze służbami bezpieczeństwa.

Przed niespełna czterema miesiącami Somalijczycy udało się jednak wcisnąć Laurentiemu coś ze swoich błyskotek. To było tego dnia, kiedy Proteo fundował w barze *spumante*, oświadczywszy wszem wobec, że właśnie został dziadkiem najpiękniejszej nowo narodzonej dziewczynki, jaką kiedykolwiek widział świat, maleństwa o kruczoczarnych włosach jak jej matka, która z kolei odziedziczyła je po nim. Alberto umiał wykorzystać szansę: autentyczny talizman przeciwko wszystkim demonom świata, ręcznie wyrzeźbiony przez kogoś z jego rodzinnej wsi, jak zapewniał. Nie, stanowczo, Alberto mógł robić różne rzeczy, ale na pewno – Laurenti był o tym najgłębiej przekonany – nie dopuściłby się gwałtu. I z całą pewnością nie posunąłby się też osobiście do rękoczynów, gdyby trzeba było wyrównać rachunki.

Ale co, u diaska, robił o tak wczesnej godzinie akurat w tym miejscu? Ta myśl nie dawała mu spokoju. Przecież nie został zatrudniony jako statysta w filmie. No to komu zamierzał wciskać swoje bransoletki, amulety i talizmany? Kto mógł być o tej porze w parku poza nieszczęsnymi łabędziami na pokrytym rżesą stawku albo rzadkimi kolibrami w słynnej cieplarni?

Mówiono, że Miramare przynosi nieszczęście wszystkim, którzy spędzą tu noc. Według legendy przekleństwo rzucił mały sfinks stojący w porcie, wywieziony niegdyś z Egiptu przez Maksymiliana I. Każdy z mieszkańców zamku zmarł z dala od ojczyzny śmiercią nienaturalną: austriacki arcyksiążę Maksymilian I został wyniesiony przez Francuzów na cesarza Meksyku podczas wojny interwencyjnej; następnie zdradzony, podle zostawiony na łaskę losu przez wszystkich krewnych, powinowatych i sprzymierzeńców, a w roku 1867 rozstrzelany przez wojska prezydenta Benita Juareza na mocy prawa stanu wyjątkowego. Amedeo d'Aosta zmarł w roku 1941 w niewoli brytyjskiej w Kenii, wycieńczony malarią i gruźlicą. Podczas okupacji nazistowskiej w białym zamku rezydował SS-Obergruppenführer Friedrich Rainer jako komisarz obrony Rzeszy dla „strefy operacyjnej wybrzeża Adriatyku”. Sąd wojskowy w Lublanie skazał go w roku 1947 na śmierć. Amerykańscy generałowie Moore i MacFadden, którzy w czasie, kiedy Triest był pod zarządem ONZ, to jest do roku 1954, tutaj założyli kwaterę główną,

zginęli w wypadku samochodowym. Klątwa przestała działać, gdy w roku 1955 Miramare przekształcono w muzeum państwowe. Czyżby sfinks tego poranka przebudził się z kamiennego snu? Dźwięk telefonu wyrwał Laurentiego z rozmyślań.

Jak każdego ranka Gemma przysłała mu SMS-a. Po chwili, zaraz po drugim dzwonku, usłyszał jej miękki, radosny głos.

– Mam nadzieję, że Triest dzisiaj zamrze, nic się nie wydarzy – powiedziała – i będziemy mieli popołudnie dla siebie. Czy Laura jest już na morzu?

– Wypływa koło południa, maleńka. Pójdziemy potem na kawę?

– Znajdziesz mnie na Diga Vecchia. Właśnie czekam na przeprawie. Przed zachodem słońca nikt mnie stamtąd nie wyciągnie.

– Za to ja siedzę w biurze i nie mam pojęcia, kiedy wyjdę. Moi klienci cierpieli zeszłej nocy na bezsenność. A poza tym na Diga w weekend jest zbyt niebezpiecznie. Za dużo ludzi – mruknął Laurenti.

– W każdym razie mam dla ciebie kąpielówki i ręcznik też.

– To zadzwoń, jak już tam będziesz, i daj znać, czy teren jest czysty.

Ledwie skończyli rozmowę, gdy zadzwonił Gilo Battinelli z wiadomością o spotkaniu Raccara w Pinecie.

– Lele wrócił dzisiaj rano na pokład z neseserem, którego wczoraj nie miał przy sobie, i zaraz wypłynął, szefie, dokładnie na południe, wzdłuż wybrzeża włoskiego, o ile utrzyma kurs. Widzę na horyzoncie wieżę ciśnień w Jesolo, jesteśmy teraz prawie na wysokości Wenecji. Na pokładzie u Lelego jest też Vittoria, brazylijska transseksualistka, starszy pan najwyraźniej preferuje zażywanie uciech z osobami o szerszym wachlarzu doświadczeń.

Laurenti, wetknąwszy słuchawkę między bark a lewe ucho, przebiegał oczami pismo, które poprzedniego dnia podyktował Marietcie, stojąc w korku na autostradzie. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z przepisami, Gazza jeszcze dzisiaj zostanie przekazany do triesteńskiej komendy. Od razu rzuciły mu się w oczy trzy literówki – co za niedbalstwo, dawniej jego asystentce nie zdarzały się takie potknięcia. Nigdy nie była tak nieuważna. Podkreślił błędy na czerwono, potem położył pismo z powrotem na biurku Marietty.

– Kwestia gustu, Gilo. Zdaje się, że to teraz modne.

– To prawda – odparł inspektor z wahaniem. – A zresztą to właśnie ona pomagała przy moim Audace wejść na pokład „Grety Garbo” jakiemuś ogromnemu grubasowi. Wie szef, wtedy, jak szef siedział z córką przy aperitifie na tarasie „Harry’s Grill”.

– Co takiego? Czyżby nasz Niemiec? – Laurenti aż podskoczył na krześle. – Jesteś pewien?

– Mogę przysiąc, że to była Vittoria. Ale grubasowi się nie przyjrzałem...

Laurenti mu przerwał:

– Battinelli, człowieku, jeśli Niemiec rzeczywiście był na pokładzie, to zostawił ślady. Mogliśmy już dawno zająć jacht, niech to szlag!

– Ale to mi się przypomniało dopiero, jak wczoraj zobaczyłem Vittorię przy nabrzeżu.

– Natychmiast wracaj. Ile czasu ci to zajmie?

– Co najmniej pięć godzin, nawet przy dobrym wietrze. W prognozie podają, że pod wieczór nadciągną burze. Co pan zamierza?

– Przy najbliższej okazji kup sobie łaskawie motorówkę – mruknął Laurenti, po czym wyjaśnił: – Natychmiast zawiadomię prokurator Volpini, przekonam ją, że koledzy z Chioggii, Rawenny albo Rimini powinni zatrzymać jacht i posłać na pokład ekipę techników, żeby zabezpieczyli ślady. Może i dobrze, że to się nie odbędzie w Trieście. Mniej szumu, mniej protestów i gróźb. Trochę potrwa, zanim Lele wróci. Ale ty jesteś mi tu koniecznie potrzebny, Gilo, bo to pewne, że wróci i że uruchomi wszystkie swoje kontakty. Może się zrobić niewesoło.

Laurenti odłożył słuchawkę, przeczesał palcami włosy. – No, czekaj ty... – powiedział cicho do siebie; z kartki przypiętej do regału za swoimi plecami odczytał numer prokurator Volpini.

– *Dottoressa* Volpini... tu Laurenti. Dzisiaj dwie sprawy naraz. Obie pilne. Pierwsza dotyczy Lelego i Birkenstocka...

– Proszę bez przezwisk, Laurenti – przerwała mu Iva Volpini. – Pierwszy nazywa się Raffaele Raccaro, a drugi Harald Bierchen. Strona formalna to podstawa, proszę o tym pamiętać. A więc o co chodzi?

Proteo tak przedstawił raport inspektora, że wnioski nasuwały się same.

– Natychmiast podyktuję nakaz. Niech pan działa, Laurenti – zachęciła go prokurator już nieco życzliwiej. – Wczoraj po południu wpłynął tu pozew jednej z londyńskich kancelarii przeciwko Raccarowi. Wymuszenie, grożenie, zniesławienie i stalking! I jeszcze żądanie odszkodowania, ponad dwa i pół miliona funtów brytyjskich. Angielscy mecenasi od razu wyciągają ciężkie działa.

– I punkt drugi – kontynuował Laurenti. – Mamy nową sprawę, to się wydarzyło dzisiaj, o szóstej rano, *dottorossa*...

Świat to niekończąca się gra: czasem nie doceniamy, a czasem przeceniamy rzeczy. Życie jest wiecznym nieporozumieniem. A mądrość i wiedza zwykle przychodzą zbyt późno, by zmienić bieg rzeczy.

– Proszę mnie informować na bieżąco, *commissario*! Chcę wiedzieć nawet o najdrobniejszych postępach śledztwa! – nakazała prokurator, gdy Laurenti skończył raport o tym, co się wydarzyło w parku Miramare. Wiedziała, że jeszcze za wcześnie na jakiegokolwiek wyniki i że teraz, poza przesłuchaniem trzech samozwańczych obrońców współobywateli, nie można jeszcze zlecić podjęcia żadnych kroków. Obie ofiary leżą na stole operacyjnym. Nawet jeśli przeżyją, to nie od razu będzie je można przesłuchać.

Dobrze, że Iva Volpini jest nowa w mieście, pomyślał Laurenti. Gdyby zdawała sobie sprawę z tutejszych powiązań, pewnie dałaby sobie więcej czasu na podjęcie decyzji. Ta sprawa narobi szumu, Lele z pewnością tak łatwo się nie podda. Pozew o zadośćuczynienie w wysokości ponad trzech milionów euro. Anglicy przywalili z grubej rury. Nawet dla gościa, który pociąga za wszystkie sznurki, dla takiego machera jak Lele, to musi być cios. Że Raccaro macza palce we wszystkich wielkich transakcjach, to wiadomo. Ale sfalszowane pornosy, którymi daremnie próbowano szantażować brytyjską deputowaną? Skoro te autentyczne nadawały się do tego o wiele lepiej...

Laurenti pogrzebał w papierach na biurku, wyciągnął teczkę z kompromitującymi fotografiami Angielki, które technik przekazał mu osobiście. Wsunął ją pod inne papiery, sprawa była delikatna, to nie mogło leżeć na wierzchu. Nagle oblał go zimny pot: jakim cudem zdjęcia z fotopułapki w lesie znalazły się w tej teczce?! On i Gemma przy pniu

starego dębu! Czyżby koledzy splatali mu brzydkiego figła? Czy może on sam włożył je tu przez roztargnienie? Marietta powiedziała przecież, że technik w jej obecności wykasował wszystkie pliki. Laurenti szybko wsunął fotografie jedną po drugiej do niszczarki. Potem jeszcze raz przyjrzał się uważnie zdjęciom kłusowników. Teraz był już pewny: mężczyzna z nożem rambo, ten, co zarznął warchlaka, to faktycznie jeden z tych robotników budowlanych, którzy zostawili kupę gruzu w jego ogrodzie.

Kolega, który zajmował się sprawą kłusowników, od razu odpowiedział na mail Laurentiego: wizyta w firmie budowlanej z pewnością pozwoli ustalić tożsamość tego człowieka. I być może rzuci światło na interesy przedsiębiorcy, który okantował Laurentich.

\* \* \*

Lele odmeldował się na cztery dni, a z jego słów wynikało, że może się z tego zrobić nawet cały tydzień. Aurelio musiał jak najlepiej wykorzystać weekend. Wiedział z doświadczenia, że nawet najbardziej oddane prokurentki imperium Raccara w pełni sezonu letniego pracują nieco mniej, by korzystając z pogody, relaksować się nad morzem i spotykać z przyjaciółmi. Miał już dostęp do systemu komputerowego firmy i mógł sobie skopiować tyle dokumentów i umów transakcji, ile chciał. Zdobycie potrzebnych haseł kosztowało go mnóstwo czasu i cierpliwości.

Wróciwszy do domu, wpakował całe ubranie, łącznie z butami, do worka na śmieci i wrzucił do pojemnika Caritasu. Potem przefarbował włosy – utlenił na jasny blond. Dokładnie się umył, starannie wyczyścił paznokcie. Miejsce po ugryzieniu na prawej ręce podbiegło na fioletowo i trochę bolało; zamaskuje później siniak jednym z tych dziecięcych tatuaży z supermarketu. Obrazek ze śmiejącym się delfinem, słodkim zajączkim albo straszliwą trupią czaszką z dwoma mieczami – wszystko jedno, weźmie to, co będą mieli w najbliższym sklepie. Bolało go także na skroni, w miejscu, gdzie dziennikarka szarpała go za włosy. Zaczesał grzywkę tak, by przykryć zadrapanie.

Jego plan się powiódł, chociaż nie wszystko przebiegło tak gładko, jak się spodziewał. Jednak w efekcie uzyskał to, czego chciał. Już o piątej rano zjawił się u filmowców w parku zamkowym Miramare, białego malaguti



zaparkował u ludzi z cateringu. Nawet oni musieli odpalać AFI pięć procent ze swoich wpływów. Aurelia dobrze znali.

W pierwszej scenie kręconej tego ranka filmowa pani komisarz wpada w zasadzkę przestępców: pobita do nieprzytomności i pozostawioną w zaroślach budzi do życia długi pocałunek niemieckiego prokuratora. Biały zamek w tle miał dodać scenie światowego poloru. Aurelio przez dobre pół godziny kręcił się przy planie, byli tam też trzej faceci ze straży obywatelskiej, stali i gapili się na aktorki i dziewczyny z ekipy. Potem Aurelio dyskretnie się oddalił. W krzakach naciągnął lateksowe rękawiczki i kominiarkę, ruszył do pomnika Amedea d'Aosty, zaczął się na dziennikarkę.

Była silniejsza, niż się spodziewał. Krzyczała i wyrywała się, kopnęła go, ugryzła w rękę, szarpała za włosy. Ale w końcu mu się udało: od razu po cięciu osunęła się bezwładnie i już nie pisnęła. Upuścił nóż na jej pierś i czym prędzej umknął w krzaki. Z ukrycia widział, jak nadchodzi Alberto, jak zobaczywszy leżącą, puszcza się biegiem, pochyla nad nią, dwoma palcami odrzuca nóż, w zakrwawione ręce ujmuje jej głowę, krzyczy do niej jak oszalały. Aurelio już wstukiwał numer policji w komórkę z chorwacką kartą, żeby anonimowo zawiadomić o zdarzeniu w parku, kiedy nagle usłyszał ryk męskich głosów; trzej zwaliłsi stróże cywilizacji w jaskrawożółtych kurtkach rzucili się na Somalijczyka. Aurelio zamknął klapkę komórki, przedzierając się przez krzewy, pobiegł z powrotem na plan.

Siedział przy kuchennym stole; nalawszy sobie drugą filiżankę kawy, przeglądał notatki w laptopie. Zbierał wszelkie komentarze, przypadkowe informacje i uwagi Lelego, pilnie je notował, opatrując hasłami. Daty, miejsca, osoby, gremia. Niekiedy nawet konkretne kwoty; powiązania między ważnymi osobami. Zawsze ci sami ludzie z miasta i okolicy, z sąsiedniej Słowenii, Chorwacji, z Bawarii i Austrii, także z południa kraju. Z kręgów politycznych i gospodarczych, z branży budowlanej – no i z kurii. *Never change a winning team!* Tylko Rosjanie pojawili się w grze dopiero niedawno. Z tych danych wyłonił się stopniowo konkretny obraz interesów Lelego oraz powiązań, dzięki którym mógł on z wszystkiego ciągnąć zyski.

Aurelio pozaznaczał luki w danych czerwonymi znakami zapytania

i wydrukował plik. Przeszedł do mieszkania Raccara. Najpierw dwa razy przekręcił mniejszy z kluczy, które miał ze sobą w zamku obok dzwonka, by wyłączyć system alarmowy. Wszedł do salonu i usiadłszy na środku ogromnej niebieskiej sofy, zaczął sprawdzać w swoich zapiskach i notatkach, jakich dokumentów powinien szukać w sejfie. Wszystko się w nim gotowało z wściekłości. Lele kazał mu załatwiać brudne interesy, a ta cała kasta nietykalnych zgarniała fury kasy na boku, zupełnie się nie kryjąc ze swoimi wpływami i bogactwem. Ale teraz i on się obłowi. Czekał już wystarczająco długo. Chce się stąd wynieść. Raz na zawsze. Wszędzie znajdzie lepsze życie.

Jego spojrzenie padło na ścianę z niewielkim obrazem Courbeta. Wcale nie uważał przedstawienia ujścia Timavo za tak erotyczne, jak twierdził Raccaro. Lecz jeśli było to faktycznie dzieło malarza, musiało mieć ogromną wartość. Aurelio wolał jednak nagą rzeczywistość – Jeanette dostarczyła mu niepowtarzalnych przeżyć. Lele natomiast kochał dwupłciowe istoty, takie jak Vittoria. Cóż! Kwestia gustu. Ale on, Aurelio, ma w ręku zdjęcia, które można wymienić na gotówkę. Dopiero się stary zdziwi, jak to wszystko zobaczy!

Potem zdjął ze ściany starą fotografię, rzekomo ukazującą jego dziadka. Bo Aurelio ma podobno rodzinę; nie zna jednak nikogo poza tym karłem, który utrzymuje, że jest jego ojcem.

Wsunął fotografię do neseseru.

Ziewnął, czuł zmęczenie, ale miał jeszcze to i owo do załatwienia. Po południu trzeba się zająć zamówieniami na kawę, lecz najpierw musi zakończyć robotę tutaj. Jeszcze raz ziewnął szeroko, potem ponownie zagłębił się w notatkach: trzy centra handlowe, których budowa pozwoliła Raccarowi wyprać duże sumy, lecz dochody z czynszów nie przynosiły spodziewanych zysków, były z tym kłopoty, liczne powierzchnie handlowe stały puste. Inaczej wyglądała sprawa z planowanym poszerzeniem pola golfowego na płaskowyżu Krasu, wraz z budową luksusowego ośrodka sportowo-wypoczynkowego. Ziemie rolne, które Lele tanio nabył we właściwym czasie, to jest przed zatwierdzeniem nowego planu zagospodarowania przestrzennego, dzięki rozporządzeniu władz miasta z dnia na dzień wielokrotnie zyskały na wartości: w cudowny sposób stały się

gruntami budowlanymi. Pakiet akcji pewnego hiszpańskiego przedsiębiorstwa zaopatrzenia w energię był natomiast pomyślany jako inwestycja długoterminowa: hiszpańscy menedżerowie nie bez przyczyny liczyli na ignorancję i niedoświadczenie lokalnych polityków, co pozwoli im wznieść w zatoce gigantyczny zakład przetwarzania skroplonego gazu ziemnego LNG. Absurdalna lokalizacja – urzeczywistnienie projektu ostatecznie doprowadziłoby do zamarcia portu, zrujnowania rybołówstwa i zanieczyszczenia wody, a Triest i okolice zostałyby zredukowane ekonomicznie do roli peryferyjnych dostawców energii dla ojczyzny, której rząd siedzi sobie gdzieś daleko. Tak, Lele z pewnością przymierzał się do zysków w przyszłości. Bo inaczej po co miałby optować za budową elektrowni atomowej pod Monfalcone? W mieście nie było żadnego lobby, które mogłoby się sprzeciwić tym planom. Aureliowi wszystkie te konsekwencje były zresztą obojętne. Jak już będzie w Australii albo Nowej Zelandii, wszystko tu mogłoby się nawet zapaść w morze.

Raffaele Raccaro zwykle zmieniał kod do sejfów w każdą niedzielę. Aurelio w ciągu lat obserwacji stwierdził, że stary zawsze używa kombinacji z pięciu tych samych ciągów liczb: własnej daty urodzenia, daty urodzenia grubasa i Aurelia; do tego dochodził 26 października 1954 roku, kiedy to Triest, po zniesieniu statusu wolnego miasta, po raz drugi w swojej historii stał się miastem włoskim, co zapoczątkowało sukcesy Raccara w biznesie; jak również 6 grudnia 1994 roku, dzień, w którym sędzia śledczy Antonio di Piero, sztandarowa postać i symbol śledztwa *Mani pulite*, „Czyste ręce”, ogłosił swoje ustąpienie. To był koniec komisji śledczej, która w poprzednich latach ujawniła system powiązań korupcyjnych i wzajemnych przysług, łączący kręgi biznesu, polityki i przestępczości zorganizowanej. Zakotłowało się i poleciały głowy, obywatele odzyskali zaufanie do rządzących, po którym obecnie zostało już tylko blade wspomnienie. A niegdysiejszy heroiczny śledczy stał się tymczasem politykiem o uczciwych zamiarach i z wielkimi retorycznymi słabościami.

Akta z opasłej szafy pancерnej Aurelio układał na podłodze w takiej samej kolejności, w jakiej je wyjmował. Wcześniej zrobił zdjęcie każdej przegródki, by odłożyć potem dokumenty dokładnie w to samo miejsce. Do

przygotowanej listy dopisał mnóstwo uwag, niektóre z dokumentów sfotografował. Sumiennie przeglądał półkę po półce. W pewnej chwili przestraszył się, gdy usłyszał delikatne brzęczenie, tak jakby ktoś kilkakrotnie zadzwonił do drzwi obok. Do jego mieszkania. Na palcach podkradł się pod drzwi, wyjrzał przez judasz, zdążył jeszcze zobaczyć, jak winda zamyka się za mężczyzną w szarym garniturze. Wrócił do swojej pracy. Najniższa półka zawierała dokumenty osobiste. Pierwsze prawo jazdy, stare, nieaktualne już paszporty, świadectwo chrztu i orzeczenie rozwodu z października 1982 roku łącznie z oświadczeniem o zrzeczeniu się alimentów. Siedem miesięcy przed jego narodzinami. Wstrząsnął się, nie mógł oderwać wzroku od dokumentu. Kobieta nazywała się Olga Zelawska, miała wówczas tyle lat, ile on dzisiaj, urodziła się w Kijowie. Czy to jego matka? Pogodził się już z tym, że nic o niej nie wie, powtarzał sobie, że ta kobieta wcale go nie obchodzi. Gdzie jest dzisiaj? Lele twierdził zawsze, że zostawiła nowo narodzonego Aurelia u niego. Czy to prawda? Czemu musiał się natknąć na to akurat dzisiaj? Ręce mu zwilgotniały, oddychał szybko. Sfotografował dokument i odłożył na miejsce. Opanował emocje, wrócił do przeglądania reszty papierów. Na samym dole leżała biała teczka na akta z napisem „Testament”. Krew uderzyła mu do głowy, podekscytowany otworzył teczkę, ale znalazł tylko pokwitowanie honorarium jakiegoś notariusza i odręcznie napisaną notatkę:

„Do moich synów Aurelia i Giulia. Wszystko, czego powinniście się dowiedzieć, przekaże wam upoważniony notariusz, u którego złożony jest mój testament i inne dokumenty. Zgodnie z udzielonymi wskazówkami notariusz powiadomi was o wszystkim w przypadku mojego zgonu. Aby uniknąć jakichkolwiek nieporozumień, oświadczam niniejszym, co następuje: jestem rodzonym ojcem Giulia Gazzy i Aurelia Selvy. Moje dzieło możecie kontynuować, jedynie żyjąc w zgodzie. Czas waszych sporów skończy się wraz z moją śmiercią. Inaczej, zgodnie z moją dyspozycją, zarządzanie spadkiem przejdzie w ręce wyznaczonego już powiernika. W takim przypadku zyski przypadną pewnej instytucji, z którą ściśle wiąże się mój osobisty sukces. Z częścią należną z urzędu możecie wtedy zrobić, co zechcecie. Ze zrozumiałych względów będzie ona śmiesznie mała. Koszty

notarialne są uregulowane. Lele”.

Stary lis pomyślał o wszystkim. Myśl o tym, że Giulio jest rzeczywiście jego bratem, napawała Aurelia zgrozą, podobnie jak perspektywa, że będzie musiał coś z nim dzielić. A więc grubas to kukułcze jajo. Czy o tym wie? Od wczorajszego popołudnia tkwi w pudle w Udine. Aurelio zaśmiał się. Po telefonie tłuściocha nie zrobił kompletnie nic, chociaż podczas rozmowy obiecał mu najsolenniejszemu i z udawanym oburzeniem, że natychmiast poinformuje kancelarię Lelego. Teraz sprawa z fotografiami obciąża wyłącznie Gazzę.

Przez moment Aurelio rozważał, czyby nie zabrać testamentu, ale potem włożył papiery z powrotem do sejfu, dokładnie tak, jak były ułożone przedtem.

Była piętnasta, kiedy skończył; usiadł znowu na niebieskiej sofie, znowu ziewnął. Miał do przetrwania to i owo, ale zbliżył się do celu o duży krok. Oparł się wygodnie, przymknął oczy, by lepiej się skupić na myśleniu.

\* \* \*

– Mam wyrzuty sumienia, że nie potraktowałam tej sprawy wystarczająco poważnie – powiedziała Pina i zagryzła dolną wargę. Poczucie pewności siebie pani inspektor, którą normalnie aż rozsadzała ambicja, musiało doznać poważnego uszczerbku. Wśród kolegów mówiono, że Pina, by podnieść się po tego typu porażkach, fundowała sobie ostry trening kick boxingu, nikt, kto ją znał, nie chciał wtedy być jej partnerem sparingowym.

Gdy tylko wróciła z akcji, natychmiast stawiała się u Laurentiego, który w poszukiwaniu kawy przewracał właśnie do góry nogami biuro Marietty. Jeszcze wczoraj aluminiowa puszka pełna kawy stała na swoim miejscu. Jego asystentka musiała ją ukryć w przypiływie złego humoru. Czego to ona nie przechowuje w szufladach swojego biurka! Znalazł zaschnięty lakier do paznokci, pomadkę do ust, dezodorant, szczotkę do włosów i zapinki, parę zwiniętych nylonowych pończoch, papierosy, gumę do żucia, zestaw do manikiuru, trzy stare ładowarki do komórek, płyty CD, prezerwatywy, tanie kolczyki i inną modną biżuterię, dwie pary porysowanych okularów przeciwsłonecznych, zegarki marki Swatch, kremy do rąk i do twarzy, karty

wizytowe jej wielbicieli – tylko żadnych materiałów biurowych, nie mówiąc już o kawie. Wreszcie komisarz znalazł kawę w szafce Marietty. Dopiero jak z górnej półki zleciała wielka sterta bielizny, biustonoszy, obszytych koronką stringów i rozsypała się na podłodze, dostrzegł puszkę z kawą w kapsułkach. Schylił się, klnąc, i sztuka po sztuce zebrał rzeczy z powrotem.

– A to co? Jest pan fetyszystą? – Pina z wrażenia aż otworzyła usta.

– To dowody, Pino. Zabezpieczanie śladów. Może się pani coś przyda? – Proteo z powrotem upchnął bieliznę na półce szafki.

– To nie w moim stylu. – Inspektor ziewnęła.

– Filizankę espresso? – Laurenti podszedł do ekspresu, włożył do maszyny jedną z kapsułek. – Z jakiego powodu robi sobie pani wyrzuty?

– Byłam dzisiaj w komisariacie do drugiej nad ranem – zaczęła Pina nerwowo. – Krótco po północy koledzy przyprowadzili do mnie strasznie zdenerwowaną kobietę w czerwonej sukni i z ufarbowanymi na czerwono włosami, spisałam jej zeznania.

– Ach, tak? To ta z parku?

Pina kiwnęła głową.

– Angielska dziennikarka, jest w mieście dopiero od kilku dni i podobno pisze reportaż o porcie kawowym. Twierdziła, że jest śledzona i że boi się o życie. Podała nawet nazwisko i adres prześladowcy, mieszka tam naprzeciwko, na ostatnim piętrze wieżowca. Nazywa się Aurelio Selva, pracuje u Raccara. Leworęczny, nosi na szyi łańcuch z czerwonym wisiolem. Ta kobieta rzekomo nie zna swojego prześladowcy. Jej historia wydała mi się dość dziwna. Powiedziałam, żeby się stawiła o czternastej.

– Znowu Raccaro! A kim jest ta kobieta? – Laurenti wysunął z ekspresu drugą filizankę i podał inspektor.

– Już mówiłam, dziennikarka z Londynu. Czterdzieści cztery lata, dosyć atrakcyjna. Twierdziła, że przyjechała do miasta z dwóch powodów: po pierwsze, robi reportaż o przemyśle kawowym, po drugie, interesuje się tą próbą szantażu wobec angielskiej deputowanej. Facet, który za nią łąził, to podobno ten ze zdjęć.

– Niby skąd on wie, że ona się nim interesuje, skoro go rzekomo nie zna? Nie powiedziała pani wszystkiego, Pino. A czy ta kobieta ma też może

jakieś nazwisko?

– Miriam Natisone. – Pina drżącą ręką podniosła filiżankę do ust.

– Mało angielskie nazwisko. – Uwagi Laurentiego nie uszło zdenerwowanie inspektor.

– Poleciałam, żeby patrol odwiózł tę Natisone do jej mieszkania. Niestety, nie powiedziała mi, że wybiera się do parku zamkowego. Wtedy nawet na sekundę nie spuściłabym jej z oka.

– Pozwolenie na wejście na razie mają tylko ci filmowcy. Jak na kogoś, kto podobno jest w mieście dopiero od niedawna, pani Natisone jest cholernie dobrze zorientowana. No, ale teraz leży na intensywnej terapii. Alberto też. Naprawdę świetna robota, Pino. Co z panią? Stoi tu pani i gapi się na wieżowiec, zamiast zabrać się do tego gościa. Kawa pani stygnie.

Laurenti odstawił pustą filiżankę na biurko Marietty.

Pina Cardareto tylko wzruszyła ramionami. Podczas nocnego dyżuru nie zadała sobie nawet trudu, by poszukać w komputerze nazwiska mężczyzny.

– Sama wiem, że spaprałam robotę – mruknęła z przekorą.

– Gdzie są ci trzej ze straży obywatelskiej?

– Siedzą naprzeciwko.

– Co Natisone miała przy sobie?

– Paszport, pieniądze, komórkę. Kolega z technicznego właśnie drukuje listę numerów z pamięci telefonu. I oczywiście sprawdza ostatnie połączenia. A co do Alberta, to miał przy sobie cyfrówkę. – Pina pomachała przezroczystą plastikową torebką.

– Te zdjęcia też chcę zaraz obejrzeć. I jeszcze coś, Pino. Nietrudno dostrzec, że jest pani wściekła. Ma pani wyrzuty sumienia. Współczuje tej kobiecie. Przykro myśleć, że zaważyło się sprawę. Nienawidzi pani tych samozwańczych stróżów prawa. I jest pani zmęczona jak pies. Tak. A teraz bardzo proszę, niech pani przemagluje każdego z nich z osobna, jasne? I niech się te gągatki nie kontaktują ze sobą. Proszę tego dopilnować.

Komisarz wiedział, co robi: w takim nastroju Pina Cardareto była bezlitosna. Laurenti dobrze ją znał. To było tak, jak wypuścić na antylopy stado wygłodniałych lwów.

Pina jęknęła, przewróciła oczami.

- To zajmie parę godzin. A gdzie właściwie jest Battinelli? – zapytała.
- Wróci dopiero po południu. Zadzwońię do Marietty. Będzie pani sekundować i protokołować.
- A pan co będzie robił? – Pytanie zabrzmiało jak wyrzut.
- Powącham sobie jeszcze trochę desusy Marietty.

\* \* \*

Jedynym środkiem lokomocji, który pozwalał szybko i prawie bez przeszkód dotrzeć do celu przez zapchane ulice, był skuter. Można nim było po prostu przejechać obok tkwiących w korku samochodów, a między jadącymi pędziło się, zmieniając dowolnie pasy i wyprzedzając auto za autem. A jeśli w pobliżu nie było widać białego kasku policjanta z drogówki, to człowiek nie musiał się nawet przejmować czerwonymi światłami. Toteż na warkoczających pięćdziesiątkach pędziły dzieciaki. Bankierzy w garniturach i z powiewającymi krawatami niczym na szybowcach kosmicznych śmigali na swoich ogromnych skuterach maxi o mocy kilkudziesięciu koni mechanicznych. Emerycy mieli zwykle zamontowaną z przodu szybę wiatrochronną, pięknie opalone kobiety dbały o eleganckie zharmonizowanie kolorów siodelka, podwozia oraz kasku, spod którego wymykały się włosy i zmysłowo powiewały na wietrze. Laurenti preferował zwrotne klasyki. A ponieważ z takimi pojazdami nie było kłopotu przy parkowaniu, zagęszczenie skuterów w Trieście było większe niż liczba posiadaczy prawa jazdy, przy czym nikt dotąd nie potrafił wyjaśnić, jakim sposobem części mieszkańców udaje się jeździć dwiema maszynami naraz. Teraz jednak Laurenti, podobnie jak wszyscy inni, stał w miejscu wraz ze swoją vespą i pocił się pod kaskiem.

Morze czerwonych chorągwi płynęło powoli w górę po Corso Italia przy akompaniamencie komunikatów z trzeszczących megafonów. Największy związek zawodowy w kraju wezwał do strajku generalnego; także tutaj, w stolicy regionu, zebrało się dziesięć tysięcy uczestników – i to mimo pięknej pogody. W tym roku sytuacja była poważna – zapowiedziane przez rząd cięcia oszczędnościowe dawały wszelkie powody do oburzenia: nie dotyczyły najwyższej uposażonych, natomiast wszyscy inni mieli zacisnąć pasa. Na przykład siły porządkowe powinny zrezygnować z corocznej trzynastki.



Przyczyn wzburzenia dostarczała także polityka informacyjna telewizji państwowej. Rozgłosnia, zredukowana do roli instrumentu biura politycznego, zatajała niewygodne wiadomości.

Marietta odebrała już po trzecim dzwonku i nie była zachwycona, kiedy szef wezwał ją do biura.

– Jestem na plaży w Liburni. Psujesz mi pierwszy dzień nad morzem w tym sezonie – sarknęła z wyrzutem.

Czyżby jego asystentka wróciła do życia ziemskiego? Dawniej spędzała na plaży dla nudystów nawet noce; teraz, patrząc na nią, można by pomyśleć, że przystąpiła do sekty, której celem jest samoumartwianie. Marietta straciła też poczucie humoru. A wszystko zaczęło się tej wiosny.

No a teraz? Czy biały króliczek Bobo zdjął futerko na plaży dla golasów? Laurenti starał się dobierać jak najdelikatniejsze słowa, dosłownie przechodził sam siebie w uprzejmości:

– Marietto, kochana, naprawdę cię potrzebuję, i to pilnie. Pali się i wali. Weźmiesz sobie za to wolne innego dnia. Bez ciebie nie damy rady.

– Miło mi to słyszeć, szefie – odparła nagle ku jego zaskoczeniu, i Laurenti zastanawiał się, czy przypadkiem sobie z niego nie kpi. – Będę za pół godziny.

– Dziękuję, moja droga. Pina ci wszystko wyjaśni.

Bez skutku dzwonił do drzwi Aurelia Selvy w wieżowcu naprzeciwko. Najpierw na dole przy wejściu. Na szczęście akurat wychodził z budynku jeden z lokatorów, profesor literatury, cieszący się sławą specjalisty w dziedzinie powieści kryminalnej, znali się z Laurentim z „Malabara”. Zamienili parę słów, profesor wpuścił go uprzejmie i Laurenti pojechał na czternaste piętro. Zadzwonił, jakby się paliło. Jednak ze środka nie dochodził nawet najłżejszy dźwięk. Faktycznie chyba w mieszkaniu nie było nikogo. Kiedy się odwracał, jego wzrok padł na dzwonek przy drzwiach obok – na tabliczce widniały litery: R.R.

Niedługo zjawi się i tu.

Jeśli Laurenti czegoś nie cierpiał, to gdy coś go powstrzymywało w działaniu: nie znosił przewlekania śledztwa, bo nie można znaleźć świadków; tkwienia na autostradzie, bo punkt opłat przyblokowali

urlopowicze; czekania za jakimś ślamazarą, który nie potrafi szybko zareagować na zmianę światła przy pasach; albo stania w supermarkecie w kilometrowej kolejce do jednej z dwóch otwartych kas, gdy obok jest czternaście zamkniętych.

Tylko fakt, że związkowcy także dla niego wyszli na ulicę, pozwolił mu teraz zdobyć się na cierpliwość. Poczł wibracje komórki w kieszeni spodni, wyjął aparat. Czego redaktor wiadomości policyjnych z „Piccola” chce od niego akurat teraz? Niechętnie zdjął z głowy kask, odebrał telefon.

– Czy to ty, *commissario*? – zapytał dziennikarz. – Przeszkadzam?

– Nie! Słucham!

– Po co policja w parku Miramare?

– Czy przypadkiem nie kręcą tam filmu? Kryminału? Tylko się nie nabierz na fałszywych policjantów! – rzucił Laurenti.

– Daj spokój! Przeorałeś służbowym wozem kawał rabaty. Niezła scena. Był tam nasz fotograf, żeby zrobić parę zdjęć z planu.

Laurenti nie dał się sprowokować, milczał.

– A więc co się stało? Ci od filmu są wściekli. Musieli przez was przerwać kręcenie. A teraz zmieniło się światło i nie pasuje. Taka wiadomość nie robi dobrego wrażenia, *commissario*. Akurat teraz, gdy coraz częściej wybierają nasze miasto na zdjęcia plenerowe! To przecież dla nas dobra reklama. Lepiej, żebyśmy tego nie stracili.

– Dwie ciężko poturbowane osoby! Kobieta i mężczyzna. Pobici przez brutalnych, samozwańczych stróżów porządku! A co oni sobie właściwie wyobrażają, ci filmowcy? – ryknął Laurenti wściekle. – Że policja, lekarz i pogotowie będą czekać, aż skończą kręcić?

– Oczywiście o tym nic mi nie powiedzieli! Kim są ofiary?

– Prowadzimy dochodzenie.

– A sprawcy?

– Śledztwo jest w toku.

– A co mam przekazać naszym czytelnikom?

– Zawiadomię cię jako pierwszego.

– Nieraz mi już obiecywałeś, Laurenti. To chociaż powiedz, co odkryliście w mieszkaniu Gazzy. Nie zapominaj, że cynk dostałeś ode mnie.

– *Top secret* – odpowiedział Laurenti i się rozłączył.

A więc ci goście od filmu na serio poskarżyli się prasie! Prawdziwa akcja policyjna. To nie było przewidziane w scenariuszu. Oni chyba naprawdę sądzą, że wszystko kręci się wokół nich! Jakież ofiary? Przestępcy? Dochodzenie? To może poczekać! Oczywiście, Laurenti był rad, że Triest dobrze wypada w mediach, no i to w końcu policja udzieliła większości pozwoleń na kręcenie. Na potrzeby planu chętnie użyczyli też filmowcom lakierowanych na biało-niebiesko wozów policyjnych, czasem podsyłali im nawet kolegów do dekoracji. Policjanci podśmiewali się z dość fantastycznych mundurów aktorów, oznaczenia stopni na kołnierzach i rękawach miały niewiele wspólnego z rzeczywistością, podobnie jak kręcone sceny. W zasadzie można odnieść wrażenie, że poza kryminałami nie robi się już żadnych filmów. Lecz czy rzeczywiście cały świat chce oglądać tylko te pośpiesznie produkowane gnioty? Filmy, w których sprawcę zawsze udaje się schwytać, a oglądalność zapewnia okrutnie realistyczne przedstawienie ofiar. Rzeczywistość wygląda inaczej, niż życzyliby sobie tego redaktorzy telewizyjni, scenarzyści i reżyserzy – Laurenti po prostu nie wierzył, że jakikolwiek dorosły człowiek dałby się nabrać na te kiczowate historyjki.

Od miesięcy w mediach sypały się doniesienia o kolejnych aresztowaniach wśród wielkich bossów mafii. Laurenti wiedział, że jego koledzy na południu kraju odwalili kawał dobrej roboty. Lecz czy schwytanie tych ludzi oznacza rozprawienie się z całym złem? Może to w rzeczywistości tylko pionki, ludzie wystawieni przez mafię, bo i tak już niepotrzebni? Rząd nie przepuszczał żadnej okazji, by się poszczycić sukcesami w ściganiu przestępców. I uchwalał prawa, które wydatnie utrudniały pracę śledczych.

Ciągle jeszcze nie było widać końca przemarszu demonstrantów z czerwonymi chorągwiami. Nawet na skuterze nie uda mu się szybko dojechać do szpitala. Laurenti wybrał numer starego medyka sądowego. Najpierw musiał użyć całej swojej wymowy, by przekonać Raisę, żeby przekazała słuchawkę mężowi. W krótkich słowach opisał sprawę, zaapelował do sympatii Galvana dla czarnoskórego sprzedawcy, by skłonić go do natychmiastowego udania się do kliniki. W tle słychać było pełen niezadowolenia jazgot Rosjanki.

Potem zadzwonił do szpitala. Kilkakrotnie go przełączano, aż w końcu udało mu się porozmawiać z lekarzem, który operował Alberta – doktor wyszedł z sali operacyjnej dopiero przed półgodziną. Udzielił mu krótkiej informacji, lecz zaznaczył, że wiążąca będzie diagnoza w pisemnym raporcie, który musi dopiero sporządzić. Powiedział, że obrażenia są ewidentnie skutkiem kopania i ciosów pięścią. Stan Somalijczyka jest ciężki, ale wyjdzie z tego. Jednak z całą pewnością w następnym tygodniu nie będzie się jeszcze nadawał do przesłuchania. O kobiecie w czerwonej sukience lekarz nie miał żadnych informacji. Ciągle była na sali operacyjnej, operował ją inny zespół lekarzy.

\* \* \*

Candace nie potrafiła opanować uczucia dojmującego rozczarowania, kiedy po przejściu kontroli paszportowej nadaremnie rozglądała się w hali przylotów za matką. Potem zaczęła się martwić – mail, który mama przysłała jej w nocy, był niepokojący. W drodze do Stansted Candace kilkakrotnie przeczytała długi list. Miriam ani razu nie odpowiedziała na jej telefon. Candace uczepliła się myśli, że matka po przykrych przeżyciach chciała się wyspać i wyłączyła komórkę. W głębi duszy jednak doskonale wiedziała, że to płonne nadzieje. Dwudziestoczteroletnia Candace, która przez trzy miesiące dawała sobie radę sama, podróżując po Azji Środkowej, teraz nie wiedziała nawet, do kogo się zwrócić. Postawiła torbę podróżną na ławce i jeszcze raz zaczęła przeglądać wiadomość od matki, aż natrafiła na nazwisko i adres londyńskiego adwokata, którego Miriam wymieniła jako osobę godną zaufania.

Jeremy Jones odebrał od razu. Miał miły głos i starał się ją uspokoić. Poradził, by natychmiast zwróciła się do jego triesteńskiego kolegi, Fausta Aiazziego, który załatwił dla Miriam nowe lokum; od razu przesłał Candace jego dane. Jednak pod podanym numerem zgłosiła się tylko automatyczna sekretarka z informacją o czasie urzędowania kancelarii. Sobota nie była dniem pracy.

Hala przylotów już dawno opustoszała, kiedy Candace wsiadła do taksówki, która powiozła ją do miasta. Niezwykłemu pięknu klifowego wybrzeża nie poświęciła nawet jednego spojrzenia. Gdy zajechali na via

Trento, poprosiła kierowcę, by zaczekał, dopóki ktoś jej nie otworzy. Długo dzwoniła do drzwi, w końcu z powrotem wrzuciła torbę do taksówki, opadła na siedzenie.

– Teraz dokąd? – zapytał kierowca.

– Proszę mnie zawieźć na policję – powiedziała niemal bezgłośnie.

\* \* \*

Pina i Marietta maglują łysoli, Battinelli wróci dopiero za parę godzin, a jacht Raccara wkrótce zostanie zajęty i przeszukany. Nic się nie stanie, jak się teraz wymknie na małą godzinkę. Laurenti postanowił zajrzeć na chwilę do Gemmy, na stary wał ochronny przed miastem. Kąpiel w morzu go odświeży, a gdy wróci na komendę, z pewnością będą już na niego czekać pierwsze wyniki analiz laboratoryjnych.

Stara motorówka obsługująca przeprawę odbiła właśnie w momencie, gdy Proteo postawił vespę przy molo Audace i wepchnął zapocony kask pod siodelko. Nadaremnie machał i dawał znaki; albo kapitan był zbyt zajęty manewrowaniem, albo po prostu nie chciał go widzieć. Teraz będzie musiał aż pół godziny czekać na kolejny rejs. Przysiadł na jednym ze starych, pokrytych rdzą pachołków, wybrał numer Laury. Gdy bladym świtem zaalarmował go telefon Alberta, żona spała sobie dalej. Podczas wielu lat życia z Laurentim przywykła do telefonów o niemożliwych porach, teraz nie pozwalała już zakłócać sobie snu.

Laurenti dzwonił długo, lecz bez skutku. Jednak wkrótce potem żona oddzwoniła sama.

– Wybacz, skarbie – powiedziała śpiewnym głosem – ale właśnie byłam zajęta przenoszeniem swoich rzeczy.

– Bałem się, że już wypłynęłyście. Nawet się rano nie pożegnaliśmy.

– Coś się stało, że musiałeś tak wcześnie wyjść?

– Czy łódź jest naprawdę taka wygodna, jak mówiłaś?

– Jest świetna, Proteo. To będzie fantastyczna wycieczka.

– Powiedz Mariantonietcie, że skrócę ją o głowę, jeśli nie odstawi cię do domu całej i zdrowej.

– Nie martw się tak. Ona jest naprawdę doświadczonym skipperem. Wiatr mamy sprzyjający, tak że możemy płynąć bez nadmiernego

halsowania. Zadzwoń do ciebie dzisiaj wieczorem albo jutro wcześniej rano i powiem, gdzie jesteśmy. *Ciao*, skarbie!

– Dobrej zabawy, Lauro! Ty też się nie martw. Damy sobie w domu radę.  
– Schował telefon i popatrzył na Diga Vecchia.

Laurenti opłacił wstęp i wyłączył telefon. Kąpiele przy Diga Vecchia miały długą tradycję, sięgającą początków ubiegłego stulecia, w latach sześćdziesiątych jednak kąpielisko padło ofiarą pogorszenia jakości wody. Na szczęście, od wielu lat morze jest już znowu czyste. Przed czterema laty wał przed starym portem wyremontowano i elegancko odrestaurowano. U steru była wtedy prawicowa klika związana z Raffaele Raccarem, tkwili w wielu projektach związanych z nieruchomościami w mieście. Nieoczekiwanie kąpielisko splajtowało jeszcze przed zakończeniem sezonu – przyczyny pozostały niewyjaśnione. W rok później nastąpiło ponowne otwarcie pod nowym dzierżawcą i Diga Vecchia stała się bajecznym miejscem odpoczynku w samym środku miasta.

Czysta woda, wygodne leżanki, restauracja serwująca przekąski i dobre drinki. Wieczorem można się było radować widokiem oświetlonego miasta, dbano o to, by gościom nie przeszkadzała zbyt głośna muzyka.

– Pocałunek... – powiedziała Gemma, oderwawszy się od ust Laurentiego, który rozejrzał się spłoszony – ...pocałunek, jak właśnie stwierdził pewien angielski naukowiec, nie ma w sobie nic romantycznego. I nie jest też jednym z ewolucyjnych mechanizmów kontroli, umożliwiającym samicy zebranie dokładnych informacji na temat stanu higienicznego samca, to znaczy czystości, zapachu, czyli stanu zdrowia i zdolności reprodukcyjnych. Nie, do tego wystarczy po prostu używać nosa, uważnie się przypatrywać albo wypróbować delikwenta. Wiedziałaś o tym?

Gemma przeglądała pismo fachowe „Medical Hypotheses”.

Na najwyższym tarasie, gdzie wstęp kosztował dwa razy więcej, poza nimi nie było żadnych gości.

– No to powiedz, powiedz wreszcie – odrzekł Proteo rozbawiony – do czego przewidział go Stwórca?

– To proste, dzięki pocałunkom organizm samicy wytwarza przeciwciała przeciwko wirusowi cytomegalii, generalnie przenoszonemu przez samców.

– Aha, jak zwykle winni są mężczyźni.

– Spokojnie, każdy go ma. Ten wirus dla zdrowych dorosłych jest całkowicie niegroźny, ale gdy kobieta zajdzie w ciążę, może stanowić bardzo poważne zagrożenie dla płodu. No więc wy przekazujecie go podczas całowania wraz ze śliną, a my, kobiety, wytwarzamy przeciwciała, które z czasem unieszkodliwiają zarazek, tak że możemy bez obaw zająć w ciążę. Im dłużej trwa związek, tym bardziej spada prawdopodobieństwo zachorowania. Jedynym sposobem zapobiegania jest całować się dużo i namiętnie. Tak twierdzi ten badacz. Najlepszą metodą profilaktyczną byłby pocałunek trwający sześć miesięcy. Przeniesienie przez ślinę to najbardziej efektywna metoda. Jednak wirus znajduje się także w moczu, spermie, można go przetoczyć wraz z krwią.

– Aha, więc są jednak możliwości wyboru – zażartował Laurenti.

– Ile tylko chcesz.

– Ale czemu mówisz o ciąży? Czy przypadkiem nie twierdziłaś, że nie zamierzasz rodzić pierwszego dziecka przed czterdziestką?

Na samą myśl o tym, że Gemma któregoś dnia mogłaby mu radośnie oświadczyć, że jeszcze raz zostanie ojcem, Laurentiemu po karku przechodził zimny dreszcz przerażenia. Przecież nie jest politykiem. Kocha Laurę i nigdy by jej nie opuścił. A poza tym jaka to ulga, że jego dzieci są już wreszcie dorosłe!

– Owszem, nie zamierzam. A widziałeś te meduzy? – zapytała Gemma, wskazując na trzy wielkie białe stworzenia, które gorący wiatr południowo-zachodni zagnał do basenu portowego.

– To *Rhizostoma pulmo*, nie parzą, są wskaźnikiem czystości wody. Odżywiają się planktonem. A jak się nurkuje, można zobaczyć między ich ramionami małe rybki, które im towarzyszą. Możesz tych meduz nawet dotknąć, po prostu je odsunąć. Naprawdę są łagodne.

– Ale obrzydliwe. I ogromne.

– W Azji niektóre gatunki nawet się jada. Przeczytałem w gazecie, że Chińczycy odławiają te jamochłony pod Rimini z łodzi wiosłowych, a potem w Mediolanie sprzedają jako rarytasy. Zobaczysz, jak tylko wiatr się zmieni, przepędzi wszystkie.

Gdy tylko Gemma delikatnie nasmarowała go kremem, Proteo położył się na leżance obok niej. Przeciągnął się i swobodnie obserwował przystań jachtową, z której o tej godzinie ciągle jeszcze wychodzili na otwarte morze niezliczeni weekendowi żeglarze. Niektórzy wypływali na tygodniowe rejsy po dalmatyńskich wodach, inni, przepłynawszy ledwie pięć mil morskich, rzucali kotwicę pod klifem. Luksusowe jachty stały tam potem gęsto jeden obok drugiego, jakby ich właściciele obawiali się samotności. Cóż, swoboda na morzu.

– Nasmarujesz mnie trochę? – Gemma zdjęła górę od bikini.

Laurenti rozproszony krem przeciwsłoneczny na jej brzuchu.

– Czy to nie piękne? – szepnęła. – My dwoje, zupełnie sami, a mimo to w środku miasta. Tam, na brzegu, obok torów tramwaju do Opiciny, w połowie wysokości wzniesienia leży willa naszej przyjaciółki Daniela i jej trzech głupich pudli, w lewo – willa Guida, wiesz, tego, co w zeszłym roku wyciął numer z „Villą Primc”, pamiętasz...? Pod osłoną nocy przykręcił z powrotem tabliczkę z pierwotną nazwą. Wystarczyło, by doprowadzić do szału faszystów! A zaraz obok jest superkwatery tego finansisty i jego żony ze sztucznym biustem; gość śpi na forsie; ale o interesach nic od niego nie wyciągniesz, milczy jak grób. To i lepiej. A teraz popatrz w prawo, na te wszystkie pałace wzdłuż nabrzeża. Pewnie o co drugim z nich mógłbym ci opowiedzieć jakąś historię, niestety, nie o wzlotach ludzkiego ducha, same ponure sprawy, którymi zajmuję się w pracy. Tam dalej, w pobliżu mariny Sacchetta, przed laty wypłynął tłusty kasek, obraz Caravaggia, eksperci do dzisiaj się kłócą o jego autentyczność. Laura miała go wtedy wystawić w swoim domu aukcyjnym, ale został skonfiskowany przez Ministerstwo Kultury. Za to teraz Laura od kilku już dni przeprowadza ekspertyzę pewnego prywatnego zbioru w innym domu przy nabrzeżu... No i Piazza Unità. Nawet nie chcę myśleć o tych wszystkich sprawach, nad którymi się debatuje, i transakcjach, które zawiera się w budynkach wokół placu. Ratusz, prefektura, rząd krajowy. Najusilniej pracują nad tym, by port nie stał się znowu konkurencyjny. Raccaro i jego banda boją się utracić wpływy. Ale to miejsce tutaj to prawdziwy raj...

Laurenti przeszedł na drugą stronę, odwrócił się plecami do miasta.



Z buteleczki przysnęło na gładką skórę Gemmy za dużo mlecznego płynu, zalewając delikatny, jedwabisty meszek w dołeczku Wenus na jej plecach. Proteo powolnymi ruchami wmasował balsam, spojrzął w dal na połyskujące morze, nad którym wiała lekka bryza.

Jego wzrok przyciągnął jacht żaglowy o szlachetnej linii, z ciemnoniebieskim kadłubem i pokładem z drewna szlachetnego gatunku; oddalony o niespełna pięćdziesiąt metrów od Diga Vecchia dostojnie płynął na otwarte morze. Właśnie postawiono genuę, libeccio natychmiast wydał żagiel, popychając jacht do przodu. Na dziobie, wypisane białymi ozdobnymi literami, widniało imię statku: „Amor II”. Za jednym z dwóch dużych sterów stał mężczyzna w wieku około czterdziestu lat, ze skórą jak u piezzonego kurczaka, gęstymi, czarnymi włosami na piersi i w białej bejsbolówce, której daszek osłaniał przed słońcem jego kark.

– Przyniesiesz mi też kieliszek, skarbie? – zawołał mężczyzna w głąb kabiny. Wiatr niósł jego słowa aż do Digi. – Bez paliwa się nie da. Czemu cię tu nie ma? Przynieś od razu cały kubełek. A potem postawimy grot.

Jeszcze nim Laurenti opuścił wzrok na plecy Gemmy, usłyszał dobrze znany, jasny jak dzwoneczek śmiech, zobaczył kubełek z szampanem, który obejmowały dwie szczupłe ręce, i zaraz potem z kabiny wyszła na pokład piękna kobieta, wydawało się, że okrywają ją tylko długie blond włosy. Serce na moment stanęło mu w piersi. Przetarł oczy. Krem przeciwsłoneczny zapiekł straszliwie. Jak przez mgłę zobaczył, że ci dwoje przepijają do siebie. Laura! Czy nie mówiła, że ten jacht to „Amor II”? Proteo nerwowo sięgnął po chusteczkę higieniczną. Aha, a przy sterze stoi właśnie Mariantonietta?! Ale jakoś Laura nie powiedziała, że ta kobieta ma bujnie owłosioną pierś! Laurenti omal nie zerwał się z miejsca, najchętniej zbiegłby po schodach do morza i rzucił się w pław do jachtu, który powoli nabierał prędkości. Biała piana rozbryzgiwała się na jego dziobie.

– Co się stało, Proteo? – zapytała Gemma, zdziwiona gwałtownym zakończeniem delikatnego masażu, i odwróciła się. Zmoczyła chusteczkę w wodzie mineralnej, ostrożnie wycisnęła na jego zaciśnięte powieki.

– Wiem, piecze, jak się dostanie do oczu – powiedziała miękko. – Czekaj, przemiję.

Laurenti głęboko wciągał i wypuszczał powietrze, prychnął i fukał.

– No, no, spokojnie, zaraz przejdzie – powiedziała Gemma.

– Mam nadzieję.

Laurenti kurczowo trzymał się rękami leżanki.

– Połóż się. Powiedz, co tam widziałeś?

– Ach, nic takiego, tylko ekskluzywny jacht, horrendalnie drogi.

– Masz na myśli ten z niebieskim kadłubem? O ile się nie mylę, to jest jacht Enrica D’Agostino. Cumuje obok jachtu mojego ojca. Niezły, ale są jeszcze inne, równie dobre.

– A ten D’Agostino to kto?

– Podrywacz. Jego żona Mariantonietta jest top menedżerką w największej prażalni kawy w mieście, haruje dzień i noc. On natomiast odziedziczył spadek. Żegluj. Poza tym nie robi nic. Szkoda go, właściwie to całkiem miły facet, ale marnuje swoją inteligencję. Zajmuje się tylko uwodzeniem pięknych kobiet. Zalicza jedną po drugiej, a jego żona jest tak zapracowana, że nawet tego nie widzi. Ciekawe, kogo też pan D’Agostino ma dzisiaj na pokładzie. To zdumiewające, skąd on je wszystkie bierze. Za każdym razem świeża zdobycz. Powiadają, że nigdy nie wypływa dwa razy z tą samą kobietą.

– Że co? Czy to znaczy, że ty też już z nim pływałaś?

– To naprawdę świetny skipper. Ma za sobą kilka rejsów transatlantyckich, wielokrotnie zwyciężał w regatach. Ale nie jest specjalnie w moim typie.

– Muszę się napić czegoś mocniejszego – westchnął Laurenti, wstając z leżanki. – I może ktoś poczęstuje mnie w barze papierosem.

Z daleka, z północnego zachodu, nadciągały pierwsze czarne chmury burzowe, jaskrawo odcinały się od nich jasne kolumny dymu, który ciągle jeszcze unosił się nad Krasem. Oddziały strażaków, już drugi dzień walczących z ogniem, będą wdzięczne za każdą kroplę deszczu.

# Błąd Freuda

Warunki w więzieniach w całym kraju były katastrofalne, także w Trieście siedziało dwa razy więcej więźniów, niż było miejsc. Rozporządzenie, by wszystkich obcokrajowców niemających ważnego pozwolenia na pobyt traktować jak przestępców, drastycznie pogorszyło sytuację.

Koło południa ciemnoniebieska karetka więzienna o zakratowanych oknach, wioząca Giulia Gazzę, przed ostatnim punktem opłat zjechała z autostrady – by ominąć niekończący się korek, pozostałe trzydzieści kilometrów do Triestu policjanci przejechali drogą lokalną. Funkcjonariusze z Udine przekazali Gazzę triesteńskiemu więzieniu Coroneo. Grubego mężczyznę wepchnięto do jednej z przepelnionych cel, gdzie już tłoczyło się siedmiu innych więźniów, choć pomieszczenie było przewidziane jedynie dla czterech osób. Dodatkowe łóżka polowe zabierały przestrzeń, jeden materac leżał wprost na ziemi. Gazza od razu spostrzegł, że i dla niego przewidziano prowizoryczne miejsce do spania, na wypadek gdyby adwokatowi nie udało się, wbrew jego oczekiwaniom, wyciągnąć go z paki.

Podczas jazdy Giulio nie odezwał się nawet słowem. W Udine noc spędził w celi samotnie, za to teraz musiał znosić jazgot tych wszystkich facetów. Szybko dowiedział się, kim są: dwóch Albańczyków z Kosowa – nielegalni robotnicy i kłusownicy, oczywiście bez pozwolenia na pobyt i na broń; turecki kierowca, który promem ze Stambułu przewiózł w swoim tirze trzydzieści kilo heroiny; złapano go przy wyjeździe z terenu portu wolnocłowego; Chińczyk, Erytrejczyk i Senegalczyk bez ważnych papierów. Jedyным Włochem był emeryt, niestary jeszcze, który na plaży w Barcoli potajemnie fotografował gołe małe dzieci, i omal nie został zlinczowany przez rozwścieczonych plażowiczów. Nos i połowę twarzy zakrywał mu gruby opatrunek, prawe oko miał podbite na fioletowo, nabiegłe krwią i zapuchnięte. Bez przerwy gadał do nowo przybyłego – nareszcie jakiś

Włoch, który rozumie, co się mówi! Zaklinał się, że jest niewinny. Jest tylko zapalonym fotografem amatorem, nie miał żadnych złych intencji!

– Demokracja to gówniany ustrój! – wykrzykiwał. – Włochom pilnie potrzebny jest prawdziwy mąż stanu, który żelazną ręką przywróci porządek!

– Stul pysk! – warknął wreszcie Gazza, znużony nieustannym jazgotem tamtego. – W innym ustroju już byś łupał kamienie na jakiejś jałowej wyspie!

Co właściwie triesteńska prokuratura ma na niego? – zastanawiał się. W końcu ani nikogo nie zamordował, ani nie obrabował banku. A według tego, co wczoraj po południu zdradził ten cały Laurenti, dowody mają nader mizerne. Że to nie on nadał pakiet do tej Angielki, mógłby potwierdzić kierowca z firmy kurierskiej. Giulio doskonale znał triki gliniarzy: aresztowanie go to była tylko durna próba zastraszenia, ustępstwo wobec Angielki jego kosztem. Ze strachu przed złą prasą. Oczywiście zarekwirowali jego komputer i komórkę, sprawdzili samochód, przejrzeni papiery i dokumenty na biurku. Jednak zgodnie z prawem w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od aresztowania o dalszym zatrzymaniu powinien rozstrzygnąć sędzia śledczy, gdy tymczasem on nie dostał nawet jeszcze zaszczytu oglądania prokuratora. To pewnie jest powód tego przeniesienia do Triestu – w szczycie sezonu letniego nikt z tej całej bandy nie będzie się przecież z powodu takiej niedorzecznej sprawy pakował na autostradę.

Gazza policzył, ile godzin od zatrzymania ma już za sobą. Kiedy po południu nie udało mu się skontaktować z Raccarem, w obecności komisarza Laurentiego zadzwonił do Aurelia i przedstawił mu sytuację. Gnojek się przeraził, obiecał solennie, że natychmiast zawiadomi kancelarię Lelego i że ich pogoni, tak że Giulio wieczorem powinien być już wolny. Jediną rzeczą, która teraz wnerwiała Gazzę, była niepewność co do dalszego przebiegu dnia. Zapytał o to funkcjonariusza, który po przybyciu tutaj znowu zabrał jego rzeczy osobiste, a potem też klawisza. Obaj z kamiennym wyrazem twarzy obojętnie wzruszyli ramionami – tak było za każdym razem, gdy trafiał do pudła. Ostatnio siedział półtora roku – ale od tamtej pory minął kawał czasu. A to czekanie, jak teraz, było nieprzyjemne. Skazanie, tak jak

uniewinnienie, dawało przynajmniej pewność.

\* \* \*

Taksówka zatrzymała się na wąskiej, bocznej uliczce przy potężnym budynku z białego marmuru, przed głównym wejściem, nad którym w kamieniu wyryty był napis QVESTVRA, komenda. W sobotę po południu nie było tu na ulicy żywego ducha. Candace, trzymając w lewej ręce torbę podróżną, z pewnym wahaniem weszła po trzech stopniach, otworzyła ogromne drzwi. Foyer miało w sobie coś upiornego: szerokie, wyłożone czerwonym chodnikiem marmurowe schody prowadziły na górę, obok nich była nisza przypominająca kościelną kaplicę, na ścianach wypisano nazwiska funkcjonariuszy, którzy na służbie stracili życie.

– Czy mogę pani jakoś pomóc?

Candace rozejrzała się, szukając, skąd dochodzi głos, i w końcu spostrzegła dalej po prawej drewniane podwyższenie odgrodzone barierką, gdzie dyżurna policjantka siedziała znudzona przy biurku.

– W soboty okienka urzędu do spraw obcokrajowców są czynne od ósmej do trzynastej – usłyszała jeszcze.

– Ja w innej sprawie. Chciałabym mówić z osobą przełożoną. – Włoski Candace był jeszcze nieporadny, mimo to czuła się dobrze w tym języku.

– A o co chodzi?

– Szukam matki. Miała po mnie przyjechać na lotnisko, ale się nie zjawiała. Nigdzie jej nie ma. Wiem, że ostatniej nocy złożyła tu doniesienie, gdyż czuła się zagrożona. Boję się, że coś mogło się stać.

– Jak się nazywa pani matka?

– Miriam Natisone.

– A pani?

– Candace Elliot.

– Proszę pokazać dowód.

Candace położyła dokument na pulpicie, policjantka zmierzyła ją badawczym spojrzeniem. Przy słowie „wzrost” spojrzała na nią jeszcze raz: metr osiemdziesiąt dwa. Palec wskazujący funkcjonariuszki przesunął się po spisie numerów telefonicznych. Zadzwoiła do kogoś, po krótkiej rozmowie ponownie sprawdziła listę, palec zatrzymał się przy jednym z numerów.

Dopiero przy drugim telefonie podniosła głowę i spoglądając na Candace, powiedziała:

– Jeszcze raz nazwisko pani matki, proszę.

– Nazywa się Miriam Natisone.

Po kilku słowach funkcjonariuszka odłożyła słuchawkę.

– Proszę tu poczekać. Zaraz ktoś po panią przyjdzie. Co ma pani w tej torbie?

– To torba podróżna. Dopiero co przyleciałam.

Także w Trieście stosowano zwyczajowe kontrole. Już na zewnątrz Candace zauważyła na budynku kamery monitoringu. Rozejrzała się po hali – monumentalna architektura z lat trzydziestych. Nagle stanęła przed nią niewielkiego wzrostu kobieta w T-shircie i džinsach, sięgająca jej ledwie do ramienia, i poprosiła, by Candace zechciała z nią pójść. Wyprzedzając ją i biorąc po dwa stopnie naraz, weszła po szerokich schodach, po czym energicznym krokiem poprowadziła Candace długim korytarzem, pomalowanym szarą farbą olejną. Weszły do jakiegoś pokoju, policjantka poprosiła ją o zajęcie miejsca przy biurku, na którym stała tabliczka identyfikacyjna: inspektor Giuseppina Cardareto. Niewysocy są zwykle najbardziej energiczni, Candace odczuła ulgę. Policjantka jeszcze raz spisała dane, zapytała także o numer komórki i podała jej swoją wizytówkę. Potem otworzyła teczkę z aktami, tak by Candace nie mogła dostrzec zawartości, zaczęła przerzucać kartki, po czym pokazała jej zdjęcie kobiety o czerwonych włosach, z dziwnie zamkniętymi oczami.

Candace, przerażona, zerwała się z krzesła, wyrwała jej fotografię z ręki.

– Żyje – powiedziała natychmiast inspektor. – Wyjdzie z tego. Proszę się uspokoić. Miała dużo szczęścia.

– Gdzie jest? Chcę ją zobaczyć!

– Nie nadaje się do przesłuchania.

– Przecież nie chcę jej przesłuchiwać! To moja matka. – Candace zerwała się z krzesła. – Gdzie ona jest?

– W naszej poliklinice. Jest w dobrych rękach. Niech pani da jej i sobie trochę czasu.

– Ktoś jej coś zrobił? Co się stało, na miłość boską!

– Tego jeszcze nie wiemy. Są pewne sprzeczności. Na narzędziu przestępstwa jest kilka odcisków palców. Jednak żaden morderca nie trzyma noża tylko dwoma palcami.

Candace patrzyła na inspektorę szeroko otwartymi oczami.

– Nie nadążam za panią – powiedziała. Niektórzy ludzie nie potrafią sobie wyobrazić, że rozmówca może czegoś nie rozumieć.

– Oba odciski należą do pewnego Somalijczyka, handlarza ulicznego. Podejrzany też leży na intensywnej terapii. Jego także nie da się teraz przesłuchać. Jest pod strażą.

– Alberto! – zawołała Candace. – Matka napisała mi o nim w mailu. Pomagał jej, fotografował tego człowieka, który ją śledził.

Policjantka kiwnęła głową.

– To możliwe. – Jej ręka spoczywała na aktówce, głos brzmiał ostro. – A więc rozmawiała pani o tym z matką?

– Tak. Wczoraj po południu. A dzisiaj koło czwartej nad ranem wysłała mi e-mail.

– Ma go pani może przy sobie?

Candace kiwnęła głową, wyciągnęła z tylnej kieszeni džinsów trzy złożone kartki, policjantka wyszła na korytarz, aby je skserować. Candace wykorzystała okazję, otworzyła teczkę. Fotografie matki leżały na samym wierzchu. Miriam wyglądała strasznie, twarz zakrwawiona, obrzęknięta, puste spojrzenie. Na powiększeniu widać było zaszytą ranę ciętą na szyi, wystawał z niej przezroczysty dren. Candace szybko zamknęła teczkę, gdy usłyszała kroki policjantki na korytarzu.

– Czy to u pani matka złożyła doniesienie? – zapytała, gdy inspektor oddawała jej oryginały.

Policjantka na sekundę spuściła wzrok.

– Tak. Potem kazałam ją odwieźć pod ochroną do apartamentu. Właśnie dzisiaj o tej porze miała przyjechać tutaj, żeby obejrzeć zdjęcia z naszej bazy danych. – Pina stłumiła ziewnięcie, potem wyciągnęła z aktówki klucz. – Strada del Friuli dziewięćdziesiąt osiem. Nie miałam jeszcze czasu, by się tam rozejrzeć. Jeśliby pani chciała, możemy pojechać razem. Ale nie wiem, czy będzie pani mogła tam pozostać. To zależy od tego, co znajdziemy.

Funkcjonariuszka rzuciła okiem na ogromny zegarek na ręce, znowu stłumiła ziewnięcie, wystukała na klawiaturze komputera trzy zdania. Potem przedłożyła Candace do wglądu zwinęły protokół, poprosiła o podpis.

– Proponuję, byśmy pojechały od razu. – Wstała, wyjęła z szuflady ciężki pistolet, wetknęła go do kabury przy pasku. Narzuciła na ramiona lekką kurtkę, która ledwie przykrywała broń.

– Chciałabym pójść do mamy. Kiedy będę mogła?

– Rozumiem, *signorina*, oczywiście, może pani zaraz do niej iść, jeśli tylko lekarze pozwolą. Ale była operowana ledwie przed paroma godzinami. Proszę poczekać przynajmniej do czasu, aż się obudzi z narkozy.

Mała policjantka była więc zdolna do ludzkiego współczucia. Nawet do łagodnego uśmiechu. Na kartce zanotowała adres szpitala i oddziału, na którym leżała Miriam Natisone.

– Tymczasem mogłaby mi pani pomóc: mogłybyśmy razem przejrzeć rzeczy matki. Zgodzi się pani?

Inspektorka odmeldowała się u głęboko wydekoltowanej koleżanki, której palce z nieprawdopodobną prędkością śmigwały po klawiaturze komputera i na której biurku w pełnej po brzegi popielniczce kopciły się jednocześnie dwa papierosy.

\* \* \*

Laurenti był w nastroju ponurym jak chmury burzowe na horyzoncie. Ledwie w barze kąpieliska jako tako doszedł do siebie po widoku gęsto owłosionej piersi Mariantonietty, a już Gemma oznajmiła mu, że pod koniec przyszłego tygodnia jedzie na urlop z Alvarem, swoim długoletnim mediolańskim partnerem. Wybierają się w daleki rejs na jachcie jej ojca. Pier Mora zapowiedział swój powrót na następny dzień, będzie też znowu przyjmował w gabinecie w czasie jej urlopu. Gemma powiedziała, że tym razem nie ma ochoty na Kornaty i wybrzeże Dalmacji. Chce pozełgować aż do Apulii, potem, na wysokości Gargano, przepłynąć na drugą stronę, na Korfu, Kefalonię i na Morze Jońskie. Cztery długie tygodnie. Proteo w milczeniu przyjął jej słowa do wiadomości, potem wycygnął od kelnerki kilka papierosów, nerwowo wypalił jeden po drugim. Włączył ponownie komórkę, odczytał wiadomość od Galvana: „Widziałem twoją vespę przy



molo, czekam w «Caffè Tommaseo»”. Pożegnanie z Gemmą tym razem nie było zbyt wylewne, łódź transportowa właśnie odcumowywała, gdy wskoczył na pokład. Rzeczywiście był na Diga Vecchia nie dłużej niż godzinę. Podczas przeprawy nagle zaczął się śmiać: lato rogaczy. I znowu przypomniawszy mu się ta gwizdana melodia z filmu *Kill Bill* Quentina Tarantino.

– Dłużej już byśmy nie czekali, Laurenti. Pies nie wytrzyma w tym upale.  
– Starszy pan zawsze zaczynał rozmowę od mniej czy bardziej ukrytych wyrzutów. Był w towarzystwie Rosjanki, siedzieli w cieniu markizy najstarszej kawiarni w mieście.

Stary medyk odłożył gazetę, gdy Laurenti usiadł przy stoliku i przywitał się z jego żoną – poprzedniego dnia jasna skóra Rosjanki była o wiele za długo wystawiona na działanie promieni słonecznych: policzki Raisa miała jak pomidory, nos wyglądał jak truskawka, czoło jak arbuz. Warzywnik Marca wypadł przy tym blado. Za to teraz Rosjanka miała na sobie białą bluzkę z długimi rękawami, zapiętą pod samą szyję. Na komplement Laurentiego, że dobrze wygląda, odpowiedziała smętnym uśmiechem, po czym sięgnęła po gazetę.

– Byłem w szpitalu – powiedział Galvano. – Odwaliłem policyjną robotę za pana komisarza, który w tym czasie poszedł sobie popływać. Alberta nieźle urządzili. Złamana dolna szczęka, kość policzkowa i nos, do tego trzy żebra, lewe przedramię i lewa kość łonowa; i paskudne zmiżdżenie jąder, mały włos, a trzeba by amputować. To cud, że nie zostały uszkodzone narządy wewnętrzne. Te bydlaki musiały go jeszcze kopać, gdy leżał bezbronny na ziemi. I z całą pewnością jeden z nich musiał użyć pałki, kija bejsbolowego albo czegoś podobnego. Nie wiem, jakim cudem zdołał cię jeszcze zawiadomić. Facet ma żelazną wolę. Jest przypadkową ofiarą. Moim zdaniem, ktoś go wrobił, gdyby był sprawcą, nie zawiadamiałby przecież policji.

– Bał się o życie, Galvano – odparł na to Laurenti. – Zawsze to lepiej wylądować w pudle niż zostać zatłuczonym na śmierć. Zresztą rozmawiałem po operacji z lekarzem. Powiedział mi, że obrażenia pochodzą od kopniaków i uderzeń pięścią. O kiju bejsbolowym nie wspomniał – dodał, choć

właściwie ekspertyzie Galvana można było ufać na ślepo.

– Widziałem ofiarę, Laurenti. I wiem, o czym mówię. Narzędzie musi tam gdzieś leżeć, poszukajcie, nie może być dalej niż w promieniu rzutu silnego mężczyzny.

– W takim razie chłopaki od zabezpieczania śladów musieli je już znaleźć i zdjąć odciski palców. Odcięli kawał terenu wokół miejsca przestępstwa, nic im nie ujdzie.

– A ta rzekoma próba gwałtu to kompletna bzdura, odpuść sobie. Siedziałem przy jego łóżku pół godziny, aż w końcu otworzył oczy. Jak tylko mnie rozpoznał, od razu zaczął mówić. Co prawda, ledwie go mogłem zrozumieć. Cały czas pytał o tę kobietę. On chciał jej pomóc. A ci kretyni od razu się na niego rzucili, bez najmniejszego zastanowienia. Dla nich wszyscy czarni to gwałciciele i kanibale. Ona nazywa się Miriam, jakoś tak?

Laurenti kiwnął głową.

– Miriam Natisone. Angielka. Dziennikarka.

– Jeszcze i to! Brytyjskie media rozszarpią nas na strzępy, znowu zrobią mafiosów ze wszystkich Włochów. Jak tylko ci w ministerstwie zobaczą, co się święci, od razu odbiorą ci sprawę, zresztą pewnie się z tego ucieszysz. Ale Alberto zostanie kozłem ofiarnym, i na wiele lat wpakują go do pudła jako afrykańskiego bandziora i gwałciciela. A na koniec go wydadzą. Zrób coś, Laurenti.

– Jasne, zaraz pojedę do Rzymu i obalę rząd. Alberto coś jeszcze powiedział?

– Miriam. I aparat. Poza tym nic. Zaraz znowu zasnął. A czy mógłbyś mi zdradzić, czemu przed jego drzwiami stoi straż? Boicie się może, że wam zwieje? Bez obawy. Na pewno nie w ciągu najbliższych czterech tygodni. Przez ten czas możesz lepiej wykorzystać swoich ludzi.

– Nigdy nie wiadomo, Galvano.

Jeszcze w parku Laurenti wydał polecenie, by wysłano do kliniki dwóch funkcjonariuszy. Jeden ma pilnować Alberta, a drugi czerwonowłosej kobiety. Kto może zagwarantować, że sprawca nie zechce dokończyć dzieła? Pewni będą mogli być dopiero wtedy, jak wydobędą prawdę od tych łysoli ze straży obywatelskiej.

– Dobra robota, Galvano – powiedział w końcu Laurenti, podnosząc się.  
– Kiedy znowu do niego zajrzysz?

Rosjanka natychmiast wynurzyła się zza gazety, wyzywająco spojrzała na starego.

– Dzisiaj nie odstąpi mnie już więcej na krok, *commissario* – zaprotestowała. – Weekend należy do rodziny.

– Po południu – odparł Galvano. Uwaga żony najwyraźniej mu umknęła.  
– W końcu ktoś musi się o niego troszczyć.

– W żadnym wypadku! – sprzeciwiła się Raisa. – Przysięgałeś mi wierność, Johnie Achille Oreste – zaskrzeczała nerwowo.

Laurenti jeszcze nigdy nie słyszał, by ktoś zwracał się do Galvana imieniem, a co dopiero wszystkimi trzema naraz. Przypatrywał się scenie, wstrzymując się od komentarza.

– Wierność! A co to ma wspólnego z wiernością? – Galvano wyprostował się tak gwałtownie, że aż pies leżący pod stołem poderwał się i głośno szczeknął. – Jakby to była zdrada! Przesadzasz, moja kochana.

– Masz wybór. Albo on! – Rozwścieczona wskazała na Laurentiego. – Albo ja.

– A czy ty wiesz, że w Londynie dopiero niedawno odnaleziono ostatnie pisma, jakie Zygmunt Freud napisał ledwie kilka godzin przed samobójstwem? – Głos Galvana był słodki jak miód. Wyciągnął z paczki mentolowego i zapalił. – Papiery były ukryte w tapicerce jego sofy.

– Co ty bredzisz? Nie słyszałeś, co powiedziałam? – Ze zdenerwowania wyrzuciła z siebie wściekłe, długie „r”; zabrzmiało to tak, jakby wzburzone morze cisnęło na brzeg kupę otoczków.

Laurenti już się odwracał, by odejść, lecz stary jeszcze nie zamierzał go puścić.

– Freud napisał, że się we wszystkim omylił. Mówienie o wierności pojedynczej daleko odbiega od rzeczywistości, wierność w takiej formie nie istnieje. Tym samym nie istnieją też zdrada i cudzołóstwo. To błędna interpretacja lęków wygenerowanych przez chrześcijaństwo. Jedynie słuszne pojęcie to wierność paralelna, jednoczesna! Zgadza się, Laurenti? – Galvano pogłaskał psa, na moment zamilkł, przyczaił się, spoglądając z ukosa na

Raisę, i gdy tylko Rosjanka otworzyła usta, znowu zaterkotał: – Mądrość wielkiego człowieka na łożu śmierci. A więc po co te nerwy, Raiso! Uspokój się. Po południu znowu pójde do Alberta. Jak chcesz, możesz iść ze mną, ale pod warunkiem, że będziesz trzymać buzię na kłódkę.

Raisa, nadąsana, znowu skryła się za gazetą, którą dopiero po chwili odwróciła we właściwą stronę.

– Czy Freud rzeczywiście coś takiego napisał? – zastanowił się głośno Laurenti, z niedowierzaniem podrapał się w głowę.

– Oczywiście – potwierdził stary doktor z powagą i mocno zaciągnął się papierosem. Nieruchomym spojrzeniem wpatrywał się w morze. – Niestety, za późno. To tragiczne. Nikt nigdy o tym nie napisze i ludzkość będzie popełniać ten sam błąd do końca swoich dni.

\* \* \*

W mieszkaniu pod latarnią morską stały do połowy rozpakowane walizki na kółkach, na jednym z regałów Miriam zawiesiła dwie sukienki. Inspektor i Candace nie odkryły niczego podejrzanego, żadnych śladów włamania, zamki też były nietknięte. Dwaj mundurowi, którzy im towarzyszyli, czekali na ulicy. Pina zdecydowała, że weźmie tylko laptop Miriam i jej notatnik. Candace uważnie go przejrzała, jednak nie znalazła nic poza zapiskami na temat miasta kawy. Inspektor oświadczyła, że musi zarekwirować laptop. Candace stanowczo się sprzeciwiła. W końcu policjantka obiecała jej, że na komendzie będzie mogła zgrać notatki na swój laptop, by można je było przeczytać. W wydziale tylko kolega Battinelli zna dobrze angielski, lecz akurat dzisiaj jest nieobecny. Jednak działać trzeba szybko i pomoc Candace mogłaby się bardzo przydać.

Pina Cardareto zrobiła wielkie oczy, gdy weszła do eleganckiego apartamentu z zapierającym dech widokiem na port, miasto i morze. Beton, cement, stal szlachetna, mnóstwo szkła. Przez głowę przemknęło jej, że przy swoich poborach nigdy nie będzie mogła sobie pozwolić na takie lokum. Na to musiałaby poślubić notariusza, z którym spotyka się od czasu do czasu od ponad miesiąca. Ale on jest żonaty i ma dwójkę dzieci. Przystojny mężczyzna zagadnął ją pewnego dnia, gdy w „Capriccio” samotnie pochłaniała swoją pizzę – siedział przy stoliku obok. Do tego lokalu przy Piazza Libertà Pina

zachodziła często po treningu, uważała, że tutejsza pizza jest jedną z najlepszych w mieście.

Zdziwiło ją, kiedy się okazało, że Roberto Piccardi wie, iż ona pracuje w policji kryminalnej. Ale zaraz dowiedziała się, że spędzał wakacje w Kalabrii, w jej stronach ojczystych. I faktycznie dobrze znał region, łącznie z jej miejscem urodzenia, Africò na wybrzeżu Costa dei Gelsomini – matka Piny prowadziła tam aptekę.

Piccardi zadzwonił do niej już następnego dnia i zaprosił ją na drinka do „Le Bollicine”, na via Rossini w pobliżu Canale Grande. Pina ze względu na niego napiła się nawet szampana, choć wolałaby piwo. Kiedy potem odwiózł ją do domu, cały się rozjaśnił na widok jej dwupokojowego mieszkanca na via Lazaretto Vecchio. Powiedział, że przypomina mu studenckie lata, najszcześniejszy czas w życiu. Pina szybko odrzuciła wątpliwości, pomyślała, że romans i tak nie potrwa długo. Facet był wprawdzie bardzo szarmancki, ale o wiele za często pytał, co się dzieje na komendzie.

Candace, ze zdenerwowania ogryzając paznokcie, rozejrzała się na tarasie: obok leżanki stała do połowy opróżniona szklanka wody, leżał przedłużacz, a w popielniczce niedopałek jointa. Niepostrzeżenie wyrzuciła go do ogrodu. Wszystko wskazywało na to, że jej matka siedziała tutaj ostatniej nocy, pisząc wiadomość do niej i do mecenasa Jonesa.

– Mogę tu przenocować? – zapytała inspektor.

– Jeśli szef zezwoli, to ja nie mam nic przeciwko temu, *signorina*. Ale najpierw muszę go zapytać.

– Kto jest pani szefem?

– Komisarz Laurenti. To on znalazł dzisiaj rano w parku pani matkę, razem z tym Albertem.

– A znaleźliście też jego aparat fotograficzny? – zapytała Candace. – W ostatnim mailu mama napisała, że miał go oddać dzisiaj rano i dostać za to pięćset euro. Potem chciał zerwać z nią wszelkie kontakty. Czuł się zagrożony. Nie chciał, aby widziano go razem z nią. Niestety, nie napisała mi, czego się bał.

– Tak, tak, mamy aparat. Jestem pewna, że zdjęcia będą już u mnie na biurku, gdy wrócimy na komendę.

– Ale ja chcę zobaczyć matkę. I to zaraz.

Pina poprosiła kolegów, żeby wysadzili ją przed komendą, a potem zawieźli Candace do polikliniki. Mieli ją odprowadzić do samego pokoju matki, żeby funkcjonariusz, stojący na straży przy drzwiach, ją przepuścił. Z powrotem Candace musi sobie poradzić sama – inspektor będzie na nią czekała w biurze.

– Straż przy drzwiach? – zdziwiła się Candace.

– Polecenie komisarza. Dopóki nie mamy stuprocentowej pewności, kto jest sprawcą – powiedziała inspektor; tym razem nie udało jej się powstrzymać długiego ziewnięcia.

\* \* \*

– Potrzebny mi nakaz rewizji, *dottoressa*! To pilne! – krzyknął Laurenti do telefonu, jeszcze zanim przejrzał wszystkie zdjęcia, leżące przed nim na biurku. – Numery rejestracyjne białego malaguti widać też wyraźnie w zapisach z kamer przy bramie do przyzamkowego parku. Podejrzany przejechał tamtędy krótko po piątej dzisiejszego ranka! To Aurelio Selva, via Donota jeden, czternaste piętro.

Laurenti nie musiał długo przekonywać Ivy Volpini, że sprawa jest pilna.

Inspektor Pina Cardareto stała obok szefa z kubkiem kawy, którą przygotowała dla niej asystentka komisarza. Marietta była dziś zadziwiająco miła i wyrozumiała dla Piny, wiedziała, że jej koleżanka ma za sobą nocny dyżur i że potem spała ledwie trzy godziny. Inspektor odebrała zdjęcia od fototechnika, porównała je w komputerze z informacjami dostarczonymi przez Miriam Natisone. Nie było żadnych wątpliwości.

– Jadę z panem – zarządziła prokurator. – Za pół godziny spotkamy się przed głównym wejściem do budynku. Dokładnie o piętnastej. Zdąży się pan przygotować?

– Marietta, grupa specjalna. Natychmiast. Wiesz, co robić. Aha, i jeszcze jedno: idziemy pieszo! – krzyknął Laurenti do przedpokoju, ledwie odłożył słuchawkę.

Wyciągając broń z szuflady i wkładając magazynek, spojrział przez okno na wieżowiec naprzeciwko, u którego stóp, w *teatro romano*, przed dwoma dniami kręcono scenę do filmu kryminalnego.

– Co z przesłuchaniem tych trzech ze straży obywatelskiej? – zapytał inspektor Cardareto.

– Z ich przywódcą nie poszło tak łatwo, trudno było go zmiękczyć – powiedziała Pina. – Ale się udało. Marietta mi pomogła, udawała łagodną i macierzyńską, to był dobry sposób. W każdym razie to, że się pan tak szybko zjawił, kompletnie ich zaskoczyło, szefie. Kiedy usłyszeli syrenę, byli przekonani, że to z planu filmowego. Właśnie się kłócili, co powinni zrobić, nie zawiadomili nawet pogotowia. Myśleli, że wystarczy, jak powiedzą, że znaleźli ofiary w takim stanie. Gdyby nie zauważył pan tej plamy krwi na rękawie dowódcy, *commissario*, to pewnie mieliby szansę. Ich wierzchnie ubrania są w drodze do laboratorium w Padwie. Dopiero jak technicy pobrali od nich materiał spod paznokci, boss trochę zmiękł i nagle zaczął twierdzić, że to Alberto ich zaatakował, a potem próbował uciec. Wszyscy tak zeznawali. Umówili się. Na sto procent. Mieli dość czasu, zanim dostali się w moje ręce. Dalej nie doszłam. Muszę najpierw jeszcze raz przeczytać zeznania, przeanalizować szczegóły, znaleźć sprzeczności. Jak tylko Marietta wszystko spisze. Przyduszę ich przy następnym przesłuchaniu.

– Gdzie są teraz?

– W kiciu, oczywiście. Osobno. Wszyscy trzej zgodzili się na obrońcę z urzędu. Jeden bredził coś o zaburzeniach rytmu serca i zażądał lekarza.

– Ach, mój Boże! Problemy z sercem! Ale nocą strażujemy i odgrywamy ważniaka! On myśli, że się w ten sposób wywinie. Żałosne.

– Żaden z nich nie grzeszy inteligencją.

– Idziemy! – powiedział Laurenti i wetknął pistolet do kabury.

\* \* \*

„Greta Garbo”, mimo maksymalnie zrefowanych żagli, mocno przechylała się pod ostrym wiatrem, ciężki, stary dwumasztowiec pruł fale, jakby przeszedł kurację odmładzającą. Gdy przed godziną ciemna ściana chmur przesunęła się dalej na wschód i słońce nie mogło się już przebić, kolor morza z głębokiego błękitu przeszedł w szarą zieleń. Grzywiaste fale załamywały się gwałtownie, biała piana niby jedwabne zasłony mknęła nad wodą, wiatr miotał bryzgi na pokład. Dochodził już do siedmiu stopni i będzie się dalej nasilał. Drobny, niski mężczyzna w czapce bejsbolowej, spod

której wymykały się, powiewając na wietrze, przeredzone włosy, stał za sterem i uśmiechał się zadowolony, choć wiedział, że wkrótce będzie musiał uruchomić diesla i automatyczny kabestan, by zwinąć żagle – niebezpieczeństwo, że Vittoria, która wymiotowała, przechylona przez burzę od zawietrznej, wypadnie, było zbyt duże. On, stary wilk morski, rozkoszował się burzą bardziej niż najpiękniejszym letnim dniem ze świeżą bryzą, a jacht nic sobie nie robił nawet z najgorszej pogody. Ujście Padu mieli od pół godziny za sobą i Lele widział teraz błyskawice nad turystycznymi silosami przy plażach Lidi Ferraresi, wybrzeży ferraryjskich. Jemu, inaczej niż jego towarzysze, długie rejsy przy złej pogodzie nie dawały się we znaki, im ostrzej wiatr świstał w uszach, tym lepszy miał humor. Rozległ się grzmot, tak głośny, że niemal zagłuszył wściekle wycie wiatru. Od Rimini dzieliło ich jeszcze czterdzieści pięć mil morskich. Raccaro chciał zacumować w tamtejszej marinie późnym popołudniem; miał po niego przyjechać szofer Instytutu Finansów Republiki San Marino. Trzeba było ulokować zawartość walizeczki, którą Lele przyniósł na pokład i zamknął w szafie.

Vittoria poczuła się akurat trochę lepiej, lecz nie opuszczała swojego miejsca przy burcie. Usiadła tylko i upięła włosy. Jej wzrok szukał oparcia na cienkiej linii brzegu, widocznej na horyzoncie. Po kilku minutach dostrzegła na falach rozbłyski niebieskiego światła. Wyjęła z uchwytu lornetkę, ustawiła ostrość.

– Płynie na nas straż wybrzeża – powiedziała w końcu, wskazując wyciągniętą ręką w kierunku łodzi. – Będziemy mieli wizytę?

Lele zablokował ster, wziął od Vittorii lornetkę.

– Możesz być spokojna, to nie do nas. Pędzą tak, że albo to akcja ratunkowa, albo mają coś grubszego na oku – powiedział. – Pojęcia nie masz, ilu niedoświadczonych weekendowych kapitanów trzeba ratować za każdym razem, jak zmienia się pogoda. Zwykle przeceniają swoje umiejętności.

Lele odpalił diesla, nacisnął przycisk automatycznego kabestanu; „Greta Garbo” prostowała się z każdym centymetrem zwijanego żagla. Jacht nabrał pędu, dziób od czasu do czasu nurkował głęboko w fale, bryzgi piany spadały na pokład. Vittoria znowu wymiotowała, przechylona przez burzę.



Łódź patrolowa zbliżała się szybko, stale utrzymując kurs na dwumasztowiec. Niebieskie światło rozbłyskiwało regularnie, biały kilwater zakreślał lekki łuk. Lele zrozumiał, że się omylił. Ale chyba ci ludzie nie sądzą, że on potrzebuje pomocy? Czy coś się stało? Niech no tylko spróbują go zatrzymać! Już on im pokaże!

W dziesięć minut później jednostka straży wybrzeża skrzyła na bliski kurs równoległy. Szybko ich dogonili. Raccaro niedbałym ruchem ręki odpowiedział na pozdrowienie oficera, który stał na pokładzie, a potem poszedł na mostek i wziął do ręki megafon.

– „Greta Garbo”, czy pan mnie słyszy?

Lele kiwnął głową i podniósł w górę kciuk.

– Mam rozkaz odprowadzić pana do portu w Rawennie. Proszę zmienić kurs na 227 stopni południowy wschód, proszę wprowadzić następujące współrzędne: 44°30'0" północ, 12°17'0" wschód. Jeśli pan zrozumiał, proszę potwierdzić rogiem sygnałowym. Powtarzam...

Co jest, do cholery?! Odbiło im?! Lele zjeżył się, nie usłuchał od razu, Vittoria na chwilę zapomniała o chorobie morskiej. Łódź patrolowa nieco się zbliżyła, powtórzyli polecenie. Lele z niechęcią dał sygnał rogiem, przełożył ster, wprowadziwszy uprzednio nowe współrzędne do komputera pokładowego. Następnie włączył automatycznego pilota, zmniejszył prędkość. Potem zniknął pod pokładem. Sprawdził zasięg komórki i wybrał numer swojego adwokata w Mediolanie. Rozmowa była krótka. Nim mniej więcej za godzinę wpłynie do Rawenny, chce wiedzieć, kto mu uprzykrza życie. Tak łatwo to nie pójdzie.

\* \* \*

Dwie masywne, betonowe wieże Ospedale Cattinara na wzgórzu nad miastem w roku 1986 przyniosły mnóstwo pieniędzy pewnemu francuskiemu fotografowi, gdy ich zdjęcia swojego autorstwa sprzedał zagranicznym agencjom prasowym jako pierwszą ekskluzywną fotografię uszkodzonego reaktora w Czarnobylu – bo oczywiście autentyczne zdjęcia ze Związku Sowieckiego były nieosiągalne. Według pewnego średniowiecznego dokumentu, na wzgórzu, na którym wzniesiono klinikę, pierwszy szpital stał podobno już w roku 1389.

Candace z ulgą przyjęła pomoc uprzejmych policjantów. Najpierw przeprowadzili ją przez płataninę korytarzy na parterze, a potem zawieźli windą na dwunaste piętro kliniki. Im bliżej było do spotkania z matką, tym bardziej narastało jej zdenerwowanie. Nie mogła się doczekać, kiedy strażnik wpuści ją do pokoju. Wreszcie drzwi się otworzyły. Żaluzje były opuszczone, oczy Candace musiały się najpierw przyzwycząić do przytłumionego światła. Na moment zatrzymała się w nogach łóżka.

Matka miała bardzo obrzękniętą twarz, szyja była obandażowana, z opatrunku wystawała przezroczyista rurka. Od worka infuzyjnego do ręki Miriam zwisał plastikowy wężyk podłączony do wenflonu, obok łóżka stała aparatura monitorująca tętno i oddychanie.

Candace cicho podeszła bliżej, matka otworzyła oczy natychmiast, gdy tylko usłyszała jej kroki. Spojrzała na nią, lecz zaraz potem opuściła powieki.

– To ja, mamusiu – szepnęła Candace. – Co oni ci zrobili?

Chciała objąć matkę, lecz ona od razu szeroko otworzyła oczy. Candace zrozumiała: nie dotykać. Boli. Przyciągnęła sobie krzesło, ujęła rękę matki. Kąciki ust Miriam na moment drgnęły w leciutkim uśmiechu. Nie mogła mówić, ale jej oczy intensywnie wpatrywały się w oczy córki. Monitor zarejestrował drobne przyśpieszenie tętna.

Nie wiedziała, jak długo siedzi już przy łóżku matki: Miriam zaraz znowu zasnęła. W końcu Candace podniosła się z krzesła, wyszła na korytarz. Zapytała policjanta o pokój lekarzy.

Ciemnowłosa kobieta w wieku około czterdziestu lat spytała ją, w jakiej sprawie przychodzi, potem zaprosiła Candace do środka i poprosiła o dowód tożsamości.

– To cud, że przeżyła – powiedziała, otwierając dokumentację. – Pani matka musi mieć potężnego anioła stróża. Miała dużo szczęścia. Niech pani podziękuje Bogu.

– Co z nią? W jakim jest stanie? – zapytała Candace.

Lekarka spojrzała łagodnie, w końcu zajrzała do papierów.

– Przeszła operację. Zabieg się udał.

– Jaki zabieg?! Proszę pani, chcę wiedzieć, co dokładnie jest mojej matce!  
– wykrzyknęła Candace, teraz już rozgniewana. – Mam prawo to wiedzieć.

Jestem jej jedyną krewną. I nie jestem dzieckiem. Niech mi pani powie. – Potem uspokoiła się i dodała cicho: – Proszę.

– No dobrze. – Lekarka wyjęła z teczki kartę. – Ktoś próbował poderżnąć pani matce gardło, mało brakowało. Dlaczego się nie udało, to dla mnie zagadka. Być może coś przeszkodziło złoczyńcy. Uszkodzona jest tchawica i krtań, matka ma krwiaki i siniaki na całym ciele, przede wszystkim na głowie. Ale wyjdzie z tego. Jak na takie obrażenia jej stan jest stosunkowo dobry, ma mocną konstytucję. Teraz potrzebuje dużo spokoju. Zobaczycie pani, już za kilka dni mama poczuje się znacznie lepiej. Na razie odżywiana jest sztucznie, dostaje wszystko w kroplówce. Rany muszą się najpierw zagoić. Mówić też jej teraz nie wolno. I jeszcze coś... – Lekarka wsunęła kartę z powrotem do aktówki, zdjęła okulary do czytania, surowo spojrzała na młodą kobietę. – Należy jej oszczędzić stresu pod jakąkolwiek postacią.

Candace w milczeniu skinęła głową.

Lekarka rzuciła okiem na zegarek i wstała.

– Pewnie zapyta mnie pani teraz, kiedy mama zostanie wypisana. Niestety, w tej chwili tego nie wiem.

Candace bardzo się zdziwiła, kiedy znowu weszła do pokoju chorej. Przy łóżku, pochylony nad matką, stał chudy i bardzo wysoki stary mężczyzna, którego ogromna głowa zdawała się należeć do innego ciała. Odrzucił koc i oglądał ciało matki. Przemawiał do niej spokojnym głosem. Miriam tylko na niego patrzyła.

– Kim pan jest? – zapytała Candace ostrym tonem i rzuciła się w jego stronę.

Mężczyzna tylko uniósł lewą rękę, nawet nie spojrzał na przybyłą. Bardzo spokojnie zawiązał z powrotem szpitalną koszulę matki, ponownie przykrył jej ciało kocem.

– Co pan tu robi?! – krzyknęła Candace i chwyciła go za kołnierz.

– Jestem lekarzem sądowym. Doktor Galvano. – Przez jego twarz przebiegł uśmiech, kiedy spojrzał na młodą kobietę, która była prawie tak wysoka jak on. – A pani?

– Candace Elliot. Jestem jej córką. – Patrzyła na mężczyznę wyzywająco. Musiał mieć dobrze po osiemdziesiątce.

– Oglądałem tylko obrażenia, *young lady!* Dopóki są świeże. To moja praca.

– Czy lekarze sądowi w Trieście nigdy nie przechodzą na emeryturę?

Starszy pan zamilkł na chwilę, zaskoczony, oczy mu zamigotały. Potem odchrząknął:

– Pani matka to piękna kobieta. Miała dużo szczęścia – powiedział.

– Przed chwilą usłyszałam to samo od lekarki z oddziału. W karcie choroby widziałam też zdjęcia obrażeń mamy. Pan je wykonał?

– Nie. Technik. Zdjęcia to nie moja działka. Nie zastąpią oględzin.

– Gdzie mogę pana znaleźć? – Candace zastąpiła mu drogę.

– Proszę zapytać funkcjonariusza przed drzwiami albo dowiedzieć się w komendzie. Oni wiedzą, kim jestem. Proszę zapytać o Galvana. O doktora Galvana.

Candace poczuła na grzbiecie ręki lekkie bębnienie palców matki – szybko zrozumiała, o co chodzi.

– Chcesz coś napisać? – szepnęła.

Miriam opuściła powieki.

– Przyniosę papier i coś do pisania.

Miriam ledwie dostrzegalnie pokręciła głową.

– Nie? A co?

Znowu bębnienie palców.

Candace otworzyła swoją torbę, wyciągnęła laptop, pokazała matce, która teraz mrugnęła dwa razy. Candace włączyła komputer, wzięła poduszkę z łóżka obok, położyła na brzuchu matki, postawiła na poduszce laptop. Miriam powoli podniosła rękę, starając się palcem wskazującym trafić w klawisze. Słowa były pełne błędów i Candace śledziła jej ruchy, by lepiej zrozumieć, o chodzi.

– hzie hest gslbwrto?

– Chcesz wiedzieć, gdzie jest Alberto? – zapytała Candace.

Miriam mrugnęła dwa razy.

– Policjantka mi powiedziała, że też tutaj leży.

– to niw slbwrto...

– „To nie był Alberto”? – upewniła się Candace.

Potem Miriam wystukała:

– tatowa mmie, to był airrlo...

– „Ratował mnie. To był Aurelio”? – Candace za każdym razem pytała, upewniając się, czy dobrze zrozumiała.

Ostatnie zdanie, jakie udało się wystukać Miriam, zanim opuściły ją siły i wyczerpana zamknęła oczy, brzmiało: „Powiedz to policji”.

\* \* \*

Punktualnie o godzinie siedemnastej ciemnoniebieska limuzyna wysadziła prokurator Volpini przy Largo Riborgo, gdzie czekali na nią komisarz Laurenti, inspektor Cardareto i trzech mundurowych w kamizelkach kuloodpornych. Czekał także w gotowości ślusarz. Sześcioro policjantów przeszło sto metrów od komendy na piechotę. Laurenti bez skutku dzwonił do trzech mieszkań na niższych piętrach. Zareagował dopiero profesor literatury i otworzył drzwi na dole, gdy Laurenti oświadczył, że ma do doręczenia telegram.

Winda była za mała, by mogli wejść wszyscy naraz, jako pierwsi na czternaste piętro pojechali funkcjonariusze w mundurach i zajęli stanowiska. Na ostatnim piętrze znajdowały się tylko dwa mieszkania, na drzwiach widniały jedynie inicjały lokatorów: R.R. i A.S. Gdy tylko winda odjechała, kilkakrotnie zadzwonili do drzwi mieszkania Aurelia Selvy. Potem do dzieła zabrał się ślusarz – otworzył zamek trzema ruchami. Do środka weszli najpierw z wyciągniętą bronią funkcjonariusze w kuloodpornych kamizelkach; szybko sprawdzili pomieszczenia: czysto! W mieszkaniu nie było nikogo. Teraz mogli wejść pozostali. Jeden z mundurowych stanął na warcie na klatce schodowej.

Poza łazienką i kuchnią w mieszkaniu Aurelia były jeszcze tylko dwa pomieszczenia. Obszerny salon, połączony z sypialnią, mierzył dobre sześćdziesiąt metrów kwadratowych, urządzone było oszczędnie designerskimi meblami, okna wychodziły na północ. Łóżko było niepościelone, ale wokół nie leżały żadne porozrzucane elementy garderoby. W szafie z ubraniami panował porządek. Ani w kuchni, ani w łazience nie było brudnej bielizny. Na szklanym stoliku leżały dzisiejsze gazety, obok stały butelka i szklanka z wodą. Na regale z tyłu – sześć

albumów fotograficznych z aktami i parę innych książek, których tytuły nic Laurentiemu nie mówiły. Na najniższej półce stała włączona drukarka atramentowa, kabel łączący z komputerem zwisał z regału, ale samego komputera nie było. Dwa segregatory zawierały dokumenty osobiste właściciela mieszkania, Pina Cardareto włożyła je do kartonowego pudła, do którego funkcjonariusz w mundurze przełożył też zawartość kosza na papiery, wcześniej przesypaną do plastikowej torby. A także kamerę cyfrową.

– Tu jest jego portfel – powiedziała Iva Volpini, która przeszukiwała inny kąć mieszkania. – I kluczyki do skutera.

– A więc nie może być daleko. – Laurenti zmarszczył czoło. – Drzwi były zamknięte tylko na jeden zamek, nie zdziwiłoby mnie, gdyby się tu wkrótce pojawił. Cóż, może dotrzymania nam towarzystwa.

– O ile nie zobaczył nas na ulicy i nie wybrał się na dłuższą wycieczkę, *commissario*.

– Obok mieszka jego ojciec – powiedział Laurenti. – Założę się, że on właśnie tam siedzi. Co pani na to, żebyśmy zajrzeli i do Raccara, pani prokurator?

Iva Volpini pokręciła głową.

– Nie mamy żadnego uzasadnionego podejrzenia, panie komisarzu. Niech pan najpierw przeszuka inne pomieszczenia tutaj. Jeśli Selva faktycznie jest obok, to w końcu będzie musiał stamtąd wyjść. Proszę zadbać o to, by nie mógł tego zrobić niepostrzeżenie.

– Szefie, niech pan tu przyjdzie, szybko! – usłyszał Laurenti wołanie inspektor Cardareto, która sprawdzała następny pokój. – Mała niespodzianka!

Weszli do wąskiego pomieszczenia z zamocowaną na ścianie drabinką gimnastyczną. W uchwycie wisiały hantle. Przy oknie, przez które wpadały promienie słońca, znacząc jasny czworobok na pokrytej linoleum podłodze, stał atlas. Ława do rozciągania służyła jako siedzisko przy wstawionym tu rozkładanym stole, na którym oprócz wagi kuchennej stała zgrzewarka do plastiku i piętrzyły się materiały opakowaniowe. Obok leżał plik kwitów dostawczych wraz z naklejkami adresowymi. A na podłodze, ułożone według krajów przeznaczenia, leżały gotowe do wysyłki paczki. W adresie nadawcy

widniał słoweński Koper, oddalony od Triestu ledwie o dziesięć kilometrów. Pina wskazała na jedyną wolną ścianę w pomieszczeniu: stało pod nią kilka otwartych worków z surową kawą, opartych o trzy drewniane beczułki. Na tym na samej górze widniał napis „Jamaica Blue Mountain”.

– Nieźle – stwierdził Laurenti i głęboko wciągnął powietrze. – Ma pani ochotę na kawę? – zapytał prokurator Volpini. – Obawiam się, że teraz będzie nam jednak potrzebny jakiś pojazd. A wcześniej fotograf i technicy. Nicola Zadar ucieszy się, kiedy w końcu dostanie swój towar z powrotem.

Prokurator Volpini popatrzyła na niego pytająco.

– Tą sprawą zajmuje się jeden z pani kolegów, *dottor*essa. Przed kilkoma dniami włamano się do pomieszczeń pewnego importera kawy, skradziono cenny towar, rzadkie gatunki kawy. Na przykład ta tutaj – Laurenti wskazał na dwa worki Kopi Luwak – fermentuje w żołądku pewnego azjatyckiego zwierzątka, łaskuna muzanga, a potem jest wydalana wraz z kałem. Wygląda to jak batoniki muesli. Kawa, którą się w ten sposób pozyskuje, jest najdroższym napojem na świecie.

Iva Volpini patrzyła na niego tak, jakby komisarz się z niej nabijał.

– Smakuje mocno lasem deszczowym – dokończył Proteo Laurenti i wybrał numer Marietty. – Przyślij mi tu techników – powiedział. – Trzeba zabezpieczyć ślady. I samochód dostawczy.

– Macie go?

– Nie, ale sądzę, że zaraz dostaniemy ładny podarunek. Ekskluzywną kawę dla naszego biura. W każdym razie pierwszą sprawę mamy rozwiązaną.

Nagle z klatki schodowej dobiegły ich krzyki i odgłosy szarpaniny. Pina wypadła na zewnątrz, jednym błyskawicznym ciosem powaliła mężczyznę o tlenionych włosach, który trzymał za gardło jej stojącego na straży kolegę. Mężczyzna padł na posadzkę jak wór, a nim doszedł do siebie, już był w kajdankach. Inspektor Cardareto zostawiła go na podłodze, z trudem przekręcił się na bok; obserwował ich w milczeniu.

– Dziękuję – powiedział policjant, rozmasowując sobie szyję. – Zaskoczył mnie.

– *Signor* Selva, ledwie pana rozpoznałem – powiedział Laurenti. – A przecież jest pan znaną osobistością.

– O czym pan mówi? Nie rozumiem. – Aurelio spojrzał na niego oszołomiony.

Gruby kosmyk mocno nażelowanych tlenionych włosów przesunął mu się na czoło, odsłaniając mocno zaczerwienione miejsce na skroni, pokryte cienką skorupką przyschniętej krwi. Nie był to efekt uderzenia Piny. Wielkie bursztynowe oczy Aurelia robiły wrażenie osobliwie pustych, nieruchomym spojrzeniem patrzył w ścianę naprzeciwko. Na jego ramieniu widniała wytatuowana podobizna rozwścieczonego byka. Aurelio potrząsnął głową, jakby nie mógł zrozumieć, co mu się przytrafiło. Potem, nieporadnie z powodu skutych na plecach rąk, przesunął się do ściany i próbował wstać.

– To okropnie uciążliwe, jak ci paparazzi ciągle łążą za wami, prominentami, prawda? Wprost niewiarygodne, ile można dzisiaj zdziałać za pomocą fotografii.

Prokurator pochyliła się, spojrzała z boku na mężczyznę, który miał na szyi masywny złoty łańcuch, wisiał na nim opal ognisty wielkości śliwki.

– Piszą o nim nawet w „The Independent”. Naprawdę jest słynny.

– Jak już uporamy się ze sprawą, na pewno poproszę pana o autograf. – Laurenti uśmiechnął się złośliwie.

– Pod zeznaniem, *commissario* – dorzuciła prokurator Volpini. – Proszę go zabrać.

– Chcę mówić z moim adwokatem – zaprotestował Aurelio.

Na progu apartamentu oznaczonego inicjałami R.R., z którego, nic nie przeczuwając, wyszedł Aurelio, stał neseser i blokował drzwi.

– Jak pani uważa, pani prokurator? – zapytał Laurenti. – Czy ta teczka znajduje się wewnątrz mieszkania, czy na korytarzu?

– Stoi na klatce schodowej, Laurenti. Nie widzi pan?

\* \* \*

Schodząc na ład, Raccaro mocno ścisnął uchwyt swojego neseseru. Zgodnie z poleceniem doprowadził „Gretę Garbo” pod zadaszoną keję przed budynkiem straży wybrzeża, a Vittoria rzuciła liny marynarzowi, który zacumował jacht.

– Kto jest tu najstarszym rangą oficerem? – zapytał Lele głośno, by przekrzyczeć deszcz, który dudnił w metalowy dach.



– Poza pańskimi dokumentami wszystko ma pozostać na pokładzie jachtu! – rozkazał mocnym głosem *maresciallo* Guardia Costiera, straży wybrzeża. Chorąży odziany był w nieskazitelnie biały mundur. Słowa Raccara nie zrobiły na nim żadnego wrażenia.

Obok funkcjonariusza straży stało czterech policjantów i trzech mężczyzn około czterdziestki w kombinezonach z gładkiego materiału, z ciemnoniebieskim nadrukiem *Polizia scientifica* – technicy kryminalni. Trzej inni marynarze ze straży wybrzeża stali nieco z boku, z zaciekawieniem przyglądając się kobiecie o bujnych kształtach, która zeskoczyła z pokładu jachtu; na kusą sukienkę nałożyła o wiele za wąską wiatrówkę, która nie dopinała się na piersiach.

Lele ani myślał usłuchać rozkazu. Stał jak wrośnięty i patrzył na oficera nieruchomym wzrokiem. Po pojawieniu się tej nieszczęsnej łodzi patrolowej dzwonił po kolei do wszystkich wpływowych znajomych, uruchomił wszelkie kontakty. Vittoria przez cały ten czas wymiotowała.

Senator obiecał, że zwróci się bezpośrednio do ministra spraw wewnętrznych; jeden ze znajomych posłów zadzwonił do komendantki policji, inny – do prefekta prowincji Rawenna, który z kolei miał się porozumieć z tamtejszym komendantem policji. Jedyna informacja, jaka dotarła do Lelego na krótko przed zacumowaniem w porcie, była taka, że to triesteńska prokurator nakazała zajęcie „Grety Garbo” i na razie nic nie można na to poradzić. Raccaro przeklinał w duchu nietykalność włoskich prokuratorów, nadal gwarantowaną przez konstytucję. Legalnie nie dało się wystąpić przeciwko ich niezawisłości. Nikt nie mógł zablokować ich działań. Osoby przy władzy nie miały tu nic do powiedzenia, gdy tymczasem w innych krajach Europy niepożądane politycznie procesy dławiono na wstępie, niewygodnych śledczych dymisjonowano lub awansowano. Zależnie od okoliczności. A tutaj rząd, zmuszony sytuacją, musiał przedstawiać coraz to nowe projekty ustaw, którymi chciano się bronić, zdaniem Raccara – słusznie.

– Zajmujemy pański jacht – oświadczył jeden z policjantów, na którego kurtce widniały białe litery *Anticrimine*. – Nakaz prokuratury w Trieście. – Podał Raccarowi dokument. – Proszę oddać mi walizkę, *dottore* Raccaro.

Lele wetknął neseser między kolana, wygrzebał z kieszeni na piersi okulary do czytania, potem rzucił okiem na pismo.

– Ten nakaz dotyczy jachtu, rzeczy osobiste nie są wymienione – powiedział w końcu. – Walizkę zatrzymam, z resztą możecie robić, co się wam podoba.

– W ten sposób popełnia pan przestępstwo, *dottore* Raccaro. Próba zatajenia dowodów. W tej sytuacji muszę pana aresztować. Niepotrzebnie pan sobie utrudnia. I tak dostaniemy walizkę.

Technicy kryminalni precyzyjnie się obok Lelego i weszli na jacht. Dwóch zabrało się do przeszukiwania pokładu, trzeci wszedł do jednej z kabin.

– A jaki jest powód tego wszystkiego? – Lele wyraźnie stracił panowanie nad sobą. – Jakieś doniesienie? Tu nic o tym nie ma. – Wściekle zamachał pismem.

– Wykonujemy polecenie służbowe, *dottore* Raccaro. Niech pan nie pogarsza swojej sytuacji.

Lele uparcie przyciskał walizeczkę do piersi, jak dziecko ukochanego misia. Stał plecami do „Grety Garbo” i nie widział, że mężczyzna w białym kombinezonie dokładnie ogląda reling, pokład i wanty. W pewnym miejscu obok drabinki kąpielowej zrobił kilka zdjęć z różnych pozycji, a potem spomiędzy prętów zamocowania wspornika wyciągnął pincetą kawałeczek jasnego materiału wielkości monety dwa euro. Włożył materiał do plastikowej torebki, zamknął ją pieczętując i opatrzył etykietką.

– To jak? Odda pan dobrowolnie, Raccaro? – zapytał funkcjonariusz, a skoro zobaczył, że drobny mężczyzna nie zamierza się rozstać ze swoją walizeczką, dał znak dwóm kolegom, na co ci podeszli do starego i ujęli go za łokcie. Nie tykając neseseru, poprowadzili Raccara na molo, gdzie czekał już radiowóz. Lele był tak niski, że policjant nie musiał ręką osłaniać mu głowy przy wsiadaniu.

Vittorię funkcjonariusze odwieźli poza teren Guardia Costiera, gdy tylko sprawdzono jej personalia. W policyjnej bazie danych nie znaleziono o niej niczego z wyjątkiem kary za posiadanie narkotyków sprzed wielu już lat. Jej pozwolenie na pobyt było ważne, torebkę szybko przeszukano – nic. Miała

przy sobie tylko mały bagaż i była czysta. Ostatnią kreskę wciągnęła, nim dopadła ją choroba morska.

Stalowe drzwi zatrzasnęły się z hukiem, Vittoria stała w ulewie, odprowadzając spojrzeniem wóz patrolowy, którego światła wkrótce zniknęły za ścianą deszczu. Spozrzęła limuzynę z San Marino, na jej znak kierowca z ociąganiem opuścił szybę. Vittoria powiedziała, że pasażer, który go tu skierował, nie mógł przybyć, i poprosiła o podwiezienie do centrum. Mężczyzna w niebieskim garniturze tylko pokręcił głową, zamknął okno i odjechał. Vittoria stała bezradnie pośród szalejącej burzy, grubo nałożony makijaż spływał w strugach deszczu. Rozejrzała się dokoła – w pewnej odległości dostrzegła światła jakiegoś baru.

Popijając gorącą *irish coffee*, zastanawiała się, co robić. Byłoby jej łatwiej podjąć decyzję, gdyby przynajmniej wiedziała, czemu gliny przyczepiły się do Lelego. Najpierw wybrała numer Aurelia, dzwoniła długo, lecz nikt nie odbierał. Komórka Giulia Gazzy w ogóle była wyłączona. Gdy wreszcie włosy jej wyschły, Vittoria nałożyła T-shirt na wydekoltowaną plażową sukienkę i poprosiła kelnerkę o wezwanie taksówki. Jadąc na Dworzec Główny w Rawennie, zastanawiała się, czy ma wsiąść do pociągu do Rzymu, czy do Triestu. Ze stolicy wyjechała ponad pół roku temu – warunki tam zmieniły się radykalnie, zrobiło się niebezpiecznie. Jacyś dziwni faceci, podejrzane typy, zaczęli się kręcić wokół niej i jej przyjaciółek, żądali, by zadawały się z pewnym wysoko postawionym politykiem. Ich spotkania miały być fotografowane. „W prezencie” dostała dwudziestogramowy woreczek wysokogatunkowej koki. Jednak czuła, że coś jest nie tak, obleciał ją strach, szybko spakowała swoje rzeczy. Wybrała Triest, miasto leżało daleko od stolicy, no i przypomniała sobie o Raffaele Raccaro, który zawsze hojnie ją wynagradzał, gdy przyjeżdżał do Rzymu. Teraz było jej prawie żal tego małego facecika. Ale pomyślała sobie, że Lele pewnie szybko wyjdzie dzięki swoim układom. Czy czuła do niego jakąś specjalną sympatię? Ależ skąd! Vittoria po prostu się niepokoiła – z telewizji dowiedziała się o gwałtownej śmierci dwóch swoich koleżanek. W końcu kupiła dwa bilety, jeden na północny wschód, drugi do stolicy. Postanowiła, że wsiądzie do pociągu, który nadjedzie jako pierwszy.

# Droga powrotna

– Przewiduję kłopoty – powiedziała Marietta. – To nie pójdzie tak gładko. Prokurator Volpini będzie się musiała tłumaczyć. Ty też. Aresztowanie Raccara w Rawennie znajdzie się na pierwszych stronach gazet.

– Przecież już go wypuścili. Założę się, że wparuje tu jutro, będzie się pienił, wściekał i groził. A co dopiero, jak się dowie, że aresztowaliśmy Selwę. Jego komórka dzwoniła bez przerwy, leży na moim biurku. – Laurentiego mało obchodziły nadchodzące kłopoty.

Tej soboty w komisariacie wszyscy musieli zapomnieć o normowanym systemie pracy. Pina ziewała nieustannie – pomijając trzy godziny snu ostatniej nocy, była na nogach od dwudziestu czterech godzin. Laurentiemu nad zmęczeniem pozwalało panować żelazne postanowienie, że wreszcie zrobi porządek ze sprawą. Natomiast Marietta, mimo że Laurenti swoim telefonem popsuł jej pierwszy dzień na plaży, była zastanawiająco radosna i zadowolona. Za to prokurator Volpini, do której bez przerwy dzwoniły wysoko postawione osobistości, odczuwała coraz większy stres. Około dwudziestej pierwszej zjawiała się z podkrążonymi oczami na komendzie, by zwołać naradę w sprawie „Scoop”, jak ochrzcili śledztwo policjanci. Kryptonim był wielkimi literami wypisany na tablicy. Na dworze szalała burza, grzmiało, a jaskrawe błyskawice przecinały nocne niebo.

Widocznie wypoczęty był tylko opalony na brąz Gilo Battinelli. Po południu zameldował się z powrotem na komendzie i od razu usiadł do komputera. Program wyszukujący ciągle jeszcze porównywał z bazą danych zdjęcia Rosjan, których Margherita sfotografowała komórką w Lignano. Tak długi czas wyszukiwania nie zapowiadał pozytywnych rezultatów.

Krótko przed dwudziestą drugą Laurenti z burczącym brzuchem zadzwonił do Marca i poprosił o zarezerwowanie stolika na dwie osoby.

– Antonio wczoraj wieczorem poleciał z powrotem do domu – powiedziała Marietta, gdy już zasiedli przy stoliku. Odetchnęła głęboko, upiła duży łyk wina. I... uśmiechnęła się! – Do Buenos Aires. Bogu niech będą dzięki.

– A króliczek Bobo?

– Jest u mnie. Słodkie zwierzątko. Na rozkaz potrafi nawet stawać na dwóch łapkach.

– Zwierzak w twoim domu? Naprawdę dziwny jest ten świat. A kim on właściwie jest, ten twój aktualny ukochany?

Marietta zapaliła nowego papierosa, zaciągnęła się głęboko dwa razy i wypuściła dym przez nos. Byli jedynymi gośćmi, którzy mimo ulewnego deszczu siedzieli pod wielkim parasolem na tarasie restauracji u Scabarów – sale za to były pełne do ostatniego miejsca. Jednak Marietta chciała palić, a i Laurenti co chwila sięgał po jej fajki. Jego asystentka w swojej ogromnej torbie nosiła zawsze pół gospodarstwa, w tym papierosy en masse.

– Obiecuj mi, że nikomu nie powiesz. – Marietta badawczo popatrzyła mu w oczy.

– Przysięgam.

– Otóż odnalazłam go na Facebooku. Antonio to moja pierwsza miłość, miałam wtedy czternaście lat.

– Ale przecież on jest przynajmniej piętnaście lat starszy od ciebie!

– I co z tego?

– To znaczy, że twój pierwszy przyjaciel był trzydziestolatkiem? No i faktycznie konsekwentnie trzymałaś się tej przeciętnej wieku, jeśli idzie o kochanków.

– Wiesz, wyjątki dodają pikanterii.

– I poważnie miałaś nadzieję, że to się uda? Po tak długim czasie? – Laurenti roześmiał się tak głośno, że aż paru gości, którzy wyszli na taras na papierosa, obejrzało się w jego stronę. – Przez kilka miesięcy byłaś nie do zniesienia, minę miałaś, jakby ci ktoś umarł. Z powodu kłopotów miłosnych. Też coś! Powariowali z tym Facebookiem! Czy ludzie nie mają nic innego do roboty, jak tylko wklepywać bzdury w komputer i tropić dawne miłości, gdy tymczasem wokoło kipi prawdziwe życie?!

– Kłopoty sercowe nie trwały długo, Proteo. Zresztą z początku to było naprawdę podniecające. Dopóki wszystko odbywało się wirtualnie i tylko codziennie do siebie pisaliśmy. Zapomina się wtedy o tylu rzeczach, które potem nagle znowu wychodzą na jaw. A jak zaczęliśmy sobie wysyłać zdjęcia, zrobiło się całkiem wesoło.

– Dla mnie to on wygląda jak strach na wróble, Marietta! Ale dlaczego Buenos Aires? Doszły mnie słuchy, że twój kochanek pracuje w archiwum państwowym.

– Owszem, pracował. Nim wyjechał. Większa część jego rodziny wyemigrowała zaraz po wojnie, jak wielu innych. Tutaj zostali tylko on i jego brat, wychowywali ich jacyś dalecy krewni. A w Buenos Aires to on pracuje w wypożyczalni samochodów, żyje bardzo skromnie. I był taki strasznie smutny.

– Faktycznie, nie potrafił tego ukryć. A w końcu ty masz wielkie serce.

– Antonio przyjechał do Triestu krótko przed Wielkanocą, gdyż zmarł jego brat. Naturalnie zaproponowałam mu gościnę u siebie, dopóki nie ureguluje spraw spadkowych. A Bobo to zwierzątko jego brata. Jak pies czy kot. Co miał z nim zrobić?

– Upiec. Z marchewką w pysku.

– Proteo, przestań. Antonio był naprawdę przygnębiony, ten brat to jego ostatni krewny. Gadaliśmy po całych nocach.

– Aha, tylko gadaliście. – Laurenti skinął na kelnera, zamówił następną butelkę wina. – No, na humor to ci dobrze nie robiło, zupełnie nie. A na co zmarł jego brat?

– W Niedzielę Palmową wpakował się przy stu czterdziestu kilometrach na godzinę w budynek biurowy przy dawnym przejściu granicznym Rabuiese. Gazety się o tym rozpisywały.

– Pamiętam. Zastanawiano się, czy to nie było samobójstwo. Czy ten brat przypadkiem nie pracował dla Raccara?

– Nie, był doradcą inwestycyjnym, Lele był tylko jednym z jego klientów.

– Coś jednak mogło być na rzeczy.

Marietta machnęła ręką.

– Też tak sobie pomyślałam. Dlatego dokładnie przestudiowałam wszystkie dokumenty, siedziałam po nocach, czasem do rana, zanim materiały poszły do sądu spadkowego. W każdym razie Lele nie robił z nim żadnych większych interesów. Zresztą brat Antonia nie zostawił listu pożegnalnego, nie było też na jego samochodzie śladów zderzenia z innym pojazdem. To był wypadek. Nawet jeśli w jakimś stopniu zawiniony. Nic innego.

– A twój Antonio?

– Nie ma za dużo pieniędzy. I nic też nie odziedziczył. Jego brat splajtował. Ulokował wszystkie swoje pieniądze u Lehman Brothers & Co. Upadłość masy spadkowej. Toni musiał poczekać na decyzję sądu, nie chciał i nie mógł przejąć długów. Kiedy wreszcie dostał papiery, ucieszyłam się, że nie muszę go już dłużej mieć u siebie.

– I to wszystko?

– Tak.

– A twoja bielizna w szafce biurowej?

– Gdy raz przyszłam wcześniej do domu, przyłapałam go na... – Urwała i zagryzła wargę; zapaliła następnego papierosa. Potem wypła łyk wina, patrząc na nocny deszcz, powiedziała po chwili: – Dajmy już temu spokój, dobrze?

– Ej, Marietta, chyba coś przede mną ukrywasz?

\* \* \*

– Kto to jest, ten Galvano? – zapytała Candace, bardzo wzburzona, kiedy późnym popołudniem wróciła do komendy.

– A gdzie się pani na niego natknęła?

Pina Cardareto, która właśnie zabierała się do przeglądania zawartości teczki Aurelia, z zaciekawieniem spojrzała na młodą kobietę.

– W klinice, w pokoju mojej matki! Rozebrał ją i się gapił!

– Co takiego?! – Inspektor zerwała się z miejsca. – To niesłychane! Proszę ze mną. *Commissario!* – zawołała jeszcze na korytarzu i od razu wpadła do gabinetu Laurentiego. – Galvanowi chyba odbiło! Poszedł do szpitala i rozebrał ciężko poturbowaną kobietę. To Candace Elliot, córka Miriam Natisone. Widziała to na własne oczy.

Laurenti wstał zza biurka. Zamknął drzwi, poprosił obie panie o zajęcie miejsca.

– Szybko pani przyjechała – powiedział. – Jak się czuje pani matka?

– Już wczoraj umówiliśmy się, że przyjadę. Zupełnie jakbym miała przecucie... Mama jest bardzo słaba, ale lekarka powiedziała, że szybko dojdzie do siebie. Kto to jest doktor Galvano?

– Emerytowany lekarz sądowy. Skąd zna pani jego nazwisko?

– Przedstawił mi się. Najspokojniej w świecie. Zupełnie jakby to, co robił, było całkiem normalne.

Laurenti odetchnął z ulgą.

– No, Bogu dzięki, w takim razie wszystko w porządku. To znaczy, że Galvano przynajmniej nie ma nic do ukrycia. Czy doktor o czymś pani mówił, coś opowiadał? Fantazji mu nie brakuje.

– Czy pana zdaniem to normalne, *commissario*? Nie ma pan patologów na etacie?

– Nie znam lepszego, *miss Elliot*, proszę się nie niepokoić. Doktor Galvano jest wprawdzie od kilku lat na emeryturze i faktycznie, to dość ekscentryczny jegomość, ale to ja sam poprosiłem go, by rzucił okiem na obie ofiary napadu. Zapytam go później, co robił. A jeśli to panią uspokoi, proszę złożyć doniesienie. Pani inspektor spisze zeznanie.

Laurenti wstał na znak, że dla niego rozmowa jest skończona, Candace jednak nie ruszyła się z miejsca. Laurenti pytająco uniósł brwi.

– Moja matka wystukała na klawiaturze kilka słów. Tylko tak może się porozumieć, a i to z trudem. Napisała, że Alberto jest niewinny, że napadł na nią niejaki Aurelio. Kto to jest?

– Dziękuję za tę informację. To odciąża Alberta.

– Kim jest Aurelio?

Laurenti dał znak Pinie.

– Jak tylko pani matka będzie zdolna do złożenia zeznań, zostanie przesłuchana. Ale proszę się nie niepokoić, niebezpieczeństwo minęło. Inspektor Cardareto wszystko pani wyjaśni. A teraz proszę mi łaskawie wybaczyc.

– Czy mogę przenocować w apartamencie matki? – zapytała jeszcze



Candace.

Laurenti spojrział pytająco na Pinę.

– Jest czysty – wyjaśniła. – Żadnych obcych śladów.

– Tak, oczywiście, może pani – powiedział komisarz i podał Candace rękę. – Bardzo by nam pani pomogła, informując nas na bieżąco o stanie zdrowia matki. I o tym, o czym pani opowie.

W pokoju Piny było ciasno, Candace, wysoka i długonoga, z trudem wcisnęła się na krzesło, którego oparcie przytykało do następnego biurka – siedział przy nim inny funkcjonariusz, zajęty sprawdzaniem wszelkich danych na temat osoby Aurelia Selvy, łącznie z rejestrem karnym, zezwoleniami na prowadzenie pojazdów, dokumentami meldunkowymi, poczynając od dnia narodzin.

– Czy chce pani złożyć doniesienie na Galvana? – zapytała Pina, odkładając na bok dokumenty i przedmioty leżące na biurku, by dostać się do ukrytej pod nimi klawiatury. Na samym wierzchu położyła oprawną w ramkę czarno-białą fotografię, wyjętą z aktówki Selvy.

Candace spojrzała na nią pytająco.

– Właściwie to chciałam... – odezwała się. – Ale po tym, co powiedział pani szef...

– Jeśli chce pani znać moje zdanie – odparła Pina i odłożyła plik papierów na klawiaturę – to jestem pewna, że starszy pan nie zrobił niczego złego. Pewnie chciał tylko osobiście upewnić się co do stanu pani matki. Czy była wystraszona?

– Nie. Była całkiem spokojna. On cały czas do niej mówił. Po angielsku, z amerykańskim akcentem.

– Widzi pani, to na pewno wszystko jej wyjaśnił. Dlatego była spokojna. Galvano pochodzi z Bostonu, pod koniec drugiej wojny światowej przybył tutaj z aliantami. Proszę się zastanowić. Doniesienie może pani złożyć też innym razem, jeśli ma pani jakieś podejrzenia.

– Co miał na myśli komisarz, mówiąc, że niebezpieczeństwo minęło?

– Te materiały – Pina wskazała na zawartość teczek Aurelia – zabraliśmy człowiekowi, który napadł na pani matkę. Siedzi w celi obok. Pani matka wyrwała mu kosmyk włosów. Test DNA wszystko wykaże. Wyniki będą lada

moment.

– Ale dlaczego on to zrobił?

– Tego jeszcze nie wiemy. Będę panią informować na bieżąco. I o to samo proszę panią. Tak, a teraz muszę się zająć tymi rzeczami. Niech pani weźmie taksówkę i jedzie do apartamentu na Strada del Friuli, niech pani odpocznie. Gdzie ja mam te klucze?

Pina znowu zaczęła przekładać papiery, przy czym świeżo ułożony stosik osunął się i oprawiona fotografia upadła pod nogi Candace. Szkło rozprysnęło się na kawałki. Candace podniosła zdjęcie, chciała podać inspektor, ale nagle cofnęła rękę, dokładniej przyjrzała się fotografii.

– Mogę dostać odbitkę? – zapytała, widocznie podekscytowana.

– Po co? – zdumiała się Pina. – To materiały dowodowe.

– Skąd ma pani tę fotografię?

– Mężczyzna, który zaatakował pani matkę, miał to w swojej teczce. Twierdzi, że fotografia nie należy do niego, tylko do Raffaele Raccara. To bardzo wpływowy człowiek. Szara eminencja.

– Właściciel archiwum fotograficznego? Moja matka się z nim spotkała. Była oburzona jego rasistowskimi opiniami.

– Fakt, liberałem to on nie jest. Ale co tak panią poruszyło?

– Ten stół. Mamy w domu dokładnie taki sam.

Pina przeszła na drugą stronę biurka, podeszła do Candace, która trzymała fotografię w obu rękach, dokładniej przyjrzała się fotografii.

– Zdjęcie z okresu faszystowskiego. Abisynia. Pojęcia nie mam, kto na nim jest – powiedziała po chwili. – Niestety, absolutnie nie mogę go pani dać.

– A mogę je chociaż sfotografować? – Candace wyciągnęła z torby aparat.

– Nie – sprzeciwiła się Pina. – To też zabronione. – Potem zwróciła się do kolegi przy drugim biurku: – Słuchaj, wyjdźmy na moment na korytarz, dobrze?

Zostawili Candace samą. Gdy wrócili, fotografia znowu leżała na swoim miejscu. Torba podróżna Candace była zamknięta.

\* \* \*

Miejsca było skąpo, mimo że Marietta od szefa administracji uzyskała

zezwoleń na zajęcie sali konferencyjnej. Ustaliwszy wszystko z komisarzem, podzielili długie stoły na sekcje i wyłożyli zdobyte dowody według miejsc ich znalezienia. Wolny pozostał tylko jeden fragment długości dwóch metrów, leżała na nim kartka papieru. U góry napisano: „Greta Garbo – Rawenna”. A poniżej: „Nesesor z pieniędzmi, 6 mln €” oraz: „Materiały w laboratorium Scientifica Padua”. Te dwa podpunkty opierały się na informacji telefonicznej uzyskanej od kolegów z Rawenny. Po lewej stronie funkcjonariusz w lateksowych rękawiczkach układał śmieci, które przynieśli z kuchni Aurelia Selvy. Kawiarka ze spaloną uszczelką stała na końcu stołu, odpady organiczne znajdowały się w plastikowym kubelku. Na szczęście właściciel mieszkania chyba nigdy nie gotował w domu, na odpadki w większości składały się fusy po kawie, puste kubeczki po jogurtach, skórki od bananów, pestki brzoskwiń i chusteczki higieniczne. Zawartość kosza na papiery z salonu była bardziej interesująca. Kilka porwanych wydruków komputerowych z danymi na temat struktur różnych firm i powiązań personalnych, było przy nich mnóstwo czerwonych znaków zapytania; dalej dziesięć zdjęć, które wykraczały daleko poza granice amatorskiej pornografii. Wszyscy funkcjonariusze przyglądali się im dokładnie, starając się zachować rzeczowy wyraz twarzy. Obok leżała tabliczka z napisem „Zdjęcia Raccaro”, przed nią okazały plik wydruków z aparatu Selvy.

– Ale ma upodobania ten stary sfinks! – wykrzyknęła Marietta, ledwie fototechnik wręczył jej odbitki. Natychmiast pośpieszyła do Laurentiego, który właśnie wybierał się przemaglować Aurelia Selwę. – Jesteś pewien, że mam wyłożyć te zdjęcia? Wszyscy koledzy je zobaczą.

Laurenti, pobieżnie przerzucając zdjęcia, zaczął się głośno śmiać.

– Oczywiście, Marietto! Przecież prowadzimy dochodzenie. Żadnych tajemnic, bardzo proszę! A ja, osioł, myślałem, że ta Vittoria to jedyna trans w mieście.

Miał już odłożyć zdjęcia, gdy nagle jego uwagę przykuło ostatnie z nich. Z wrażenia włosy dosłownie zjeżyły mu się na głowie.

– A to co?! Spójrz tylko! Ostatnie ogniwo łańcucha. Tego nam właśnie brakowało. Niech mnie kule biją, jeśli to nie jest ten gruby Niemiec, którego straż portowa wyciągnęła z morza.

– Birkenstock? – zapytała Marietta. – Cholera, masz rację! I obściskuje Vittorio.

– Widzisz, gdzie zostało pstryknięte?

– Na łodzi.

– Na dwumasztowcu z rdzawoczerwonymi żaglami! A ile takich u nas mamy?

– „Greta Garbo”!

– I Selva przy tym był, i pilnie pstrykał. Spójrz na datę, Marietto.

– A więc fotografował Lelego z jego laskami i też Vittorio z Birkenstockiem.

– A wszystko zaczęło się od tej Angielki. Te fotki, które znaleźliśmy u Gazzy po anonimowym telefonie. Informator coś za dobrze się orientował w mieszkaniu.

– Aurelio Selva był do szesnastego roku życia zameldowany pod tym samym adresem na via dell'Eremo. Ale chyba nie sądzisz, że go w to wrobił i że Gazza jest niewinny?

– Sędzia chce go jutro przesłuchać, to będzie jeszcze przed upływem czterdziestu ośmiu godzin. Jeszcze jedna noc w pudle mu nie zaszkodzi.

Po przeciwnej stronie ustawionych w podkowę stołów Pina Cardareto rozłożyła dokumenty z teczki Aurelia, które wcześniej posortowała u siebie w pokoju. Na samej górze leżała oprawiona w ramkę z rozbitym szkłem czarno-biała fotografia z kolonialnej Addis Abeby. Przedstawiała wysokiego, dziarsko wyglądającego dowódcę, opierał się o stół, pośrodku którego widniał herb sabaudzki. Było widać, że mężczyzna przemawia do oficerów. Ich uważne spojrzenia były skierowane na niego. Pod fotografią leżały kartki z zestawieniami, przypominające tamte podarte, znalezione u Selvy w koszu na papiery. Jednak te były opatrzone odręcznymi dopiskami. Na innej kartce widniało jedynie: „Laptop Selva”. Jednak samo urządzenie znajdowało się jeszcze w rękach specjalistów, którzy próbowali złamać kod dostępu.

Ostatni dział był opatrzony napisem: „Zdjęcia Alberta”. Aparat Alberta technicy znaleźli w parku, wśród gałęzi krzewu ketmii syryjskiej, której purpurowe kwiaty stopniowo otwierały się w świetle poranka. Alberto nie był dobrym fotografem. Na wielu zdjęciach głowy były ucięte, a ujęcia

nicostre. Jednak kilka było wyraźnych – ukazywały Aurelia Selwę, jak przemierza miasto śladem Miriam Natisone.

Laurenti zabrał się za Aurelia. Młody człowiek miał tyle lat co Livia – i Gemma. Siedział naprzeciwko komisarza przy przytwierdzonym na stałe do podłogi stole, w pozbawionym okien nagim pomieszczeniu, o ścianach pomalowanych na zimny szary kolor zmywalną farbą olejną. Minę miał krnąbrną, konsekwentnie unikał spojrzenia komisarza.

Po aresztowaniu przed drzwiami mieszkania Raccara dwóch mundurowych zabrało Aurelia do komendy – pieszo. Dla niego był to prawdziwy spacer pod różgami. Już gdy na parterze wychodzili z windy, akurat z naprzeciwka wyszedł profesor, znawca powieści kryminalnej. Kulturalny, miły człowiek pozdrowił Aurelia z uprzejmym uśmiechem, jak zwykle, gdy się spotykali. O co chodzi, dotarło do niego dopiero wtedy, gdy już prawie zatrzasnęły się za nimi ciężkie drzwi wejściowe do budynku. Usłyszeli tylko, jak mruknął:

– W kryminałach aresztowania są bardziej ekscytujące.

Także krótkie przejście obok *teatro romano* nie należało do przyjemności. Turyści, którzy podziwiali ruiny, podczas gdy w oddali grzmiała burza i na ziemię zaczęły spadać pierwsze ciężkie krople deszczu, mało obchodzili Aurelia. Ale przykre było kpiące pozdrowienie właściciela pobliskiego baru, który naturalnie natychmiast poinformował swoich stałych gości o aresztowaniu, a ci nie omieszkali życzyć Aureliowi miłego weekendu i dobrego odpoczynku.

Po ustaleniu personaliów najpierw kazano mu opróżnić kieszenie i oddać pasek od spodni. Klapki pozwolili zachować, ale po obszukaniu przez jednego z policjantów musiał się też rozstać ze swoim łańcuchem i wisiorem z opalu. Z oczami skrzącymi się wściekłością usłuchał wreszcie kategorycznego wezwania, po czym nieco się uspokoił.

– O widzę, że się pan zranił? – zaczął Laurenti.

Młody człowiek milczał.

– Przy czesaniu czy podczas seksu? A może to fryzjer wyrwał panu włosy? Wtedy mógłby pan żądać odszkodowania. Jeśli pan sobie życzy, oczywiście przyjmę pańskie doniesienie. Uszkodzenie ciała przez

niedbalstwo, tak bym to ujął.

Oczywiście Aurelio chciał najpierw wysondować, co wiedzą śledczy. Już dawno zażądał swojego adwokata, lecz komisarz postanowił, że najpierw sam go trochę pomaga.

– Ma pan takie piękne włosy, zadbane, i świetnie panu w tym nowym kolorze. Przystojny z pana chłopak, naprawdę. Jestem pewny, że w pudle od razu znajdzie pan wielbiciela, który uzna pański tyłek za niezwykle seksowny. Niech pan słucha, Selva, pańska sytuacja wygląda następująco: technicy kryminalni w Padwie zbadają wszystkie próbki po kolei. Dysponują najnowocześniejszymi metodami, nie ujdzie im najdrobniejszy szczegół. Na pewno zna pan to wszystko z seriali telewizyjnych, prawda? Oczywiście to musi potrwać. Na wyniki analizy DNA z trzech włosków, znalezionych na ramie okiennej w biurze importera kawy musielibyśmy teoretycznie poczekać kilka tygodni. A przez ten czas na pewno byłby pan na wolności. Ale czy naprawdę pan sobie tego życzy, Selva?

Laurenti zamilkł na chwilę, w ciasnym pomieszczeniu słychać było tylko oddech ich obu. Komisarz wyciągnął lewą rękę, pomachał nią przed oczami Aurelia.

– Halo, tutaj jestem!

Aurelio nadal siedział bez ruchu.

– Jednakże w przypadku ciężkich przestępstw nasi koledzy są błyskawiczni. Mimo ogromnych ilości materiału, jakie stale do nich napływają. Co to oznacza dla pana...?

Laurenti znowu zawiesił głos. Spojrzenie Aurelia na ułamek sekundy pomknęło w jego stronę, lecz zaraz znowu uparcie wbił wzrok w ścianę.

– Zadam panu pewne szczególne pytanie, które pójdzie też do protokołu: gdzie był pan dzisiaj o szóstej rano?

Aurelio na moment podniósł oczy.

– Nazywam się Aurelio Selva, zamieszkały na via Donota jeden, urodzony w Trieście w dniu... Nazywam się Aurelio Selva, zamieszkały na via Donota jeden, urodzony w Trieście w dniu...

– Niech pan sobie daruje te wygłupy – przerwał mu szorstko Laurenti. – U tej kobiety w czerwonej sukience, u tej angielskiej dziennikarki, Miriam

Natisone, którą dzisiaj rano znalazłem z przeciętym gardłem w parku przy zamku Miramare, odnaleźliśmy nie tylko trzy małe włoski. Nie, Selva, trzymała w zaciśniętej pięści cały pęk włosów. A przy takim przestępstwie wyniki są kwestią paru godzin. Wierzy pan czy nie, ja mało czego się boję. Nawiasem mówiąc, zabezpieczyliśmy też materiał spod jej paznokci. Już wiemy, że są tam fragmenty naskórka. To pański wybór, czy mi pan odpowie. Pańskie zeznanie w tej sprawie będzie tylko niepotrzebnie kosztowało papier i tusz do drukarki. Mnie ono właściwie nie jest potrzebne. Wystarczą wyniki analiz. Jednak zadam jeszcze inne pytanie: zastanawiał się już pan kiedyś nad wejściem do programu ochrony świadków? A może nadal ufa pan ojcowskiej miłości Raccara? Jego wpływy z pewnością sięgają nawet za mury więzienia. Macki jak u ośmiornicy, kto za blisko podejdzie, ten się poparzy. Niech pan się spokojnie zastanowi. On jeszcze nic nie wie o pańskim aresztowaniu. Sam jest teraz na wzburzonych wodach.

Laurenti dał funkcjonariuszowi znak, by wyprowadził Aurelia. Ten założył mu znowu kajdanki, które zdjął przed rozpoczęciem przesłuchania.

Komisarz podniósł się dopiero, gdy drzwi za wychodzącymi już się zamykały.

– Co ma mi pan do zaproponowania? – zawołał Selva, odwracając się tak raptownie, że aż się wyrwał prowadzącemu go policjantowi. Zanim funkcjonariusz zdołał go chwycić za ramiona, skutymi rękami mocno pchnął drzwi.

– Nic, zupełnie nic. – Laurenti się uśmiechnął. – Czekam na pańską ofertę, Selva. Jeszcze pan tego nie zrozumiał?

\* \* \*

Candace przy swoich dwudziestu czterech latach objechała już jako fotografka mnóstwo krajów – Afryki jednak pilnie unikała. Nigdy też, mimo licznych opowieści, nie chciała towarzyszyć Miriam do Etiopii, tak że w końcu matka również zrezygnowała z tych podróży.

Jednakże za każdym razem, gdy Candace oglądała stare fotografie z ojczyzny matki – a w mieszkaniu przy Colville Mews piętrzyły się całe albumy – ogarniała ją rzewna melancholia, mimo że straszliwe obrazy śmierci dominowały na ich kartach nad urodą krajobrazu i miast,

niezwykłością pola obelisków w Aksum i wspaniałością Wyżyny Abisyńskiej. Nawet zdjęcia przepięknego, bogato zdobionego ornamentami domu w Hararze, w którym w roku 1883 Arthur Rimbaud kwaterował jako handlarz bronią, ukazywały potworności zbrodni wojennych popełnianych przez włoskich kolonialistów, podobnie jak te z pałacu cesarza Hajle Sellasje – a pod Bahir Dar, nad jeziorem Tana, na spalonej ziemi na brzegu Nilu Niebieskiego, który tam brał swój początek, leżały trupy ofiar gazów bojowych. Matka opowiadała Candace, że jej dziadek zawsze unikał tego tematu, gdy tylko, jeszcze jako dziecko, próbowała go o cokolwiek zapytać. Wiedziała jedynie, że w roku 1940 zdezerterował z armii włoskiej, że przyłączył się do partyzantów na zachodzie kraju, którzy zaopatrywali się w broń w Sudanie. Zamiast odpowiadać na pytania, dziadek rozmarzał się, wspominając, jak to dawniej kraj, w którym obecnie połowie ludności brakowało wszystkiego, obfitował we wszelkie dobra.

Po drodze z komendy na Strada del Friuli Candace zaopatrzyła się w pizzę i dwie butelki piwa. Chroniona przez wysuniętą markizę, z laptopem na kolanach, zasiadła w ulewnym deszczu na tarasie apartamentu i pogryzając pizzę, wpatrywała się w powiększenie czarno-białego zdjęcia, które udało jej się sfotografować w pokoju inspektor Cardareto, gdy policjanci na chwilę zostawili ją samą. Na ekranie widać było wysokiego, przystojnego mężczyznę w mundurze i z medalem na piersi. Stał oparty o stół, przy którym siedzieli wojskowi niższych stopni. Candace udało się też sfotografować odręczny podpis na odwrotnej stronie ramki: „Amedeo d’Aosta, w roku 1939 w swojej rezydencji w Addis Abebie, z oficerami i adiutantem”.

Candace wybrała inny fragment fotografii – stół. Powiększyła obraz, aż stół wypełnił cały ekran. Nie miała wątpliwości.

– Stół. Nasz stół – wymamrotała do siebie z niedowierzaniem. – Mama przecież opowiadała, że pradziadek przywiózł go z kwatery głównej Sabaudczyka w Addis Abebie, kiedy Włosi wycofali się po klęsce.

Potem zmniejszyła fotografię i po kolei skupiła się na każdej twarzy. Minęło wiele lat od czasu, gdy oglądała zdjęcie mężczyzny, od którego zaczęła się historia mieszanej włosko-afrykańskiej rodziny; rodziny, do której później dołączył kolejny członek, krwi angielskiej, zupełnie jakby oba



mocarstwa kolonialne nigdy nie walczyły przeciwko sobie o władzę nad Afryką Wschodnią. Tamto zdjęcie, oprawione w ramkę, stoi w sypialni Miriam na stoliku nocnym. Ukazuje Paola i jego rodzinę. Jedyna fotografia, jaką jej matka zabrała ze sobą, gdy Spencer wywiózł ją do Londynu. Dziadkowie, rodzice, pięcioro dzieci i do tego jeszcze wujowie i ciotki. Wszystkie głowy bardzo malutkie, Candace nie zapamiętała rysów poszczególnych osób. Pomyślała, że jak tylko wróci do Londynu, zeskanuje także tamto zdjęcie i powiększy na tyle, na ile się da.

W internecie poszukała informacji na temat dowódcy ze zdjęcia – wicekróla Afryki Wschodniej; była zaskoczona przeważnie pozytywnymi opiniami o człowieku, dowódcy wojsk faszystowskich, które bezlitośnie dziesiątkowały ludność atakami z użyciem gazu musztardowego. Na stronach www. niemal bez wyjątku określano go jako dżentelmena, szanowanego nawet przez wrogów. Książę Aosta był przeciwny rozbuchaniu hierarchii, nie wynosił się nad innych, nie pozwalał się nawet tytułować „królewską wysokością”. Wszyscy biografowie zgodnie twierdzili, że był blisko zwykłych ludzi. Dzięki temu był tak popularny i lubiany. Zupełnie niezależnie od jego świetnych umiejętności jako lotnika.

Candace nie zjadła pizzy nawet do połowy, zapaliła jointa. Potem wyłączyła komputer. Była bardzo zmęczona. Czy któryś z mężczyzn na zdjęciu to jej pradziadek? Bo inaczej skąd wiedziałby o stole? Gdyby był tylko jednym z szabrowników, to po co targałby stół aż do Dżimmy? Musi zapytać matkę, czy istnieją jeszcze jakieś inne zdjęcia pradziadka Paola. Ale będzie musiała z tym poczekać, aż stan mamy się poprawi i wrócą do Londynu.

\* \* \*

Raffaele Raccaro, zwany Lele, gotował się z wściekłości, wsiadając do wagonu pierwszej klasy – żeby dojechać do Triestu, będzie się jeszcze musiał przesiąść w Ferrarze. Oczywiście mógłby też wziąć taksówkę – ale po co wyrzucać tyle pieniędzy, w końcu to trzysta siedemdziesiąt kilometrów. A tego wieczoru i tak nie ma nic innego do roboty, jak tylko czekać na telefony swoich ludzi. Na galę w prefekturze i tak by nie zdążył – zresztą nie ma najmniejszej ochoty. Jego sześć milionów zamiast do banku w San

Marino trafiło do rąk policji. I tak szybko dostanie je z powrotem, to nie problem. Jednak musi się liczyć z tym, że w ciągu najbliższych miesięcy złoży mu wizytę Guardia di Finanza. Kontrola skarbowa w Palazzo Vianello? Jeśli nawet, to co z tego! Przecież jeden z szefów to jego kumpel, jadą na tym samym wózku. A jeśli idzie o pochodzenie tych sześciu milionów, to będą mu dopiero musieli udowodnić – przecież nikt nie widział, że przyjął forszę po kolacji z Rosjanami. Ale gdzie właściwie jest Vittoria? – zastanowił się. Ta dziwka mogła chociaż na mnie poczekać, zaklął w duchu. Przecież zawsze był wobec niej hojny. Z łatwością by go znalazła. Gdzie miałby być, jak nie na policji?

Naprawdę jednak Lele niepokoił się tym, że Aurelio nie odbiera telefonów. Dzwonił do niego co parę minut, czekał długo – nadaremnie. Telefon Aurelia nie był jednak wyłączony, inaczej niż komórka Giulia. Gdzie się podziewają ci nicponie, akurat jak człowiek ich potrzebuje! Może powinien jeszcze raz przemyśleć testament i obu wydziedziczyć? W najbliższym czasie dokładniej im się przyjrzy i zadecyduje: jeśli się okaże, że robią interesy na własną rękę, wtedy sprawa jasna, nic z tego. Jednak Raccaro robił sobie też wyrzuty: gdyby od razu uznał Giulia, gdyby przyznał się do ojcostwa, małżeństwo jego matki, sekretarki, z którą miał wieloletni romans, wprawdzie by się rozpadło, ale z chłopaka może by coś jeszcze było.

Pociąg Intercity wkrótce wjechał do Ferrary, gdzie Lele prawie półtorej godziny musiał czekać na połączenie do Triestu. Był głodny i poszedł do małego bistra z przekąskami w hali dworcowej, zamówił cheesburgera i piwo. Usiadł przy brudnym stoliku, jedząc i popijając piwo, spoglądał na zabudowania dworca, na perony, nad których dachami szalała burza, strugi deszczu, gnane podmuchami gwałtownego wiatru, uderzały o szyby. Rozbawieni młodzi ludzie, którzy nic sobie nie robili z burzy, przy torze naprzeciwko wsiedli do pociągu do Bolonii. Zaraz potem peron opustoszał. Lele przyniósł sobie jeszcze jedno piwo, drugiego burgera i porcję frytek. Gdy pochłaniał jedzenie wielkimi kęsami, zadzwoniła jego komórka. Odebrał od razu, jak tylko zobaczył numer swojego triesteńskiego adwokata.

– Słyszę, że jesz, przeszkadzam?

– Mów! O co chodzi? – odparł Lele, mlaszcząc. – Psujesz mi apetyt. –

Wsunął do ust kilka frytek.

– Zapudłowali obu twoich synów. Giulia już wczoraj po południu w Udine, ale dowiedziałem się o tym dopiero teraz, i to przypadkiem, gdy zadzwonił do mnie z komendy Aurelio. Od razu do niego pojechałem. Komisarz przesłuchał go już beze mnie, ale Aurelio trzymał gębę na kłódkę, nic nie powiedział.

– Jaki komisarz?! I czemu go przesłuchiwał? – Lele z furią cisnął burgera na plastikową tackę.

– Śledztwo prowadzi Laurenti. Giulia wsadzili za próbę szantażu wobec tej angielskiej deputowanej. Zajmę się nim jutro z samego rana. Podobno podczas rewizji w jego domu znaleziono kartę pamięci z cyfrowki ze zdjęciami. Wspomniał mi o tym Aurelio. Powiedział to ot, tak sobie. I że niestety zapomniał mnie powiadomić o aresztowaniu Giulia, choć go tamten poprosił.

– No, już ja mu pokażę. Temu Laurentiemu też. Wystosuj natychmiast zażalenie na aresztowanie, zrób coś! – Lele mówił zduszonym głosem, z trudem panował nad sobą. – A jakie są zarzuty przeciwko Aureliowi? – warknął.

Adwokat przez cały czas zachowywał spokój.

– To znacznie poważniejsza sprawa. Podwójne usiłowanie zabójstwa. Test DNA wypadł jednoznacznie. Przeszukali też jego mieszkanie.

Lelemu ostatni kęs wypadł z ust, wściekłym machnięciem dłoni zmiotł go ze stolika razem z tacką frytek.

– Kogo rzekomo usiłował zamordować?

– Angielską dziennikarkę i jednego vu compra<sup>[4]</sup>. Dzisiaj o szóstej rano w parku zamku Miramare. Komisarz pokazał mi zdjęcia, dowodzą, że Aurelio już od kilku dni śledził tę kobietę. Nie miałem jeszcze wglądu w akta, wszystko idzie przez prokuraturę. Laurenti był bardzo powściągliwy, nic nie pisał o sprawie, tylko raz wymknęła mu się drwiąca uwaga, że Aurelio to prawdziwy fotograf z pasją. Poza tym nie puścił pary z ust. Aureliowi kazałem milczeć. A gdzie ty właściwie jesteś?

– Wracam do domu. Przyjadę pociągiem o dwudziestej drugiej pięćdziesiąt osiem. Odbierz mnie z dworca.

– Muszę być z żoną na przyjęciu u prefekta.

– To urwij się wcześniej! – wrzasnął Lele. – Twoja żona da sobie radę i bez ciebie. Dwudziesta druga pięćdziesiąt osiem, jasne?!

To był cios. Lele zostawił jedzenie. Do przyjazdu pociągu bezustannie chodził tam i z powrotem po peronie, wyrzucając nogi jak żołnierz na defiladzie. Aureliowi chyba kompletnie odbiło, a Gazza to po prostu kompletny głupek. Z nim nie będzie problemu, szybko go wyciągnie. Sam może zaświadczyć, że zdjęcia to wyłącznie robota Aurelia. Bo jeśli to prawda z tym usiłowaniem zabójstwa, szantaż przy tym to nic, skazanie za taką sprawę nie będzie miało już żadnego znaczenia. Pewnie będzie musiał poświęcić jednego z synów, jeśli jego adwokaci nie wyczarują nowych faktów albo nie uda im się nagiąć prawa.

Teraz ważne było tylko to, by przystopować dochodzenie Laurentiego. Wielkie skandale zawsze zaczynają się od drobnych spraw – przecież ostrzegwał Aurelia.

Lele bardzo się zdziwił, gdy wsiadł do wagonu pierwszej klasy. Vittoria! Na jego widok rozjaśniła się w uśmiechu. Jej nieumalowana twarz miała prostackie rysy – Lele nigdy jeszcze nie widział jej bez makijażu.

# Dzień sfinksa

„Próba morderstwa w parku zamku Miramare” – głosił nagłówek niedzielnego wydania gazety codziennej. „Intensywne dochodzenie pod kierunkiem prokurator Ivy Volpini już po południu doprowadziło do ujęcia podejrzanego. Legenda mówi, że na zamku ciąży przekleństwo: żaden z jego mieszkańców nie umrze śmiercią naturalną. Czyżby mały sfinks, którego budowniczy zamku przywiózł niegdyś z Afryki, dziś w nocy znów obudził się z kamiennego snu? Wypadek przerwał pracę niemiecko-włoskiej ekipy telewizyjnej, która akurat kręciła w parku. Rzeczywiście nadal żyjemy w spokojnym mieście, w którym ciężkie przestępstwa są wyjątkiem, czy może i my potrzebujemy już straży obywatelskich? Czy policja i karabinierzy potrafią nas jeszcze skutecznie bronić?”.

Całostronicowy artykuł, zamieszczony w dziale lokalnym, zdobyły cztery zdjęcia: pierwsze – zwietrzała marmurowa rzeźba lwa z ludzką głową w dużym formacie; drugie ukazywało ludzi z filmu przy stołach cateringu; na trzecim, niewielkim, widniała statua Amedea, księcia Aosty, ostatnim był portret prokurator Volpini. O ofiarach napisano jedynie, że chodzi o kobietę i mężczyznę Afrykanina. W redakcji nie znali też najwyraźniej żadnych szczegółów na temat sprawcy, w doniesieniu prasowym podano tylko jego inicjały oraz informację, że jest nim rodowity triesteńczyk w wieku dwudziestu ośmiu lat. Za to mocno wychwalano w artykule zdecydowanie i skuteczność działań śledczych nowej w mieście pani prokurator. Na temat Laurentiego i jego współpracowników dziennikarz nie uronił ani słowa. Natomiast gazeta nieoczekiwanie uderzyła w ton, który z pewnością musiał się podobać wszelkim podjudzaczom: napisano o „zamachu”.

Laurenti ze złością przewrócił stronę, zaczął czytać o szkodach wyrządzonych przez sirocco: Guardia Costiera wyratowała załogi trzech jachtów; gnane wicherą morze zalało molo, woda wtargnęła na Città Vecchia i Piazza Unità.

Potem Laurenti zauważył nader zwięzłą i nieopatrzoną żadnymi zdjęciami notatkę:

„Triesteński biznesmen aresztowany w marinie w Rawennie. R.R. jest podejrzany o próbę zatajenia dowodów. Po dwugodzinnym przesłuchaniu został zwolniony. Policja kryminalna dokładnie sprawdziła każdy centymetr kwadratowy jego jachtu, pięknego dwumasztowca z lat trzydziestych o rdzawoczerwonych żaglach. Wpływowy przedsiębiorca, który w piątek wypłynął w dłuższy rejs, jeszcze tego samego dnia wrócił pociągiem do Triestu. Podejrzany odmówił zajęcia stanowiska w tej sprawie”.

Dziennik, uprzedzająco posłuszny, ograniczył się do krótkiej notki.

Po kolacji z Mariettą Laurenti koło północy zajechał vespą pod dom. Był przemoczony do suchej nitki. Ostatnie metry przebiegł w strugach chłoszczącej ulewy, wbiegł prosto do łazienki, zrzucił ubranie i wziął gorący prysznic.

Laura dzwoniła długo, nim usłyszał i odebrał telefon.

– Gdzie jesteście? – zapytał.

– W Rovigno. Stoimy na kotwicy w zatoce, w porcie nie było już miejsca. Niby mamy kryzys, a jakoś wszystkich stać na urlop.

– A Mariantonietta? Maszt jeszcze stoi?

– Nie ma powodu do obaw, skarbie. Ale ta burza jest rzeczywiście straszna, a prognozy też niezbyt ciekawe. Wracam jutro. Albo jachtem, albo wodolotem, zależnie od warunków.

– Myślałem, że trzy kobiety, same na weekendowym rejsie, mają sobie dużo do opowiadania...

– Nadrobimy kiedy indziej, Proteo. Mama przygotowała ci kolację?

– Wychodziłem, wróciłem dosłownie parę minut temu. Sądząc po ryku telewizora, znowu ogląda jakiś idiotyczny talk-show, robią jej wodę z mózgu.

– To z nudów. Może byś z nią porozmawiał, pogawędka dobrze by jej zrobiła.

Laurenti obejrzał się – ale poza nim w pokoju nie było nikogo.

– Przecież wracasz już jutro – powiedział. – Jakoś wytrzyma. A zresztą ma do towarzystwa dziecko.

Oczywiście teściowa znowu spojrzała na niego z wyrzutem, gdy z kieliszkiem w ręku zajrzał do salonu, by ją pozdrowić. Na migoczącym ekranie telewizora rozgrywała się właśnie rzewna scena odstawiana przez jakąś nieszczęśliwą parę – mieli nadzieję, że wystawienie na widok publiczny swoich przeżyć psychicznych pomoże im wytrzymać ze sobą do końca życia. Kołyski z dzieckiem nie było w salonie, a to znaczyło, że Patrizia jest w domu i siedzi z małą u siebie. Laurenti poszedł do pokoju córki w dobudówce.

– To prawda, że byłeś dzisiaj po południu na Diga Vecchia? – zapytała Patrizia, gdy tylko Proteo położył małą z powrotem do łóżeczka i usiadł.

– Miałem wolną godzinę, musiałem odpocząć, a nic mnie tak nie odświeża, jak kąpiel w morzu. Co to był za dzień!

– A czy to prawda, że byłeś tam z Gemmą? – drażyła dalej Patrizia.

Proteo spojrzał na córkę zdumiony.

– Tak, nasza lekarka domowa też tam akurat była. A ty skąd wiesz?

– *Mamma* mi powiedziała. Widziała cię jedna z jej przyjaciółek, od razu do niej zadzwoniła. Podobno siedzieliście w barze jakoś dziwnie blisko siebie. To prawda? Romansujesz z nią? – Patrizię aż skręcało z ciekawości. – To by dopiero było! I podobno też paliłeś jak smok. *Papà*, proszę, powiedz mi!

– Na miłość boską, Patrizia! Tym babom tylko plotki w głowie! Po prostu nie mogą bez tego żyć!

– To samo powiedziałam mamie.

– Pojęcia nie masz, ile nieuzasadnionych posądzeń ląduje codziennie na moim biurku. A co ty robiłaś przez cały dzień?

– Och, byłam na plaży z Guerrinem. Wiesz, Gigi wraca jutro – odparła córka. – Jego statek przybije tu koło południa.

– Hmm...

– I dlatego musiałam jeszcze omówić parę szczegółów.

– Chcesz przez to powiedzieć, że skończyłaś z tym swoim leśnikiem?

– No nie, tak bym tego nie nazwała. Pewne sprawy mogą biec równolegle. Kwestia organizacji.

– No tak, równolegle.

– Zobaczymy! Zawieziesz mnie jutro na molo, *papà*? Chciałabym wyjść po Gigiego. Oczywiście z małą. Jeszcze jej przecież nie widział.

– Pewnie. I powiedz Marcowi, że będziemy mieli gości. Podobno twój brat ma dla nas jutro coś ugotować.

\* \* \*

Bora i sirocco zmagaly się ze sobą, wiatr zmieniał się co chwila, to dął z południa, gnając przed sobą ścianę deszczu, to znów przewagę zyskiwała burza, idąca ze wschodu i północnego wschodu, i spychała ścianę deszczu na morze. Na Adriatyku rozgrywał się wspaniały spektakl: ostry szkwał miół fale, unosząc ze sobą pianę – by w następnej chwili urywać się gwałtownie, jakby nagle z niebios padł strzał, zatrzymując cały świat. Triest, miasto wiatrów.

Rodzina jeszcze spała, nawet dla teściowej było za wcześnie – Laurenti stał na tarasie, wiedział już teraz, że koło południa zwycięży błękit nieba. Jednak temperatura wyraźnie spadła, toteż tego ranka zrezygnował z codziennej kąpieli w morzu. Już o siódmej siedział przy biurku.

Jeśli to prawda, co napisano w gazecie, to wykonał dobry ruch i będzie też mógł skuteczniej odpierać spodziewane ataki. Sprawdził pocztę elektroniczną, szybko przeleciał skąpy raport komisariatu w Rawennie. Nie zważając na godzinę, chwycił za słuchawkę, zadzwonił do kolegi, który wczoraj po południu zajmował się Lelem; przeszkodził mu w przygotowywaniu niedzielnego śniadania.

Główny inspektor z Rawenny powiedział mu zaraz, że poprzedniego dnia Raccaro, po rozmowie z adwokatem z pewnej znakomitej mediolańskiej kancelarii, rozstał się jednak ze swoją mocno wypchaną walizeczką. Kolegom zabrało sporo czasu policzenie tych sześciu milionów, a potem sprawdzenie wszystkiego jeszcze raz. Dwanaście tysięcy pięćsetek. Niezła sterta, dziesięć stosów po dwanaście centymetrów.

Raccaro spokojnie sobie siedział, uśmiechał się tylko z politowaniem i powtarzał, że to przecież żadna różnica, czy ma w portfelu pięćdziesiąt euro, czy parę milionów, to nie jest zabronione. Powiedział, że bankom nie ufa, wszyscy wiedzą, co nawyrabiały. No i że w dodatku on jest z pokolenia, które przeżyło wojnę.



Przedstawiono mu zarzut próby zatajenia dowodów, podpisał, wrednie się uśmiechając, jak wszyscy, którzy są pewni, że jak dojdzie co do czego, i tak dzięki swoim znakomitym kontaktom uratują skórę. Pieniądze zabezpieczono za pokwitowaniem. Co na to Lele? Że bardzo mu to pasuje, bo przecież nie ma pewniejszego miejsca, szkoda tylko, że nie dostanie odsetek. Na koniec został wypuszczony, mogli go zatrzymać tylko na dwie godziny. Pojechał taksówką prosto na dworzec. Gdy wsiadł do pociągu do Triestu, zrezygnowano z dalszej obserwacji. Oczywiście koledzy w Rawennie zauważyli limuzynę z San Marino przed wjazdem na teren straży wybrzeża, ale to nie wystarczy jako dowód prowadzenia nielegalnych interesów.

– Powiadomiłem już skarbówkę, *commissario* – powiedział funkcjonariusz.

– No to teraz ja panu przekażę resztę informacji – rzekł Laurenti i krótko opowiedział o spisach z teczki Aurelia Selvy, które przeanalizowała Pina Cardareto: świat Raccara, szczegółowy obraz jego interesów, układów i kontaktów. Potem zanotował sobie dane urzędnika Guardia di Finanza i od razu do niego zadzwonił. Następnego dnia wyrwał z łóżka prokurator Volpini.

Spokój przed burzą. Laurenti położył nogi na biurku, spojrzał na wysokośćowiec naprzeciwko: tam, na najwyższym piętrze, znajduje się gniazdo orła. Laurenti był pewny, że już wczesnym rankiem w poniedziałek pół armii odzianych w szare uniformy urzędników Guardia di Finanza zajdzie przed wieżowiec oraz przed Palazzo Vianello i wyrwie Lelego ze snu. Nim ten zdoła zadziałać.

Wielkie afery zwykle wychodzą na jaw dzięki drobnostkom.

\* \* \*

Na znak zapytania na wyświetlaczu komórki Proteo po krótkim wahaniu odpowiedział SMS-em: „Siła wiatru 10”. Nie miało to głębszego sensu, jednak nic lepszego nie przyszło mu do głowy, a nie chciał też, żeby Gemma czekała.

Wiedzieli już z całą pewnością, że to osiłki z ochotniczej straży obywatelskiej pobiły Alberta. Wyniki analiz laboratoryjnych były jednoznaczne: krew, której ślady mieli na kurtkach, należała do

afrykańskiego handlarza. Lecz krwi dziennikarki na ich ubraniach nie było. DNA z kosmyka włosów, jak również kawałeczki skóry spod paznokci kobiety jednoznacznie wskazywały na Aurelia Selwę. Zatem nie mogło być mowy o podwójnej próbie zabójstwa. Także Alberto miał na obu rękawach ślady krwi dziennikarki – na nożu były jednak odciski tylko dwóch jego palców. W ten sposób nie można zadać ciosu. Tu była luka, zaburzająca logikę całości. Jej uzupełnienie będzie możliwe dopiero wtedy, gdy obie ofiary złożą zeznania. Albo gdy Laurenti przygrzeje tym wygolonym pałom, tym palantom, co to rzekomo chcą w nocy chronić obywateli. Mężczyzn osadzono w trzech różnych, oddalonych od siebie pojedynczych celach. Adwokat z Varese, dalekiego bastionu Lega Nord, już wczoraj podjął się obrony i złożył protest przeciwko ich aresztowaniu. Widać partia dba o swoich członków, a jej ramiona sięgają daleko.

Gdy o wpół do jedenastej Proteo Laurenti otwierał swój samochód zaparkowany przed komendą, bora już zdążyła powyrywać wyraźne dziury w ciemnej warstwie chmur, wyzierało z nich niebo błękitne i radosne jak na obrazach Tiepola. Lato się opamiętało, przypomniało sobie o swojej sile. Proteo rozmyślił się, z powrotem zamknął samochód. Przeszedł na drugą stronę ulicy i mijając *teatro romano*, poszedł do wieżowca naprzeciwko.

Na jego dzwonek od razu odezwał się brzęczyk domofonu, Laurenti nie usłyszał żadnego „kto tam?” czy też „słucham”. Zupełnie jakby go oczekiwano.

Gdy wyszedł z windy, w drzwiach mieszkania stał już Lele. Drobny mężczyzna patrzył na komisarza szeroko otwartymi oczami, jego twarz wyrażała najwyższą konsternację.

– Pan? – zapytał niedowierzająco.

– To nie na mnie pan czekał, Lele? Kiedy pan wrócił?

– Czego pan chce?

– Porozmawiać, a co innego? Mógłby mnie pan poczęstować kawą, najlepiej Jamaica Blue Mountain.

Raccaro przez chwilę jeszcze stał bez ruchu, mocno trzymając klamkę drzwi, dopiero po paru sekundach z wahaniem ustąpił na bok, by wpuścić komisarza do środka. Poprowadził Laurentiego do salonu, poprosił o zajęcie

miejsca przy stole. Proteo słyszał, jak Lele krząta się w kuchni, wydawało mu się, że po cichu rozmawia z jakimś mężczyzną, dolatywał go tylko stłumiony głos. Wkrótce Lele wrócił z tacą, na której stały dwie filiżanki espresso.

– Kopi Luwak, *commissario* – powiedział. – Najbardziej ekskluzywny napój na świecie. Tego na pewno pan jeszcze nie pił.

– Smakuje lasem deszczowym, Lele. Pestki owoców kawowca są wydalane przez łaskuna muzanga. Zabawne hermafrodytyczne zwierzątko. Jego kupy wyglądają jak batoniki muesli.

Raccaro spojrział na niego badawczo, nic nie powiedział.

– Ma pan tu na ścianie piękny obraz – zauważył Laurenti.

– Gustave Courbet – podjął Lele. – *Les bouches du Timavo*. Niesłychanie cenny. Ale chyba nie z powodu obrazu pan tu przyszedł.

– Chciałbym pogratulować panu drugiego syna, Lele. Szkoda, że obaj synowie siedzą.

– O co właściwie chodzi, *commissario*?! – wrzasnął nagle Raccaro. – Pana nieposkromiona ambicja zagraża dobru ogólnemu. Obciąża podatnika.

Z furją nachylił się do komisarza, jego twarz tak poczerwieniała, że aż Laurenti się przestraszył, że będzie musiał wezwać pogotowie. Zwykle nic nie było w stanie wyprowadzić Raccara z równowagi, osławiony uśmiezek nie schodził mu z twarzy, nawet w trudnych sytuacjach. Teraz ręka, w której Lele trzymał filiżankę, nagle zadrżała. Kawa chlupnęła, zostawiła ciemnobrunatną plamę na jego białej koszuli.

– A co to się stało, że już pan wrócił z rejsu, Lele? – Laurenti z uśmiechem odchylił się na oparcie krzesła. – Cieszę się, że jednak znalazł pan dla mnie czas. Ale widzę, że jest pan zdenerwowany, proszę uważać, oblał się pan kawą.

Lele przez chwilę nic nie mówił, spojrział na koszulę. I zaraz rozwrzeszczał się na nowo:

– Nie myślcie sobie, że takimi akcjami przeszkodzicie nam w walce o wolność i demokrację!

– O czym pan mówi? Widzę tu tylko pana i siebie. – Laurenti z teatralną przesadą rozejrzał się dookoła.

– Przegina pan, *commissario*. Pan i ta prokurator, która nie ma pojęcia,

jakie konsekwencje na nią spadną.

– Powiedział mi to już wczoraj pański adwokat i szczerze mówiąc, nie rozumiem, o co panom chodzi. Co takiego się stało?

– Wsadził pan obu moich synów, Laurenti. Zdziwi się pan, jak szybko będzie ich musiał znowu wypuścić.

– Że Gazza też jest pańskim synem, dowiedziałem się dopiero przed kilkoma godzinami. Czyżby kukułcze jajo? W metryce jest inne nazwisko.

– Niewinność Giulia Gazzy została udowodniona. Aurelia też pan nie dostanie. A teraz proszę stąd wyjść, bo wystąpię przeciwko panu o naruszenie miru domowego.

Laurenti wstał, wyszedł na korytarz, Raccaro poszedł za nim.

– A gdzie właściwie jest Vittoria? Będą potrzebne jej zeznania.

Celny cios. Laurenti zamknął za sobą drzwi.

W dziesięć minut później komisarz, wylegitymowawszy się przy bramce, wędrował przez opustoszałe, rozległe korytarze Pałacu Sprawiedliwości, w końcu energicznie zapukał do drzwi gabinetu prokurator Volpini.

Iva Volpini siedziała przy zawalonym aktami biurku, włosy miała w nieładzie i bluzkę z poprzedniego dnia na sobie. W pokoju panował nieprzyjemny zaduch.

– Dziękuję, że mnie pan obudził, *commissario* – rzuciła kwaśno. – Przesiedziałam nad tymi aktami całą noc i właśnie zasnęłam, gdy pan zadzwonił. Tak, Laurenti, tu mnie pan zastał, a nie w domu. W dodatku w całym budynku nie ma chyba ani jednego działającego ekspresu do kawy. Ale przynajmniej sprawa jest wyjaśniona. Zdecydowałam, że...

Laurenti przerwał jej, unosząc rękę.

– Może pójdziemy do baru, *dottoressa*, tam mi pani wszystko powie.

Zanim wyszli, Proteo, pod pytającym spojrzeniem prokurator, otworzył okno.

Iva Volpini była zdecydowana aresztować Raccara na podstawie dowodów, jakimi były zdjęcia Vittorii i niemieckiego producenta filmowego. Bądź co bądź, ostatnie zdjęcia Haralda Bierchena zostały wykonane na pokładzie „Greta Garbo” i zapisane w pamięci aparatu Aurelia Selvy. Syna Lelego. Strzępek materiału, który technicy znaleźli na jachcie, pochodził ze

spodni Niemca, a karteczka z kieszeni zmarłego dyrektora TV wskazywała na AFI.

– Na miłość boską, *dottoressa*, moim zdaniem to za wcześnie – zaoponował Laurenti. Stali przy kontuarze „Baru X” przy via del Coroneo, Iva Volpini właśnie zamawiała drugą *caffè latte*. – Jeśli od razu aresztuje pani Lelego, wymknie nam się Vittoria. Była prawdopodobnie jedynym świadkiem śmierci Birkenstocka. O ile nie sprawcą.

– Raccaro i Bierchen, tak się nazywają. Proszę bez przezwisk. – Prokurator zbierała łyżeczką spienione mleko.

– Zostawmy mu nieco czasu, *dottoressa*. Wejście do wieżowca jest obserwowane. Nawet jeśli Vittoria jest u Raccara, to będzie musiała kiedyś wyjść. Jeżeli wolno wyrazić opinię: stawiam na to, że kontrola kolegów z Guardia di Finanza rzuci światło na interesy Lelego. Zapiski Aurelia są nader pouczające.

– Wyobrażam sobie, Laurenti. Wczoraj telefon się u mnie urywał. Próbowano wszystkiego: od łagodnych upomnień do mniej czy bardziej ukrytych gróźb.

– To bez różnicy, czy wkroczymy dzisiaj, czy jutro. Raccaro nie zwieje, ciągle jeszcze jest przekonany, że trzyma w ręku wszystkie sznurki. On nic nie wie o zapiskach Aurelia. Moi ludzie są równie zmęczeni jak pani, *dottoressa*. Dajmy im dzień na odpoczynek. Czy chce pani jeszcze przesłuchać Giulia Gazzę, nim upłynie termin czterdziestu ośmiu godzin?

– Wyznaczyłam przesłuchanie na godzinę trzynastą... bo?

– To nie jest konieczne, ten idiota jest jedynym, który tym razem nic nie przeszkrobał. Niech go pani wypuści, może Raccaro uzna, że to dzięki jego znakomitym układom. Jak potem Gazza będzie dzwonił do Lelego, my też sobie posłuchamy.

– Do Raccara, Laurenti, do Raccara. Bez przezwisk. Niech pan uważa, bo jeszcze kiedyś zaliczy pan przez to wpadkę przed sądem. Dbamy o poprawność formalną, *commissario*.

\* \* \*

Laurenti uśmiechał się szeroko, lawirując między pojazdami na ulicach Barcoli. Czyżby prokurator Volpini chciała zrobić z niego innego człowieka?

Przecież wszyscy wiedzą, że kto jak kto, ale Laurenti na pewno nie trzyma się ściśle reguł; a mimo to zawsze jakoś udaje mu się osiągnąć cel. Że zaraz zapakuje do służbowego wozu Patrizię i dziecko, też jest wbrew przepisom. Jednak to najprostszy sposób, by bez większego wysiłku przewieźć je obie na teren wolnego portu.

Kontenerowiec „MS EVER Miriam”, na którym Gigi był pierwszym oficerem, zbudowano w roku 2006 w Korei. Statek miał trzysta metrów długości i ładowność ponad osiem tysięcy TEU. Nazwa armatora, Italia Maritima, była wypisana ogromnymi białymi literami na ciemnoniebieskim kadłubie. Patrizia już z domu widziała, jak statek wpływa do zatoki, i natychmiast zawiadomiła ojca. Jednak trochę potrwa, zanim kontenerowiec, który na pełnym morzu rozwija prędkość do dwudziestu pięciu węzłów, weźmie na pokład pilota i prowadzony przez holowniki, ostrożnie, powoli wpłynie do portu i zacumuje przy nabrzeżu.

Mimo to Patrizia wraz z dzieckiem niecierpliwie czekała już na Protea przed domem. Jej nerwowość udzieliła się małej, która darła się wniebogłosy i ucichła dopiero przed bramką celną. Laurenti odetchnął z ulgą, przynajmniej oszczędziło mu to pytań. Przysunął do szyby legitymację służbową i od razu pozwolono mu wjechać. Nawet w niedzielę port pracował pełną parą – towar, którym się nie obraca, to martwy kapitał.

Laurenti od dawna już nie był na terenie portu i kilka razy pojechał w złą stronę, nim wreszcie trafił na nabrzeże terminalu kontenerowego, gdzie właśnie zacumowała „MS EVER Miriam”. Pojazdy Guardia Costiera, agencji żeglugowej i kilku firm zaopatrzeniowych stały w pobliżu, czekając, aż zostanie opuszczony trap. Wysoko, na pokładzie mostkowym stało, opierając się o balustradę, pięciu mężczyzn, Patrizia wyciągnęła komórkę, zadzwoniła do Gigiego. Od razu odebrał, pomachał do nich, gdy opisała mu samochód ojca. Patrizia wysiadła z wozu, wysoko uniosła małą, która nieoczekiwanie zaśmiała się gulgotliwie, jakby się domyślała, że już niedługo po raz pierwszy zobaczy ją ojciec.

Syrena okrętowa zawyła przeraźliwie, Laurenti aż się wstrząsnął. Gigi gwałtownie dawał im znaki rękoma. Ogromny, żółty żuraw portowy sunął prosto na nich, komisarz wciągnął córkę z wnuczką do wozu, ruszył ostro.

O włos uniknęli zderzenia z ciągnikiem siodłowym, który jechał na plac przeładunkowy. Laurenti zaklął szpetnie, poszukał do zaparkowania miejsca w pobliżu pojazdu straży wybrzeża.

W pół godziny później Gigi zbiegł po trapie, Laurenti ledwie mógł powstrzymać córkę, by nie pobiegła do niego razem z dzieckiem. Dopiero gdy marynarz był oddalony o kilkanaście metrów, pozwolił jej wysiąść z samochodu. Gigi upuścił walizkę, rzucił się ku nim.

Okrągły stół na tarasie przykryty był białym lnem, ozdobiony kwiatami, artystycznie poskładane serwetki leżały przy każdym nakryciu. Poza tym pałeczki jak w azjatyckiej restauracji. Proteo naliczył siedem nakryć, zdziwił się. Patrizia i Gigi od razu zniknęli w swoim pokoju, prababcia bujała małą w kołysce. Livia była w łazience.

– Pięknie nakryte, Marco. Ale i dla dziecka? – zapytał Laurenti i klepnął syna z uznaniem po ramieniu.

– Nie, no skąd, *papà*, gdzież dla małej! *Mamma* wraca, wsiadła na wodolot, powinna być lada moment. A co, nie dała ci znać?

Marco trzymał jointa za plecami, miał nadzieję, że ojciec chociaż będzie udawał, że nic nie zauważył.

– Ach, tak – powiedział Laurenti. – A co jest do jedzenia? Jestem głodny jak wilk.

– To tajemnica. Będziecie musieli zgadywać.

– Twoja matka powiedziała, że często wypływasz na ryby...

– No tak, zgadza się.

– Nie dał mi wejść do kuchni – poskarżyła się *signora* Camilla. – Nie mogłam nawet podgrzać butelki dla małej. A śmieci okropnie śmierdziały rybnymi odpadkami. Ale nie znalazłam ości ani muszli, ani pancrzyków. Za to jakąś okropnie cuchnącą, jasną masę. I to ja musiałam wyrzucić to świństwo! Marco nawet drugą lodówkę zapakował tymi swoimi pojemnikami. I zużył kilogramy soli morskiej. A poza tym ciągle pali to śmierdzące świństwo.

Marco wznosił oczy do nieba.

– Babcia zaraz musi wszystko wiedzieć! – szepnął do ojca. – A jak tylko się dowie, to zaraz wypaple. Musiałem się zabezpieczyć.

– A co będziemy pić?

– Najpierw koktajl, potem wino z Krasu, oczywiście – odparł Marco.

\* \* \*

– Wyrzucili mnie, dranie! – oświadczyła Livia przy aperitifie. Jednak sądząc z jej uśmiechu, wcale się tym nie zmartwiła. – Ale co to jest? Dla mnie bomba. Uuch, czuć alkohol!

– *Jellyfish* – wyjaśnił Marco. – Zmiksowałem ekstramocny, żeby wam dodać odwagi.

– Meduza?! Nie bredź!

– Nazywa się tak ze względu na kolor, składniki to wódka, niebieskie curaçao, sambuca i śmietanka.

– A z jakiego to powodu z minuty na minutę straciłaś pracę?

Laura wróciła przed półgodziną. Jej gęste jasne włosy były wysoko upięte, wmaszerowała energicznym krokiem i przywitała się z wszystkimi bardzo serdecznie, a z Gigim niemal wylewnie. Jedynie Proteo zainkasował spojrzenie pełne dezaprobaty. – Jak to dobrze, że jesteś zdrow! – Tylko tyle do niego powiedziała, a pytanie o przedwczesny koniec rejsu zbyła uwagą o pogodzie.

– Z powodu tego incydentu wczoraj rano, kiedy *papà* przejechał na pełnym gazie przez plan w parku Miramare i wszystko popsuł. Musieliśmy przerwać pracę. Reżyser uznał, że mogłam temu zapobiec. Wtedy mu wygarnęłam. Powiedziałam wszystko, co dusiłam w sobie od początku tej roboty.

– Myślałam, że ci z filmu są przyzwyczajeni do ekscentrycznych wybuchów.

– No tak – dodała Livia niepewnie – ale gdy mnie wyśmiał, chlusnęłam mu w twarz kawą. Gorącą. Nie wiem, czy w tej sytuacji dostanę jeszcze pieniądze za przepracowane tygodnie.

Ani Proteo, ani Laura nie byli wprawieni w posługiwaniu się pałeczkami, a babcia o razu zażądała normalnych sztućców, Marco przyniósł je bez ociągania. Wszyscy poza nią chwalili jedzenie o mocno azjatyckim charakterze, sycące, lecz lekkie. Imbir, kolendra, czosnek i cebula siedmiolatka, prażone ziarno sezamowe i chili dało się wyczuć, ale nikt nie



potrafił odgadnąć głównego składnika przekąski.

– *Tagliatelle*, ale jakieś lepkie i za krótkie – powiedziała *signora* Camilla sucho, grzebiąc w dwucentymetrowych paskach, połyskujących jak kość słoniowa. Ich konsystencja była zrazu lekko chrupiąca, potem robiła się galaretowata. Smak był świeży jak morze.

– Nie, to kałamarnica – stwierdziła Patrizia.

– Wszystko jedno co, mnie smakuje – rzuciła Livia. – No, powiedz wreszcie!

Marco uśmiechał się zadowolony.

– Powiem po następnym daniu.

– Hamburger! – wykrzyknął Laurenti i włożył kawałek do ust. – Nie, babka ziemniaczana z nadzieją z tego, co podałeś jako sałatkę na przystawkę.

Tylko Gigi milczał, gdy inni gubili się w domysłach. W końcu poprosili i jego, by zdradził, co typuje.

– Jadłem to ostatnio w Hongkongu – powiedział w końcu. – Nie chcę Marcowi psuć zabawy.

– To coś prosto z morza – zaczął Marco. – Bogate w białek i zdrowe, nie zawiera nasyconych kwasów tłuszczowych ani cholesterolu. Od sałaty liściastej różni się tylko jedną sekwencją DNA, a mimo to jest zwierzęciem, jednak bez mózgu. Dostarcza kolagenu, korzystnego dla skóry, zębów i kości.

– Gigi, ty powiedz! – zawołała Patrizia. – Zanim Marco zrobi nam godzinny wykład.

– Meduzy! Te białe meduzy *Rhizostoma pulmo*, które sirocco zapędza też do naszej zatoki.

Na moment wszystkim odebrało mowę. Tylko niemowlę zadowolone gaworzyło w kołysce.

– Od jutra znowu ja przygotowuję jedzenie. – Matka Laury wstała gwałtownie i na znak protestu wyniosła swój do połowy opróżniony talerz do kuchni. Tymczasem Laurenti i Marco, Patrizia, Livia i Gigi wybuchnęli głośnym, niepowstrzymanym śmiechem, do którego dołączyła w końcu Laura.

– A w mieszkaniu Lelego wisi autentyczny Courbet, wiedzieliście? – zakończył Laurenti relację z wydarzeń w parku zamkowym i upił *caffè shakerato*, którą Marco podał na koniec: leciutko słodzoną i przyprawioną ociupinką prawdziwego anyżu gwiazdkowego. To Livia poprosiła ojca, by opowiedział o akcji, przez którą straciła pracę. A potem wszyscy tak bardzo nalegali, że w końcu uległ i zdradził co nieco, wbrew swojemu zwyczajowi.

– Wow! Co to za obraz? – zapytała Laura zaciekawiona.

– Zatytułowany jest *Les bouches du Timavo*.

Laura głośno się roześmiała.

– Ach, ten? To nie żaden Courbet! Nędzny falsyfikat. Już wiele lat temu mi go oferowano.

– Lele twierdzi, że dał za niego miliony i że dzisiaj jest wart o wiele więcej.

– No to ma problem. Bo eksperci są jednomyślni. Dobrze namalowany, ale tak samo fałszywy jak *La mare dei mona*, rzekomo autorstwa Leonor Fini. – Laura uśmiechnęła się w zamyśleniu. – Dowiedziałam się o tym wczoraj wieczorem. Cóż, pozory mylą.

## Przypisy

---

[1] DIGOS (Divisione Investigazioni Generali e Operazioni Speciali) – wydział specjalny włoskiej policji do zwalczania terroryzmu. (Przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Ushtria Çlirimtare e Kosovës (alb.) – Armia Wyzwoleńcza Kosowa. Albańska zbrojna organizacja terrorystyczna w Kosowie.

[3] *Osmizza* (słoweń.) – mała prywatna knajpka z wyszynkiem własnego wina, domowym jedzeniem.

[4] Czarnoskóry handlarz uliczny. Określenie od słów: *vu comprà?* (wł.), „kupi pan?”, jakimi dawniej, nie znając jeszcze dobrze włoskiego, handlarze zwracali się do przechodniów.